

*Bezwstydnicia*  
**JENNIFER BLAKE**

Camilla Greenley Hutton stała pośrodku błotnistej drogi biegnącej w głąb rezerwatu. W wyciągniętych rękach ścisnęła rewolwer typu 357 magnum. Chłodny wiosenny deszcz, jaki zwykł padać tylko w Luizjanie, był tak rześisty, że wokół drogi utworzyły się srebrne smugi. Krople wielkości dwudziestopięciocentówek marszczyły powierzchnię kałuż w koleinach wyłobionych kołami; dźwięczały w gałęziach drzew zwieszających się nad drogą, perliły na woskowanej karoserii cadillaca seville należącego do Camilli. Zielona jedwabna bluzka, którą nosiła do dżinsów, oblepiała jej ciało. Żłotobrazową, falującą czuprynę przewiązała na karku zieloną wstążką, lecz smagający wiatr potargał ją i zwichrzył mokre włosy. Zmrużyła piwne oczy, jakby chroniąc się przed zacinającym deszczem i spadającymi na oczy kosmykami włosów. Zapadał zmrok. Czekwała.

Ryk landrovera doszedł do uszu Cammie znacznie wcześniej, nim pojazd się pojawił. Keith z wariacką szybkością pędził w jej kierunku. Koncentrując się tylko na tym, by nie stracić Cammie z oczu w zdradzieckim labiryncie bocznych dróg parku, nie zwracał uwagi, ani na kogo, ani na co najeżdża. Cały Keith! I właśnie na to liczyła.

Mąż ścisnął Cammie nie dlatego, że ją kochał lub pożądał jej do szaleństwa, lecz wyłącznie z powodu niepohamowanej ambicji. Nie mógł znieść myśli, że

mogłaby go wyprzedzić. Już sam fakt, że usiłowała to zrobić, doprowadzał go do wściekłości. Ale najgorsza dla niego była świadomość, że od chwili, gdy złożyli papiery o rozwód, Cammie przeżyła ten okres względnie spokojnie. Traktował to jako osobistą zniewagę.

Pomysł rozwodu wyszedł od Keitha i to było właśnie najdziwniejsze. W ciągu pierwszych trzech miesięcy, gdy jeszcze trwały formalności prawne, ostentacyjnie upajał się wolnością, żyjąc z dziewiętnastoletnią dziewczyną, która w dodatku była w ciąży. Dziewczynę umieścił w stojącej za miastem przyczepie. Cammie w każdej chwili spodziewała się wiadomości o ślubie męża, tymczasem trzy tygodnie później Keith zapukał do jej drzwi. Na twarzy miał bezczelny uśmiech, w rękę trzymał walizkę. Powiedział, że się rozmyślił co do rozwodu i ponownie chce być jej mężem.

Cammie nie mogła powstrzymać się od śmiechu. Za rozbawieniem jednak kryła się bolesna ironia. Oto mężczyzna, który nigdy jej nie rozumiał, a z którym przeżyła sześć długich lat. Starła się bezskutecznie szukać miłości i zrozumienia, ale Keith zdusił w niej te uczucia i nic już nie pozostało.

Od tej pory zaczął ją nękać.

Cammie miała dość nocnych telefonów i żądań, aby tłumaczyła się z każdego kroku i wszystkich spotkań, a także odsyłania niechcianych kwiatów. A zupełnie nie mogła sobie wyobrazić, jak zniesie jeszcze jedną wizytę byłej teściowej, która przyjdzie wstawić się za synem. Najbardziej jednak męczyło ją, że nieustannie była szpiegowana.

Wielokrotnie próbowała przekonać Keitha, że nie chce być dłużej jego żoną - ani teraz, ani kiedykolwiek - i niecierpliwie czeka na zakończenie sprawy rozwodowej. Wyrok miał zapasć dopiero za pięć tygodni. Powiedziała mu otwarcie, że nie podobają jej się metody, jakimi

próbuję ją odzyskać, ale on tych słów nie brał serio. Doszła do wniosku, że istnieje tylko jeden sposób na przekonanie Keitha.

Kiedy Cammie wyjeżdżała do college'u, ojciec podarował jej rewolwer i nauczył się z nim obchodzić. Nadszedł czas, żeby sprawdzić to w praktyce.

Landrover wyjechał zza zakrętu wprost na nią. Odczekała, aż Keith ją zobaczy. Wzięła głęboki oddech, starannie wycelowała i nacisnęła spust. Broń szarpnęła i wstrząsnęła ramionami kobiety, gwałtownie podrzucając jej ręce. Strzał ją ogłuszył.

Z prawego reflektora landrovera poleciało szkło. Zobaczyła szeroko otwarte oczy Keitha i jego zamgloną twarz, usta poruszały się, jakby wyrzucały przekleństwa. Ponownie złożyła się do strzału. Szybko nacisnęła spust i... trafiła w lewy reflektor.

Hamulce zapiszczały. Na błotnistej drodze samochód wściekle zarzucił, rozpryskując błoto i piach, jakby orał drogę. Prawe przednie koło wpadło w koleinę i obróciło auto o dziewięćdziesiąt stopni. Silnik wył. Pojazd wpadł do rowu. Rozległ się głuchy odgłos zgniatanego metalu, a potem nastąpiła cisza.

Cammie opuściła rewolwer i podeszła do rozbitego wozu. Kiedy zobaczyła Keitha leżącego na kierownicy, gwałtownie się zatrzymała.

Udawał. Była o tym przekonana. Na pewno udawał, choć koszulę miał opryskaną krwią.

Nie mogła go tak zostawić. Mimo wszystkich grubiaństw i chamstwa, jakiego od niego doświadczyła, pokrętnych sztuczek, jakich jej nigdy nie szczędził, nie mogła tego zrobić.

- Idiotka - powiedziała do siebie pod nosem. Zacisnęła zęby i zdecydowanym krokiem podeszła do landrovera.

Ostrożnie otworzyła drzwi od strony kierowcy. Keith oddychał, pierś poruszała się równomierniej a z nosa

sączyła się krew. Trąciła go lewą ręką w ramię, ale nie wypuściła z dłoni magnum.

Keith raptownie się wyprostował. Obrócił się na siedzeniu i chwycił ją za nadgarstki. Jego piwne oczy wyrażały zadowolenie, a przystojną twarz wykrzywił złośliwy grymas.

- Znowu cię oszukałem - powiedział ze śmiechem, wysiadając z samochodu. - A ty zawsze szukasz guza!

Wyrazy, jakimi go obrzuciła, na pewno nie należały do komplementów.

- Ach tak? - Z tylnej kieszeni wyciągnął chustkę i wytarł krew pod nosem. - Wciąż jeszcze jestem twoim mężem i uważam, że nadeszła pora, aby dać ci nauczkę. To spokojne miejsce doskonale się do tego nadaje. Zapłacisz mi za głupi pozew i straty w landroverze!

Serce Cammie waliło jak młotem. Poczuła mdłości. Padający deszcz nagle wydał się jej lodowato zimny. Nie próbowała się uwolnić; jej bezwładne dłonie spoczywały w mocnych męskich rękach. Przeciągnęła językiem po mokrych od deszczu wargach.

- To jest wyłącznie twoja wina - oznajmiła.

- Ach tak? - Szyderczy uśmiech zaigrał na ustach Keitha. Gdzieś w głębi jego oczu dojrzała podniecenie. - Mógłbym powiedzieć dokładnie to samo. Gdybyś nie była taka uparta, moglibyśmy pogodzić się w przyjemnym, miękkim łóżku. Ale skoro tak stawiasz sprawę...

Rozstawił nogi i wypchnął do przodu biodra, jakby chciał, żeby zauważyła jego męskość. Jednocześnie przyciągnął ją do siebie i mocniej ścisnął za ramię.

- Puść mnie! - krzyknęła. Podniosła broń i przycisnęła mu do piersi lufę.

Parsknął wyzywająco.

- Myślisz, że mnie przestraszysz? Masz takie miękkie serce, że nie zastrzełiłabyś nawet grzechotnika, a co dopiero człowieka.

- Nie bądź taki pewny - odrzekła.

Cień zwątpienia przemknął przez twarz mężczyzny. Keith zaraz się jednak roześmiał i sięgnął po magnum.

W tej chwili Cammie podniosła kolano i uderzyła w sam środek rozłożonych nóg. Próbował się odwrócić, aby uniknąć ciosu. Na próżno. Uderzenie było bolesne, Keith zamamrotał, puścił ją i zgięty wespół chwycił się za jądra.

Cammie uskoczyła poza zasięg jego rąk. Kręciło jej się w głowie, gdy biegła w stronę cadillaca.

Keith wołał za nią. Słyszała jego kroki, początkowo niepewne, ale z każdą chwilą coraz bardziej zdecydowane. Słyszała odgłos rozpryskiwanego błota i głuchy łomot za plecami. Zwiększyła tempo. Charczało jej w gardle... Mężczyzna był coraz bliżej. Złapie ją, zanim zdąży otworzyć drzwi swego samochodu. Miała teraz tylko jedno wyjście.

Cammie skręciła w bok, przeskakując rów. Kiedy dobiegła do skraju drzew, odwróciła się, podniosła rewolwer i nacisnęła spust. Wybuchy wstrząsały nią aż do bólu zębów; fontanna błota i wody zalała stopy Keitha.

Krzyknął, rzucił się do tyłu i padł jak kłoda w błotnistą drogę. Cammie tym razem do niego nie podeszła. Odwróciła się i schyliwszy głowę, zaczęła biec.

Drzewa ją wchłonęły, ocieniając i chroniąc. Mokra gałąź, które odsuwała w biegu, zamykały się za nią jak wrota. Słyszała wołanie Keitha, żeby wróciła, ale się nie zatrzymała. Już nigdy nie pozwoli, by jej dotknął: ani pod wpływem perwersyjnego pożądania, ani z zemsty, ani tym bardziej ze złości. Nigdy więcej!

Dochodziło ją trzaskanie gałęzi i dudnienie mocnych kroków mężczyzny. Może jej się tak tylko zdawało. Może to waliło jej własne serce i zwielokrotniało się oddech? Przyśpieszyła kroku.

Małżeństwo z Keithem było skończone. Odczuwała tak ogromną radość, że miała wrażenie, iż krzyczy. Może on tym razem też usłyszał?

Drzewa napierały na nią zewsząd: niebotyczne sosny w szatach z delikatnych igieł wokół gałęzi; szepczące cedry tak zielone, aż prawie czarne; potężne słodkie gumowce o listowiu wydającym wspaniały aromat; trzęsące się klony z czerwonymi liśćmi żyłkowanymi pod spodem - ich gałęzie ozdobione porostami przypominały srebrne epolety na ramionach; sękate stare czarne dęby; ogromne, rozłożyste białe i czerwone dęby; drzewa orzechowe o liściach brzeszczowatych, ozdobione drobnymi zielonymi kwiatkami.

Płatanina gałęzi zatrzymywała resztki zmierzchu, zamieniając wszystko w zielony półmrok. Młode sadzonki wypuszczające silne pędy gęsto rosły wokół drzew, zdziczałe kwiaty, zielsko, pnącza i wrzośce oraz gęste zarośla ograniczały widoczność do kilku kroków. Ona sama też nie była widoczna.

Od dzieciństwa Cammie kochała drzewa, jak wszystkie kobiety w jej rodzinie. Kobiety z rodu Greenley interesowały się różnego rodzaju roślinami, ale szczególnym uczuciem darzyły drzewa.

Babka pierwsza wprowadziła Cammie w ten zaczarowany świat. Zaprowadziła ją na tereny łowieckie graniczące z ich majątkiem i zaznajamiała wnuczkę z każdym gatunkiem drzew, jakby przedstawiała jej stare i drogie przyjaciółki.

Kiedy Cammie podrosła, porzuciła dziecinny zwyczaj przeskakowania przez młode, giętkie drzewka sasafras i zaczęła wspinać się na gałęzie sosen. Tam w odosobnieniu pogrążała się w czytaniu ulubionych książek. Czasami, kiedy nikt nie widział, przyciskała dłoń do kory wawrzynu lub jesionu, dębu albo sosny, by czuć, jak przepływa przez nią życie.

Do tej pory jeszcze nigdy nie zgubiła się w lesie.

Kiedy się zatrzymała, by uspokoić oddech, zdała sobie sprawę, że nie słyszy już kroków Keitha. Otaczał ją las cichy, rozległy i zawsze taki sam.

Chłodny wiatr poruszył wierzchołkami drzew. Cammie zdrząła z zimna. Rozglądając się dookoła, pocierała mokry jedwab na rękach i ramionach. Ogarnęła ją lęk, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, którędy wrócić do drogi ani gdzie znajduje się jej samochód.

Czyżby las, który kochała, zdradził ją, okazał się równie fałszywy jak zaślubiony mężczyzna?

Myśl taka wydała się jej absurdalna. Gęste lasy rezerwatu rozciągały się na przestrzeni większej niż trzydzieści tysięcy akrów, a do tej pory nie ośmieliła się wejść głębiej niż na kilka akrów przylegających do domu.

Tereny łowieckie zajmowały dużą część gminy. Z jednej strony okrążały fabrykę papieru i wciskały się do miasta Greenley. Z miejsca, w którym się znajdowała, może być około sześciu kilometrów do domu, a na skróty nie więcej niż trzy, cztery kilometry, może nawet mniej. Z łatwością znalazłaby drzwi do swojego domu, gdyby tylko wiedziała, w którą stronę iść. W lesie było kilka krzyżówek przecinających rezerwat, a także parę domostw. Na pewno spotka kogoś, kto wskaże jej właściwą drogę.

Tymczasem szare cienie pod drzewami zrobiły się czarne i Camilla zupełnie straciła orientację. Bardzo łatwo mogłaby się pomylić i kręcić się w kółko tak, aż padłaby ze zmęczenia. Najlepiej poczekać do świtu. Wówczas łatwiej będzie wypatrzeć jakiś punkt rozpoznawczy. Jednak pomysł spędzenia nocy w lesie nie był zachęcający.

Ruszyła dalej. Bluzka lepiła się do ciała, zahaczała o krzaki i wrzośce. Dżinsy były tak przemoczone, że woda ściekała z nich prosto do butów. Z włosów deszcz spływał strumieniem i moczył plecy.

Przemarznąta i zmęczona, ślizgała się na błotnistej ziemi, potykała o korzenie drzew, walczyła z pnączami, które czepiały się jej rąk. Mimo to wciąż szła naprzód.



Potknęła się i upadła jak długa, wypuszczając z rąk magnum. W ciemnościach nie mogła go *znaleźć*, chociaż starannie przeczeswała teren porośnięty wrzoścami i młodziakami spletanymi z trawą i igliwem. W końcu zrezygnowała.

Mimo że nic nie widziała, nie zamierzała się poddać. Wraz z nastaniem ciemności spadła temperatura powietrza. Zimny dreszcz przeszywał ją i pochłaniał resztki ciepła, jakie jeszcze w niej się tliły. Musi iść naprzód, musi dotrzeć do domu! Nikt nie wiedział, dokąd poszła, i nikt nie będzie wiedział, gdzie jej szukać. Mozolnie posuwała się naprzód, by za chwilę się zatrzymać, jakby drogę zagrodziła jej niewidzialna przeszkoda. Z pewnością ktoś był w lesie. Czuła to instynktownie, była tego tak pewna jak nigdy.

Powoli się odwróciła i uważnie badała otaczającą ją ciemność. Nie słyszała żadnego ruchu ani żadnego szeptu. A jednak była pewna, że się nie myli.

Ogarnął ją strach na myśl, że mogłoby to być dzikie zwierzę albo diabeł w ludzkiej skórze, który ją śledził i skradał się coraz bliżej. W normalnej sytuacji nigdy nie fantazjowała, ale teraz to nie była zwyczajność.

Liście na gałęzi zaszeleściły.

Rzuciła się na oślep; przedzierała się przez zarośla, schylała pod konarami, przeskakiwała zwalone kłody i spletane wrzoście, biegła między wysokimi, strzelistymi drzewami. W płucach ją paliło, a urywany oddech drapał w gardle. Ciernie rozdzierały bluzkę i kaleczyły skórę, lecz nie zwracała na to uwagi. Ocierając się o pnie drzew, obdzierała z nich korę, odbijała się od nich i pędziła byle dalej przed siebie.

Pojawił się znikąd. Przed chwilą była sama, a teraz cień mężczyzny wyłonił się zza drzewa wprost przed nią.

Zderzyła się z jego piersią jak ze skałą. Silne ramiona objęły ją i trzymały pewnie, chociaż mężczyzna kołysał się na piętach. Odbiła się od niego i wyslizgnęła z jego

rąk. Przebiegła dwa, może trzy kroki. Znowu ją złapał, tym razem od tyłu. Potknęła się i straciła równowagę. Nogi jej zaplątały się między napiętymi silnymi udami napastnika. Ciche przekleństwo poleciało nad jej mokrymi włosami i po chwili oboje runęli w wilgotną ciemność.

Pociągnął ją na siebie i upadając, przekręcił się. Leżała w sztywnym uścisku, policzkiem oparta na jego miękkim ramieniu. Ogłuszona, przez chwilę leżała bez ruchu, zanim sobie uświadomiła, że ten mężczyzna nie był i nie mógł być jej mężem.

Odetchnęła głęboko, aż poczuła ból w gardle. Podjęła próbę wyrwania się z silnych ramion, które ją trzymały.

- Uspokój się! - dobiegł ją rozkazujący głos dochodzący gdzieś znad jej głowy. - W przeciwnym razie zostawię cię tutaj.

Zatrwożył ją ten głos. Znała go, jeszcze dźwięczał jej w uszach i przypominał dawne bolesne lata. Kiedy to było? Prawie piętnaście lat temu.

Słyszała, że wrócił, wszyscy w Greenley o tym wiedzieli. Oczywiście był na pogrzebie ojca, ona nie.

To też było oczywiste.

- Reid Sayers - wyszeptała.

Tak długo milczał, że myślała, iż nie usłyszał.

- Czuję się zaszczycony, a nawet oszołomiony - to chyba odpowiedniejsze słowo. Nie byłem pewny, czy mnie sobie przypomnisz z tamtych lepszych czasów.

- Kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, było podobnie - odparła zduszonym głosem. - Czy teraz mnie puścisz?

- Nie! - odpowiedział stanowczo, z lekką ironią w głosie. Nie mówił takim tonem, kiedy ostatni raz z nim rozmawiała!

- Zawsze lubiłeś przybierać tajemnicze pozy. Niestety, nie mam nastroju do żartów. Czy pokażesz mi drogę do domu, czy też spędzimy tutaj całą noc?

Przesunął się, zarzucając na nią fałdy obszernego przeciwdeszczowego poncho. Zadrżała pod wpływem fali ciepła płynącego z jego ciała. Zacisnął ręce, jakby chciał wzmocnić swoje słowa.

- A jeżeli ci powiem, że miałem zamiar zabrać cię tam, gdzie się rozstaliśmy?

- Już za późno...

Niemożliwe, by wyczuł nutę niepewności w jej głosie. Sama nie знаła swojej reakcji. Nie bała się go. Przez te wszystkie lata targały nią różne uczucia: od jawnej nienawiści do zwykłej tęsknoty. Ale nigdy się go nie bała.

- Może tak - powiedział w zamyśleniu - a może nie. Kobieta, która przed chwilą próbowała zabić swojego męża, może być zdolna do wielu rzeczy.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała i nagle zamilkła, bo zdała sobie sprawę z bezsensowności pytania.

- Kiedy usłyszałem pierwszy strzał, pobiegłem i zobaczyłem, że nadal strzelasz. Przyznaję, że cię śledziłem. Już dawno mogłem cię zatrzymać.

Niski wibrujący głos budził w niej niepokój. Usiłowała skoncentrować się na znaczeniu słów, a nie na ich brzmieniu.

- Ale nie zrobiłeś tego - powiedziała. - Czekałeś, aż wpadnę w rozpacz i przerażenie, chociaż nie mam pojęcia, co mogłeś na tym zyskać. Chyba za dużo sobie obiecywałeś.

- Doprawdy? - spytał, przyciągając ją do siebie. - W rzeczywistości pomyślałem, że nie muszę wtrącać się w coś, co wyglądało na udaną ucieczkę. Byłoby jednak nieistotne pozwolić ci, byś przemoczona i zmęczona błędziła całą noc po lesie. To byłaby przesada.

- Poza tym szkoda ci było stracić okazję do zatryumfowania nade mną.

- Taka myśl nie przyszła mi do głowy - rzekł z namysłem - ale teraz, kiedy mi to uprzytomniłaś, przyznaję, że nie miałbym nic przeciwko temu.

Zdenerwowało ją brzmienie głosu Reida. Odsunęła się, próbując się od niego uwolnić.

To był błąd. Bez najmniejszego wysiłku przetoczył ją na plecy i obrócił się razem z nią, uwięzioną w fałdach poncho. Przytoczył ją swoim ciężarem. Złapał za nadgarstki jej obie ręce i zamknął w bezbolesnym, lecz silnym uchwycie.

Zadrzała, gdy poczuła jego ciepło. Przez chwilę miała wrażenie, że mokra odzież paruje pod wpływem żaru jej ciała. Piersią przyciskał piersi Gammie, jego uda znalazły się między jej rozchyłonymi nogami, a wyraźna twardość pod zapięciem spodni drażniła krocze.

Wyteżyła wszystkie siły, aby go z siebie zrzucić, ale w tej szamotaninie ich ciała jeszcze bardziej przywarły do siebie. Poczuła, że wstrzymał oddech i zeszywniał. Leżała bez ruchu.

Ciało przenikał rozdzierający ból, jakiego nie zaznała przez całe piętnaście lat. Wraz z bólem wróciło wrażenie dobrze znanej pustki, której Keith nigdy nie zdołał wypełnić.

Doznanie denerwujące i jednocześnie zadziwiające, przerażało ją.

Złapana w sieć własnych uczuć, całą złość skierowała na mężczyznę, który je wywołał.

- Ty i mężczyźni z twojej rodziny zawsze potrafiliście wszystko wykorzystać...

Czuła jego napięte mięśnie i nie potrafiła się skoncentrować na słowach.

Westchnęła głęboko.

- Wciąż opowiadasz stare historie? Sądziłem, że jesteś na tyle dorosła, żeby nabrać do nich trochę dystansu.

- Mam mieć dystans do przestępstw twojego jankeskiego pradziadka? - zapytała zgryźliwie. - Ciebie one również dotyczą. Znasz powiedzenie: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

- Ależ mój pradziadek nie był drzewem - odparł oschle, choć z nutą rozbawienia.

- Jednak oszukał moją prababcie i wykorzystał!

- Nie słyszałem, żeby się kiedykolwiek skarżyła. Tylko jej mąż i potomkowie narzekali.

Prawie sto lat temu pradziadek Reida Sayersa, drwal z zawodu, przyjechał na Południe w poszukiwaniu szczęścia. Znalazł je w związku z Lavinia Greenley, prababką Cammie. Justin Sayers wplątał nieszczęsną żonę i matkę w okropną historię. Zanim cała sprawa się zakończyła, wyłudził trzysta akrów najlepszej ziemi należącej do przodków Cammie. To stało się przyczyną śmierci męża Lavinii.

Echa tamtego skandalu wciąż jeszcze rozbrzmiewają w Greenley. W dodatku Justin osiadł w Greenley na stałe, dobrze mu się powodziło, doczekał się nawet potomków. Użycie słowa „nienawiść” na określenie stosunków między rodzinami Sayersów i Greenleyów z pewnością jest za mocne, ale panująca między nimi oziębłość i brak wzajemnych kontaktów były widoczne.

- Lavinia Greenley nie była osobą narzekającą - zauważyła sucho Cammie.

- Oczywiście, że nie - powiedział tonem chropawym zabarwionym nutką melancholii. - Czasami się zastanawiałem, czy była podobna do ciebie. I co ty byś zrobiła na jej miejscu.

Serce stanęło jej w gardle. Nie odważyła się nawet pomyśleć, że Reid Sayers mógł się nad tym zastanawiać. Fakt, że wyobrażał ją sobie jako Lavinie, rozbrajał ją i jednocześnie boleśnie dotykał. Zupełnie odruchowo odparła oschle:

- A ty postrzegasz siebie jako Justina?

- A kogóż by innego?

Pełen napięcia głos Reida rozbrzmiewał w przesyconej deszczem nocy. Mężczyzna górował nad nią wzrostem, jego twarz znalazła się zaledwie o kilka

centymetrów od jej twarzy; poczuła ciepły oddech na policzku. Owiął ją bijący od niego podniecający zapach: mieszanina świeżego nocnego powietrza, powiewu wody po goleniu przypominającej aromatyczne drewno, a nade wszystko woni jego ciepłej męskości i pewnej dzikości charakteryzującej jego gwałtowność.

Mięśnie brzucha miał napięte; mocne bicepsy wyglądały jak supły. Wziął oddech, wydając miękki, świszający dźwięk. Całkowicie nad sobą panował.

Nad nimi w wierzchołkach drzew szeptał wiatr. Krople deszczu z szelestem spadały na liście i poncho, którym byli okryci. Iskrzyły się w jego włosach i ciepłym strumieniem ściekały na jej czoło; ich dotknięcie było jak pieszczota.

Cammie jasno zdawała sobie sprawę, że jeżeli się poruszy, odetchnie głębiej lub zamruga, on natychmiast się pochyli i ucałuje jej usta. Co więcej, wiedziała, że gdyby objęła go za szyję lub lekko rozchyliła nogi, najprawdopodobniej wzięłby ją tam, gdzie tkwili - w gnieździe usłanym z mokrych liści.

Ogarnęła ją nagle niesprecyzowana, lecz nieodparta chęć, żeby się poruszyć, przesunąć, przylgnąć do niego lubieżnie. Pokusa była tak silna, że aż ją przeraziła. Wstrzymała oddech.

Gdzieś za nimi z głuchym trzaskiem złamał się uschnięty, ciężki od deszczu konar.

Reidem wstrząsnął dreszcz. Cicho zaklął, wyprostował się i gwałtownie od niej odsunął. Zręcznie się poderwał i podniósł także Cammie. Ściągnął z ramion poncho i zawinął ciasno nad jej piersiami.

- Lepiej chodźmy - rzekł matowym głosem - zanim po raz drugi zrobię coś, czego oboje będziemy żałować.

Szybko i pewnie kroczyli przez las. Towarzysz Cammie nigdy się nie wahał, rzadko zwalniał kroku, ani razu się nie zatrzymał, chyba tylko po to, żeby pomóc jej przejść przez zwalony pień, pod nisko

wiszącymi konarami lub przeskoczyć rzeczkę. Widać było, że w lesie czuje się jak u siebie w domu. Poruszał się w nim tak łatwo, jakby spacerował po salonie.

Poncho spowijające Gammie było tak długie, że niemal ciągnęło się po ziemi. Parę razy nawet się o nie poślizgnęła, zebrała więc ręką nadmiar materiału. Reid Sayers zawsze zdążył ją złapać, zupełnie jakby widział w ciemnościach albo szóstym zmysłem przewidywał jej potknięcie. Chwytał ją za rękę i natychmiast puszczał.

Kiedy tak szedł obok, Cammie czuła się skrępowana jego obecnością. W głębi duszy chciała się potknąć i była zawiedziona, że tylko lekko ją podtrzymawał i zaraz się wycofywał. Broniła się przed takimi chęciami, chciałyby mieć dla niego jedynie zwykłą wdzięczność za przyjsie jej z pomocą. Niezwykle ją to denerwowało.

Bardzo dawno temu Cammie marzyła o Reidzie Sayersie. Były to śmiałe marzenia, skrywające wielką namiętność. Często z daleka mu się przyglądała. Wszystko jej się w nim podobało: jasnoblond włosy, skłonność do śmiechu i zmarszczki wokół błękitnych oczu. Zachwycał ją sposób, w jaki się poruszał, podziwiała grę mięśni pod opaloną skórą na rękach i ramionach. Lubiła także patrzeć na silne nogi widoczne w krótkich, obciętych dżinsach.

Był jakieś trzy lata starszy, lecz wyglądał dojrzałej niż chłopcy, z którymi umawiała się do kina, na ślizgawkę lub jeździła na wycieczki. Sprawiał na niej wrażenie wyrafinowanego i doświadczonego mężczyzny. A nade wszystko miał w sobie nieodparty urok zakazanego owocu.

Niekiedy w swoich marzeniach, niczym w starej bajce, widziała siebie i Reida jako dwie gwiazdy na bezchmurnym niebie. Wyobrażała sobie, iż pewnego dnia spotkają się i od razu będą wiedzieli, że są sobie przeznaczeni. Pobiorą się, kładąc kres waśniom między obiema rodzinami, trwającym prawie sto lat. Ot, takie niemądre fantazje.

Stało się jednak inaczej, niż to sobie wyobrażała. Pewnego dnia pływała w jeziorze niedaleko przystani i letniego domu Greenleyów. Obok domu stał Reid z przyjaciółmi. Dobrze to zapamiętała. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy Reid wypłynął na powierzchnię tuż obok niej, a właściwie płynął prawie na niej, tak że dotykali się nosami, a nogami ocierali się o siebie w łagodnym nurcie jeziora.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknęła przestraszona.

- Zobaczyłem cię i nie mogłem opanować chęci, żeby się do ciebie zbliżyć - odpowiedział po prostu.

Delikatnie objął ją ramionami. Słońce niczym płynne złoto odbijało się w jego włosach; schylił się, musnął krople wody na jej powiekach i scałował; ciepłe i słodkie usta pieściły, szukały, pytały...

Kierowana silnym i naturalnym impulsem, podpłynęła do niego. Ciała ich wtopiły się w siebie jak dwie rzeźby wykonane przez mistrza pragnącego najdoskonalej wyrazić akt złączenia.

Z ust wyrwał mu się okrzyk zachwytu, jakby zobaczył ósmy cud świata. Ustami muskał aksamitną gładkość jej ramion, łagodny kontur oraz subtelne i niewinne kąciki jej ust. Smakował je i czule pieścił. Chciał spleść się z jej ruchomym, przyzwalającym językiem. Znalazł go i delikatnie zaczął ssać. Odruchowo dotknął jej piersi ukrytych pod mokrym kostiumem kąpielowym. Z największą ostrożnością, jakby obejmował nadzwyczaj cenny przedmiot, palcami wyczuł kragłość idealnie pasującą do jego dłoni.

Czyste, niczym nie hamowane pożądanie przeszło ją jak błyskawica. Była nie przygotowana na przeżycie tak mocnego wstrząsu. W tej samej chwili poczuła jego z trudem opanowywane podniecenie.

Przeżona odsunęła się od Reida, ogarnął ją nagły, bezsensowny strach. Zaprotestowała głośno, chociaż ze zdenerwowania ani w tym momencie, ani później nie



pamiętała, co mu powiedziała. Obróciła się w wodzie i szybko dopłynęła do przystani. Wygramoliwszy się po drabince na brzeg, biegła, jakby goniła ją gromada diabłów.

Rodzice przyjmowali gości, zaproszonych na drinka, od północnej, zasłoniętej strony domku kempingowego. Gammie udało się niezauważenie wślizgnąć od wschodniej strony. W pokoju zerwała z siebie mokry kostium i owinęła się ręcznikiem. Rzuciła się na łóżko, płacząc rozpaczliwie z upokorzenia, oszołomienia i rozdzierającej rozpacz. Nienawidziła siebie za brak doświadczenia. Nie mogła znieść myśli, co Reid o niej sądził, kiedy uciekała. Nienawidziła go również za to, że przez niego straciła panowanie nad sobą. Przed wszystkim zaś nienawidziła go za zrujnowanie jej marzeń.

Reid wszystko pamiętał. Świadczyły o tym słowa, jakie wypowiedział w lesie. Dla niej nawet teraz wspomnienia tamtego dnia były mało przyjemne. Gdzieś tam, wewnątrz, wciąż tkwiło uczucie zakłopotania i upokorzenia.

Czy po tylu latach można żałować tamtego pocałunku? To było przecież tak dawno! Dlaczego się tym zadręcza? Przecież kierował nim najnormalniejszy odruch młodego mężczyzny w najlepszym okresie seksualnego życia. To ona sama niewiele znaczące wydarzenie zmieniła w tragedię.

Aż do dziś nie miała okazji przekonania się, co Reid wówczas odczuwał. Wkrótce po tym zdarzeniu wstąpił bowiem do komandosów. Był to oddział składający się z doborowych żołnierzy, których zadaniem było atakowanie oddziałów przeciwnika przed nadejściem głównych sił wojska. Krążyły również pogłoski, że wstąpił do CIA i brał udział w tajemniczych operacjach w Ameryce Środkowej i na Środkowym Wschodzie. Parę tygodni temu, po śmierci ojca, Reid wrócił do domu.

Camie pochłonięta rozmyślaniami o dawnych zdarzeniach nie zauważyła światła prześwitującego przez drzewa. Kiedy znalazła się bliżej, spostrzegła, że pochodzi z okien domu. Przystanęła, a deszcz padał na okrywające ją poncho.

Reid zatrzymał się także i spojrzał jej prosto w twarz.

- A gdzie jest mój samochód? - zapytała oskarżycielskim tonem.

- Tędy było bliżej! - rzucił z irytacją, jakby się spodziewał jej sprzeciwu.

- Nie mogę wejść do tego domu!

- Nie bądź śmieszna! Musisz zmienić ubranie i napić się czegoś gorącego. Obiecuję, że nie będę ci się naprzykrzał.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy - powiedziała głosem gniewnym, w którym pobrzmiwała nutka zakłopotania.

- Nie? Doprawdy zdumiewasz mnie! A więc dlaczego? To jest przecież zwyczajny dom i nic ci się nie stanie!

Ale dom nie był całkiem zwyczajny. W tym właśnie miejscu, jak wieść głosi, w ścianach domu zbudowanego z litego drewna, Lavinia Greenley została uwiedziona. I żaden z Greenleyów nigdy już nie przestąpił tego progu.

Dwupiętrowy budynek zakończony mansardą, w której znajdowały się sypialnie, miał kształt prostokąta i był zrobiony z pni młodych żółtych sosen; każdy miał ponad trzydzieści centymetrów grubości. Kominki w pokojach były wykonane z ręcznie wyrabianej cegły. Wysokie i wąskie okna można było zamknąć od wewnątrz solidnymi okiennicami. Z płaską fasadą i okapami, a także dobrze zabezpieczoną werandą, utrzymaną w północnym stylu, sprawiał wrażenie twierdzy, która odeprze każdy najazd i odstraszy każdego nieproszonego gościa.

Justin Sayers zbudował ten dom na początku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku. Żył w nim jak pustelnik ukryty za wysoką palisadą z okrągłych bali. Czas zniszczył ogrodzenie i choć rozebrano je wiele lat temu, mieszkańcy Greenley wciąż nazywali go fortem.

Każdy kłoc, jaki znalazł się w tym domu, pochodził z ziemi, którą Justin Sayers ukradł Lavinii Greenley, a każda deska była przycięta i wyheblowana w założonym przez niego tartaku odległym o kilka kilometrów.

Tartak przynosił ogromne zyski i w krótkim czasie Justin stał się bogatym człowiekiem. Kilka lat później, ale już na początku następnego wieku, Justin związał spółkę z niejakim Huttonem. Hutton pracował przedtem w papierni i znał technikę tego, dopiero rozwijającego się przemysłu. Z kolei Sayers dysponował ziemią, surowcem drzewnym, miał zaplecze i rozległe kontakty. Wspólnicy zakupili maszyny, zamknęli tartak i otworzyli fabrykę papieru.

Papiernia kierowana przez potomków Sayersów i Huttonów bardzo się rozwinęła i wciąż znajdowała się w tym samym miejscu, na skraju miasta. Obecnie Reid Sayers oraz mąż Gammie, Keith Hutton, i jego starszy brat, Gordon, byli wspólnikami. Ponieważ Reid odziedziczył po swoim pradziadku ziemię i większość kapitału, miał więc największy udział i decydujący głos w sprawach firmy.

Gammie spojrzała ukradkiem na stojącego obok niej potężnego mężczyznę w koszuli o barwach ochronnych i wypłowiających dżinsach. Przeniosła wzrok na jego twarz rozjaśnioną blaskiem światła bijącego z okien. Zwilżyła wargi.

- Czy mógłbyś mnie podwieźć do mojego samochodu? - zapytała.

- Natychmiast, kiedy się ogrzejesz i wysuszysz - odparł tonem łagodnej perswazji. - Obiecuję.

Potrząsnęła głową.

- Lepiej już pójdę. Nic *mi* nie będzie. Naprawdę.

Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się w milczeniu. Deszcz pozlepiał mu włosy i ściekał po twarzy aż na szyję. Głęboko odetchnął, podniósł ramiona, jakby tym gestem rzekał się odpowiedzialności, po czym szybkim ruchem podłożył jedną rękę pod jej kolana, drugą zaś pod plecy. Podniósł Gammie wysoko, przycisnął do piersi i ruszył w stronę domu.

- Nie! - krzyknęła, lecz było już za późno.

Szamotała się i wrywała. Objął ją jednak tak mocno, że nie mogła złapać tchu. Twarz kobiety przycisnął do swojej szyi, aż poczęła się dusić. Palcami wpijał się w jej ciało. I wtedy sobie przypomniała, jak delikatnie obchodził się z nią wcześniej, kiedy przechodzili pod drzewami.

Przestała walczyć i zrelaksowała się; nic więcej nie mogła zrobić. Stopniowo jego uścisk zelżał.

Reid pchnął wewnętrzne drzwi z tyłu domu i przeszedł przez kuchnię wykładaną boazerią, minął szeroki hol i doszedł do wiejskich, solidnie wykonanych schodów. Kiedy przystanął na chwilę, powiedziała:

- Jeżeli myślisz, że twoje brutalne zachowanie zrobiło na mnie wrażenie, to mnie źle oceniasz. Cenię w mężczyźnie delikatność i zdecydowanie, no i wolę tych, którzy najpierw pytają, a potem przystępują do działania.

- Czy sama się rozbierzesz? - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Czy mam cię w tym wyręczyć? Zauważ, że pytam, chociaż mógłbym sam to zrobić.

Gammie gorączkowo szukała w myślach jakichś uszczypliwych słów.

- Także wbrew twoim najgorszym skłonnościom? - zapytała. - Teraz ja jestem zdumiona!

- Jeszcze nigdy w życiu nie zmusiłem do niczego kobiety, ale wszystko ma swój początek - odparł szorstko.

- O tak! - odparowała. - Wówczas mógłbyś znów znęcać się nad dziećmi i zwierzętami. To by ci się podobało!

Słowa Cammie wstrząsnęły nim, odczuł je niczym smagnięcie batem. Gdyby nie trzymała się jedną ręką za jego szyję, a drugą za kieszeń koszuli, z pewnością upadłaby na ziemię. Piekący ból przeszył ją aż po kolana, gdy uderzyła stopami o schody. Zachwiała się, lecz udało jej się złapać równowagę. Reid odwrócił się do niej plecami.

Spojrzenie miał pozornie obojętne, jakby zwrócone do wewnątrz, jakby tam właśnie rozgrywał się jakiś dramat jemu tylko wiadomy. Opalenizna wyglądała jak plama, ponieważ cała krew odpłynęła z twarzy. Wokół ust pojawiły się białe bruzdy. Odezwał się zmienionym głosem:

- Łazienka jest na górze, szlafrok wisi za drzwiami. Kiedy będziesz gotowa, zejdź na dół.

Ich oczy spotkały się na krótką, przejmującą chwilę, po czym Reid wykręcił się na pięcie i odszedł w kierunku kuchni.

Była to szybka i zdecydowana ucieczka. Cammie tak długo patrzyła za nim, aż zapiekły ją oczy i zdrętwiały palce ściskające poręcz.

Chciała go zranić i to jej się udało, chociaż nie wiedziała, jak głęboko. Jednego była pewna: cios trafił w cel jak nóż wbity prosto w serce. W jego oczach dostrzegła tak ogromną udrękę, że na samo wspomnienie zrobiło jej się niedobrze.

Nigdy więcej nie chciałyby zobaczyć takiego spojrzenia.

## — II —

Mocny zapach świeżo parzonej kawy unosił się w całej kuchni; zrobiło się w niej również nieco cieplej. Na wypolerowanym, przez lata używanym stole znajdowały się dwa deserowe talerzyki ze sporymi kawałkami placaka, obok leżały widelczyki i serwetki. Na środku stołu stały cukiernica, dzbanuszek ze śmietanką, a także butelka courvoisier.

Reid siedział przy stole, wpatrując się w zaciśnięte dłonie. Cammie się wydało, że ściemniały mu włosy; wrażenie to jednak było pozorne, bo włosy jeszcze nie wyschły. Nie mógł wziąć prysznicą, ponieważ Cammie zajęła łazienkę. Musiał poczekać. Przebrał się w miękką, wypłowiałą domową koszulę i jasnoniebieskie dżinsy. Jego oczy przybrały kolor nieoszlifowanego turkusa; spojrzenie miał twarde i nieprzeniknione.

Kiedy Cammie weszła do kuchni, Reid wyjął z szafki dwa metalowe kubki i nalał kawy. Postawił przed nią kubek i sięgnął po brandy.

- Nie będę piła, dziękuję - rzekła pośpiesznie.

- Proszę, nie zaczynaj wszystkiego od początku - powiedział, *nie* patrząc na *nią* i nie przerywając nalewania. W głosie wyczuła zniecierpliwienie.

Siedziała więc bez słowa, gdy on wlewał do kawy sporą porcję koniaku.

Głupio byłoby zacząć pić, nie czekając, aż on usiądzie. Zagryzła górną wargę.

- Przepraszam, że cię zdenerwowałam. To taki mój zwyczaj: prędzej coś powiem, niż pomyślę.

- Zawsze taka byłaś - odparł z kwaśną miną, zajmując miejsce. - Kiedy miałaś szesnaście lat, już potrafiłaś dopiec do żywego.

- Niewiele pamiętam z tamtych dni. - Na tę oczywistą półprawdę rumieniec zabarwił jej policzki.

Spojrzał jej prosto w oczy, w których migotały wesołe iskierki.

- Naprawdę nie pamiętasz? Mógłbym przytoczyć twoje słowa, ale na szczęście większość udało mi się wymazać z pamięci. Obraziłaś moich przodków, nazwałaś mnie zarozumiałym osłem, powiedziałaś, że cię oblińnięm i że mam nieprzyjemny oddech.

- Nie powiedziałaś tego! - zaprotestowała ostro.

- Powiedziałaś - rzekł stanowczo. - Mówiłaś również, że jeżeli cię jeszcze kiedykolwiek dotknę, będziesz krzyczała: „morderca!” albo się rozchorujesz.

Gammie popatrzyła na kubek. Podniosła go lekko drżącymi rękami.

- Zaskoczyłeś mnie!

- Ty mnie również zaskoczyłaś. Przysięgałem sobie, że się to już nigdy nie zdarzy. Może dlatego byłem trochę szorstki.

- Rozumiem: rodzaj samoobrony.

- Już raz wstąpiłem do wojska, aby się stąd wyrwać, a raczej uciec od ciebie. Okazało się to jednak nieskuteczne. Wolałbym tego więcej nie robić.

- Żartujesz, prawda? - spytała, szeroko otwierając oczy.

- Czyżby? - Spojrzeniem zatrzymał jej wzrok.

Myśl o tym, jak bardzo mogła wpłynąć na jego życie, zaniepokoiła ją. Odetchnęła głęboko.

- Jeżeli oczekujesz, że znów cię przeproszę, zwłaszcza o tak późnej porze, to uprzedzam, że się rozczarujesz. Zbyt szybko wtargnąłeś w moje życie.

- I dostałem to, na co zasłużyłem. Niech tak będzie! Mam inne powody, żeby wyjechać z Greenley i żaden z nich się nie liczy. - Podniósł do ust kubek i upił trochę kawy. Jego oczy zaiskrzyły za długimi złotobrazowymi rzęsami.

Dla niej jednak słowa Reida były niezwykle ważne. Nie chciała go naciskać, zwłaszcza po kategorycznym oświadczeniu, jakie wygłosił. Upiła spory łyk kawy i aż się wstrząsnęła, kiedy poczuła ostry smak koniaku. Odczuła ciepło rozgrzewające wnętrza. Upiła jeszcze jeden łyk.

- Czy inne powody mają coś wspólnego z papiernią? - zapytała.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Nie sądzę, żeby to było tajemnicą, iż nigdy nie chciałem tam pracować.

- Co będzie teraz, po śmierci twojego ojca? Czy zajmiesz jego miejsce?

- Tak wszyscy uważają.

- Nie wszyscy! Keith miał nadzieję, że nie wrócisz - odparła oschle. - Czy wiesz, że został asystentem dyrektora, a jego brat jest dyrektorem?

Reid pokiwał głową.

- Gordon nie mówił, że obaj chcą zostać w papierni.

- Nie powiedziała by. Brat Keitha jest złym dyplomata.

- Sprytnie...

- jest dobrym biznesmenem - przyznała niechętnie. - Myślę, że czeka na twoją decyzję.

Cammie nigdy nie interesowała się Gordonem Huttonem. Brat męża uważał, że jego żona, którą traktował z góry, jest pod wieloma względami doskonała, i wielokrotnie pouczał Keitha, jak ma postępować z Cammie, by stała się do niej podobna. W sytuacjach kiedy Cammie była szczerą i mówiła bez ogródek, odnosiła wrażenie, że Gordon z trudem się powstrzymuje od powiedzenia, co o niej myśli.



- Keith był dobrym chłopcem - zauważył Reid. - Ale to było dawno, kiedy grywaliśmy w piłkę nożną. Lizbeth pisała mi o waszym małżeństwie. I o tym, że jesteście w separacji.

Ocenił Keitha wielkodusznie. Cammie dobrze pamiętała te mecze. Jej mąż grał jako obrońca, a Reid jako rozgrywający. Keith był szybki, zręczny i niesłuchanie sprytny w przywłaszczaniu sobie cudzej chwały.

- Lizbeth? - spytała głosem pozornie obojętnym.

Reid wskazał placek, którego żadne z nich nie spróbowało.

- Od trzydziestu lat pracuje w rodzinie Sayersów jako kucharka i gospodyni. Po śmierci mojej matki stała się najbliższą dla mnie osobą. Informowała mnie o wszystkim, co się działo w Greenley, o czym warto było wiedzieć.

Cammie wiedziała, o kim mówi. Widywała ją czasami w mieście. Lizbeth była posagową Murzynką o długich czarnych włosach upiętych wokół głowy. Jej skóra miała odcień złototytoniowy; *ten* odcień brązu Murzyni nazywają jasnym. Zerknęła na Reida i zauważyła, że ją bacznie obserwuje.

Odwrocił wzrok i palcami pocierał ucho kubka.

- I co się stało? - zapytał, nie zdradzając zainteresowania.

- Z moim małżeństwem? - Słaby ironiczny uśmiešek pokazał się na jej pełnych wargach. - To była pomyłka od samego początku. Kiedy byłam na ostatnim roku w college'u, wszyscy uważali nas za idealną parę. Pewnego dnia podarował mi pierścionek, a ja nie znalazłam żadnego usprawiedliwienia, żeby go nie przyjąć. Potem pamiętam tylko, że wytrząsałam ryż z włosów i łykałam pigułki antykoncepcyjne.

Rzuciła szybkie spojrzenie na Reida, lecz wyraz jego twarzy pozostał nie zmieniony. Za tą historią kryło się o wiele więcej. Czasami miała uczucie, jakby latami

pograżała się w otchłani zapomnienia, czekając, aż rozpocznie prawdziwe życie. Małżeństwo z Keithem było kiepską próbą startu; nie układało się między nimi, ale nie była to wyłącznie wina Keitha.

- Później zrozumiałam - ciągnęła - że oczekiwano ode mnie, iż będę się trzymała w cieniu, by mnie nigdy nie widziano i nie słyszano.

- Oczywiście nie zgodziłaś się na to - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Nasze kłótnie stały się miejscową legendą. Keith ma grubszą skórę niż ty. - Nie miała zamiaru poruszać tej sprawy. „Widocznie alkohol rozwiązał mi język” - pomyślała, i chcąc naprawić swój błąd, spytała: - A ty? Jak to się stało, że się nie ożeniłeś?

Poruszył ramionami, chcąc rozluźnić napięte mięśnie szyi.

- Byłem żonaty. Ożeniłem się w Kolorado zaraz po wyjściu z wojska. Małżeństwo trwało dokładnie jeden miesiąc.

- Cały miesiąc?

Z ponurym uśmiechem przyjął ironiczną uwagę.

- Próbowałem ją przestrzec, że szkolenie komandosów, jakie przeszedłem, miało na celu odczłowieczenie nas, zamienienie w kierujące się instynktem dzikie bestie. Tacy mieli być zwłaszcza komandosi działający w Ameryce Środkowej i na Karaibach. Ona uważała, że potrafi to wszystko zmienić. Byliśmy małżeństwem od dwóch tygodni. Właśnie goliłem się w łazience elektryczną golarką, kiedy weszła i stanęła za mną. Nie słyszałem jej. Objęła mnie rękami za gardło, a we mnie odezwał się instynkt. Spędziła dwa tygodnie w szpitalu: to był cud, że nie umarła. W dniu, w którym wyszła ze szpitala, wszczęła postępowanie rozwodowe.

- To straszne! - powiedziała wolno. - Mam na myśli ciebie.

- Dla niej też nie było zbyt miłe.

- Nigdy więcej nie próbowałeś?

Spojrzał na nią poważnie.

- Nie nadaję się na męża dla żadnej kobiety. Mój dom to prawie ruina.

Przez chwilę wyobraziła sobie, jak widzą go inne kobiety: wyraziste rysy, szerokie czoło i zdecydowany rysunek ust; prosty nos z małym garbkiem jak po złamaniu; szczupłe policzki i broda z zarostem w kolorze starego złota; na jednej brwi widoczna niewielka szrama; ręce duże, opalone, o szlachetnym kształcie, i czyste, krótko obcięte paznokcie. Zachowanie zdradzało ogromną pewność siebie. Oczy patrzyły pewnie, co prawda czasami krył się w nich ból i autoironia. Z całą pewnością nie były to oczy dzikiej bestii.

- Myślę, że nie doceniasz siebie - powiedziała.

- Mylisz się!

Jego słowa zabrzmiały stanowczo, jednak wyczuła w nich nutkę skrywanej łagodności. Czyżby to było ostrzeżenie? Jeżeli tak, to nie miało z nią nic wspólnego.

- Chyba nie powiedziałaś mi całej prawdy o twoim małżeństwie. Jak się skończyło? - Wdzięcznie przechyliła głowę. - Musiało się jeszcze coś wydarzyć.

Wstał tak gwałtownie, że krzesło poślizgnęło się na wyfroterowanym linoleum.

- Dokończ kawę! Zawiozę cię do domu.

- Chyba do mojego samochodu - zauważyła, spuszczać oczy i zdając sobie sprawę, że się czerwieni. Nie była przyzwyczajona, żeby ją ktoś w taki sposób odprawiał, chociaż być może na to zasłużyła. Przez chwilę zapomniała, z kim ma do czynienia.

- Powiedziałem, że zawiozę cię do domu - powtórzył. Spojrzała na niego pytająco, lecz on podszedł do szafki, wziął portfel oraz swoje i jej kluczyki, po czym rzucił to wszystko na stół. - Byłem w lesie, żeby sprawdzić, co się dzieje z Keithem, i chciałem przywodzić twój samochód. Niestety, ktoś przeciął opony.

Myśl, że wędrował przez las w zimnym deszczu tylko po to, by zaoszczędzić jej kłopotu, przepełniła ją dziwnym uczuciem. Stłumiła je jednak i tonem pełnym pogardy powiedziała:

- To na pewno był Keith.

Reid przytaknął i wypił resztkę kawy.

- Widziałem jego ślady. Sądzę, że nie jest zachwycony rozwodem.

- Można to tak określić - rzekła i opowiedziała mu w skrócie, jak ją gonił.

- Ktoś powinien z nim porozmawiać - Reid starał się ukryć zdenerwowanie.

Cammie spojrzała na niego uważnie. Jego twarz znajdowała się w cieniu i trudno było odgadnąć, jakie ma zamiary i co myśli.

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne - odparła.

Zdobył się na wymuszony uśmiech, ale nie powiedział ani słowa.

W garażu w Forcie stały dwa samochody: džip cherokee i lincoln. Ponieważ musieli przejechać kawał błotnistej drogi, Reid wyprowadził z garażu džipa.

Cammie sztywno siedziała obok niego i bezustannie obciągała wypłowiałą jasnoniebieską bluzę. Bezskutecznie usiłowała przykryć kolana flanelową koszulą. Zapewne pozostała mu z czasów szkolnych, tak była krótka i znoszona. Cammie miała dziwne wrażenie, że to był ulubiony strój Reida i że zabierał go ze sobą wszędzie, gdzie jechał.

Trochę się niepokoiła, co ludzie powiedzą, kiedy ją zobaczą w takim stroju. Dostarczy plotkarzom dobrego tematu. Wolała jednak być tak ubrana niż mieć na sobie wilgotną bieliznę i mokre dżinsy. A poza tym, jeśli nawet nie da ludziom okazji do plotek, to i tak sami coś gorszego wymyślą.

W czasie krótkiej jazdy Cammie i Reid niewiele rozmawiali. W tej milczącej ciszy bębnienie deszczu

o dach dżipa i szmer przesuwających się wycieraczek brzmiały niezwykle głośno. Reid spojrzął na dziewczynę, potem przed siebie na drogę i znowu na nią. Światła tablicy rozdzielczej rzucały zielony blask na jego twarz. Oczami pozostającymi w cieniu spoczął na rozrzuconych włosach Cammie sięgających aż do piersi, przylgniętych do miękkiej flanelowej koszuli, która znów zsunęła się z kolan. Kiedy podniósł wzrok, ich spojrzenia się spotkały przez szerokość siedzenia, które ich dzieliło.

Cammie zrobiło się gorąco jak pod wpływem najintymniejszej pieśczoły. Chciała odwrócić wzrok, lecz nie mogła; jej oczy dostały się w jakąś niewidzialną pułapkę. Nigdy w życiu nie była tak świadoma mężczyzny, jego potężnej postaci, siły jego ciała. Było w nim coś nierealnego, a jednocześnie tak trwałego jak wzgórze porośnięte sosnami. Był w nim także jakiś wewnętrzny nieprzenikniony opór; bariera, która mogła stanowić ochronę albo zasadzkę dla nieostrożnych.

Pomyślała, że pewnie miał rację, mówiąc, że jest w nim coś zwierzęcego. Jak u rzadkiej ciemnej pумы, zwanej bagienną, i w nim kryły się nieposkromione i niebezpieczne cechy. A jednak ona jego się nie obawiała. Czuła, jak zaczyna krew szybciej krążyć w jej żyłach. Opanowała ją nieprzeparta chęć sprawdzenia, czy jeśli zbliży się do niego, to ją zaatakuje, czy też pozwoli, by dzieliła z nim jego dzikość.

Gwałtownie odwróciła głowę i wpatrzyła się w ciemność. Niecierpliwie czekała, aż przycichnie w niej szaleństwo.

Dom, w którym mieszkała Cammie, był ciemny, cichy i starszy od Fortu o kilka dziesiątków lat. W księgach miejskich został zapisany jako Evergreen, jednak większość ludzi nazywała go Greenley. Architektura budynku była typowo georgiańska: dom miał dwa piętra, z głównym wejściem oświetlonym wachlarzowato i równo rozmieszczonymi oknami. Styl

górnego i dolnego ganku był żywcem przeniesiony z budynków wznoszonych przez luizjariskich plantatorów przed wojną domową. Mimo że przez te wszystkie lata wielokrotnie go przebudowywano i modernizowano, zachował przyjemny wygląd siedziby z tamtych spokojniejszych lat.

W czasach swojej świetności, przypadającej na okres przedwojenny, miejsce to otaczało kilka tysięcy akrów plantacji bawełny. Odleglejsze tereny zostały wchłonięte przez las, bliższe zaś pola, wraz z drogą wzdłuż domu, zostały sprzedane bądź na spłaty hipoteczne, bądź dla uzyskania gotówki. Wokół domu zostawiono niecałe osiem akrów. Według Cammie było to i tak za dużo, zwłaszcza w lecie, kiedy należało kosić trawę i przystrzygać żywopłot.

Keith nie znosił mieszkania w starym dworze w Greenley. Mówił, że są w nim przeciągi i pachnie stęchlizną. Poza tym narzekał, że stale trzeba coś naprawiać. Chciał sprzedać dom i wybudować coś nowoczesnego, wygodnego, z wielkimi oknami i pomostami otwartymi na jezioro na wschód od miasta.

Cammie sprzeciwiła się temu. Po śmierci rodziców odziedziczyła Evergreen i bardzo je kochała. Co do napraw musiała mu przyznać rację; dom przypominał pompę, która ssała pieniądze. Jednakże te obszerne pokoje, stare meble stojące tam od wielu pokoleń i przede wszystkim ogród, w którym rosły ogromne krzewy, sadzone przez dawno nieżyjące kobiety z rodziny Greenleyów - stanowiły dla Cammie źródło nieustającej radości. Nie wyobrażała sobie życia gdzie indziej.

Reid szybko poprowadził ją do tylnych drzwi. Cammie kątem oka dostrzegła w jego spojrzeniu wyraz uznania dla wyłaniającego się domu. Zastanawiała się, czy porównywał go z Fortem.

Kiedy zbliżali się do schodów prowadzących na ganek, zauważyła, że Reid przeczesał wzrokiem ciemność

za domem i dalej aż za światłem bezpieczeństwa zainstalowanym na końcu podjazdu. Ona również wyteżała wzrok, ale w ciemności i w wirującej deszczowej mgłę nie widziała niczego. Nie miała wątpliwości, że jego czujność była wynikiem przyzwyczajenia, jednym z instynktów, o których wspominał. Wpływało to na nią dziwnie uspokajająco.

Gdy znaleźli się na tylnej werandzie, odezwała się uprzejmie:

- Obawiam się, że nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za pomoc, jakiej mi udzieliłeś dziś wieczorem. Chcę, byś wiedział, że to doceniam.

- Było mi bardzo przyjemnie - odparł równie grzecznie.

Uśmiechnęła się sztucznie.

- Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

W chwili gdy się odwracała, wyciągnęła rękę i złapała ją za ramię. Zmarszczył czoło. Zesztywniała i pytająco uniosła brwi. Głową wskazał ciemny kąt ogrodu.

- Tam jest Keith. Obserwuje cię.

- Chcesz powiedzieć, że on jest tam, teraz? - Szybko spojrzała przez ramię.

Reid przytaknął.

- Jego ukryty za kościołem landrover stoi jakieś osiemset metrów stąd. Widziałem go, kiedy przejeżdżaliśmy. W tej chwili jest jakieś pięćdziesiąt metrów na prawo, z tyłu za krzewami kamelii.

Wyobrażenie sobie Keitha czającego się w krzakach, szpiegującego ją i szukającego sposobu, by ponownie wślizgnąć się w jej życie, rozgniewało ją i trochę przstraszyło.

- Nie wierzę - zaoponowała, lecz w głosie słychać było napięcie.

- Zdaje się, że szeryf Deerfield jest twoim kuzynem. Może powinnaś do niego zadzwonić - zasugerował Reid, choć bez większego entuzjazmu.

Cammie również się ten pomysł nie podobał. Jeżeli do niego zadzwoni, jutro rano będzie wiedziało o tym całe miasto. Na domiar złego Keith we własnej obronie może podać fałszywą wersję nocnych wydarzeń. Trudno powiedzieć, jaka niesamowita opowieść może powstać, kiedy dwie wersje zdarzeń obiegają osadę.

Potrząsnęła głową.

- Może to nie będzie konieczne. W każdym razie nie wyobrażam sobie, jakie kroki mógłby podjąć szeryf lub ktokolwiek inny, skoro Keith tylko mi groził.

- Jeżeli chcesz go powstrzymać, to nie możesz tego lekceważyć.

- Musi być jakieś inne wyjście - odparła zmartwiona.

Popatrzył na nią badawczo.

- Są tylko dwa wyjścia: albo będziesz walczyć, albo się poddasz.

- Pamiętasz, że próbowałam postraszyć go rewolwerem? - zauważyła złośliwie.

- Okazywanie pomocy to błąd, ponieważ wiadomo było, że nie będziesz tego kontynuować. Jeżeli nie wezwiesz policji, pozostaje ci jedynie postępować przewrotnie.

- Mam go zwodzić? To miałeś na myśli? Pozwolić mu uwierzyć, że wrócę do niego, dopóki nie dostanę rozwodu?

- Chciałem jutro zaprosić twojego kuzyna na obiad i prosić, by przyjechał wozem patrolowym - odparł z zatroskaną miną. - Albo żeby przywiózł do domu parę dobermanów lub wynajął pokój dla instruktora walki tae kwan.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała wolno, zaniepokojona wzbierającym w niej podnieceniem.

- Na przykład jaki?

Natychmiast, nie myśląc o konsekwencjach, jakie mogą wynikać, powzięła stanowcze postanowienie. Podeszła do Reida, wspięła się na palce i zarzuciła mu



ręce na szyję. Szeroko otwarte oczy miały wyraz błagalny, wargi jej lekko drżały, kiedy wyszeptwała: „pocałuj mnie!”

Od razu się zorientował. Moment osłupienia był prawie niezauważalny. Szybko się pochylił i wziął ją w ramiona. Przycisnęła usta do jego ust i przyłgnęła do niego tak mocno, że piersi oparły się o jego tors, a biodra przyłgnęły do napęczniałego członka.

Reid oddychał nierówno. Objął ją jeszcze mocniej, przejmując inicjatywę.

Wargi Cammie rozchyliły się pod naporem jego pocałunku. Przeniknęła ją rozkosz, a każde miejsce, w którym stykały się ich ciała, ogarnął żar. Puls walił w oszalałym tempie. Fale żądzy przepływały przez jej ciało. Z niezwykłym wdziękiem przyjmowała śmiałe i namiętne ruchy jego języka w swoich ustach.

Czuła się zagubiona w odbieraniu tych zapomnianych, a tak nagle odrodzonych doznań, o których myślała, że są jedynie wytworem fantazji. Nagły przypływ uczucia rozpierał jej serce aż do bólu. Delikatnie zatopiła palce w jedwabistych włosach Reida i mocniej objęła go za szyję.

Pogładził jej plecy pokryte miękką koszulą i opuścił rękę tam, gdzie zaczynała się krągłość bioder. Przez chwilę dłonią błędził po tym miejscu, jakby chciał je zapamiętać. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, aż poczuła gorącą twardość ciała mężczyzny. Wzięła w nim jednak górę subtelność, która nie pozwalała mu postąpić ani kroku dalej.

Z niesłychaną gwałtownością wrócił rozsądek, przyprowadzając ją o dreszcz. Parę godzin temu nawet sobie nie wyobrażała, że coś takiego może się zdarzyć. Nie mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Winą za to obarczyła przedziwne zdarzenia, jakie miały miejsce tego wieczoru, i nieostrożne odgrzebywanie przeszłości.

Ale to jeszcze nie wszystko. Uczciwie musiała sama przed sobą przyznać, że chodziło jej także o coś innego.

Chciała się przekonać raz na zawsze, czy to, co zdarzyło się między nimi dawno temu, było szczęśliwym trafem, czy głębokim, wstrząsającym przeżyciem. Było to uczucie przypominające chęć pogłaskania pantery.

Oddedech miała krótki, urywany. Nieco chropawym głosem zaczęła się tłumaczyć:

- Pomyślałam, że jeżeli uda mi się przekonać Keitha, iż w moim życiu jest inny mężczyzna, może zostawi mnie w spokoju.

- Zdaję sobie sprawę z mojej roli - odparł Reid miękkim, lekko drżącym tonem.

Widziała, że zrozumiał, ale chcąc mieć absolutną pewność, powiedziała:

- Dlatego, że ty nim jesteś, wszystko staje się bardziej wiarygodne. Keith boi się ciebie, chociaż nigdy w życiu by się do tego nie przyznał. Zawsze był o ciebie zazdrosny, a fakt, że możesz wrócić do papierni, pogarsza całą sprawę.

- Rozumiem.

Czuła, że opuszcza ją odwaga i ogarnia zakłopotanie. Trzymając się jej resztek, dodała szybko:

- Podstęp mógłby się jeszcze lepiej udać, gdybyś wszedł do domu. Żadnych zobowiązań, obiecuję! Wejdiesz tylko na chwilę.

W miarę mówienia uświadomiła sobie, że decyduje za niego. Fakt, że Reid nie był już żonaty, nie oznaczał, iż nie ma innej kobiety.

- Tylko na chwilę - powtórzył niemal mechanicznie.

Przełknęła te słowa. Skierowali się w stronę bocznego wejścia pod osłonę ganku. Ręce jej drżały, gdy wkładała klucz do zamka, ale miała nadzieję, że tego nie zauważył.

Kiedy weszli do domu, Cammie zapaliła światła, Reid zamknął drzwi na klucz. Odwróciła się i zobaczyła, że obserwuje ją uważnym, oceniającym wzrokiem, jaki czuła na sobie od początku. Reid odetchnął ciężko. Miał wrażenie, jakby ktoś włożył mu w ręce bombę,

która nagle eksplodowała. Wybuch wstrząsnął nim do głębi, pozbawił rozumu i siły i przemienił wewnętrznosci w gorącą maź. Nie był nawet pewny, czy przeżył ten wybuch.

Wciąż nie mogąc zapanować nad głosem, powiedział:

- Jesteś pełna niespodzianek...
- Nie chciałam tego.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, zakreśliła się i ruszyła do salonu na końcu holu ciągnącego się przez cały dom. Patrzył na jej lśniące brązowe włosy, opadające na ramiona, na jasną skórę na łydkach i lekkie kołtysanie bioder widoczne pod starą koszulą. Świadomość, że była pod nią naga, doprowadzała go do szaleństwa; był przeświadczony, że się nie myli, czuł to całym sobą. Wprawilo go to w oszołomienie, jeszcze nie dowierzał. Mocno potrząsnął głową, zanim za nią poszedł.

Skierowali się do przestronnej kuchni wyposażonej w białe szafki i wykładanej żółtymi kafelkami. Na oknach wychodzących na tył domu stało wiele doniczek z różnymi roślinami. Gdy Gammie zapaliła światło, Reid miał uczucie, że został odsłonięty, ponieważ kuchnia była znacznie większa, jaśniejsza i bardziej otwarta niż w Forcie. Niepodobieństwem jednak było, aby Keith mógł coś zobaczyć z zewnątrz, ponieważ pomieszczenie znajdowało się wysoko nad ziemią. Niemniej Reid zachowywał się ostrożnie.

Cammie odwróciła głowę i powiedziała:

- Ponieważ zajęłam ci tyle czasu, chciałabym ci zaproponować skromny obiad. Czy może być stek z sałatą?

- Doskonale! - odparł przez zaciśnięte zęby.

„Prawdopodobnie chce się czymś zająć - pomyślał - aby stworzyć pozory normalnej sytuacji”. Wszedł dalej, oparł się o szafkę kuchenną i włożył ręce do kieszeni.

Dziewczyna kręciła się tam i z powrotem. Z zamrażarki wyjęła steki i włożyła do kuchenki mikrofalowej.

Potem poszukała w lodówce sałaty i pomidorów, brokułów i marchwi. Przyglądał się tej krzątaninie, myśląc, jakie to nierealne, że jest tutaj, w jej domu.

To zabawne, choć brzmi jak ponury żart, że historia z fabryką, a także opinia o jego paskudnej przeszłości z okresu, kiedy brał udział w tajnych misjach, przyczyniły się do tego, że mógł pomóc Gammie. Jednocześnie uważał, że to właśnie wydarzenia z przeszłości odepchną ją od niego. Spośród wszystkich emocji, jakie teraz przeżywał, najważniejsza była wdzięczność.

Minęło wiele czasu, odkąd miał kontakt z kobietą, z jakąkolwiek kobietą. Należały do istot zbyt kruchych i tak łatwo można je było skrzywdzić. Nie wierzył w siebie, już od bardzo dawna nie wierzył.

Cammie ulegała mu... Kiedy ich ciała się stykały, czuł, jak powoli ogarnia ją słodki żar, dotykał mocno bijącego pulsu w miękkim zagłębieniu szyi i smakował na jej języku słodki zapach pożądania. Uderzyła go myśl, że to po prostu cud.

Powinien wyjść. Nie miał co do tego wątpliwości. Jeżeli pozostanie, może to być niebezpieczne dla nich obojga. Gdyby skrzywdził właśnie ją, nigdy by sobie tego nie wybaczył.

Jednak nie mógł odejść. W każdym razie nie po tym, co zdarzyło się na ganku. Miał wobec niej dług wdzięczności. Tych kilka krótkich oddechów sprawiło, że przestał uważać się za pariasa, maszynę o zwierzęcych instynktach. Zrobiłby i zrobi wszystko, czego od niego zażąda, za cenę powrotu wiary w to, że jest normalnym człowiekiem.

Patrzył na nią, na sposób, w jaki przesuwały się jej włosy po ramieniu, na światło odbijające się w czerwonozłotych pasmach; przyglądał się lekkim bruzdom wokół ust i wiotkim ruchom talii, kiedy poruszała się po kuchni. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien tak jej się przyglądać, ale nie mógł się powstrzymać. Było

to silniejsze od niego. Gdyby o tym wiedziała, mogłaby nabrać do niego odrazy.

Jakieś zajęcie oderwałoby go od tych myśli.

- Co mam zrobić, żeby ci pomóc?

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, zdziwiona, że mężczyzna mówi takie rzeczy.

- Nic. Sama to zrobię.

Podszedł do niej i wziął marchew leżącą obok zlewu.

- Czy masz obierak do ziemniaków? - spytał spokojnie.

Sięgnęła do szuflady i podała mu przyrząd. Przyglądała mu się jak dziecku, które ma w ręczce ostry nóż, patrzyła, jak ścinał długie, cienkie jak papier obierzyny z marchwi. Zadowolona, widząc, że umie to robić, zajęła się myciem sałaty.

- Czy Keith nigdy nie pomaga w kuchni? - rzucił, nie przerywając obierania.

Wykrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu.

- Mamy gosposię, która przychodzi codziennie. Keith uważał, że płacąc jej pensję, daje dostateczny wkład w zajęcia domowe.

- Być może włączyłby się do pracy, gdyby urodziły się dzieci. Większość mężczyzn tak robi.

- Być może.

- Czy dlatego nie masz dzieci?

Od dawna nurtowało go to pytanie. Od lat co jakiś czas spodziewał się wiadomości, że Cammie została matką.

Zanim oderwała kawałek papierowego ręcznika, aby osuszyć sałatę, spojrzała na niego z niezadowoloną miną.

- Na początku Keith uważał, że powinniśmy poczekać; nie chciał być skępowany. Potem z całkiem innych powodów przyznałam mu rację.

Przeleciała mu przez głowę myśl, jak Cammie wyglądałaby w ciąży. Podejrzewał, że tak samo czarująco, a może nawet bardziej. Podobał mu się skłonny do

śmiechu kształt jej ust. Pomyślał, że długo mógłby patrzeć, jak marszczy brwi. Jej oczy wróżki mieniające się kolorami: błękitnym i zielonym, złotym i szarym, fascynowały go. Chciałby obserwować je z bliska, przykładając swój nos do jej nosa. Policzki miała lekko zapadnięte, a pod oczami cienie. Dobrze by jej zrobiło niewielkie przytucie i trochę więcej snu. Ale była piękna. Nie miał co do tego żadnej wątpliwości. Cięża z pewnością dodałaby jeszcze jej urody.

Położył starannie obraną marchew i wziął do ręki następną.

- Chciałem ci to wcześniej powiedzieć, ale jakoś nie miałem okazji. Jutro rano zmienią w warsztacie opony. Przyprawdzą samochód około dziewiątej. Czy będziesz o tej porze w domu?

- Nie ma potrzeby - odparła spłoszona. - Mogę posłać mechanika.

- Wolałbym sam tego dopilnować. Keith mógł ci zrobić jeszcze jedną niespodziankę.

W jej oczach pojawił się niepokój.

- Sugerujesz, że mógłby jeszcze bardziej uszkodzić samochód? Chyba nie mówisz tego poważnie?

- Doprawdy? - Nie był pewien, czy postąpił słusznie, ale chyba z pewnością się wymówił. - Kiedy zrobi się widno, będę mógł powiedzieć więcej. Na razie zostawię ci dzipa, gdybyś musiała rano wyjechać.

- A jak ty się dostaniesz do domu?

- Pójdę pieszo - odparł, wzruszając ramionami. - Przez las wcale nie jest daleko.

Zadzwoiła kuchenka mikrofalowa. Cammie wyjęła steki i wyłożyła je na półmisek, obok postawiła sos Worcestershire. Trzymając w ręce główkę czosnku, powiedziała:

- Jest jeszcze inne rozwiązanie.

Podniósł na nią oczy, zaniepokojony napięciem w jej głosie.

- Na przykład jakie?
- Mógłbyś tu spędzić noc.

Odłożył marchew i obierak, naprężył mięśnie ramion, a rękami oparł się o blat. Wykładzina była zimna, czuł to wyraźnie przez skórę, ale nic nie mogło zmniejszyć okropnego gorąca w mózgu. Odwracając powoli głowę w jej kierunku, miał wrażenie, że każda kosteczka karku trzeszczy i pęka z wielkiego napięcia.

- Co mam zrobić? - spytał głosem bezbarwnym.

Zwilżyła wargi końcem języka.

- Słyszałeś, co zaproponowałam?

Oczywiście, że słyszał. Ale odpowiedź sprawiała mu kłopot.

Deszcz znów zaczął padać. Mocno bijący puls Reida stanowił kontrpunkt do szumu na dworze.

- Naturalnie w jednej z wolnych sypialni - dodała prędko.

Odwrócił się i wpatrywał w swoje poblądłe oblicze odbijające się w oknie, za którym panowała całkowita ciemność.

- Nie mogę - odparł głucho.

- Dlaczego nie? Przecież chodzi tylko o jedną noc, a nie o związek na całe życie. Żadne zobowiązania nie wchodzi w grę.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- A więc jakie masz obiekcje? Chyba że... Rozumiem. - Odwróciła się do niego plecami.

- Wątpię, czy rozumiesz - wycedził powoli i głośniej, niż zamierzał. - Nie obawiam się, że będę wykorzystany - nie widzę w tym niczego niezwykłego. Miałbym nawet przyjemność w odegraniu roli buforu między tobą a Keithem, jeżeli tego chcesz. Nie obchodzą mnie również wścibscy sąsiedzi, jeśli i tobie jest to obojętne. Nie muszę również zaprzeczać, że to, o co prosisz, nie jest załagodzeniem waśni między naszymi rodami.

- No to o co ci chodzi? Czy jesteś lunatykiem? A może boisz się, że ogarnięta żądzą wczółgam się do twojego łóżka w środku nocy?

Roześmiał się krótko i hałaśliwie.

- To jest najmniejsze zmartwienie.

- A więc o co chodzi? - odwracając się od niego, powtórzyła pytanie.

- Założmy - powiedział, spoglądając na jej odbicie w pocętkowanej deszczem szybie - że cię skrzywdzę.

- Nie zrobiłbyś tego. Nie mógłbyś...

Biła z niej wielka pewność. Nie rozumiała go nawet po tym, co powiedział.

Zanim zdążyła wydać z siebie jakiś dźwięk, zanim zdążyła odgadnąć jego zamiary, objął ją ramionami w mocnym uścisku. Nie zranił jej, lecz Cammie nie mogła się ruszyć, nie zadając sobie bólu. Nawet gdyby uścisk nie był tak mocny, nie zdołałaby się uwolnić.

W tej krótkiej chwili, kiedy trzymał ją w objęciach, opadły go nieznane dotąd wątpliwości. Ta demonstracja - podejrzewał - daleka była od szlachetnych zamiarów. Ale każda wymówka była dobra, żeby poczuć, choćby przez moment, miękką delikatność jej ciała, ze świadomością, że tak nieuchronnie jest zdana na jego łaskę.

Lekko się poruszył i umieścił palce w delikatnym załamaniu jej szyi, tuż za uchem.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że uciskając te miejsca, mógłbym cię zabić w ciągu paru sekund i nie byłoby słychać żadnego dźwięku? - zapytał cicho.

- Wcale w to nie wątpię - odparła z pewnym wahaniem.

- A czy wiesz, że mógłbym z tobą zrobić, co zechcę, i żadna siła na tej boskiej zielonej ziemi nie mogłaby mnie powstrzymać?

Wzięła głęboki oddech i przez krótką chwilę rozszerzonymi źrenicami obserwowała jego twarz.



- Teraz widzę, że to jest możliwe - wyszeptła.
  - Zatem rozumiesz, dlaczego nie mogę zostać?
- Spojrzała na niego niemal ze złością.
- Jedno dobrze rozumiem: jeżeli mnie natychmiast nie puścisz, to cię kopnę tam, gdzie boli. Tak jak kopnęłam Keitha.

Nie mógł powstrzymać się od śmiechu, a chciał sprawić wrażenie mężczyzny szczególnie groźnego. Mogła go zranić tylko wówczas, kiedy by on na to pozwolił. Ale nie to było powodem jego rozbawienia, tylko jej jawny, nie liczący się z niczym opór.

Jeżeli istnieje kobieta, która mogłaby poskromić najgorsze tkwiące w nim instynkty czy brutalne postępowanie, to tą kobietą jest tylko ona.

Możliwe, że tak właśnie mogłoby się stać, choć wydało mu się to mało prawdopodobne.

### - III -

W kompletnej ciszy jedli steki z sałatą. Cammie zdawała sobie sprawę, że Reid ani nie przyjął jej propozycji, ani jej nie odrzucił; bała się powiedzieć coś, co mogłoby wpłynąć na jego decyzję.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że oczy utkwił jakieś trzydzieści centymetrów poniżej jej podbródka. Pasek sukni się rozwiązał, kołnierz obsunął, odsłaniając delikatny zarys piersi.

Pomyślała, że byłoby jej znacznie wygodniej, gdyby się przebrała, ale wypadłoby to może trochę niezręcznie.

Pozornie niedbałym gestem sięgnęła pod serwetkę leżącą na kolanach i ściągnęła brzegi sukni, ciasniej się nią otulając. Kiedy ponownie spojrzała na Reida, stwierdziła, że jest całkowicie pochłonięty stekiem, ale czubki uszu miał zaróżowione.

Przesunęła wzrok na jego ręce krojące kęs mięsa. Już wcześniej zwróciła na nie uwagę: były duże, silne i kształtne. Długie palce poznaczone były małymi białymi bliznami. Ruchy rąk świadczyły o precyzji i kontrolowanej sile. Pomyślała, że dobrze by było poczuć te ręce na swoim ciele.

Nie zdziwiła się, że ogarnął ją żar, napływający aż do dolnej części brzucha. Gwałtownie wciągnęła powietrze i sięgnęła po kieliszek burgunda. Pośpiesznie upiła duży łyk.

„Chyba postradałam zmysły albo coś niedobrze z moimi nerwami” - pomyślała. Nie umiała inaczej

wytłumaczyć tego, co zrobiła dziś wieczorem, poczynając od strzelania do Keitha. To nie mogła być ona, przecież takie postępowanie było do niej zupełnie niepodobne.

Łatwo byłoby całą winę zrzucić na męża, nie była jednak pewna, czy sama by to zaakceptowała. Miała wrażenie, że przekroczyła jakąś niewidzialną granicę. Teraz zaś prowadzi rozmowę i zachowuje się tak, jakby kierował nią prymitywny instynkt. Uczucie przerażające, choć i ożywcze zarazem. Może podobne do opisów Reida o jego niebezpiecznych skłonnościach. Myśl, że kieruje nią coś innego niż zwykły rozsądek, była dość kusząca.

Cammie wmawiała sobie, że wyolbrzymia całą sytuację. Ostatecznie niczego takiego nie zrobiła, ponad to że zaprosiła na noc mężczyznę, by ją chronił swoją obecnością. Z pewnością nie było w tym żadnej niezwykłości.

Tylko że nie był to jakiś tam sobie mężczyzna. To był Reid Sayers.

Cóż z tego, że mu się podobała? Nie była przecież nastolatką nie umiejącą zapanować nad nadmiarem hormonów. Jeśli Reid zdecyduje się zostać, swoją obecnością nie zakłóci jej snu.

Nawet gdyby tak się stało, nie widzi w tym nic złego. Ona będzie spała w swoim łóżku, a on w swoim. Ciało mężczyzny nie miało dla niej tajemnic ani wielkiego uroku. Jak duża może być różnica między dwoma mężczyznami?

Naprawdę jak duża? Właśnie!

Musi przestać o tym myśleć. Co będzie, to będzie.

Pozmywali naczynia i Cammie zostawiła pijącego kawę Reida w salonie, a sama wyszła na chwilę.

W błękitnej sypialni na górze, przeznaczonej zazwyczaj dla gości, szybko zmieniła pościel, w przylegającej do sypialni łazience powiesiła czyste ręczniki

i sprawdziła, czy jest mydło. Nie miała pewności, czy Reid skorzysta z tego wszystkiego...

Wymijając z szafki nową szczoteczkę do zębów, nagle znieruchomiała, bo jej się wydało, że słyszy odgłos zamykanych drzwi. Dźwięk był cichy, a ona dobrze znała głosy tego starego domu.

Czyżby Reid wyszedł? Nie wyobrażała sobie, że mógłby to zrobić bez pożegnania. Mimo wszystko wciąż był dla niej nieznanym mężczyzną.

Cammie znalazła go w południowym przytulnym pokoju, wyposażonym w wiklinowe meble obite materiałem w różowo-szare pasy; w wysokiej donicy z terakoty rósł ogromny filodendron, a parapet ozdabiały afrykańskie fiołki. To było jej ulubione miejsce. Większość czasu tu właśnie spędzała, czytając, szyjąc, szydełkując lub akwarelą malując kwiaty.

Stał przed szarym żyłkowanym, marmurowym kominkiem i z rękami wsuniętymi w tylne kieszenie dżinsów wpatrywał się w jej wiszący tam portret.

Zanim Cammie weszła do pokoju, przez uchylone drzwi obserwowała Reida. Wchodząc, rzuciła obojętnie:

- Został namalowany na podstawie fotografii; Keith zamówił go na piątą rocznicę naszego ślubu. Jest może za bardzo w stylu „dziedziczki dworu”, nie sądzisz?

- Może i tak - odparł z uśmiechem. - Pasuje do ciebie.

Nie chciała się przyznać do tego, jak wielką przyjemność sprawiła jej ta uwaga. Zamiast tego powiedziała:

- Twój pokój jest gotowy, jeżeli chcesz iść spać.

Nie poruszył się; twarz mu stężała, przypominała świecący marmur.

- Nie zgodziłem się zostać - odparł głosem brzmiącym jak ostrzeżenie.

- Wiem. - I śmiało dodała: - Ale zostaniesz?

Błysk uznania dla jej szczerości i cień rozbawienia pojawiły się w jego błękitnych oczach. Możliwe, że

zbawienną cechą charakteru Reida było poczucie humoru.

Odwrócił się do kominka i zabrał z półki jakiś przedmiot. Był to jej pistolet.

- Już wcześniej chciałem ci go oddać, ale wyszło mi to z głowy.

Wzięła broń, przez moment jakby ważyła ją w dłoni, po czym spojrzała na Reida. Koszula nosiła jeszcze ślady deszczu, a kropelki wody iskrzyły się poniżej zawiniętych rękawów. A więc wyszedł z domu po broń! Pomyślała, że pistolet musiał być w dziupie.

- Miałeś go przez cały czas! - wykrzyknęła.

Przytaknął kiwnięciem głowy.

- Widziałem, gdzie ci wypadł w lesie. Wygląda na to, że może ci się jeszcze przydać.

- Być może...

Zapadła cisza. Milczenie przerwał Reid:

- Co do dzisiejszej nocy... zniechęcenie Keitha to jest powód... Ale jaki to będzie miało wpływ na rozwód? Co będzie, jeżeli zechce przedstawić świadka przeciwko tobie?

- Nie odważy się - odparła. - Wszyscy wiedzieli o jego zdradach. Udowodnienie tego byłoby śmiesznie łatwe. Ja niczego od niego nie chcę, nie ma więc o co walczyć. Nic nie zyska. Wspólna własność, jaką zgromadziliśmy, jest tak zadłużona w hipotecę, że do podziału zostają tylko długi.

- Nawet ten dom? - zdziwił się.

Gammie przecząco pokręciła głową.

- Evergreen jest posiadłością dziedziczną i należy tylko do mnie. W istocie, Keith chciał sprzedać dom i zamienić go na gotówkę. Doszło już do tego, że sprawę załatwił za moimi plecami. Ale odmówiłam podpisania dokumentów.

- Słyszałem o twoim ojcu i matce - powiedział. - Trochę późno na składanie kondolencji, ale naprawdę bardzo mi przykro.

Ojciec Cammie zginął w czołowym zderzeniu z ciężarówką do przewozu drewna. Zdarzyło się to w niecały rok po jej ślubie. Matka w tym czasie walczyła z rakiem piersi.

Lekkim skinieniem głowy Cammie przyjęła wyrazy współczucia, po czym powróciła do wątku rozmowy:

- W każdym razie na naszą wspólną własność składają się dwa samochody oraz srebra i porcelana, które dostaliśmy na ślubny prezent.

- Wiem, że jego kapitał jest w fabryce unieruchomiony, tak że nie może z niego korzystać, ale przecież ma dobrą pensję. Czyżby tak nieudolnie gospodarował pieniędzmi?

Pytanie Reida było rozmyślne i osobiste. Ale miał prawo je zadać. Wicedyrektor, który nie potrafi dysponować własnymi pieniędzmi, nie może być przewidziany na stanowisko kontrolera finansów takiego towarzystwa jak Sayers-Hutton Opakowania i Wytwórnia Papieru. Jednak rozmowa o traceniu pieniędzy przez męża wydała jej się nie na miejscu.

- Powiedzmy, że Keith lubi dobre życie - powiedziała po krótkim wahaniu.

W kąciakach ust Reida pojawił się uśmiech.

- Prawie zapomniałem, że istnieje na świecie taka dyskrecja. Przypuszczam, że to matka cię nauczyła, iż niegrzecznie jest rozmawiać o pieniądzach.

- Coś w tym rodzaju.

- Musiałaś być idealną żoną. Keith to skończony idiota.

Gwałtownie obróciła się od Reida i podeszła do sztalug, na których leżała nie dokończona akwarela dzikiego szkarłatnego kosaćca. Dotknęła jedwabistego papieru, sprawdzając, czy farba już wyschła, po czym broń położyła na stoliku obok.

- Starałam się być doskonałą. Uczyłam się gotowania i studiowałam książki o urządzeniu wnętrza i nakrywaniu

do stołu, a wszystko po to, by zasłużyć na miano dobrej pani domu. By prowadzić ożywione życie towarzyskie, wstąpiłam do wszystkich możliwych klubów. Gimnastykowałam się i dbałam o linię. Wiele godzin poświęcałam na pielęgnowanie cery, włosów i paznokci. Czytałam dużo, aby poszerzyć swoje horyzonty; kupowałam podręczniki traktujące o seksie, żeby się dowiedzieć, gdzie leży przyczyna naszych niepowodzeń. Przeczytałam wszystkie artykuły w magazynach i dowiedziałam się, że prawdopodobnie przez całe życie będę bezgranicznie wyrozumiała, nigdy nie wspomnę o własnych sprawach i kłopotach, za to będę zachęcała męża, żeby mi opowiedział o swoich problemach. I wiesz, co się stało?

- Mogę zgadnąć. Keith tego nie docenił.

Odwróciła twarz. Oczy jej pociemniały.

- Wziął to za dobrą monetę. Uważał, że wszystko to powinnam robić.

- Teraz pewnie uważa, że nie masz prawa odmówić mu tego doskonałego świata, ponieważ on tego pragnie.

- To jest bardziej sprawa dumy niż czegokolwiek innego. Sądzi, że dzwoniąc, żebrząc, prosząc i śledząc mnie, da dowody swojej miłości. Ale się myli. Wkrótce upłynie sześciomiesięczny okres czekania na uprawomocnienie wyroku rozwodowego. Jeżeli nie będzie zgody ani wspólnego mieszkania, wyrok zostanie doręczony natychmiast.

- Myślisz, że jest doprowadzony do rozpacz?

Wdzięczna była Reidowi, że wymówił za nią te słowa.

- Próbowałam go przekonać, że to nie ma sensu, że nigdy nie wrócę do niego.

- I tutaj zaczyna się moja rola...

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Kiedy ich oczy się spotkały, uprzytomniła sobie, co mówi do Reida teraz i co mówiła wiele lat temu. Uderzyło ją, że nigdy nawet nie pomyślała, by zwierzać

się Keithowi. Przez sześć lat małżeństwa jej mąż nigdy się nie dowiedział, nawet mu to do głowy nie przyszło, że jego żona czytała podręczniki o seksie i stamtąd czerpała wiedzę na ten temat, czego wyrazem były delikatne propozycje, jakie mu czyniła.

Reid Sayers był zupełnie inny. Miała wrażenie, że jemu mogłaby wszystko powiedzieć i nie byłby niczym zaszokowany ani zaskoczony. Tkwiły w nim pokłady wielkiej tolerancji, być może większej niż u innych mężczyzn; spowodowały to wydarzenia, jakie stały się jego udziałem: wszystko to, co widział i zrobił. Nie pozwoliłby sobie na krytykę mężczyzny czy kobiety, zaakceptowałby ich takimi, jakimi byli, ze wszystkimi wadami. W swojej wyrozumiałości zatracił wiarę w siebie.

- Czy masz pracę? - spytał poważnym tonem.

Uśmiechnęła się lekko, widząc, że w przeciwieństwie do niej swoje zainteresowania koncentruje na sprawach praktycznych.

- Chcesz wiedzieć, z czego będę żyła? Odziedziczyłam skromny spadek, a do tego mam połowę udziału w antykwariacie. Nie pozwoli mi to na rozrzutność, ale sobie poradzę. Mam stopień naukowy z filologii francuskiej, pracowałam także w radzie do spraw rozwoju języka francuskiego w Luizjanie - Codofilu. Jutro wyjeżdżam na konferencję do Nowego Orleanu. Być może dostanę nawet pracę nauczycielki języka francuskiego. A jeżeli wszystko zawiedzie, mogę przemienić Evergreen w pensjonat.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie witającej turystów i wstającej o szóstej rano, by przygotować kawę i rogaliki - zauważył rozbawiony jej pomysłem.

- Znajdę wyjście z tej sytuacji. Nie należę do bezradnych kobiet, które nigdy nie zapłaciły rachunku ani nie wykupiły polisy ubezpieczeniowej.

- Jesteś prawdziwą doskonałością. Potrzeba ci tylko mężczyzny w twoim pustym łóżku.



Mimo że jego głos nie brzmiał zachęcająco, doznała uczucia uniesienia. Twarz ją paliła, ale się opanowała i głosem równie poważnym odpowiedziała:

- Tak!

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Wyjął ręce z kieszeni, nieco się od niej odwrócił i oparł się o kominek; jego palce powoli zaciskały się w pięść. Wziął głęboki oddech, aż nabrzmiała mu pierś, po czym słyhać było szum wypuszczanego powietrza.

- Jeżelibym się zgodził - rzekł - a mówię poważnie, to musimy ustanowić pewne zasady. Czy sądzisz, że dotrzymałabyś warunków umowy?

Nie reagując na ton, jakim to powiedział, przechyliła głowę i zapytała:

- Na przykład jakich?

- To proste warunki, ale niesłuchanie ważne. Nigdy nie podchodź do mnie od tyłu ani nie poruszaj się zbyt szybko, chyba że będę cię obserwował. I nigdy, na litość boską, nie zbliżaj się do mnie w ciemnościach bez ostrzeżenia. Jeżeli zapomnisz o jednej z tych zasad, oboje możemy tego gorzko żałować. Ale wówczas może być za późno.

Chciało jej się płakać. Stała nieruchomo, w uszach dźwięczały jej słowa przestrogi i jednocześnie zdradzające uczucie ogromnego osamotnienia. Strach przed kontaktem z ludźmi, odcięcie się od nich z taką bezwzględną determinacją były przerażające. Ogarnęła ją nieodparta chęć udzielenia mu pomocy.

- Powiedz mi - odparła spokojnie - jak to jest, że możesz przebywać między ludźmi, pracować z nimi, jeżeli tak bardzo sobie nie wierzysz.

- Nie jestem pewien, czy mogę. Mam zamiar jakoś się z tym uporać i starać się mieć zawsze ścianę za plecami.

- Jednak w lesie mnie nie skrzywdziłeś. A chyba nie miałbyś trudności.

Zacisnął szczękę, aż zęby zgrzytnęły.

- Można by to nazwać planowanym atakiem. Dokładnie wiedziałem, co robię. Panowałem nad sytuacją.

Miał rację. Nie mogła temu zaprzeczyć. Ale jeszcze próbowała.

- A na ganku? Podeszłam do ciebie w ciemnościach, bardzo blisko, i nic się nie stało.

- Przez cały czas cię widziałem. Patrzyłem, jak się zbliżasz. Nie było momentu zaskoczenia.

- Uważam, że był - zaprzeczyła oschle. Po chwili wahania zaproponowała: - W każdym razie dla mojego własnego dobra wyjaśnijmy sprawę. Nie będzie żadnych kłopotów dopóty, dopóki będziesz wiedział, czego się spodziewać. Czy mam rację?

- Ogólnie mówiąc, tak. Jeżeli nie ma zaskoczenia ani jawnej groźby, nie ma również reakcji.

- Istnieje wiele różnych rodzajów zagrożeń - powiedziała cicho, jakby do siebie.

- Miałem na myśli zagrożenie fizyczne - odparł złośliwie.

Odważnie spojrzała mu w oczy.

- Ja też.

Widoczny dreszcz przebiegł przez jego ciało i gęsia skórka pokryła mu ręce. Odwrócił od niej wzrok.

- No dobrze. Gdzie jest to łóżko? - zapytał szorstko.

W jakiś czas później Cammie z szeroko otwartymi oczami leżała na łóżku, wpatrując się w ciemność i obserwując błyski piorunów w oknie sypialni. Wiatr wzmagał się i wył na poddaszu starego domu. Bez wątpienia przywieje wiosenną burzę.

Zastanawiała się, czy Reid śpi. A może leży i rozważa, dlaczego pozwolił się namówić na pozostanie w jej domu?

Nie miała męskiej piżamy. Dawno temu rzeczy ojca podarowała na cele charytatywne, natomiast ubrania Keitha spakowała i wysłała jego kochance mieszkającej

w przyczepie. Poza tym piżama Keitha nie pasowałaby na Reida. Po kilku latach ich małżeństwa Keith bardzo się roztył, a ponadto był przynajmniej o pięć centymetrów niższy.

Ciekawa była, czy Reid śpi w majteczkach, czy nago. Nie sprawiał wrażenia mężczyzny, który by się poddał jakimkolwiek ograniczeniom.

Przesunęła się na łóżku, przewróciła na bok, podkładając ramię pod głowę. Jedwabna koszula w kolorze brzoskwini wydała jej się ciężka i oblepiająca. Początkowo chciała ją zdjąć, ale pomyślała, że oznaczałoby to odrzucenie wszelkich hamulców.

Ale jakich? - oto pytanie!

Niemożliwe... To byłoby nieuczciwe. Doskonale zdawała sobie sprawę z charakteru kuszących ją pragnień. I nie mogła wymawiać się nieznajomością własnej osoby, bo bardzo dobrze siebie знаła.

Może zatem tkwiła w niej przemożna chęć samoposwięcenia się, która nasunęła jej myśl o ewentualnym pójściu do jego pokoju podczas burzy? Może to zwykła kobieca przekora, pożądanie czegoś, co znajduje się poza jej zasięgiem? A może to odwieczna kobieca potrzeba okazania współczucia?

Niewykluczone też, że jest to zwykła żądza kobiety, która od wielu miesięcy nie miała mężczyzny! Bodziec prowadzący do wzajemnego uzdrowienia...

A może chęć wynagrodzenia za dawne krzywdy?

Mogła to być jedna albo wszystkie z tych ewentualności. Było w tym coś z powrotu do domu.

Reid Sayers nic dla niej nie znaczył. Nie mogło być inaczej. Przecież prawie go nie znała, a skąpe wiadomości o jego przeszłodziiesięcioletniej działalności nie były zachęcające.

Nawet gdyby pozostał w mieście, nie widywaliby się często. Z powodu różnic dzielących ich rodziny spotykałoby się niekiedy na gruncie towarzyskim.

A jeřliiby się czasem zobaczyli przypadkowo, wydarzenie na jeziorze nie pozwoliłoby im na zbliżenie.

Dochodziła do tego jeszcze jego przeszłość i pewne zauważalne braki. Mimo że jest właścicielem papierni, z pewnością jego wykształcenie na skutek pobytu w wojsku pozostawia wiele do życzenia. Wydaje się, że jego ubiór składa się wyłącznie z džinsów i panterek. Mieszkał w rezerwacie i jeździł dżipem. Ten obraz silnego, ogorzałego faceta miał wszystkie cechy, których nie znořła u mężczyzn.

Dlaczego zatem jej ciało tak reaguje na niego jak na żadnego dotąd mężczyznę?

Przewracając się na plecy, kopnęła prześcieradło, którym była przykryta. Ogarnęło ją szaleństwo. Musi z tym skończyć!

Potrzeba jej jeszcze dodatkowej komplikacji? Na ogół kobiety nie rzucają się na mężczyzn...

Odczuwała głęboki, wewnętrzny ból, całą istotą pożądała Reida. I nie było to tylko czysto fizyczne pragnienie. To tak jakby najgłębsza część jej jaźni dażyła do niego.

Reid pomyřli, że jest szalona albo zepsuta. Może i tak. W przeciwnym razie dlaczego narażałaby się na ból i niebezpieczeństwo, jakie z jego strony może jej zagrażać?

Wyřlizgnęła się z łóżka, rozsuneła zasłony i wyrzała przez okno. W świetle błyskawic drzewa w ogrodzie przybrały srebmozieloną barwę. Miotane przez wiatr konary ukazywały od spodu bladoszare liřcie. Zagrzmiało jak ostrzeżenie i rozległ się silny huk pioruna.

Uchwyciła skrzydło okna i popchnęła je. Odgłos deszczu i wiatru wdarł się do pokoju, niosąc powiew świeżego, wilgotnego powietrza. Jego zapach upajał jak afrodyzjak. Grzmoty stały się głořniejsze, a błyskawice intensywniejsze. Kiedy oparła się o balustradę, świetlisty zygzak przeleciał tuż nad koronami drzew. Od wybuchu pioruna zatrzęřła się podłoga.

A jednak o wiele silniejsza burza szalała w niej samej: targały nią gwałtowne sprzeczności między wpojonymi zasadami a instynktem.

Wiele rozmawiali tego wieczoru. Dlaczego zatem miałyby się niepokoić?

Wprostowała się i nie zamykając okna, przeszła przez sypialnię, po czym skierowała się do holu. Chwilę się wahała, zacisnąwszy mocno powieki, po czym otworzyła oczy i udała się do łazienki na końcu długiego korytarza.

Idąc wolno, doznała nagle dziwnego wrażenia, że stoi na zewnątrz siebie i z mieszanymi uczuciami obserwuje swoje postępowanie. Było to coś niesamowitego; jakby niezależnie od niej same nogi stapały po miękkim chodniku rozciągniętym w holu, a jakaś nieznana siła ją popychała.

Nie wiedziała, co się z nią działo. W każdym razie miała uczucie, że nie może się zatrzymać. Nie była również pewna, czy chciała podjąć próbę.

Nie straciła jednak całkowicie instynktu samozachowawczego. Zbliżywszy się do drzwi błękitnej sypialni, uchwyciła gałkę i powoli ją obróciła, by zapobiec metalicznemu dźwiękowi. Pchnęła drzwi, które otworzyły się do wewnątrz, i miękkim głosem wymówiła imię mężczyzny. Za nic nie chciała go zaskoczyć we śnie.

Ale on nie spał.

Poczuła jego oddech tak gorący i bliski niej, że miała wrażenie, iż ciepły wiatr owiał jej twarz. W tej samej chwili mężczyzna żelaznym uściskiem złapał ją za nadgarstki i pociągnął ku sobie. Małe szarpnięcie, prawie delikatne, a jednak tak silne, że aż się zakręciła. Chwyciła się słupka baldachimu i gwałtownie usiadła na materacu.

Reid pchnął drzwi, które zamknęły się z trzaskiem, po czym odwrócił się do niej.

- Sprawdzasz moje reakcje? - spytał z wściekłością.

Okno w jego pokoju także było szeroko otwarte. Za falującymi na wietrze zasłonami świetliste błyskawice

znaczyły ciemne niebo. W wyblakłym niebieskawym świetle ujrzała prawdziwe piękno męskiego ciała i twarz wyrażającą cierpienie.

- Wcale nie - odparła spokojnie. - Raczej je kuszę.

- Chciałaś się użalić nad biedną bestią. Czy o to chodzi?

Reid odsuwał się w najciemniejszy kąt pokoju. Tam się zatrzymał i stanął plecami do ściany.

- Ścisłej mówiąc, chodzi o wzajemne ukojenie - odparła, kiedy nabrała pewności, że Reid nie ma zamiaru wyjść. - I do diabła z zasadami!

Potrząsnęła głową i jej włosy się rozsypały, zasłaniając twarz.

- Przecież nie proponuję ci tego na zawsze. Potraktuj to, jeśli chcesz, jako zwykły ludzki kontakt. W tym wypadku zastosowałam twoją metodę.

- Przychodząc tutaj w środku nocy? - zapytał z niedowierzaniem.

- Nie spałeś, w przeciwnym razie nie usłyszałybyś mnie. Zbliżałam się do ciebie od frontu. Wymawiając twoje imię, dałam ci rzetelne ostrzeżenie. Poruszałam się tak wolno, jak tylko to było możliwe. I jeżeli zechcesz być uczciwy, sądzę, że nie nazwiesz groźbą mojej tutaj obecności.

- Sprawa oceny - odparł zwięźle.

- Być może czegoś nie zrozumiałam. - Wstała i zmierzając w jego kierunku, dodała: - Jeżeli teraz podejdziesz do mnie, o w ten sposób, żeby cię dotknąć, czy nie naruszę postawionych warunków?

Nagle do pokoju wpadł wiatr. Koszula oblepiła ciało dziewczyny, wciskając się w każde zagłębienie. Końce długich włosów zsunęły się na Reida. Kiedy delikatnie jak piórko musnęły jego twarz, Cammie się zatrzymała. Koniuszki palców położyła na jego piersi; wolno i ostrożnie przesuwała je w płątanie złoto-brązowych włosów.

przerabiała polgara68

- Przestań! - rozkazał.

Znieruchomiła. Do tej pory działała pod wpływem impulsu, pożądania i poczucia słuszności tego, co robi. A teraz pewność zaczynała ją opuszczać.

Cofnęła rękę i skrzyżowała ramiona. Głosem nabrzmiałym rozpaczą krzyknęła:

- Wcale cię nie żałuję! Sam robisz to doskonale. Zanim jednak poświęcisz nas oboje, może weźmiesz pod uwagę, że są na świecie ludzie, którzy też mają kłopoty i pragną kontaktów z innymi, i są także odrzuceni. Oni również cierpią.

- Ranię jedynie twoją dumę. Prawda uzdrowia - powiedział spokojnie.

Zauważyła, że dreszcz przebiegł po jego mocno ściśniętych ramionach, jakby chciał odsunąć ścianę, by znaleźć miejsce na ucieczkę.

- Powiedz, że mnie nie chcesz, to sobie pójdę - odrzekła niemal obojętnie, bez cienia urazy czy porażki.

- To byłoby kłamstwo.

I rzeczywiście. W połyskliwym świetle błyskawic zobaczyła dowód jego uniesienia.

- Dlaczego w takim razie jest to takie skomplikowane?

- Wcale nie - odparł z wyzwaniem w głosie - jeżeli zależy ci tylko na seksie. Zdawało mi się, że oczekujesz kwiatów i światła księżyca. I planów na przyszłość.

- Już to wszystko przeżyłam - powiedziała. Oczy miała szeroko otwarte. - Ale okazało się nietrwałe.

- To też nie będzie trwałe. Mogę cię skrzywdzić - ciągnął rozpaczliwie. - Nawet jeżeli nie teraz, to być może w chwili, w której będziesz potrzebowała największej czułości.

- Potrzebuję ciebie dzisiaj, teraz, tej nocy - wyszeptwała zboląłym głosem.

Za oknami hulał wiatr, obmywany przez deszcz. Błyskawice świeciły jak stary, zużyty neon.

- Ja również - rzekł nieco rozdrażniony.

Sięgnął po nią tak gwałtownie, jakby chciał połamać jej wszystkie kości, żeby pożałowała swojej odwagi. Nie rozebrała się, a jednak nie mogła opanować drżenia, kiedy wziął ją w ramiona.

Spodziewała się, że rzuci ją na łóżko. Tymczasem Reid, trzymając ją blisko siebie, ostrożnie ułożył się z nią na elastycznym materacu. Delikatnie ją do siebie przytulał, żeby nie zadać bólu. I całował czule, mimo żądzy, jaka nim zawładnęła.

Radość spowodowana zelzeniem napięcia dławiała Cammie w gardle. Z trudem przełknęła ślinę i położyła ręce na jego ramionach. Uległa, gotowa na przyjęcie mężczyzny, skłaniała go do ugody.

I to była ostatnia świadoma decyzja. Ustami na jej wargach starł jakąkolwiek myśl, a pieszczotami szorstkich dłoni niwelował dzielącą ich dotychczas obcość. Jeżeli kiedykolwiek byli sobie dalecy, to na pewno nie dotyczyło tej chwili.

Językiem obmywał jej skurczone brodawki, zataczał kręgi wokół śniadokoralowej aureoli i dalej sunął po bladej, jedwabistej skórze pagórków drgających w rytm serca. A kiedy dotarł do szczytu, jeszcze raz wziął je w usta i delikatnie całował.

Cammie dłońmi uciskała napięte mięśnie ramion Reida; wzbierała w niej upojna, zmysłowa rozkosz. Do tego uczucia dołączyło ogromne, umacniające się pragnienie, żeby ta chwila, ta nocna burza, nigdy się nie skończyła.

Nareszcie czuła, że żyje. Już nie pamiętała, kiedy doznała tak intensywnej radości. Oddychając głęboko, upajała się swoją reakcją. Każdą cząsteczką jestestwa świadoma była obecności Reida, potężnej siły jego gibkiego ciała, świeżego zapachu podnieconego mężczyzny.

Pocałunkami okrywał zagłębienie między piersiami a pępkiem. Musnął ustami brzuch, językiem zrobił



kilka esów-floresów i chuchnęła ciepłym powietrzem na rozkoszne loczki u wierzchołka ud. Odczuła tak wielkie uniesienie, że ciało jej wygięło się jak łuk.

To było pragnienie, które pielęgnował z wyrafinowaniem tak palącym, że graniczyło z torturą. Wdychał jej zapach jak woń egzotycznego kwiatu, sięgał w głąb, smakował ją, językiem pieścił najsztelniejsze i najdelikatniejsze partie jej ciała, by w końcu wypić nektar, jakim go obdarzyła.

Mięśnie jej brzucha zadrgały konwulsyjnie, a z gardła wydobył się cichy jęk. Nie zwrócił na to uwagi, chwycił jej biodra i przyciągnął do siebie...

Deszcz wciąż padał, ale wcale tego nie zauważyli. Spragnionymi ustami, niecierpliwymi rękami, wypaleni od powstrzymywanej żądy, szukali się i odnajdywali wzajemnie. W błysku piorunów uczyli się siebie nawzajem, poznawali kształt swoich ciał, barwę głosu, zarys kości, najczulsze miejsca i najdelikatniejsze reakcje.

Rozmawiali szeptem. Z niepokojem i troską otworzyli swoje serca na dar ulotnej przyjemności, jaką sobie ofiarowywali. Snuli tkaninę złożoną z wzajemnych pragnień; było to uczucie o wiele większe niż samo tylko pożądanie, które na tę jedną noc mogłoby zastąpić drugorzędną formę miłości.

Przejechała ręką po jego boku, pieszcząc brzegi jednej z kilku starych blizn. Zsunęła palce w dół do jego naprężonego członka, ścisnęła go tak, że poczuł mrowienie w stopach. Zadrżał, aż mu zaparło dech w gardle. Pocałowała go w ramię i zębami lekko wpiła się w skórę, smakując słony pot. Jego długie i mocne palce wcisnęły się w nią, tak jak tego pragnęła. Mamrocząc bezładnie, płynęła na fali gwałtownego, niepoahowanego pożądania.

To mu wystarczyło. Wepchnął kolano między jej gładkie uda, rozsunał je szeroko i umieścił członek w czułej wilgotności.

Ogrom rozkoszy, jakiej doznała w tym gorączkowym zespoleniu, przejął ją dreszczem. Chciała, żeby sięgnął samej głębi, i kierowana tą potrzebą otworzyła się całkowicie w drżącym oczekiwaniu.

Odpowiedział na to, wciskając się w nią powoli i nieustannie, zabierając ją coraz wyżej i wyżej aż do samego szczytu.

Płynęła na spotkanie z nim, unosząc się i kołysząc. Zwiększył tempo i wszedł w nią głębiej. Przyjmowała jego pchnięcia, czując, że mięknie, jak podatna glina. Ich ciała błyszcząły od potu, były śliskie od wilgoci. W czarnosrebrnym świetle burzy wpatrywali się w siebie z rozpaczliwą tęsknotą.

Cisza zaskoczyła ich nagłą, oślepiającą nagrodą. Na tej fali wzniesli się na wyżyny: uwolnieni, niczym pchani wiatrem wibrowali w rytm nieskończonej wspa-  
niałości, która jest bijącym sercem życia. Uchwycili się tego i poszybowali w kierunku nieuchronnego końca.

Dłuższy czas leżeli oszołomieni, wypaleni, bez tchu: dwa drgające ciała. Wreszcie Reid uniósł się, by ją uwolnić od swego ciężaru. Długie włosy wyciągnął spod ramienia i odgarnął z twarzy dziewczyny.

Na dworze deszcz bębnił, wtórując biciu ich serc. W oddali migotały nikłe błyskawice.

Reid palcami gładził swoją dłoń, zataczając małe kółka.

- Przepraszam - powiedział. - Nie miałem zamiaru cię poganiać.

- Doprawdy? - odparła ochrypłym głosem.

Niski śmiech Reida musnął jej piersi, aż skurczyły się brodawki.

- No może trochę - przyznał. - Tak długo na to czekałem.

- Ja też. - Poruszyła się i wskazujący palec położyła na jego sutku przypominającym płaską monetę. Sennymi oczami pamiętającymi rozkosz obserwowała jakieś

tajemnicze ruchy. Nagle znieruchomiła i dodała: - Ostatecznie upłynął już przeszło rok, odkąd... ale nigdy nie było tak wspaniale.

- Nigdy? - uniósłszy się, zapytał głośno.

Poruszyła głową przecząco.

- Keith był samolubnym sukinsynem - dokończył za nią. - Do tego jeszcze głupim.

- On myślał, że wie, co robi, ale tak naprawdę nie wiedział. Ty natomiast wiedziałeś. - Odwróciła zarumienioną twarz i ukryła ją w załamaniu jego szyi. To była jeszcze jedna tajemnica, której nigdy nikomu nie zdradziła.

- Następnym razem będzie lepiej - zapewnił spokojnie.

- Czy to możliwe? - spytała z niedowierzaniem.

- Sądzę, że tak - odpowiedział, a w głosie dźwięczała radość i zdziwienie. Smukłymi palcami delikatnie obrócił jej policzek i uniósł brodę; ich usta się spotkały. - Spróbujemy?

## - IV -

Reid obudził się krótko przed czasem, na który nastawił „wewnętrzny budzik”, czyli w dwie godziny po zaśnięciu. Deszcz przestał padać. Po burzy pozostało jedynie nierównomierne kapanie resztek wody z drzew.

Przez dłuższą chwilę leżał bez ruchu, rozkoszując się chłodem powietrza, gładkością perkalowych prześcieradeł, miękkością materaca i pasmem włosów błędzącym po jego ramieniu. Cammie biodrami opierała się na jego brzuchu. Boże, jakie to wspaniałe uczucie!

Leżał spokojnie, z błogością w sercu. Wciąż powracał do przeżyć ostatniej nocy. Słodczy Cammie, sposób, w jaki odpowiadała na najłżejsze nawet dotknięcie, bez cienia przynaglania, ciche odgłosy rozkoszy oraz przychylność, jaką mu okazywała - wszystko to układało się w jeden wspaniały sen. W kobiecie, którą trzymał w ramionach, nie było ani fałszywego wstydu, ani cienia wulgarności, tylko wdzięk, miłość i szczerą zmysłowość. Poczytywał sobie za zaszczyt, że to ona przyszła do niego, i skorzystał z jej daru na tyle, na ile pozwolił czas. Był pewien, że nawet wówczas, kiedy będzie pomarszczoną, trzęsącą się staruszką, nie zapomni tego cudownego doznania, jakim była świadomość, że był pierwszym, dzięki któremu przeżyła orgazm. Ten fakt wstrząsnął nim tak głęboko, że próbował zwiększyć częstotliwość jej szczytów, mnożąc tym samym i swoje doznania.

Przez długi czas to wspomnienie będzie go roz-

grzewać w zimne noce. Tak właśnie jak teraz. Nie-wiarygodne.

Musi koniecznie nad sobą zapanować, nawet jeżeli było na to trochę za późno. Walcząc ze wzrastającym podnieceniem, zamknął oczy. Dosyć długo trwało, zanim się uspokoił.

Uwolnił się od Cammie, otulił ją i wyslizgnął z łóżka. W chwilę później był już ubrany, buty trzymał w rękę, po ciemku zszedł po schodach i dalej przez hol. Kiedy mijają drzwi słonecznego pokoju, na moment się zatrzymał, po czym niespodziewanie wszedł do środka.

Na portrecie nad marmurowym kominkiem odbijały się kwadratowe plamy światła rzucanego przez lampy bezpieczeństwa, umieszczone na zewnątrz domu; jeden z kwadratów oświetlał oczy. Podszedł bliżej, podniósł głowę i zaczął się w nie wpatrywać.

Portret przedstawiał Cammie naturalnej wielkości, siedzącą na krześle obitym ciemnozielonym brokatem. Ubrana była w suknię z miękkiego szarego aksamitu, z szerokim koronkowym kołnierzem przypominającym srebrzystą pajęczynę. Lśniące włosy oświetlone z tyłu sprawiały wrażenie aureoli. Malarz znakomicie uchwycił owalny kształt twarzy, zdecydowany podbródek, prosty arystokratyczny nos i delikatne usta z typowym dla Cammie ufnym uśmiechem. Najbardziej jednak uwagę Reida przyciągnęły oczy: duże, okolone szarymi pierścieniami, stanowiły mieszankę zieleni, błękitu i brązu; oczy tajemnicze, niezgłębione.

Kiedy się tak w nie wpatrywał, przyszło mu na myśl, że w tych oczach odbija się smutek marzycielki. Należały do osoby, która przedkłada świat wyśniony nad twardą, brzydką rzeczywistość.

Tę swoją cechę Cammie ukrywała wyjątkowo dobrze. Być może nigdy by się o tym nie dowiedział, gdyby nie jej odmowa przyjęcia jego pomocy. Świadczył o tym także sposób, w jaki mówiła o swoim małżeństwie. Jej

obrona miała ochraniać wnętrze, do którego nikomu nie pozwalała wtargnąć.

Za wszelką cenę pragnął przekroczyć tę barierę; było to dla niego ważniejsze niż własne życie.

Zastanawiał się, czy Keith Hutton kiedykolwiek starał się wtargnąć w tę chronioną strefę swojej żony, a przede wszystkim czy udało jej się trzymać go na dystans, kiedy tego pragnęła.

Cofając się myślą w daleką przeszłość, uświadomił sobie, że taka była zawsze. Nastolatki znane są z miękkiego serca, lecz Cammie wydawała się wrażliwsza od innych. Była dziewczyną, która mogła płakać na zawołanie, ale jej płacz nie był tylko elementem gry, lecz przejawem duchowego bólu, jaki odczuwała, żyjąc w okrutnym świecie. Była dziewczyną, która rozumiała zawilości poetyckich aluzji, która chodziła po trawie tak, żeby nie niszczyć kwiatów, i która zawsze ratowała brzydkie kaczątko i współczuła przegranym.

Niewiele zmieniła się od tamtych czasów.

Myśl, że mógłby uchodzić w jej oczach za brzydkie kaczątko lub nieudacznika, wcale mu się nie podobała. Gdyby jednak tak było, stałby się dla niej jeszcze większym zagrożeniem. Nawet gdyby mógł, nigdy nie stanie się częścią jej wewnętrznego świata. Zniszczyłby wszystko, szkolono go przecież do tego, by niszczyć.

Być może już jej wyrządził największą krzywdę, jaką można zrobić. Udowodnił jej bowiem, wcale tego nie chcąc, że jej wewnętrzny świat można zburzyć. To prawda, że sama go zaprosiła, ale on powinien odmówić. Ostatecznie, miał jeszcze w sobie dość uczciwości i odwagi, aby spokojnie, tak ja przyszedł, odejść.

A może mimo wszystko była to samoobrona? Nie zniósłby krzywdy Cammie. Świadomie nigdy nie zada jej bólu, ale sprawy przybierają czasami różny obrót, niezależny od naszych zamiarów. Sam tego doświadczył w niezwykle dotkliwy sposób.

Jego żona miała wiele wspólnych cech z Cammie. Tak jak ona miała bujne, piękne włosy i podobne oczy, tylko oczy Joanny były bardziej zielone. To, co w kobiecie, którą poślubił, brał za wrażliwość, okazało się nieśmiałością. Jej troska i przywiązanie wywoływały w nim poczucie winy, że niewystarczająco o nią dba; ale jej namiętność była symulowana, stanowiła rodzaj zasłony, za którą skrywała rozpaczliwe pragnienie uczucia.

Joanna zapatrzona w swoje emocje, mając bardzo ograniczone wyobrażenie o tym, czym jest małżeństwo, nigdy nawet nie próbowała go zrozumieć. Kiedy tamtego ranka Reid zaatakował ją w łazience, nie mogła tego pojąć. Nie wierzyła, że to skutek treningu i rezultat prostych zwierzęcych reakcji, lecz objaw całkowitego jej odrzucenia. Jeżeli potrafił ją tak dotkliwie zranić, mówiła, to znaczy, że jej po prostu nie kocha.

Może miała rację; sam tego nie wiedział. Gdyby była w stanie mu wybaczyć, zostałyby z nią, starałyby się ich życie ułożyć jak najlepiej. Ale tak się nie stało. Kiedy Joanna odeszła, zakończyły się sprawy rozwodowe i z domu zniknęły jej rzeczy, był zakłopotany uczuciem ulgi, jakiej doznał. Wydaje się, że Joanna nie była jedyną kobietą, która chciałaby się zgodzić na namiastkę miłości i pozory normalnego życia.

Zastanawiał się, co by zrobiła Cammie, gdyby znalazła się na miejscu Joanny. Myślał o tym, ale za nic w świecie nie chciałby poznać prawdy. Odpowiedź mogłaby być przykra dla obojga.

Nie mógł również znieść myśli, że ktoś stanowiący dla nich zagrożenie mógłby podejść niezauważenie. Nawet gdyby to był jej mąż, zwłaszcza mąż.

Cammie potrzebowała ochrony. Obrony kogoś z zewnątrz, kto czuwałby na odległość, kto mógłby zapewnić, że już nigdy nikt *jej* nie skrzywdzi.

Nie miał niczego lepszego do roboty.

Na dworze nie było śladu po Keicie Huttonie. Nie zdziwiło to Reida. Kiedy wyszedł po rewolwer i portfel Gammie, nie zauważył ani Keitha, ani jego landrovera.

Oczywiście nic jej nie powiedział. Zrobiłby to, gdyby uznał, że to ma jakieś znaczenie. O jednym był przekonany: nigdy nie będzie działał wbrew rozsądkowi, nie był jednak przygotowany na tak frontalny atak ze strony Cammie.

Nieważne, z jakich powodów, ale wcale nie był dumny ze swej uległości. Lecz także nie czuł żalu...

Nie upłynęło pół godziny, gdy Reid dotarł do Fortu, a już z powrotem przemykał się przez mokry las, pokonując dystans pięciu kilometrów dzielących Fort od domu w Greenley. Z drzew kapały jeszcze krople deszczu, lecz gałęzie już się podniosły. Przemierzył tę odległość w dobrym czasie. Nie sprawiło mu to trudności. Na pamięć znał każde wzgórze i wąwóz, wysokie sosny i zwalony dąb na drodze. Zaznajamiał się z tym lasem od dziesiątego roku życia, a już szczególnie od momentu, w którym po raz pierwszy zobaczył Camillę Greenley.

Niewątpliwie postępował wówczas jak niedojrzały chłopak. Prześlizgiwał się po okolicy bocznymi drogami i leżał ukryty w lesie, obserwując dom z nadzieją, że ją zobaczy. Trwało to dziewięć długich lat, w czasie których ona nawet nie wiedziała o jego istnieniu.

Jeden jedyny raz ujrzał ją w oknie sypialni ubraną w plisowaną piżamę. Długo potem żył tym obrazem; teraz wspomnienie tego widoku wywoływało na jego twarzy uśmiech.

Wiele można wybaczyć chłopcu zakochanemu w najpiękniejszej dziewczynie w szkole. Lecz ocena dorosłego mężczyzny nie będzie taka łagodna. Musi więc postępować ostrożniej.

Będzie ostrożny nie dlatego jednak, że się tym przejmuje. Jediną osobą, która miałaby prawo poznać



motywy jego postępowania, była Cammie, lecz ona nigdy się o tym nie dowie.

Zatopiony w myślach, nie wiedział, kiedy dotarł na miejsce. Dom wydał mu się cichy i nierealny; ustępowała ciemność, zaczynała się szarówka. Po drugiej stronie widział światło ostrzegającej lampy, ale okna były ciemne.

Jego wzrok spoczął na czarnych, prostokątnych szybach, za którymi znajdowała się sypialnia. Wyobraził sobie ciepłą nagość Cammie tak intensywnie, że ból, który wciąż w nim tkwił, odezwał się z nagłą siłą. Zdusił go, jak to już czynił wcześniej, zdusił brutalnie tak, jak postępował z każdym odruchem pożądania od dwunastu lat, a może i dłużej.

Co będzie czuła, kiedy po przebudzeniu stwierdzi, że go nie ma? Może się rozgniewa? Może uzna, że została zdradzona? A może odczuje ulgę? Istnieje też prawdopodobieństwo, że będzie zadowolona. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozna prawdę. Myśl, że może to nigdy nie nastąpić, wydała mu się nagle nie do zniesienia.

W głębokich ciemnościach poruszył się jakiś czarny kształt. Reid wyostrzył zmysły. Ruchy tego czegoś wydały mu się nienaturalne; i nie sprawiło to złudne światło ani cień drzewa poruszającego się na wietrze czy też krzewu kołysanego nagłym zerwaniem się ptaka.

Ciemny kształt był mężczyzną, który próbował otworzyć okno.

Z piersi Reida wydobyło się ciche mruknięcie. Jego przeczucia okazały się słuszne.

Wyszedł zza drzewa i jak duch zatoczył szerokie koło, na wszelki wypadek odcinając intruzowi drogę ucieczki. Na myśl, że Keith mógł próbować włamać się do domu Cammie, zalała go fala wściekłości. Jakim prawem chciał zbliżyć się do niej?

Prawem męża, którym będzie jeszcze tydzień lub trochę dłużej. Od tej uporczywej myśli nie mógł się uwolnić.

Reid posuwał się pewnie z określonym zamiarem. Był zaintrygowany, myślał bowiem, że Keith odszedł, gdy zobaczył ich całujących się na ganku. Mógłby przysiąc, że słyszał głośny odjazd landrovera. Jednym z powodów, dla których opuścił dom, kiedy Cammie jeszcze spała, była przecież pewność, że wszystko jest w porządku. Dlaczego Keith czai się jak włamywacz, próbując ponownie dotrzeć do Cammie? Czyżby tak bardzo zmartwił go fakt, że zainteresowała się innym mężczyzną?

W jego postępowaniu było coś więcej niż zaloty skruszonego męża. I Reid zamierzał to dokładnie sprawdzić. W tym jednak celu nie wystarczy wystraszyć Keitha, trzeba go złapać.

Mężczyzna zniknął za rogiem i skierował się w stronę tylnych drzwi. W tym momencie Reid skoczył naprzód.

Dom tonął w ciemnościach, w jednym tylko miejscu pojawił się krąg nikłego światła. Okazało się, że Cammie zapaliła latarkę, bo obudził ją szmer przy oknach. Reid z trudem powstrzymał się od krzyku.

Ciszę nocną przerwał głośny strzał z magnum. Dźwięk echem odbijał się od lasu.

Zaskoczony mężczyzna zaklął, po czym dał się słyszeć ciężki odgłos oddalających się kroków.

Reid okrążył dom. Zdenerwowany zatrzymał się, kiedy na ganku zobaczył Cammie, ubraną w długi biały szlafrok, ciasno owinięty wokół ciała; kształt magnum wyraźnie odcinał się na tle jasnego materiału.

Poczuł podziw i złość. Sama broniła się doskonale, ale wystawiała się na niebezpieczeństwo. Swoim postępowaniem uniemożliwiała schwywanie intruza.

Przy większym wysiłku mógł go jeszcze dogonić. Żeby jednak tego dokonać, musiałyby wyjść z zarośli i znaleźć się na wprost Cammie. A na takie ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

W chwilę potem było za późno. Gdzieś od szosy doleciał odgłos samochodu odjeżdżającego z piskiem opon.

Warkot pojazdu nie przypominał landrovera. Reid zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy to on ma halucynacje, czy też poranna mgła, jaka zjawiała się po ulewnym deszczu, tak zmieniła dźwięk.

Cammie odwróciła się i weszła do domu. W kuchni zabłysło światło. Reid stanął pod oknem tak, aby mógł obserwować Cammie. Dziewczyna poruszała się między szafkami i zlewozmywakiem. Widział jej głowę i ramiona. Raz się zatrzymała, przeczesła palcami włosy i potarła skroń.

Była blada, miała cienie pod oczami, a usta czerwone i obrzmiałe. Potargana i wymięta, wyglądała tak, jakby przeżyła ciężką noc.

- Przepraszam - wyszeptał Reid, tłumiąc w sobie nieprzepatą chęć włamania się do domu, wzięcia jej w ramiona i ukojenia albo... spotęgowania bólu.

Jeszcze nigdy nie wydała mu się tak piękna.

Zapach parzonej kawy mieszał się z wonią poranka. Przez drzewa przenikało światło brzasku. Już za parę chwil będzie tak jasno, że zostanie zauważony. Cammie nic stać się nie może, jest o tym przekonany.

Nadszedł czas odejścia.

Zdyszana Cammie, nie będąc w nastroju do przyjmowania wizyt, niechętnie otworzyła tylne drzwi. Persephone była w pralni i nie usłyszała pukania. Cammie właśnie pakowała rzeczy na wyjazd do Nowego Orleanu, chcąc wyjść z domu, za godzinę. Zbiegła na dół, gdy po raz trzeci rozległo się mocne stukanie.

Na ganku stała wysoka, długonoga młoda kobieta o pospolitej twarzy, która mogłaby być ciekawsza, gdyby dziewczyna się umalowała. Miała piękne, proste blond włosy, przedzielone na środku, zgodnie z modą

lat siedemdziesiątych. Była ubrana w wystrzępione przy mankietach džinsy, prawie białe od częstego prania, i męską koszulę wypuszczoną na spodnie. Widać było, że jest w ciąży.

Cammie знаła dziewczynę z widzenia i bez trudu rozpoznała w niej przyjaciółkę Keitha.

- Słucham? - zapytała zdumiona.

Blade wargi dziewczyny wykrzywiły się w nerwowym uśmiechu.

- Ty jesteś Cammie, to znaczy pani Hutton, czy tak? Keith zawsze mówił, że jesteś wspaniała. Jestem Evie Prentice.

Komplement i uśmiech były rozbrajające i zapewne zgodne z intencją dziewczyny.

- Wiem, kim jesteś...

- Nie chcę sprawiać kłopotu - wtrąciła szybko. - Chodzi o to, że dzieją się rzeczy, których nie rozumiem, a z tego, co Keith mówił o tobie, wnioskuję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli ci zadam jedno, najwyżej dwa pytania.

- Dziwi mnie, że Keith o mnie wspominał.

Evie Prentice wzruszyła ramionami.

- Jest tyle możliwości, żeby skłonić faceta do zwierzeń. A ja jestem dobrą słuchaczką. Myślę, że to się podoba mężczyznom.

Cammie pomyślała, że mężczyznom podoba się w niej przede wszystkim naturalność i oczywiście długie nogi; w dawnych, lepszych czasach mogła przypominać spopularyzowaną przez telewizję cud-kobietę. Jednak powstrzymała się od tej uwagi. Niegrzeczne zachowanie wobec tej dziewczyny byłoby nie na miejscu.

- Wejdźmy do domu - powiedziała.

W kuchni wskazała dziewczynie krzesło za stołem. Zaproponowała jej kawę, lecz ta podziękowała, poprosiła jedynie o wodę. Cammie spełniła życzenie i usiadła po

przeciwnej stronie stołu. Evie podniosła szklanę i długo trzymała ją w rękach. W oczach miała rozpacz.

- Nie chcesz powrotu Keitha? - spytała. - Czy tak? Rozumiem, że nie próbujesz go odzyskać.

Cammie milczała, nie była przygotowana na tak bezpośrednie pytanie.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że zmyśla - dziewczyna odetchnęła szybko. - Mówiłam mu, że się na to nie zgodzisz, ponieważ jesteś bardzo dumna.

- Mam nadzieję - odparła Cammie ze spokojem.

- Ale ja muszę to wiedzieć na pewno, rozumiesz? Muszę mieć pewność, chcę wiedzieć, co jest prawdą, a co kłamstwem; jednego dnia mówi, że się ze mną ożeni, a następnego twierdzi, że musi wrócić do ciebie. Kiedy go mocno przycisnęłam, oświadczył w końcu, że żał mu ciebie. Twierdził, iż tak bardzo przeżywasz jego odejście, że możesz umrzeć. Nie wierzyłam mu, kiedy słyszałam, jak rozmawiał z tobą przez telefon; to on błagał, żebyś wróciła. Kiedy mu o tym powiedziałam, zmyślał mnie.

- Gdy się go przyłapie na kłamstwie, staje się nieprzyjemny - zauważyła oschle Cammie.

Evie uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Wciąż nie rozumiem, co w niego wstąpiło. Pragnę jego szczęścia... Jeżeli jednak mną się znudził, sądzę, że jakoś to przeżyję. Ale nie o to chodzi. Wciąż tu się kręci i niepokoi ciebie... Wszystko jest bez sensu.

- W tym wypadku muszę się z tobą zgodzić...

- Próbowałam mu wytłumaczyć - mówiła dalej Evie - że takie postępowanie tylko pogarsza sprawę. Odpowiedział, że nie mam pojęcia, o czym mówię, i że wcale tak nie jest... Nie tak dawno byłam związana z mężczyzną uczciwym, prawdziwym społecznikiem. Kiedy z nim zerwałam, próbował za wszelką cenę mnie odzyskać. Im bardziej mnie nękał, tym bardziej byłam

wściekła, aż w końcu zagroziłam, że zadzwonię do jego żony.

- Czy to go powstrzymało? - zaciekała się Cammie.

- Z pewnością przyhamowało.

Dziwne było tak siedzieć z przyjaciółką męża i rozważać niezręczną sytuację, a przy tym odczuwać jakąś więź z dziewczyną.

- Szkoda, że na mnie to nie działa - rzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Tak - przyznała Evie. - Nie przypuszczam, żebyś mogła poprosić Keitha, by przestał zachowywać się jak głupiec.

- Już próbowałam...

- Zastanawiam się, dlaczego tak postępuje. Nie sądzisz, że chce cię zmusić, byś go przyjęła, bo nie załamanaś się po jego odejściu? Istnieją mężczyźni, którzy nie mogą znieść myśli, że po rozstaniu z nimi kobiety całkiem dobrze sobie radzą.

- Może tak - niepewnie powiedziała Gammie - chociaż nie chce mi się wierzyć, że zadawałby sobie tyle trudu dla tak żalonych powodów.

- Masz rację - zgodziła się z westchnieniem. - Ja też tak uważam.

Odpowiedź Cammie uniemożliwił ogłuszający ostry dźwięk starego dzwonka umieszczonego na drzwiach frontowych.

- Masz towarzystwo - powiedziała Evie, niezdarnie wstając i odstawiając krzesło od stołu. - Lepiej już pójść.

- Ależ nie! Nie trzeba! - Cammie się podniosła, lecz widząc, że do drzwi wejściowych idzie Persephone, została w kuchni.

- To może być Keith. Wolałabym, by mnie tu nie zastał.

- Myślę, że to jest mój wuj; jedyna znana mi osoba, która wchodzi od frontu - powiedziała Cammie. Zoba-

czywszy pytające spojrzenie Evie, dodała: - Ksiądz Jack Taggart. Uważa, że jego godności kapłańskiej nie przystoi wchodzenie od kuchni.

Evie przesunęła się w stronę holu.

- Pójdę już. Wyślizgnę się tylnymi drzwiami.

Ale było już za późno. Najpierw rozległ się odłos ciężkich kroków, a potem ogromna postać wujka wypełniła kuchenne drzwi. Dopóki nie zobaczył drugiej młodej kobiety, jego obłudny uśmiech i słowa pozdrowień wydawały się Cammie serdeczne.

- Evie - powiedziała Cammie automatycznie - to jest...

- Nie ma potrzeby nas przedstawiać - przerwał ksiądz, ruszając do przodu z wyciągniętą ręką. - Zdawało mi się, Evie, że twój samochód stoi przy wyjeździe. Brakowała nam ciebie w kościele, zwłaszcza w chórze.

- Byłam trochę zajęta - odparła, wyraźnie zakłopotana.

- Wiesz, że to nie jest wymówka. - Spojrzenie wielebnego przesunęło się po figurze Evie i zatrzymało na talii. Puścił jej rękę i odsunął się do tyłu. - Ucieszymy się, kiedy znowu przyjdiesz.

- Może kiedyś - odparła dziewczyna. - Teraz już muszę iść. - Zakręciła się na pięcie; jej jasne włosy zawirowały wokół głowy, aż ksiądz musiał się cofnąć.

Cammie minęła wuja i wyszła za Evie na tylny ganek.

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc - rzekła spokojnie.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała dziewczyna ze ściśniętym gardłem. - Nie powinnam była tu przychodzić. Wiedziałam, że to był błąd, ale nie mogłam się powstrzymać.

- Proszę, nie przejmuj się zbytnio. Mam nadzieję, że sprawy się wyjaśnią z korzyścią dla ciebie.

- Doceniam troskę, naprawdę.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła jej w oczy, potem się odwróciła i szybko zeszła po schodach. Cammie

odprowadzała ją wzrokiem, dopóki nie doszła do poobijanej hondy stojącej na podjeździe, po czym z chmurną miną wróciła do domu.

W kuchni czekał wuj; stał, trzymając ręce na biodrach.

- Na litość boską, co ta dziewczyna tu robi?

Cammie czuła, że narasta w niej rozdrażnienie. Od śmierci rodziców coraz trudniej znosiła wtrącanie się w swoje życie, nawet jeżeli ktoś to robił w jej interesie. Minęła wuja i podeszła do dzbanka z kawą. Podała księdzu napełnioną filiżankę.

- Evie chciała porozmawiać o Keicie, to wszystko - wyjaśniła.

- Dlaczego? Czyżby chciała się dowiedzieć, jakie są jego ulubione potrawy, czy może zapytać, jak należy prasować koszulę, żeby był zadowolony?

Wuj postawił filiżankę na stole, ale nie usiadł, tylko z sarkastyczną miną czekał, aż Cammie odejdzie od szafki i pierwsza usiądzie.

Patrząc na duchownego sadowiącego się na krześle, Cammie uświadomiła sobie, że wuj nie ustąpi, dopóki nie pozna całej prawdy. Przekazała ją więc najprościej, jak potrafiła.

Wielebny zacisnął wargi.

- Bardzo pięknie, lecz uważam, że nie powinnaś zachęcać dziewczyny do utrzymywania kontaktów. To nie robi dobrego wrażenia.

Taka postawa była charakterystyczna dla tego, pełnego obłudy człowieka. Nie było żadnego związku między nawracaniem zbłąkanej owieczki na łono Kościoła a zachowaniem w domu.

- Wątpię, żeby Evie chciała zostać moją przyjaciółką od serca - rzekła Cammie, zanim wuj zdążył coś powiedzieć, co zirytowałyby ją jeszcze bardziej. - Powiedz mi: co sprowadza kaznodzieję tak wcześnie rano?

Jego mięsista twarz spochmurniała.



- Dobrze wiesz, Cammillo, że wolę tytuł „wielebny”.

Przeprosiła go, chociaż wcale nie poczuwała się do winy. Mimo że przejęzyczenie było przypadkowe, Cammie pomyślała, iż może stałby się lepszym człowiekiem, gdyby jego zarozumiałość częściej była wystawiana na próbę.

- W rzeczywistości - rzekł poważnie - wysłała mnie twoja ciotka. Zaniepokoiły ją plotki, jakie słyszała w sklepie spożywczym.

- Naprawdę? Dlaczego ciotka Sara sama nie przysłała?

- Wiesz, jak ona łatwo płacze, kiedy jest zdenerwowana. Poza tym twierdzi, że nie mamy prawa wsadzać nosa w twoje sprawy. Odpowiedziałem jej, że nie ma racji, przecież jesteśmy najbliższymi krewnymi. Któż lepiej zatroszczy się o ciebie teraz, gdy Keith jest... chciałem powiedzieć - teraz, kiedy jesteś sama?

Cammie, uświadomiwszy sobie, co wuj miał na myśli, wpadła w złość. Z naciskiem, starając się nie podnosić głosu, oznajmiła:

- Ciocka Sara ma rację. Nie ma potrzeby, żebyś zawracał sobie głowę moimi sprawami.

- Mam się nie martwić? Naszym obowiązkiem jest pilnować ciebie, zwłaszcza kiedy dzieją się takie rzeczy jak strzelanina o trzeciej nad ranem.

- Wszystko z powodu Keitha i drobnych kłopotów z nim związanych. Już ci o tym mówiłam. Nie dociera do niego fakt, że to już nie jest jego dom.

- A więc strzelałaś do niego? - w głosie wuja słychać było wyraźną dezaprobatę.

- Wydawało mi się, że była to jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić.

- Mogłaś z nim porozmawiać, próbować mu wyjaśnić.

Kiedy wuj się schylił, by wypić letnią już kawę, pukiel białych włosów zalśnił srebrzyście nad jego wypukłym czołem.

- Nie mam zamiaru niczego wyjaśniać - odparła stanowczo.

- Małżeństwo, moja droga Camillo, jest świętą instytucją, usankcjonowaną przez Boga. To nie jest umowa, którą można zerwać. Powinnaś wejrzeć w swoje serce i szukać przebaczenia, które pozwoli ci zająć należne miejsce żony.

- Dziękuję za twoją troskę - odparła - ale nie potrzebuję przebaczenia. Już dawno odkryłam, że wolę być sama niż mieć męża, który nie rozumie ani wierności, ani tym bardziej świętości małżeństwa.

Wuj poczuł się urażony. Krew napłynęła mu do twarzy, a wypukłe szare oczy miały błyskawice.

- Ośmielasz się mówić do mnie tak po tym, jak na wpół ubrana biegałaś po całym mieście? I po spędzeniu nocy z Reidem Sayersem?

- Nie myślę... - zaczęła.

Wielebny Taggart grzmiącym głosem, jakim zazwyczaj głosił kazania, nie dopuścił do obrony.

- Oczywiście, wcale nie myślisz! Wiele godzin samochód tego mężczyzny stał na twoim podjeździe. Wszyscy to widzieli. Lepiej uważaj, bo możesz się znaleźć w poważnych tarapatach. Sayersowi nie można ufać. Nie uwierzyłabyś, co ludzie o nim opowiadają.

- Jestem pewna, że ty wierzysz, i opowiesz mi o tym.

- Uważam to za swój obowiązek, ponieważ brak ci rozumu, nie wspominając już o skrusze. Sayers jest niebezpieczny, ma psychopatyczną osobowość. W Siłach Specjalnych przygotowywano go do zabijania ludzi. Sam byłem w wojsku, więc wiem, jak to jest. Nie wiadomo, ilu ludzi zabił. Gdzieś na Zachodzie prawie zamordował także kobietę. Był na Środkowym Wschodzie po uszy zamieszany w ten cały bałagan z Żydami i Bóg wie, gdzie jeszcze. Teraz kryje się w rezerwacie i w starym domu siedzi sam, bez przyjaciół i znajomych.

- Myślę, że w tej sytuacji chciałbyś znaleźć kogoś, kto by mu pomógł. Wszak tego wymaga chrześcijańska dobroć, prawda? - zauważyła złośliwie.

Mięsista twarz starszego pana niepokojąco zmieniała kolor.

- Nie próbuj mnie pouczać, co mam robić, Camillo! Sayersowi nie można pomóc tu, na ziemi. Ludzie powiadają, że ma prawdziwy arsenał: wszelkiego rodzaju broń i ręczne granaty. Trudno przewidzieć, kiedy zechce się tym posłużyć.

- To śmieszne - warknęła Cammie. Przypomniała sobie, jakie wrażenie wywarł na niej Reid, kiedy powiedział, że może być niebezpieczny. Ale zbyt wściekła na wuja, nie zastanawiała się nad tym dłużej.

- Kiedy pewnego dnia zwróci się przeciwko tobie, zmienisz zdanie. Może wówczas sobie przypomnisz, że próbowałem cię ostrzec. - Jednym haustem wypił resztkę kawy i głośno odstawił filiżankę.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne - odparła. - Przepraszam cię, ale muszę kończyć się pakować. Powiedz cioci Sarze, żeby się nie martwiła, nic złego mi się nie stanie.

Cammie zerwała się z krzesła, zmuszając tym samym do wstania wuja, który zawsze dbał o etykietę. Wysunęła się z kuchni i otworzyła na oścież przeszklone drzwi na końcu holu.

Wuj ją minął, po czym się zatrzymał i odwrócił, ukazując niezadowoloną minę.

- Zdaję sobie sprawę, Camillo, że już nie jesteś podlotkiem. Wiem również, że do tej pory prowadziłaś spokojne, normalne życie. Ale jesteś zbyt łatwowna i niewiele wiesz o takich mężczyznach jak Sayers. Po prostu radzę, żebyś była ostrożna.

Istniało prawdopodobieństwo, że przynajmniej w części jego troska była szczerą. Nie umiał jednak wyzbyć się swojego kaznodziejskiego tonu ani zapanować

nad zarozumiałstwem. Cammie często żałowała, że wujostwo nie mieli dzieci. Z szóstką dzieciaków wuj prawdopodobnie miałby dla niej mniej czasu.

- Dobrze, postaram się o tym pamiętać.

- Koniecznie. Chciałbym, żebyś dała Keithowi szansę. Popełnił błędy, ale któż z nas ich nie robi? - widząc zawziętą twarz Cammie, dodał pośpiesznie: - Byłbym szczęśliwy, gdybyś pozwoliła mi przeprowadzić cię przez ten trudny czas, gdybyś zechciała pomodlić się razem ze mną.

Cammie uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała na propozycję wuja. Zarówno rodzice Cammie, jak i ona sama nigdy nie chodzili do kościoła, w którym wuj pełnił posługę. Czuł się tym zakłopotany. Rodzina Greenleyów od pokoleń uczestniczyła aktywnie we wszystkich akcjach małego kościółka stojącego na końcu drogi, na dawnej ziemi Greenleyów. Nie widziała powodów, żeby teraz to zmieniać.

Przez jakiś czas Cammie obserwowała korpulentną postać wuja, widziała, jak szybkim krokiem podszedł do auta i wreszcie odjechał. Dopiero wtedy zajrzała do garażu.

W środku na czterech nowych oponach ze śnieżnobiałymi obrzeżami stał cadillac.

To sprawka Reida. Jak mu się udało tego dokonać? Przecież serwis w miejscowym sklepie z oponami jeszcze nie był otwarty. Zadziwiający mężczyzna. W wielu sprawach.

„Chcę tylko tej nocy!”

Na wspomnienie tych słów coś boleśnie w niej drgnęło.

Jej wypowiedź potraktował dosłownie. A niby dlaczego nie? Wtedy tak myślała albo tak jej się zdawało.

Mimo wszystko nie powinna była tak powiedzieć. Na myśl o tym, co działo się tej nocy, oblała się rumieńcem.

Co w nią wstąpiło? Co ona o niej pomyśli?

Tak bardzo różnił się od Keitha. I nie pod względem budowy ciała ani doświadczenia, choć oba te elementy odgrywały rolę. Najważniejsze jednak było to, że umiał koncentrować się na wszystkim, co robił. Jakby nic innego nie istniało w tamtej chwili poza nimi obojgiem. Liczyła się tylko rozkosz, jaką z niej czerpał i jaką jej dawał. Przeżywała cudowne chwile, niewyobrażalne doznania, a nade wszystko czuła się kochana.

Chciała mieć jeszcze więcej. Mógłby stać się dla niej niebezpiecznym narkotykiem, od którego mogłaby się uzależnić.

Od strony pralni nadeszła Persephone ze stertą złożonych ściereczek. Z ciemnej twarzy patrzyły na Cammie przenikliwe oczy.

- Nie poczęstowałaś księdza moim brzoskwinowym napojem?

- Zupełnie zapomniałam - stropiła się Cammie.

- No właśnie - padła sucha odpowiedź, a zaraz potem pytanie: - Na pewno się śpieszył?

Cammie, uśmiechając się, ze znużeniem potrząsnęła głową.

- On ma tyle ludzkich spraw na głowie.

- Nie wiesz o tym - zachichotała Persephone i z błyszczącymi oczami mówiła dalej: - Pan Reid był tutaj do późna w nocy.

Cammie spojrzała na gospodynię.

- Skąd o tym wiesz?

- Lizbeth jest moją kuzynką. Pracuje u niego.

- Nie wiedziałam o tym.

Teraz, kiedy się przyjrzała, dostrzegła podobieństwo między tymi dwiema kobietami; obie miały jasnobrązowy kolor skóry i takie same długie włosy. Persephone była drobniejsza, ale w tej skromnej posturze tkwiła wielka siła. Siwiejące włosy ciasno zwinęła w węzeł na czubku głowy.

- Mam prawie tylu kuzynów co ty, a może nawet więcej - pochwaliła się Persephone, podnosząc ramię. - W każdym razie Lizbeth powiedziała, że nie było go przez cały dzień, a kiedy wrócił, znowu poszedł do lasu. Od czasu jego dzieciństwa nie widziała tylu pomiętych i przemoczonych ubrań, a trudno znaleźć porządniejszego mężczyznę.

Reid nie wyjawiał Lizbeth wszystkich swoich tajemnic. To było oczywiste. Gammie ze smutkiem sobie uświadomiła, że ona właściwie niczego nie ukrywa przed Persephone. Nie miała też ochoty na kończenie rozmowy z gospodynią, bo sprawiało jej przyjemność słuchanie opowieści o życiu Reida.

- Czy nie miał trudności z powrotem do domu? - spytała.

- Nie, chociaż wyglądał na przygnębionego. Lizbeth mówiła, że jak tylko się rozwidniło, zaczął telefonować. Wydaje się, że się wybiera w podróż.

- Go?

W ciemnych oczach Persephone pokazał się błysk sympatii.

- Nie powiedział, dokąd jedzie, ale podjął już decyzję i chciał mieć pewność, że się tam dostanie.

Pierwszą godzinę jazdy do Nowego Orleanu Cammie dręczyła się informacjami o Reidzie. Dlaczego jej nie wspomniał, że wybiera się do miasta? Co prawda nie było wiele okazji ku temu, ale przecież mógł jej coś szepnąć, gdy mu powiedziała, że wyjeżdża na weekend.

Może istniała jakaś przyczyna, dla której nie chciał mówić? Może pojechał na spotkanie z inną kobietą? Może łączyły go interesy z jakąś grupą nieodpowiedzialnych pravicowców, którzy chcąc przejąć władzę, potrzebowali jego zbrojowni? Może wezwało Reida CIA, by go wysłać w jedną z tych niebezpiecznych misji do Europy Środkowej lub do Chin?

Wkrótce się jednak zreflektowała: Przecież była tak samo śmieszna jak wuj. Reid ma absolutne prawo jechać, dokąd chce, i zostać tam tak długo, jak mu się będzie podobało. Nie miała prawa dysponować jego czasem ani tego nie chciała. Nic jej nie był winien, a już na pewno nie musiał szczegółowo informować o swoich planach na najbliższe dni; tym bardziej noce...

Pojedzie do Crescent City i będzie się dobrze bawić. Zapomni o Keicie i jego zalotach, wyrzuci z pamięci Greenley i Reida, płotki i całą resztę; będzie jadła wykwintne potrawy, wypije trochę wina i parę razy zatańczy. A może przetańczy całą noc? Czuła potrzebę oderwania się od codzienności, odprężenia. Może się to udać tylko w mieście znanym pod hasłem „porzuć troski”.

Kiedy dotarła do Aleksandrii i wydostała się z wąskiej dwupasmówki 167 na między stanową autostradę 49, poczuła się znacznie lepiej. Uśmiech nie schodził jej z twarzy, gdy przejeżdżała wielkim mostem nad Missisipi, ciągnącym się do Baton Rouge. Już wiedziała, że znajduje się po wschodniej stronie rzeki. Zanim przejechała tamę Bonne Carre na międzystanowej autostradzie 10 i spostrzegła brunatny ogrom jeziora Pontchartrain, ogarnęła ją niemal euforia.

Nowy Orlean był dla niej zawsze - i chyba już pozostanie - wyjątkowym miastem. Powietrze było tu delikatniejsze, tempo życia wolniejsze, muzyka gorętsza, a nastrój swobodniejszy. W Nowym Orleanie drzewa oliwne kwitły wcześniej, roztaczając swą słodką woń. Różnorodne zapachy przygotowywanych na ulicach owoców morza przenikały do zarodników i zmuszały je do wcześniejszego przebudzenia. Nieustannie fascynowała Cammie bogata różnorodność kolorów i ras, charakterów i warstw społecznych. Stare budynki, takie jak Beauregard House i Cabildo, oraz rzeka, wijąca się jak ogromny wąż wokół miasta, dawały jej poczucie

cudownej niezmienności. Nowy Orlean był dla niej wyzwaniem, ale także miejscem, w którym mogła odpocząć. Była tu po prostu sobą, nie czuła odpowiedzialności za nazwisko Greenley „z tych Greenleyów”. Uwielbiała to uczucie.

Hotel the Royal Orleans, w którym zorganizowano konferencję Codofilu, miał najbardziej francuski charakter. Został zbudowany na miejscu słynnego, starego St. Louis Hotel, ulubionego przed wojną secesyjną przez starą arystokrację kreolską. Znajdował się w samym sercu dzielnicy francuskiej, u zbiegu ulic Royal i St. Louis. Gammie nie mieszkała w hotelu, ale miała do niego niedaleko. Zaproponowano jej mieszkanie u przyjaciela rodziny, adwokata z Baton Rouge; wynajmował pokoje biznesmenom lub tym, którzy przyjeżdżali do miasta, aby się zabawić.

Gospodarzami mieszkania było starsze małżeństwo pracujące u adwokata. Oni właśnie wprowadzili Gammie do mieszkania, wcisnęli jej do ręki kieliszek wina i wysłali do ogrodu, by odpoczęła po podróży, sami zaś zajęli się rozpakowywaniem jej bagażu.

Słońce zaszło i wieczorne cienie kładły się między starymi murami. Popijając białe wino, Cammie chłoneła świeże, ciepłe powietrze i lekkie podmuchy wiatru znad rzeki. Hałas ulicy tłumiły grube mury; dochodził tu tylko monotony szum. Powoli opadało z niej napięcie pod wpływem zapachu jaśminu zwanego konfederacją, winorośli oplatającej ścianę, delikatnego poszumu liści bananowca. Kojąco działało melodyjne kapanie wody płynącej z fontanny otoczonej kwitnącą czerwono i koraloworóżowo balsaminą.

Kiedy zamykała oczy, niemal czuła obecność Reida obok siebie. Gdyby tutaj był, mogłaby tak siedzieć bez końca i rozkoszować się ciszą. Może by rozmawiali o nieistotnych sprawach, a uczucie oczekiwania na długą noc - noc miłości - przepływałoby między nimi



jak fala. Może wzięłby jej rękę i zamknął w swojej dłoni tak, że cała by się w niej skryła. Może podniósłby jej rękę do ust i lekkim muśnięciem języka pocałował?

Marzenia...

Kiedyś myślała, że już z nich wyrosła, że jest na to zbyt dojrzała. Najwidoczniej się myliła. Cóż jednak w tym złego, dopóki wie, gdzie kończą się marzenia, a gdzie zaczyna rzeczywistość?

Z trudem zwlekła się z krzesła i weszła do środka. Nie było jednak na to rady: musi się przygotować na koktajl poprzedzający otwarcie konferencji.

Matka Cammie była spokrewniona z rodziną Barrowsów z południowej Luizjany, wywodzącą się z kolei od Barrowsów z Wirginii.

Nie przywiązywała wagi do związków rodzinnych, ale po rodzicach odziedziczyła pewne zasady. Była na przykład przekonana, że majątek zgromadzony przez poprzednie pokolenia nie ulega modzie. Uważała, że jakość była jedynym liczącym się kryterium; i dotyczyło to zarówno marek samochodów, jak i mebli, także ubrań, a nawet przyziemnych rzeczy, takich jak nożyce ogrodowe.

Nie wierzyła w metki znanych projektantów.

Według niej istniało kilka klasycznych fasonów uszytych z naturalnych tkanin, nadających się na wszystkie okazje: od wieczorowego stroju począwszy, a na płaszczu przeciwdeszczowym skończywszy. Reszta to były zwariowane pomysły nowobogackich, którzy za wszelką cenę chcą pokazać swoją zamożność, albo kaprysy nastolatek pragnących odróżnić się od innych.

Cammie akceptowała opinie matki, ponieważ były proste i łatwe. Suknia z jedwabnej krepy, w której miała wystąpić na wieczornym przyjęciu, miała kształt klasycznej czarnej tuby. Była zapięta na lewym ramieniu, z boku zaś dzięki nie zaszytej fałdzie otwierała się w czasie ruchu.

Założyła biżuterię matki. Była to złota szpilka w kształcie lilijki Bourbonów, para błyszczących kolczyków i komplet grzebieni spinających włosy, wysadzanych brylancikami. Kiedy szła, długa fałda sukni rozchyłała się na kilka centymetrów nad kolanem, ukazując wysmukłe nogi. Całość sprawiała wrażenie wytwornej prostoty.

Właśnie spryskiwała lakierem włosy, by zapobiec wysuwaniu się kosmyków, kiedy odezwał się dzwonek u drzwi. Była tym zaskoczona, gdyż najwyżej dwie osoby uczestniczące w konferencji znały adres, pod którym się zatrzymała, a nie umawiała się z nimi przed przyjęciem. Wstała od toaletki, poprawiła suknię, przeszła przez zastawioną antykami sypialnię i weszła do salonu.

Wyprostowany i oficjalny odźwierny otworzył drzwi przybyszowi. Złożył mu ukłon, po czym dyskretnie się oddalił.

Mężczyzna odwrócił się w stronę Cammie. Odsunął atłasową klapę doskonale skrojonego smokingu i włożył rękę do kieszeni. Ruchem tym odsłonił śnieżną biel gorsu, złote spinki i czarny pas wokół szczupłej talii. Patrzył na nią z podziwem i wyczekiwaniem.

Na ogół wszyscy mężczyźni dobrze wyglądają w smokingach, niektórzy wyglądają w nich oszałamiająco, a tylko nieliczni noszą je z naturalną swobodą; ten mężczyzna tak go właśnie nosił.

Kiedy skłonił głowę w geście powitania, światło zyrandola padło na jego włosy w kolorze starego złota. Dostrzegł wyraz niedowierzania na twarzy Cammie i łagodny uśmiech zaigrał na jego wargach.

- Przyszedłem - powiedział spokojnie - żeby się dowiedzieć, czy nie potrzebujesz eskorty. Tylko na dzisiejszą noc.

To był Reid.

W celu utrzymania francuskiego charakteru konferencji postarano się, aby przyjęcie koktailowe odbyło się w rezydencji położonej w dzielnicy francuskiej, niedaleko Jackson Square. Dekoracje ozdobiono flagami francuską i stanu Luizjana, przedstawiającą pisklę pelikana na niebieskim tle.

Konferencję zaszczycił ambasador Francji ze swoją uroczą małżonką. Oboje wyglądali na lekko znudzonych, acz pełnych łaskawości. Gubernator, obdarzając zebranych dyplomatycznym uśmiechem, krążył pomiędzy gośćmi i szczerze szafował dowcipami mówionymi z akcentem typowym dla pierwszych francuskich emigrantów. Wszędzie widać było nie kończące się powitania senatorów i innych przedstawicieli władzy. W kątach sali rozmawiano przyciszonym głosem. Przedstawiciele Neville Brothers byli wyjątkowo z siebie zadowoleni. Harry Connick junior usadowił się blisko okien, ale niezbyt daleko od drzwi, na wypadek gdyby musiał ratować się szybką ucieczką. Tu i ówdzie przewijały się postaci aktorów z miejscowej telewizji. Krążyła plotka, że ma się pojawić sama Ann Rice. Jakaś niezbyt trzeźwa dama z towarzystwa przyjmowała zakłady, czy przyjdzie ubrana na czarno, czy też nie. Członkowie Codofilu rekrutowali się w większości z urzędników i nauczycieli pochodzących ze starej francuskiej emigracji; ich skromność zwracała powszechną uwagę.

Jedzenie w Nowym Orleanie stanowiło zawsze dużą atrakcję. W wielu miejscach porozstawiano ogromne tace z pięknie ułożonymi owocami, srebrne półmiski z warzywami i naczynia z sosami. Kucharze w wysokich czapkach kroili z ogromnego udźca kawałki pieczonego wołu i nadziewali na małe bułeczki. Były również gotowane młode ziemniaki, przekrojone na pół, smarowane śmietaną z odrobiną kawioru; ostrygi na półówkach muszli; pieczone na ruszcie, owinięte w płaty boczku małe krewetki; zawijane kraby przyprawione na ostro i jeszcze wiele innych smakowitości.

Ubrani na biało kelnerzy roznosili wina i alkohole. Z dziedzińca dobiegały dźwięki orkiestry jazzowej grającej znane i lubiane melodie, a wewnątrz sali kwartet skrzypcowy grał utwory Verdiego i Mozarta.

To przyjęcie w Nowym Orleanie nie różniło się od setek innych, na których Cammie bywała. Najbardziej zadziwiającym zdarzeniem była łatwość, z jaką Reid przystosował się do sytuacji. Przechadzał się po sali, świadomie kierując się w stronę zacisznych kątów. Zatrzymywał się, zagradzał Cammie drogę; zachowywał się jak typowy południowiec. W każdym towarzystwie był swobodny i uśmiechnięty. Często inicjował konwersację, a swoje poglądy wyrażał z dużą pewnością siebie. W rozmowach przewijały się francuskie żarty, stanowiące nieodłączną część wieczoru. Reid nie tylko je rozumiał, ale także często uzupełniał.

Zmiana ta zburzyła opinię, jaką Cammie sobie wyrobiła o Reidzie. Wciąż na niego patrzyła i porównywała w myślach do mężczyzny, którego znała z lasu. Do tej pory była przekonana, że jest niewykształconym ignorantem, nie umiejącym znaleźć się w towarzystwie, nie mającym pojęcia o prowadzeniu dyplomatycznej rozmowy.

Kiedy stali samotnie przy otwartych drzwiach, Reid dostrzegł jej spojrzenie. Przez sekundę w jego oczach

pojawiło się pytanie, lecz po chwili uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Ach, te przyjęcia w ambasadzie - powiedział, wzruszając ramionami, jakby czytanie w jej myślach było rzeczą łatwą. - Przez parę lat często bywałem w Waszyngtonie. Mój dobry znajomy jest Francuzem z Tel Awiwu. Obecnie przebywa w Nowym Jorku.

- Pracowałeś z nim w czasie intifady\*? - zaciekała się.

Uśmiech zniknął z jego warg, a oczy przybrały kolor stali.

- Skąd masz takie wiadomości? - zapytał ostrym, chrapliwym głosem.

- Z papierni - odpowiedziała szybko. - Czy jest w tym coś złego?

Odwrócił od niej spojrzenie.

- Nie - odparł beznamiętnie po chwili zastanowienia. - Czasami tylko zapominam, jak bolesne potrafią być plotki.

W głosie Reida było coś, co poruszyło jej ciekawość. Przechylając głowę, indagowała:

- Czy długo byłeś w Izraelu?

- Dostatecznie długo.

Jakby jakieś bariery stanęły między nimi i zastopowały rozmowę. Dalsze drażnienie tego tematu nie miało sensu; było oczywiste, że nie powie nic więcej poza tym, co chciałyby, żeby wiedziała.

W jakiś szczególny sposób to odcięcie części jego jaźni, do której nie miała dostępu, wzbudziło w niej szacunek. Chociaż miała pokusę, by jeszcze go prowokować, nie pozwalały jej na to dobre maniery.

Zmieniając drażliwy temat, zapytała:

\* Intifada - powstanie palestyńskie na ziemiach arabskich okupowanych przez Izrael (przyp. tłum.).

- Dlaczego przyszedłeś dziś wieczorem? Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

Ze zdziwieniem, jakby dopiero przed chwilą ją zobaczył, spojrzął na trzymaną w rękę szklaneczkę z bourbonem i wodą sodową.

- Wydawało mi się to równie dobrym sposobem spędzenia weekendu jak każdy inny.

- Wciąż jednak nie rozumiem, jak ci się udało zdobyć zaproszenie.

- Przez znajomości.

Brzmiało to prawdopodobnie. Spozregła, że ukłonił się kobiecie, która była oficerem łącznikowym w ambasadzie francuskiej. Bez wątpienia jeszcze jedna znajomość z waszyngtońskich czasów. Senator Grafton, reprezentujący swój okręg, bardzo wpływowy człowiek na Kapitolu, zatrzymał Reida, który szedł po nowe napoje, i rozmawiał z nim dobre piętnaście minut.

Pojawienie się Reida w Nowym Orleanie bardzo jej pochlebiało, chociaż wprawiło w stan zdenerwowania. Czyżby się spodziewał dalszego ciągu poprzedniej nocy? I wreszcie - czy ona sama tego chciała?

- Nie przypominam sobie, żebym mówiła, gdzie się zatrzymam.

Sama również nie pomyślała, by go o to zapytać. Była tak zaskoczona, kiedy się pojawił, i zdziwiona, że wiedział, gdzie ją znaleźć, iż dała się zaprowadzić na przyjęcie jak potulne jagnię.

- Windsor Court - odpowiedział z rozbawieniem. - Jak widzisz, nie wziętem tego powitania za rzecz oczywistą.

Odpowiedziała mu zdawkowym uśmiechem. Seks bez ograniczeń, ale i bez oczekiwań, między dwiema obcymi osobami - oto co mu zaproponowała. A on się na to zgodził.

Krył się w tym silny erotyzm, zwłaszcza gdy mężczyzna jest tak pociągający jak Reid Sayers. Po raz

pierwszy w życiu była świadoma swojej kobiecości. Gorące spojrzenia, jakie rzucał na nią, kiedy nie miał się na baczości, były prawdziwą pieśczętą. Widziała, jak głęboko oddychał, stojąc przy niej, a za chwilę uśmiechnął się i udawał, że podoba mu się woń jej perfum pachnących gardenią. Kiedy jej dotknął, czuła, że robi się po prostu miękka.

Było to przerażające, ale i podniecające zarazem.

I bardzo kuszące.

Po tej jedynej, zdumiewającej nocy nie była pewna, czy ich związek będzie trwały. Zbyt wiele pułapek czyhało na nich, wiele niewiadomych, zbyt wiele różnic ich dzieliło. Tylu ludzi o nich wiedziało, że tego związku nie dało się utrzymać w tajemnicy.

Nie miała wątpliwości, że wiadomość o ich wspólnym pobycie w Nowym Orleanie już dotarła do Greenley. Z łatwością mogła sobie wyobrazić dzwoniące bez końca telefony i gadające plotkary pchające wózki w sklepie spożywczym. Bogata wyobraźnia ludzi wychowanych na programach telewizyjnych, nadawanych w czasie największej oglądalności, ograniczała się do określonych sytuacji. Według plotkarzy w tej chwili znajdują się w jakimś apartamencie hotelowym, leżą nadzy na łóżku, popijają szampana, popełniają różne grzeszne i lubieżne czyny.

- O czym myślisz? - spytał Reid zaniepokojony rumieńcami na jej twarzy.

Objęła go uważnym spojrzeniem.

- O naturze ludzkiej - odpowiedziała ochryłym głosem.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Nogi Cammie, obute w czarne, jedwabne pantofelki, zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Uśmiechała się z wysiłkiem. Oficer łącznikowy - kobieta ubrana w bardzo szykowną krótką suknię z żółtego jedwabiu od Yves Saint Laurenta - porwała Reida, by przedstawić go swoim przyjaciołom. Zaszli się w rogu pokoju, śmiejąc się i rozmawiając tak

cicho, że Reid, by słyszeć, musiał nisko pochylić głowę, prawie dotykał jej ust.

Nie tylko Francuzka zwróciła na niego uwagę. Dwie młode, sztucznie roześmiane nauczycielki przynajmniej trzy razy przechodziły obok niego. Jakaś kobieta w czerwonej sukni, o kruczoczarnych, ufarbowanych włosach, patrzyła na niego pożądliwie. A rudowłosa piękność w sukni pokrytej świecącymi paciorkami w kolorze akwamaryny rzucała Reidowi płomienne spojrzenia za plecami swojego łysiejącego męża.

Sytuacja mogłaby być nawet zabawna, gdyby nie to, że Cammie miała świadomość, iż Reid przez cały czas panował nad wszystkim i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Być może był zbyt czujny.

Przyjęcie powoli się kończyło.

Cammie obserwowała małżeństwa, przeważnie starsze, które porozumiewały się spojrzeniem rzucanym przez całą salę, dając sobie sygnał, że pora iść do domu. Ten sposób komunikacji działał niezawodnie. Cammie powątpiewała, czy w ich przypadku zda egzamin, ale chciała spróbować. Spojrzała w stronę Reida.

Pochwycił jej wzrok z uśmiechem i prawie niedostrzegalnie skinął głową. Przez chwilę zapało jej dech.

Poczuła, jak ktoś lekko dotknął jej łokcia.

- Pani Hutton, przez cały wieczór pragnąłem z panią porozmawiać, ale zawsze była pani otoczona gośćmi. Czy może mi pani teraz poświęcić choć chwilę?

Cammie odwróciła się i zobaczyła senatora Graftona. Wysoki, z lekka pochylony, o podłużnej twarzy i prostych włosach, roztaczał wokół siebie atmosferę melancholii, co tak umiejętnie wydobył na jego późniejszych portretach Jefferson Davis. Grafton był dalekim krewnym poprzedniego prezydenta konfederatów. Ten fakt z ręcznie wygrywał, zwłaszcza że należał do Partii Demokratycznej i był uzależniony od głosów Murzynów.



Cammie podała mu rękę i przywitała się uprzejmie. Na wyjaśnienia nie czekała długo.

- Jest pani wybitną przedstawicielką młodszej generacji rodu Greenley i wiem, że jest pani osobą wpływową w tym środowisku - z poważnym uśmiechem zaczął senator. - Chciałem panią prosić o poparcie projektu dotyczącego papierni. Szwedzkie Towarzystwo usilnie stara się wejść na amerykański rynek, ale chce uniknąć wszelkich kłopotów. Zdaję sobie sprawę, że poglądy starszych mieszkańców miasta są konserwatywne i oni właśnie mogą przeszkodzić w sprzedaży. Jestem jednak pewien i mam nadzieję, że zgodzi się pani ze mną, iż perspektywa dodatkowych dwóch tysięcy miejsc pracy ma swoje znaczenie. To powinno być decydujące.

Cammie patrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Chce pan powiedzieć, że jakieś Szwedzkie Towarzystwo negocjuje kupno papierni?

~ Czyżby pani o tym nie wiedziała? Przypuszczałem, przecież jest pani w towarzystwie Sayersa... - senator się zawahał, wyraźnie zakłopotany gafą, jaką popełnił.

- Nie, nie wiedziałam - przyznała Cammie otwarcie. - Ale nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, zwłaszcza jeżeli sprzedaż ma się wiązać z rozbudową i utratą terenu.

- Korzyści jednak będą ogromne. Oczywiście, mam na myśli stronę finansową.

Ojciec Cammie był konserwatystą w wielu dziedzinach. Jej również nie były obce rozmowy o terenach zabieranych przez przemysł, co nie zawsze pozostawało w zgodzie z wymaganiami ekologii. Umiłowanie lasów ciągnących się wokół Evergreen wyczuliło ją na tę sprawę. Przechyliła głowę i patrząc uważnie, powiedziała:

- Obecna wydajność papierni gwarantuje równowagę między lasem a działem wodnym. Co się stanie, kiedy wzrośnie wydajność?

Senator Grafton z wyraźnym zakłopotaniem dotknął węża krawatu.

- Nie znam się na tym, ale jestem pewien, że zostaną poczynione wszelkie starania, by wszystko odbyło się zgodnie z przepisami.

- Przepisy są znakomite, lecz nie one przecież decydują o jakości wody, którą piją ludzie, i czystości powietrza, jakim oddychają. Na szczęście istnieje jeszcze rezerwat dzikich zwierząt. Dwa tysiące nowych miejsc pracy to podwojenie produkcji. A to oznacza dwa razy więcej ściętych drzew, na skutek czego o połowę zmniejszy się rezerwat. Czy są opracowane jakieś dane ukazujące rezultat tych straszliwych żniw?

- Z całą pewnością nie mógłbym tego powiedzieć. Jak pani prawdopodobnie wie, moim zadaniem jest namawianie do inwestowania w Luizjanie. Nowe inwestycje zwiększą dochody państwa i poprawią jakość życia. - Widząc, że Reid zręcznie manewruje, by się do nich zbliżyć, senator zamierzał odejść. - Zawsze na pierwszym miejscu stawiam ludzi - zakończył pompatycznie. - O szczegółach może pani porozmawiać z Sayersem. Właśnie tu idzie. Ponieważ on ma większość udziałów w papierni, będzie musiał podjąć ostateczną decyzję.

Senator sztywno się skłonił i odszedł w stronę czekającego nań sekretarza. Reid uważnie go obserwował, po czym zbliżył się do Cammie.

- Przypuszczam, że się domyślasz, o co tu chodzi - zwróciła się do niego.

- Obawiam się, że tak.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytała gniewnie. Reid długo milczał, zanim odpowiedział.

- Byłem zajęty innymi sprawami. Poza tym nie ma tak wiele do mówienia. Z przyjemnością udzielę ci wszelkich wyjaśnień, tylko nie tutaj. Może przy obiedzie?

Restauracja byłaby terenem neutralnym - pomyślała Cammie - znacznie lepszym niż jej wynajęte mieszkanie. Pozostawanie w nim sam na sam nie było w tej chwili dobrym pomysłem. Zapytała wprost:

- A więc gdzie?

Odsunął rękaw koszuli i spojrzął na płaski złoty zegarek.

- Mamy rezerwację w hotelu Louis Sixteen.

Restauracja Louis Sixteen, niezwykle elegancka, utrzymana w kolorach czerwonym i złotym, była jednym z głównych w tym mieście lokali prowadzących francuską kuchnię kontynentalną. Kelner, który ich obsługiwał, należał do zawodowców. Nie był natrętnie nadskakujący, jak to się zdarza w dwóch miastach na kontynencie amerykańskim: w Nowym Jorku i Nowym Orleanie. Cammie potrafiła docenić troskę, jaką Reid wykazał, przygotowując dzisiejszy wieczór. Cieszyła się i smakowała danie serwowane przez kelnera. Ale była trochę roztargniona, jej myśli bowiem zaprzętała papiernia.

Reid ją uspokajał, że nie poczyniono jeszcze żadnych kroków w sprawie sprzedaży. Przedstawiciele Szwedzkiego Towarzystwa jedynie wizytowali papiernię. Jeździli również po okolicy, zapoznając się z zasobami lasów należących do spółki Sayers-Hutton oraz z poważniejszymi dzierżawcami, z którymi umowa została zawarta na dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Potencjalni nabywcy wynajęli prywatną, niezależną firmę rachunkową w celu skontrolowania operacji finansowych. Termin kontroli papierni przypadał za dwa tygodnie. Żadna ze stron nie złożyła jeszcze oficjalnej propozycji.

Cammie, słuchając relacji Reida, skupiała swoją uwagę nie na tym, co mówił, lecz na barwie jego głosu. Kiedy skończył, zagłębiła się w fotelu i spokojnie zapytała:

- To dlatego wróciłeś do domu? Przyjechałeś sprzedać papiernię?

- Wróciłem do domu, ponieważ ojciec mnie o to prosił. To wszystko. Tej samej nocy miał rozległy zawał serca. Zastanawiałem się, czy sprawa sprzedaży nie przyczyniła się do tego. Nie mogę powiedzieć, by perspektywa nie była zachęcająca. Sama dobrze wiesz.

Tak, wiedziała. Wiedziała również, że kiedy rozmawiali o jego włączeniu się w zarządzanie fabryką, powinien był wspomnieć o możliwości sprzedaży. Jednak tego nie zrobił. Dlaczego? Czy wolał zachować tajemnicę, dopóki rozmowy nie zostaną zakończone, by nie wywołać sprzeciwu? A może nie mówił, bo uważał, że to jest jego prywatna sprawa?

Prawdę mówiąc, to jej nie dotyczyło. Fabryka właściwie należała do Reida; mieli w niej niewielki udział Keith i jego brat Gordon. Mógł więc z nią zrobić, co uważał za stosowne. Nawet nie miał obowiązku rozmawiać z nią na ten temat, choćby teraz, przy kolacji. Ale niepokoili ją ważniejsze problemy z tym związane: ludzie i ich egzystencja.

Delikatnie ujęła w palce kieliszek wina i obserwowała złote promienie świecy, stojącej na marmurowym stoliku, odbijające się na jego dnie. Po chwili zapytała:

- Czy pomyślałeś, jaki to będzie miało wpływ na Greenley i okolice?

- Myślałem jeszcze o czym innym - wtrącił szybko. - Greenley jest umierającym miastem, czy tego nie zauważyłaś? Połowa sklepów przy głównej ulicy została zamknięta. Dwie z trzech firm samochodowych upadły. Kiedyś były w mieście trzy kina, siedem lub osiem kawiarni, trzy lub cztery zakłady fryzjerskie. Teraz nie ma żadnego. Dokąd oni wszyscy poszli?

Gammie lekko wzruszyła ramionami.

- Po otwarciu domu towarowego Wal-Mart zamknięto wiele sklepów, takich jak „Pięć Dolarów” czy „Dziesiątka”, gdzie wszystko sprzedawano za dolara. Wal-Mart zatrudnia dwa razy tyle ludzi, ile figuruje na listach płac wszystkich zlikwidowanych sklepów. Kawiarnie pozamykano, kiedy pojawiły się bary szybkiej obsługi, męskie zakłady fryzjerskie zamieniono na salony dla obojga płci. Jedną z przyczyn tych zmian jest także ruchliwość ludzi wyjeżdżających do większych miast,

w których mają duży wybór towarów. To wcale nie znaczy, że następuje wyludnienie miast.

- Oni jednak wyjeżdżają - upierał się Reid. - Mimo najlepszych chęci uratowania miejsc pracy fabryka musi stać się konkurencyjna w przemyśle papierniczym. A to oznacza zmniejszenie zatrudnienia w stosunku do tego, jakie było dziesięć lat temu.

- Rodzi się również mniej dzieci - zauważyła Gammie.

- To prawda, ale nie to jest najważniejsze. Ludzie mają teraz więcej pieniędzy i mogą więcej wydać na kształcenie dzieci. Te zaś wracają po studiach ze stopniami naukowymi i okazuje się, że w Greenley nie ma dla nich pracy. Wyjeżdżają więc do Nowego Orleanu i Baton Rouge, Atlanty i Los Angeles. Tak być nie musi.

- Być może. Miastu potrzebny jest wielobranżowy przemysł. Zbyt długo w Greenley istniała jedynie fabryka papieru i nic więcej.

- Zgadzam się z tobą - odparł Reid poważnie - lecz nie będzie to możliwe, jeżeli nie będziemy mieli łatwiejszego dostępu do rynków krajowych. A z tym wiąże się budowa czteropasmowej autostrady przez północną Luizjanę. Ale to się nie zdarzy, dopóki w kasie państwowej nie będzie więcej pieniędzy, nie nastąpi zwrot w polityce ekonomicznej i nie zaczną napływać wielki kapitał. To są plany zakrojone na lata. Tymczasem Szwedzi chcą przejąć fabrykę teraz.

Gammie z zaciśniętymi ustami pochyliła się w jego stronę.

- Przede wszystkim zabiorą zbyt dużo lasu - powiedziała z naciskiem - nawet jeżeli pozostawią pnie. Bez korzeni, które trzymają glebę, strugi wody po deszczach wypełnią dopływy i odnogi rzeki; w rezultacie zalewiska rzeki i jeziora pokryje szlam. Po zanieczyszczeniu wód w latach czterdziestych i pięćdziesiątych wiele dróg wodnych nie wróciło do normy; nie zniosą

już nowego zagrożenia. Miasto straci tyle samo na turystyce, co zyska na nowych miejscach pracy.

- Służba leśna kontroluje drogi wodne - wtrącił Reid nieco zniecierpliwiony. ~ Poza tym warunki umowy nie zezwolą na taką degradację.

- Może i nie; ale nie zauważyłam, żeby się przemawiali, gdy jeden lub dwa strumyczki przestaną istnieć. To wszystko się sumuje.

- W tym czasie powstanie dwa tysiące nowych stanowisk pracy. Oznacza to, że albo dwa tysiące rodzin zostanie na miejscu, albo się wyprowadzi. W sumie kilka tysięcy ludzi osiągnie wyższy poziom życia.

- Jest jeszcze inny problem - nalegała Cammie. - Jedynym miejscem, gdzie można dokonać rozbudowy, jest teren za istniejącą fabryką. Na tej ziemi rośnie dziewiczy las, jeden z nielicznych takich obszarów w tym stanie. Nigdy tam niczego nie rozwijano, nie ulepszano ani nie wycinano; wyjątek stanowi przygotowanie szlaków turystycznych, kilku miejsc na pikniki i kempingi.

Reid zacisnął usta, tak że wyglądały jak cienka kreska.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ponieważ mój ojciec, a przedtem mój pradziad zadali sobie wiele trudu, by zachować ten teren jako park naturalny.

- A czy zdajesz sobie sprawę, że w północnym stanie są to najważniejsze tereny lęgowe dzięciołów z gatunku Skromnych? Czy wiesz, że temu właśnie gatunkowi zagraża wymarcie?

- To nie jest jedyne miejsce, w którym żyją dzięcioły.

Z jego głosu Cammie wywnioskowała, że przyjął pozycję obronną.

- Oczywiście, że nie - powiedziała stanowczo - ale jest to najlepsze miejsce. Wszystkie dzięcioły, a zwłaszcza z tego gatunku, potrzebują do zakładania gniazd starych drzew, których łyko rozkłada się w sposób naturalny. W młodych, szybko rosnących drzewach, sadzonych przez służbę leśną, nie założą gniazd. Będą miały

trudności ze znalezieniem dużych skupisk owadów. Do egzystencji potrzebują tak zwanych twardych drzew, a nie sosnowej pulpy.

- Od kiedy jesteś ekspertem od dzięciołów? - zapytał wyraźnie już poirytowany.

- Całe życie je podglądałam. Mój ojciec lubił obserwować ptaki; te duże z czerwoną kokardką nazywał Indiańską Głową Dzięciołów.

- Tak samo postępował mój ojciec. Mam ogromną sympatię dla dzięciołów i usilnie będę się starał je chronić. Muszę ci jednak przypomnieć, że ludzie są ważniejsi od ptaków.

- Cytujesz teraz senatora - powiedziała urażona uwagą. - Przynajmniej mógłbyś być oryginalny.

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

- A ty przynajmniej mogłabyś się zastanowić, czy senator mnie nie cytuje.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Ze zdenerwowania trzęsły jej się ręce, więc zacisnęła je pod stolikiem.

- Nie ma znaczenia, kto pierwszy powiedział - odparła chropowatym głosem. - To jest dobra wymówka, abyś uczynił tak, jak dla ciebie będzie najwygodniej, a sprawiedliwość niech diabli porwą.

- Wydaje mi się, że w tym wypadku sprawiedliwość zależy od opinii - spokojnie zauważył Reid.

- Bardzo dobrze. Uspokoi to twoje sumienie, kiedy weźmiesz pieniądze i wyjedziesz.

Ogień gniewu zapłonął w jego oczach.

- Nic łatwo nie przychodzi!

- Na pewno nie będzie łatwo - powiedziała gorzko - ponieważ ja tego dopilnuję. Zorganizuję komitet obrony, napiszę petycję, zawiadomię prasę. Zrobię tyle hałasu wokół tej sprawy i zorganizuję tak silną opozycję, że jeszcze zobaczysz! Pozałujesz, że kiedykolwiek słyszałeś o Szwecji, a tym bardziej o szwedzkich inwestorach wykupujących twoją fabrykę.

Odsunął talerz i wychylił się do przodu tak, jakby chciał jej dotknąć, ale zaraz się cofnął, widząc, że Cammie uciekła przed nim.

- Posłuchaj, Cammie - przekonywał żarliwie - jeżeli masz zamiar tak postąpić ze względu na to, co zdarzyło się między nami ubiegłej nocy...

- To nie ma z tym nic wspólnego!

- Czyżby? - odparował. - Myślę, że się boisz. Wydaje mi się, że chcesz usunąć mnie ze swojego życia, a to jest równie dobra wymówka jak każda inna.

Siedziała wyprostowana i wbijała paznokcie w zaciśnięte dłonie.

- Gdybym chciała się ciebie pozbyć, niepotrzebna by mi była żadna wymówka! - powiedziała zduszonym głosem.

- To może być trudniejsze, niż sobie wyobrażasz. Ale nie ma sprawy, odchodzę.

- Mówiłam ci...

- Tak, mówiłaś - przerwał. - Po prostu nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógłby lubić dziecięcy do tego stopnia.

W tym niefortunnym momencie pojawił się kelner, aby spytać, czy może im jeszcze coś podać.

- Rachunek - zadysponował śmiertelnie spokojnym głosem; jego nieprzenikniony wzrok skrywał gwałtowne emocje, niestosowne w cywilizowanym towarzystwie. Twarz miał bielszą od serwetki na swym torsie.

Kelner pobiegł przygotować rachunek, by mogli jak najszybciej opuścić restaurację.

Reid odprowadził Cammie do domu, ale nie wszedł do mieszkania. Nie złożyła mu takiej propozycji, sądząc, że nawet złocone, napisane na czerwonym papierze zaproszenie nie skusiłoby go do wejścia. Była zadowolona - powtarzała to sobie z naciskiem. Nie należała do kobiet, które podnieca gniew. Poza tym co za pożytek



z mężczyzny, który przedkładał pieniądze nad otaczające go piękno? Kiedyś już miała takiego męża.

Po pierwszym gniewie pojawia się depresja. Przez kilka godzin uważała, że Reid jest inny. Pomyłka bardzo ją zabolowała.

Pozostała część konferencji Codofilu minęła jak we śnie. Chodziła na zebrania, pracowała w komisjach, ale prawie nie wiedziała, o czym dyskutują i jakie podejmują decyzje. Brała udział w spotkaniach, piła wino z przyjaciółmi, nie mogąc później sobie w ogóle przypomnieć, co i do kogo mówiła.

Spacerowała po dzielnicy francuskiej i podziwiała prace wędrownych artystów wystawiane wokół Jackson Square. Wstępowała do Cafe du Monde na kawę ze śmietanką i bagietką, w antykwariacie z antyczną biżuterią na Royal Street kupiła bransoletkę z granatów. Pokazała przyjaciółce, która ich nigdy nie widziała, stare domy w Garden District i nabyła letnie ubrania na Canal Place. Spędziła wieczór w lokalu Pat O'Brien, próbując wypić do dna ogromny kielich trunku zwanego huraganem. Wszystko było przyjemne, ale nie zainteresowało jej głębiej.

Czas wolny spędzała na robieniu notatek i planowaniu prac, jakie podejmie po powrocie do domu. Zamierzała zorganizować tak wielką kampanię protestacyjną, z jaką Reid jeszcze się nie spotkał; być może on zdania nie zmieni, ale przynajmniej zobaczy, co to znaczy walka.

Z ulgą przyjęła zakończenie konferencji i udała się w długą powrotną drogę do domu.

Kiedy późnym niedzielnym popołudniem zajechała na podjazd przed Evergreen, zobaczyła landrover Keitha zaparkowany przed domem. Była to ostatnia rzecz, jaką chciała widzieć. Oblał ją zimny pot. Jego samochód blokował wjazd do garażu. Nie miała wątpliwości, że pozwolił sobie na wejście do środka.

Stał w kuchni przy otwartych drzwiach lodówki i z blachy wyjadał placek brzoskwinowy, popijając go mlekiem prosto z kartonu.

- Zgłodniałem, czekając na ciebie - oznajmił, uśmiechając się jak mały chłopiec. - Nikt nie robi lepszego placaka brzoskwinowego niż Persephone.

Cammie postawiła torbę podróżną pod ścianą. Czarną skórzaną torebkę ściągnęła z ramienia i położyła na stole.

- W jaki sposób wszedłeś tutaj? - zapytała starannie kontrolowanym głosem.

Zanim odpowiedział, wstawił na półkę lodówki blachę z plackiem i upił duży łyk mleka.

- Spotkałem męża Persephone, który niósł ci kolację. Powiedziałem, że go w tym wyręcze.

To znaczy, że Keith zastraszył tego wojennego weterana bez nogi i zmusił, by dał mu klucze należące do Persephone. Zastanawiała się, jak długo Keith czekał na niego.

- W tym domu wszystkie zamki mają ponad sto lat, ale jeżeli trzeba będzie, zmienię je. Chociaż wolałabym tego nie robić - zaznaczyła. - Dlatego oddaj mi klucze!

Sięgnął do kieszeni, chwilę się zawahał, przez cały czas nie spuszczać z niej wzroku. Pobrząkując dużym metalowym kluczem na kółku, powiedział:

- Zahandluję z tobą.

- Co masz na myśli?

Wypił ostatni łyk mleka, zamknął drzwi lodówki, a łyżkę rzucił na stół. Z kieszeni wyjął żółty papier i pchnął go po blacie w stronę Cammie.

- To jest kosztorys szkód w landroverze.

Cammie pomyślała, żeby wyrzucić resztę placaka i kupić nowy karton mleka. Nie dotykając pisma, spytała zwięźle:

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Daj spokój, dziecko! Wiesz dobrze, że przez ciebie musiałem kupić nową parę reflektorów, nie mówiąc już o masce.

Nie miała nastroju do słuchania takich rzeczy.

- Nie, jestem twoim dzieckiem i nigdy nim nie byłam - powiedziała dobitnie. - Wiesz doskonale, że gardzę mężczyznami, którzy nazywają kobiety dziecinnymi imionami. Twoje kłopoty z samochodem nie mają ze mną nic wspólnego. W każdym razie nie odpowiadam za twoje długi.

- Ale ja nie mam pieniędzy - zaprotestował, rozkładając szeroko ramiona.

- A ja mam, tak?

- Poza tym ty to zrobiłaś i dobrze o tym wiesz.

- Miałam rację!

Obłuda i chytryść odbiły się na jego twarzy.

- Uważaj, to ja powinienem być wściekły! To do mnie strzelano. Przecież nic nie zrobiłem. Po prostu jechałem drogą.

- Nękałeś mnie. Groziłeś mi!

- Doprowadziłaś mnie do takiej wściekłości, że może trochę przesadziłem. Każdy by tak postąpił. Nie możesz brać mi tego za złe.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Najlepiej zrobię, jeśli pójde poćwiczyć na strzelnicy,

- Jeszcze będziesz tego żałowała - powiedział, unosząc brew - zwłaszcza że nie skrzywdziłabyś muchy, a co dopiero mnie.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to - ostrzegła suchym tonem. W tym momencie zdała sobie sprawę, od kogo przejęła ten szczególny ton: od Reida. To było jego ciche, a zarazem niszczycielsko skuteczne ostrzeżenie.

Keith otworzył szeroko oczy i odrzucił do tyłu głowę.

- Kochanie, musiałaś mieć cudowny weekend, który wprowadził cię w taki paskudny nastrój. Co się stało? Czyżby Sayers cię zawiódł?

Znała Keitha i wiedziała, że jest wstrętnym, tępym egoistą; dopóki nie spędziła trochę czasu z Reidem, nie uświadamiała sobie, do jakiego stopnia Keith jest ograniczony. Ta odrobina świadomości nie złagodziła jej gniewu.

- Wynoś się! - krzyknęła groźnie.

- Uspokój się, kochanie. Kiedy czekałem tu na ciebie, przypominałem sobie twój drobny epizod ze starym Reidem. Wiem, że kierowała tobą zwykła ciekawość, ponieważ nie miałaś innego mężczyzny przede mną. Mogę to zrozumieć. Naprawdę.

- Czy ciekawość była powodem, że szukałeś czegoś innego?

- Do diabła! Mężczyzna potrzebuje odmiany. Być może kobiety również. Sam nie wiem.

- Dla ciebie nie ma znaczenia, kto zostanie skrzywdzony? Na przykład Evie Prentice?

Na jego twarzy odmalowała się zawziętość.

- Wyłączmy ją z tego, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie jestem przeciwko niczemu. Wracaj do niej. Tam jest twoje miejsce!

- Wcale tak nie myślisz; zazdrość przez ciebie przemawia. Chcesz, żebyśmy znów byli razem. Wiem, że tak myślisz. Gdyby było inaczej, zmieniłabyś testament.

We wczesnym stadium ich małżeństwa testamenty Keitha i Cammie, wymieniające ich wzajem jako beneficjentów, wydawały się oczywiste. Do tego jeszcze dochodziło ubezpieczenie i plany majątkowe. Od wieków nie myślała o testamencie.

- Przeciagnałeś strunę, Keith. Ale dziękuję za przypomnienie. Dopilnuję tego już jutro, z samego rana - powiedziała złośliwie.

- Daj spokój, Cammie! - zdenerwował się. - Co chcesz, żebym zrobił? Mam paść na kolana i błagać cię?

- Nie, dziękuję bardzo. Chociaż mogłaby to być miła odmiana.

- Staram się być wielkoduszny i nie wypominać ci twojego flirtu z Sayersem. Czy to nie dowód, jak bardzo pragnę twojego powrotu?

Sama była zaskoczona pogodnym śmiechem, jaki ją ogarnął, mimo że pobrzmiwała w nim nuta cynizmu.

- Być może. Jednocześnie cała ta sprawa dowodzi, że nie masz najmniejszego pojęcia, jak ja się czuję. Chcę, żebyś opuścił ten dom. Natychmiast! W przeciwnym razie zadzwonię po szeryfa.

- Nie zrobisz tego! - Kiedy odwróciła się w stronę wiszącego na ścianie telefonu, dodał szybko: - Dobrze, już dobrze. Zaczekaj chwilę! - Stał, zagryzając wargi, podczas gdy jej ręka zawisała nad słuchawką. W końcu wzruszył ramionami i powiedział: - No dobrze. Daj mi pieniądze na rachunek, a ja oddam ci klucz. Będzie remis.

„Może i warto” - pomyślała Cammie. Nie była jednak taka głupia, żeby dać mu pieniądze do ręki. Za tydzień wróci z nie zapłaconym rachunkiem.

- Daj mi klucz i rachunek - powiedziała. - Ja się tym zajmę.

- Boże! - jęknął - jaką byłaś słodką, naiwną, małą...

- Tak było, zanim za ciebie wyszłam.

- Słyszałem, że Sayers to pożeracz serc niewieścich - zauważył szyderczo. - Lepiej pilnuj się, kiedy z nim jesteś.

W tej chwili coś jej się przypomniało. Powolnym ruchem wzięła klucz i rachunek.

- Powiedz mi: czy wiedziałeś, że jakieś towarzystwo chce kupić fabrykę?

Na jego twarzy pojawił się wyraz nieufności.

- Od kogo się o tym dowiedziałeś?

- To nie ma znaczenia. Wiedziałaś, a jednak nie powiedziałaś nikomu ani słowa. Gdybyś to zrobiła, wiedziałoby całe miasto. Zastanawiam się, dlaczego trzymałaś to w tajemnicy.

- Miałem na względzie interes fabryki. Poza tym nic nie zostało jeszcze ustalone; była tylko wstępna oferta. Wyszedłbym na głupca, gdybym narobił szumu wokół tej sprawy.

Pozornie słowa te brzmiały prawdziwie, chociaż czuła, że nie wyjawiał jej wszystkiego.

- Sądzę - rzekła oschle - że według ciebie pomysł jest dobry.

- Dlaczego nie? Co prawda Gordon i ja nie dostaniemy tyle co Sayer, lecz byłaby to korzystna zmiana.

Nagła myśl przyszła jej do głowy.

- Gdybyśmy się pogodzili i do czasu sprzedaży pozostali razem, wówczas mnie należałaby się połowa sumy, którą ty byś dostał. Sądzę, że takie rozwiązanie byłoby dla ciebie bardzo niemiłe.

Ruszył w jej stronę, ale widząc, że Cammie się wycofuje, stanął.

- Jak mi Bóg miły, nie miałbym nic przeciwko temu - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Może stosunki między nami by się poprawiły, gdybyś nie ty miała większość pieniędzy.

- Swoje pieniądze przepuściłbyś w ciągu roku - odparła, potrząsając głową. - Znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia.

- Och, Cammie - rzekł cicho, patrząc na nią uważnie - czy to byłoby takie złe?

## - VI -

Od czasu kiedy Reid stał się dorosły, kwaśny odór papieru, będący mieszaniną zapachu gotowanej kapusty i gazowych wyziewów, ogromnie go drażnił. Ponieważ fabryka była własnością jego rodziny, Reid czuł się osobiście odpowiedzialny za ten fetor. Jego ojciec, realnie myślący człowiek, zawsze mówił, że dla niego to jest zapach pieniędzy. I tak było rzeczywiście: większość pieniędzy znajdujących się w obiegu w mieście miała ów charakterystyczny zapach.

Reid wszedł do biura ojca. Z parsknięciem wypuścił powietrze. Wszystko w pokoju było przesiąknięte rodzinnym zapachem: skórzane biurowe krzesło, dokumenty w sekreterze, rysunki na ścianach przedstawiające budowę fabryki w różnych stadiach, nawet zasłony w oknie. Nadal nie znosił tego zapachu, chociaż z biegiem czasu zdążył się do niego przyzwyczaić. W biurze zachował się lekki odorek tytoniu z papierosów, jakie jego ojciec palił jeszcze pięć lat temu, oraz woń kubańskich cygar, będących słabością dziadka; szczególnie ten zapach wzbudzał w nim miłe wspomnienia.

Spoglądając na zespół budynków, poczuł wyraźne wzruszenie. Na Południu znajdowały się większe papiernie, ale rzadko która była aż tak wydajna. Spółka Sayers-Hutton Opakowania i Papier miała własną siłownię zasilaną parą, nie była więc zależna od miejscowej elektrowni. Dziedziniec, na którym składowano drewno, został urządzony wzorowo - począwszy

od dobrze strzeżonych wrót, przez które wjeżdżały ciężarówki z drewnem ustawiające się w kolejce do wyładunku pni i drewna przeznaczonego na papier, aż po ogromne ruchome dźwigi, przenoszące drewno do wyładowarek i maszyn rozdrabniających. Do maszyn ekstrakcyjnych dodawano odpowiednie środki chemiczne służące do przerobu rozdrobnionych wiórów. W ściśle określonym czasie maszyny te wyrzucały w powietrze niezdrowe opary. Wszystko odbywało się zgodnie z przepisami dotyczącymi ochrony środowiska, niemniej było bardzo nieprzyjemne. W równym rytmie maszyny papiernicze dudniły i łomotały, połykając miękką i oczyszczoną pulpę, jaką wydalały maszyny ekstrakcyjne i kotły. Następnie pulpę suszono i rozwałkowywano w nie kończące się arkusze brązowego papieru pakowego. Dział toreb zabierał część rulonów, by zamienić je na torby i worki. Znaczną ilość papieru ładowano na ciężarówki i przyczepy.

Kiedy fabryka miała już własny tabor kolejowy, większość papieru przewożono pociągami towarowymi. Tak było od początku istnienia zakładu; papiernia i linia kolejowa powstały w tym samym czasie, jedna uzależniona od drugiej. Jeszcze dzisiaj można zobaczyć stare tory wijące się przez dziedziniec i przypominające inną epokę.

W miarę upływu czasu fabryka rozrastała się i powiększała. I rozrastałaby się w dalszym ciągu, nawet gdyby nie doszło do umowy ze Szwedami. Reid był o tym przekonany. Wciąż rozglądał się za możliwością zmiany właściciela, który by powiększył papiernię i zrobił z niej nowoczesny zakład. Jednak ani on, ani Huttonowie nie byłiby w tym bezpośrednio zainteresowani.

To byłby wstyd, tak sądził, gdyby rodzinna tradycja skończyła się na nim. Jego ojciec, dziad i stary Justin Sayers byli dumni ze swoich osiągnięć, wkładu w przemysłowy rozwój Południa i starania o podniesienie poziomu życia mieszkańców Greenley. On na swój



sposób też był z tego dumny. Ale nie był pewny, czy chce poświęcić życie dla papieru pakowego.

Zanim uruchomiono papiernię, tereny wokół Greenley, jak większość ziem w północnej Luizjanie, stanowiły pola uprawne. Kiedy pod koniec lat czterdziestych zeszłego stulecia zakładano fabrykę, mało było tak rozległych terenów jak Evergreen. Istniały tu przeważnie małe farmy, z trudem zarabiające na utrzymanie rodziny. Życie ludzi zależało od ziemi; było znośne w tak zwanych dobrych latach, kiedy wystarczająca była ilość opadów, i bardzo ciężkie w latach nieurodzajnych.

Bydło i świnie biegały swobodnie po lasach, ludzie doili krowy, hodowali kury, uprawiali warzywa i owoce. Sami robili mąkę kukurydzianą, warzyli trzcinowy cukier, gręplowali bawełnę i węgłę, przędli, tkali i szyli ubrania. Bawełna stanowiła towar wymienialny, lecz ilość towarów i ich wybór były ograniczone. Za belę bawełny można było dostać mąkę, skórzane buty, strzelby, noże i różne specyfiki, a nawet kupić materiał na świąteczne ubranie.

Tylko bardzo nieliczni farmerzy mieli niewolników. Przy tym rzadko mogli sobie pozwolić na utrzymanie więcej niż jednego pracującego w polu. Kobieta pomagała gospodyni w takich zajęciach jak: szycie, gotowanie, robienie przetworów, a także pilnowanie dzieci, które rodziły się regularnie niczym w zegarku, rok po roku albo co dwa lata.

Wojna między stanami, jak mówili miejscowi, ciągnęła się aż do lat pięćdziesiątych obecnego stulecia i przyniosła bardzo niewielkie zmiany. Głównym jej rezultatem było zobowiązanie mieszkańców Ziemi Obiecanej - w większości imigrantów w pierwszym i drugim pokoleniu, wywodzących się ze slumsów i kamienistych farm Anglii i Irlandii, Szkocji i Walii - że będą się utrzymywać z pracy na roli. Ziemia nie była żyzna, a ludzie z roku na rok popadali w duchową i ekonomiczną depresję, z której tak naprawdę nigdy

się nie wydzwignęli. I tkwią w niej do tej pory, może w trochę mniejszym stopniu.

Papiernia sprawiła, że ich życie stało się łatwiejsze. Farmerzy porzucili uprawę ziemi na rzecz stałych zarobków, za które mogli kupować ubrania po cenach hurtowych, samochody, pralki czy ozdoby na choinkę. Ludzie przenieśli się do miasta, aby być bliżej miejsc pracy. Cała ziemia, która kiedyś była jednym falującym na wietrze łanem, została zabrana przez lasy tak dokładnie, że nawet najstarsi ludzie z trudem sobie przypominali, gdzie kiedyś znajdowały się pola uprawne.

W celu osiągnięcia wyższych zbiorów tereny, na których uprawiano bawełnę, wymagały specjalnego nawożenia. Nic więc dziwnego, że na tej żyznej ziemi szybko rozrosły się drzewa. W długim okresie wegetacji, praktycznie trwającym cały rok, drzewo rosło przez dziewięć miesięcy, a ukorzeniło się trzy miesiące. Z tych terenów uzyskiwano więcej surowca drzewnego w przeliczeniu na jeden akr i do tego w krótszym czasie niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. W ostatnich dwudziestu latach surowiec drzewny stał się głównym bogactwem Luizjany - przynosił sześćdziesiąt jeden procent dochodów w rolnictwie. Obecnie produkowano tu siedemnaście procent drewna więcej, niż wycinano każdego roku. Nic dziwnego, że Szwedzi wybrali właśnie to miejsce.

Za plecami Reida otworzyły się drzwi do biura. Do pokoju wszedł Gordon Hutton, mężczyzna ciężki, o wydatnych szczękach i siwiejących włosach odsłaniających wąskie czoło. W trzyczęściowym garniturze, z teczką w ręku wyglądał jak ktoś, kto urodził się w sali konferencyjnej.

Kiedy Reid się odwrócił, podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Moja sekretarka mówiła, że przyjdzie pan dzisiaj rano. Od ubiegłego miesiąca spodziewałem się pana

każdego dnia. Zaraz zabiorę moje rzeczy - powiedział żartobliwie, z lekką ironią.

W pierwszym odruchu Reid chciał mu powiedzieć, żeby sobie nie zawracał głowy. Ale to nie byłoby właściwe posunięcie. Powinien się wziąć w garść i od czasu do czasu gdzieś się zaczepić. Równie dobrze może to zrobić teraz. Poza tym widok cudzych rzeczy na biurku ojca i myśl, że ktoś inny siedział na jego krześle, wstrząsnęły nim. Dziwne. Nigdy nie miał instynktu posiadania, teraz jednak zaobserwował u siebie takie właśnie objawy. Uważał, że to się zaczęło wraz z powrotem do domu. A może od czasu, kiedy spotkał Cammie w rezerwacie zwierzyny?

- Byłbym wdzięczny - odparł. Przez cały czas się uśmiechał, widząc nieporadne próby drugiego mężczyzny pragnącego uwolnić się z żelaznego uścisku dłoni.

- Mam kilka spraw wymagających wyjaśnienia dzisiaj, z samego rana - oznajmił Gordon Hutton. - Kiedy będę wolny, zabiorę cię w teren, pokażę ci, co zrobiliśmy podczas twojej nieobecności.

Pod przykrywką uprzejmości krył się protekcjonizm, co zirytowało Reida. Odezwał się oschłym, nieprzyjaznym tonem:

- Nie ma pośpiechu, myślę, że znajdę drogę. Tutaj się przecież wychowałem, chyba wiesz o tym.

Uśmiech na twarzy Gordona Huttona zgasł.

- Rzeczywiście. Mój stary nigdy nie pozwalał ani mnie, ani Keithowi przebywać tu aż do czasu, kiedy poszliśmy do college'u: Nie chciał, żebyśmy płatali mu się pod nogami, gdy pracował. Zawsze uważałem, że z jego strony było to bardzo krótkowzroczne.

- Ale tu jesteś i lubisz swoją pracę, podczas gdy ja jej nie znoszę.

Gordon Hutton wydał usta i ściągnął je na znak zrozumienia.

- Ponieważ poruszyłeś ten temat, muszę się przyznać, iż nie przypuszczałem, że tu wrócisz. Wszyscy uważali, że stare, dobre Greenley jest za małe, by zatrzymać takiego globtrotera.

Reid uważnie popatrzył na mężczyznę.

- Zabawne, jak różnie układają się sprawy.

- Rzeczywiście - odparł Gordon bez emocji. - Pójdę przygotować wszystko na twój powrót do domu. - Dźwignął się z krzesła i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Cammie miała rację - Gordon Hutton był wściekły z powodu powrotu Reida. Patrząc na drzwi, za którymi zniknął Gordon, Reid się zastanowił, czyby to zauważył, gdyby Cammie go nie ostrzegła. Prawdopodobnie nie.

Gordon nigdy nie był szczególnie lubiany. Jako dziecko przewyższał rówieśników wzrostem i wykorzystywał tę przewagę, jak również pozycję syna jednego z szefów do popychania i straszenia dzieci. Zawsze bolał nad tym, że Reid, chociaż młodszy o kilka lat, nigdy nie dał się zastraszyć. To jednak nie powstrzymało Gordona od podejmowania kolejnych prób. Teraz też próbował.

Przez kilka minut Reid czekał, że ktoś przyjdzie i sprzątnie pokój. Kiedy nikt się nie zjawił, wszystkie papiery z biurka rzucił na podłogę. Z szuflady wygrzebał pióro i notes zawierający przepisy prawne. Notes położył na biurku. W rogu pokoju stał wielki stalowy sejf, będący pozostałością z lat dwudziestych. Klęknął przed nim i dotknął czerwono-złotego napisu biegnącego wokół drzwi.

Kiedy był dzieckiem, ze wszystkich rzeczy znajdujących się w fabryce najbardziej interesował go właśnie sejf. Miał niewiele więcej niż cztery lata, kiedy po raz pierwszy dziadek pozwolił mu go otworzyć. W środku znalazł pudełko karmelków do ssania. Dziadek uważał, że sprawił mu wielką niespodziankę. Karmelki też pachniały dymem cygar i fabryką, ale smakowały

wyśmienicie. Kolejne wyróżnienie, jakie spotkało Reida, to otwieranie sejfu rano, wyjmowanie z niego ksiąg rachunkowych i ponowne chowanie ich po południu.

Zaledwie dotknął tarczy z cyframi, natychmiast przypomniał sobie ich kombinację. Uśmiechnął się. Poczucił dobrze znany ciężki obrót tarczy i usłyszał odgłos przeskakujących cyfr.

Wtedy zrozumiał, że tutaj jest jego miejsce.

Raporty operacyjne i finansowe znajdowały się tam, gdzie być powinny i gdzie Sayersowie trzymali je zawsze. Tylko że teraz rachunki były drukowane na wielkich komputerowych płachtach i oprawiane w plastikowe okładki, nie tak jak dawniej - w skórę. Wyjął raporty dotyczące ostatnich sześciu miesięcy, zamknął sejf i wydruki rozłożył na biurku.

Minęły dwie godziny, a on wciąż siedział i przewracał kartki do przodu i do tyłu. Robiąc notatki, niecierpliwie przeczesywał palcami włosy. Wiedział, że w ostatniej dekadzie produkcja wzrosła o połowę, lecz nie zdawał sobie sprawy z jej rozmiarów. Aż się zdumiał.

Jeżeli chce zrozumieć znaczenie tych liczb, musi porównać procenty ze wskaźnikami. To jest jedyny sposób. W pewnej chwili na coś się natknął, co bardzo go zaintrygowało.

Dalej uporczywie szukał, sprawdzał rachunki w przód i w tył. W jego głowie zaczęła kiełkować myśl, że któregoś dnia sam mógłby dokonywać transakcji. Nagle usłyszał odgłos kroków zmierzających wprost do biura. Drzwi odskoczyły z taką siłą, że aż walnęły o ścianę.

W ułamku sekundy Reid zerwał się na równe nogi. Był gotów. Oparty plecami o najbliższą ścianę, chwycił nóż do otwierania listów i mocno trzymał go w zaciśniętej dłoni.

Keith Hutton wkroczył do pokoju. Z hukiem zatrzaskał drzwi.

- Sayers, od trzech dni chcę z tobą porozmawiać.. Zjawiłeś się w samą porę - wychrypiął szyderczym tonem.

Reid zmienił pozycję i poruszył ramionami, aby się rozluźnić. Odrzucił nóż na biurko, obszedł je i usiadł na jego brzegu. Z ręką opartą na udzie odpowiedział:

- Jeżeli naprawdę chciałeś mnie widzieć, mogłeś mnie bez trudu znaleźć.

- Chciałbyś tego, czy nie tak? - kpił Keith. - Nie jestem taki głupi i nie będę cię ścigać aż do Fortu. Wcale mi to nie odpowiada. Zbyt wielu mężczyzn uległo tajemniczemu wypadkom w rezerwacie dzikiej zwierzyny.

Keith miał na myśli kilka nieszczęśliwych wypadków w czasie polowań i parę zabójstw, jakie odkryto na ogromnych opustoszałych terenach leśnych. Gadanie Keitha nie wymagało komentarza.

- Nie mam nic przeciwko tobie - spokojnie powiedział Reid.

- Ale ja za to mam wiele przeciwko tobie. Wiem, że spałeś z moją starą. Do diabła, wszyscy w mieście o tym wiedzą. Chcę to zakończyć, tu i teraz. Zrozumiałeś?

Reida zdenerwował ton, jakim Keith mówił o Cammie, z wielkim trudem się opanował, by nie walnąć go w pysk. Nie byłoby to trudne. Ongiś przystojna twarz Keitha i atletyczna budowa ciała wyraźnie sflaczały. Miał przekrwione oczy, podparł się ręką i wachlował nią w przód i w tył, jakby nie mógł jej utrzymać w miejscu. Zionął alkoholem.

„Szkoda ręki, żeby go powalić” - pomyślał Reid. Z pogardą i z odrobiną litości odparował:

- Uważam, że Cammie sama umie załatwiać swoje sprawy i dobierać przyjaciół.

- Nie ma żadnego powodu, żebyś się koło niej kręcił. - Keith wymierzył palcem w Reida. - Dopóki trwają sprawy rozwodowe, ona jest wciąż moją żoną.

- Z tego, co słyszałem, to ty ją zostawiłeś.

- Każdy może się pomylić - powiedział Keith, odwracając wzrok.

- Z taką kobietą jak Cammie możesz nie mieć drugiej szansy - rzekł Reid zimno.

Sam miał w sercu własne żale do Cammie. Niektóre sięgały wielu lat wstecz, inne były całkiem świeże po tym, co się wydarzyło w miniony weekend. Nie powinien pozwolić, aby doprowadziła go do takiego stanu, że stracił równowagę. Oczywiście, że nie powinien. Tylko w tym wypadku obawiał się, że Cammie może mieć rację co do pobudek, jakimi się kierował w sprawie fabryki. Jednak w obecnej sytuacji przestało to być ważne.

Keith zmrużył oczy.

- Chcesz powiedzieć, że teraz ty przejmujesz pałeczkę? Reid podniósł się powoli.

- Chcę ci powiedzieć - wycodził przez zęby - że byłeś głupi, pozwalając jej odejść. Pragnę ci również zwrócić uwagę, skoro sam poruszyłeś ten temat, że ty powinieneś ją zostawić w spokoju. Nie lubię mężczyzn, którzy prześladowają kobiety.

- A w jaki sposób możesz mi w tym przeszkodzić? Chciałbym to zobaczyć. - Keith wysunął podbródek jak uczeń boksujący się na szkolnym boisku.

- Rób tak dalej, to zobaczysz!

W głosie Reida, a może również w jego oczach było coś takiego, że Keith zrobił szybki krok do tyłu. Zaczął gwałtownie mrugać powiekami, spojrzął spode łba, ściągając brwi.

- Czy to Cammie cię prosiła, żebyś mnie powstrzymał?

Reid lekko się uśmiechnął.

- Nie, to był mój własny pomysł.

- Tak też myślałem. Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwego. Być może nie podoba ci się całe zamieszanie, które Cammie wywołała. Zresztą ja nie muszę się tym martwić.

- Cammie może się nie podobać pomysł sprzedaży fabryki, niemniej cokolwiek zrobi, nic nie zmieni mojego stosunku do tej sprawy.

Dziwny wyraz pojawił się na twarzy Keitha.

- Naprawdę tak myślisz? Sądysz, że sprzedasz fabrykę i wszystko będzie cacy? Tak po prostu? Otóż, stary druhu, dziwne rzeczy się zdarzają.

Słowa te zaniepokoiły Reida. Z wyostrożoną uwagą badał twarz Keitha.

- Czy w fabryce są jakieś kłopoty? Czy sądysz, że robotnicy albo związki zawodowe sprzeciwią się sprzedaży?

- Ty teraz jesteś tutaj szefem. Sam się o tym przekonaj - zarechotał i lekko się potykając, wyszedł.

Przez dłuższą chwilę Reid stał bez ruchu. Myślał szybko i precyzyjnie, a wnioski, do jakich doszedł, wcale go nie cieszyły. Wygładził ręką włosy, przejechał dłonią po karku, wrócił do biurka i spojrzął na wydruk komputerowy. Równe kolumny cyfr przesuwwały się jedna za drugą pozornie bez sensu.

Tak mocno zacisnął dłoń, że aż pióro zgięło się i zatrzęszczało. Cisnął nim i wyszedł z biura. Pewnie na dziedzińcu fabryki będzie lepiej, bo gorzej już być nie może.

Tego samego dnia o siódmej wieczorem Reid stał przed domem Cammie; opierał się o pień ulubionej sosny i obserwował zajeżdżające na podjazd samochody. Właśnie miało się odbyć zebranie przeciwników sprzedaży fabryki. Niektórych przybyszów znał, innych nie. Ale nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ jego wywiad działał doskonale. Persephone dostarczyła Lizbeth prawie kompletną listę gości.

Z pewnością przybędzie właściciel tygodnika, pracujący jako reporter dla własnego pisma, będzie też kierowniczka i właścicielka miejscowej stacji radiowej. Już samo zebranie stanowiło atrakcję, niezależnie od poglądów na tę sprawę, a ponadto wszystkich zaproszonych Gammie uważała za przyjaciół. Dziś wieczór



przewodniczącym spotkania ma być kościsty, brodaty facet, który prowadzi mało ważną grupę środowiskową w rejonie. Oczywiście, Frederick Mawley również przyjdzie na spotkanie. Mawley był miejscowym prawnikiem i specjalizował się w niezbyt przyjemnych sprawach, jak przeciągające się procesy rozwodowe czy kwestie upadłościowe. Praktyka Mawleya przynosiła mu duży dochód, chociaż środowisko biznesmenów bardzo nim pogardzało.

Zaskakująca była przewidywana obecność szeryfa. Większość urzędników uciekłaby gdzie pieprz rośnie, aby nie dać się wplątać w jakieś spory. Ale szeryf Bud Deerfield, pomijając fakt, że był kuzynem Cammie, szczerze martwił się możliwością wzrostu przestępczości, jaką wraz z rozwojem miasta może przynieść napływ nowych przybyszów. Do tego trzeba dodać, że szeryf był starym liberałem, nie znoszącym przepisów domagających się kontroli pozwoleń na broń. W stanie, w którym w większości domów znajdowała się co najmniej jedna strzelba, posiadanie broni miało być cudownym lekarstwem na zmniejszenie przestępstw. Ludzie patrzyli na to przez palce, ponieważ wszyscy wiedzieli, że najmłodsza córka szeryfa zabiła się w czasie zabawy bronią. Po tej tragedii żona Buda wpadła w alkoholizm.

Pozostałymi gośćmi były „panie z towarzystwa” w różnym wieku, czynnie działające w Stowarzyszeniu Córek Amerykańskiej Rewolucji, w klubie ogrodów i półtuzinie innych organizacji. Grupa Różowych Uniformów najczęściej zajmowała się działalnością filantropijną. Wspierała finansowo ochotniczki do pracy w szpitalach, prowadziła muzeum regionalne, zbierała pieniądze na Fundusz Serca, nazwany Marszem Dzieśięciu Centów, podejmowała ponadto wiele innych, równie pożytecznych działań. Damy owe można by nazwać - oczywiście, jeżeli ktoś przywiązuje do tego

wagę - „błękitną krwią środowiska”. Większość tych pań liczyła, że zdoła przeciwstawić się zmianom, przestrzegając ogólnych zasad, chyba żeby się okazało, iż mają bezpośredni wpływ na życie ich dzieci lub wnuków.

Noc była czysta i wilgotna - ani ciepła, ani zimna. Nieuchwytny zapach leśnych dzikich azalii docierał do Reida zmieszany z delikatną wonią bladych storczyków i odmianą azalii zwaną George Tabor; kwiaty te, rosnące pod wysokimi sosnami w bocznym ogrodzie, zaczęły już kwitnąć. Zdawało mu się również, że w powietrzu unosi się słodka smuga niepokojącego zapachu oliwek z pobliskiego krzewu.

Pomyślał, że mógłby tak długo obserwować, co się dzieje za wpółprzymkniętym oknem, i czułby się po prostu szczęśliwy. Metalowy stół i krzesła w zupełności by mu wystarczyły.

Z ośmiobocznego wykuszu z balustradą, osłoniętą krzakami pączkujących klematisów, dolatywał zapach kawy, którą za chwilę podadzą wraz z przekąskami.

Wyciągnął się wygodnie na białym, kutym w metalu krześle, zastanawiając się, jakie ciasto upiekła dziś Persephone: szarlotkę, a może tort? Słuchał głosów dobiegających z wnętrza domu. Jak fala wznosiły się i opadały. Opanowało go uczucie osamotnienia, ogarniała zazdrość o wszystkich zaproszonych gości, którzy tak po prostu mogli przyjść do domu Gammie i wyjść z niego, kiedy im się podobało.

Dawniej był bardzo zazdrosny o Keitha Huttona. Jej męża.

Zgrzytał zębami ze złości na wspomnienie, z jaką łatwością Hutton rościł sobie do niej pretensje. Sama myśl, że ten człowiek miał kiedyś do niej prawo i odrzucił je, wprawiała go w zdumienie. Gdyby znalazł się na miejscu Keitha, gdyby w ogóle dostąpił takiego zaszczytu, że mógłby ją widzieć w kąpieli, obejmować we

śnie, zatapiać się w jej miękkości, kiedy tylko miałyby na to ochotę - byłby zdolny zabić, byle tylko *jej* nie utracić.

Reid uważnie przyjrzał się oknom i tylnym drzwiom. Kiedy już goście odjadą, a Cammie pogasi światła, sprawdzi wszystkie drzwi i okna. Była to zupełnie bezużyteczna czynność, stare zamki nie stanowiły bowiem żadnej przeszkody. On sam w ciągu piętnastu sekund mógłby dostać się do środka o każdej porze i w każdym wybranym przez siebie miejscu. Będzie się jednak lepiej czuł, wiedząc, że wszystko, o ile to możliwe, jest zabezpieczone.

Zastanawiał się, czy nie powinien zaczekać, aż Cammie zaśnie, po czym wejść do domu i tam trzymać wartę. Z łatwością mógłby tak zrobić i Cammie nigdy by się o tym nie dowiedziała. Byłoby to z punktu widzenia możliwości obrony bardziej efektywne.

Chyba że on sam stanowi zagrożenie, przed którym należy bronić Cammie. W takiej sytuacji jego poczynania byłyby ryzykowne.

Był przyzwyczajony do ryzyka.

W ciągu ostatnich dwóch dni i nocy wszystko przemyślał i doszedł do wniosku, że nie powinien jechać do Nowego Orleanu. Przecież sam określił szczególny charakter tego, co zaszło między nimi, a Cammie zgodziła się z jego sądem. Później próbował zmienić metody postępowania, lecz było już za późno.

Dlaczego to zrobił?

Namiętność? Ależ tak, o Boże!

Ponadto musiał się przekonać, że istnieje niezaprzeczalny fizyczny pociąg między nim a kobietą, która rozumie zasady, jakich musi przestrzegać, aby być z nim bezpieczna. Tak, to też było ważne.

Było jednak coś jeszcze. Chodziło o jego ego. Dokładna analiza przekonała go, że jest postrzegany przez Cammie jako z gruba ciosany brutal, pozbawiony

delikatności. A on tak bardzo pragnął pokazać się w innym świetle!

I co zrobił? Udowodnił, że wcale nie jest inny.

Odkrył również, że ona mu nie wierzy. Niezależnie od tego, jaki jest naprawdę.

Nie ma się czemu dziwić, skoro sam sobie nie dowierza.

Wydawało się, że spotkanie trwa całą wieczność. Reid spożytkował ten czas, ucinając sobie jedną lub dwie pięciominutowe drzemki, dzięki czemu mógł wytrwać. Obudził się, kiedy pierwszy gość wyszedł, mocno zatrzaskując drzwi.

Wkrótce na podjeździe zrobiło się prawie pusto.

Ostatni wychodził adwokat Mawley. Stał w drzwiach bardzo długo i deklamował jakieś głupstwa, które widocznie wymagały dotykania ręki Cammie. Reid okrążył dom i obserwował tę scenę, stojąc w cieniu garażu. Mężczyzna był wysoki, o ciemnych włosach przyprószonych siwizną i wąskiej arystokratycznej twarzy. Nosił okulary w czarnej oprawie i zachowywał się jak człowiek dobrze sytuowany, przekonany, że zasługuje na jeszcze lepsze życie.

Wyglądał na mężczyznę, którego powinno się nazywać Fryderykiem, a nie Fredem. Nigdy nie byli sobie przedstawieni; Reid od pierwszego wejrzenia czuł do niego niechęć.

W miarę jak na ganku przedłużała się rozmowa, Reid się zastanawiał, czy może właśnie Mawley prowadzi sprawę rozwodową Cammie. To by tłumaczyło ten nie kończący się dialog. Nie wyjaśniałoby natomiast poufałego tonu, jakim przemawiał mężczyzna, pochylający się nad Cammie.

Cammie, próbując zmusić adwokata do odejścia, odprowadziła go do samochodu. Adwokat miał widocznie jeszcze wiele do powiedzenia, bo mówił i mówił niezwykle wylewnie i długo.

W głosie Cammie zabrzmiała nuta lekkiego zniecierpliwienia. Postępowała jak ktoś, kto chce przerwać rozmowę, ale nie umie być niegrzeczny. Powiedziała, żeby do niej zadzwonił, kiedy testament będzie gotowy, po czym zaczęła się wycofywać w stronę domu. Adwokat złapał ją za ramię i zatrzymał.

Cierpliwość Reida w końcu się wyczerpała. Opuścił miejsce, w którym tkwił oparty o bok garażu. Gwiżdżąc cicho pod nosem, wyszedł z cienia i udał się w kierunku podjazdu.

Cammie zobaczyła go przez ramię adwokata. Na chwilę otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. Wyraz jej twarzy nie wróżył niczego dobrego.

- Jaka przyjemna noc! - rzekł Reid, zbliżając się do nich.

Adwokat się odwrócił. W blasku światła ukazało się jego zdumione oblicze.

- Co tutaj robisz? - zapytała Cammie oschle.

- Spaceruję - odpowiedział Reid miłym i swobodnym głosem.

- Wszedłeś na cudzy teren.

Nie odpowiedział. Stanął u jej boku i wyczekująco spojrzął na adwokata.

Tak jak przypuszczał, dobre maniere przeważały nad zdenerwowaniem i Cammie dokonała prezentacji.

- Ależ tak, oczywiście - odezwał się Mawley, wyciągając rękę. - Już o tym myślałem, że najwyższy czas, bym pana poznał. Cieszę się, że wreszcie miałem tę możliwość.

Reid podał mu ręką, pomijając kompletnym milczeniem jego słowa. Nieuprzejmość w stosunku do właściciela największego zakładu w okolicy byłaby głupotą i adwokat dobrze o tym wiedział.

- Zadzwonię do ciebie w ciągu tygodnia, dobrze? - mężczyzna zwrócił się do Cammie. - Zajmiemy

się tymi sprawami dokładniej. I proszę informować mnie o kolejnych krokach.

Przytaknęła zdecydowanie, rzucając spojrzenie na Reida. Adwokat wszedł do szarego porsche i odjechał.

Był jeszcze w połowie podjazdu, kiedy Gammie z rękami na biodrach zwróciła się do Reida:

- Szpiegowałeś mnie!

Jej gwałtowne ruchy i lekki nocny wiatr przyniosły woń gardenii zmieszany z ciepłym zapachem kobiety. Pożądanie, jakie nim owładnęło, było jak cios zadany w splot słoneczny. Oczy zaszyły mu mgłą, każdy nerw i każdy mięsień naprężył się jak stal. Słyszał dudnienie swego serca, jakby świder wkręcał mu się między żebra. Osłupiały zastanawiał się, czy to możliwe, aby Cammie odebrała jego zwierzęcą żądzę.

- Ja? - spytał niewinnie i naturalnie, na ile tylko mógł się zdobyć. - Dlaczego miałbym to robić?

- Boisz się, że wrzucę jakieś narzędzie do twojej cennej maszyny, i chciałyś temu zapobiec.

Zanim odpowiedział, przyglądał jej się dłuższą chwilę.

- Gammie, jeżeli postanowię sprzedać fabrykę, to ją sprzedam. Twoje postępowanie nie ma żadnego wpływu na moją decyzję. Nie mam zwyczaju ulegać presji.

- Jeszcze zobaczymy - odparła, krzyżując ręce na piersiach. - Nie zmienia to sytuacji, że mnie szpiegowałeś.

Chwilę patrzył na twarz Cammie, po czym jego spojrzenie powędrowało niżej do kształtnych piersi ponad jej skrzyżowanymi rękami. Czuł ogromną chęć powiedzenia prawdy, a zarazem wstyd, że aż tak ulega nieposkromionej żądzy. Oszalały z miłości, nie widział powodu, żeby się powstrzymać.

Zaśmiał się głucho.

- Dziwi mnie, że dopiero teraz to odkryłaś.

- A więc przyznajesz się? - Opuściła ramiona, a w jej oczach zaszklily się łzy.

- Od wielu lat cię podglądam - powiedział mocnym głosem. - Godzinami patrzyłem, jak się bawisz na polance, pluskasz w zatoczce, zbierasz raki i huśtasz na gałęziach winorośli, które ja odciąłem i zostawiłem w lesie. Kiedyś przez całe popołudnie byłem nie dalej niż dwa metry od ciebie, a ty siedziałaś i czytałaś książkę. Oddzielały nas jedynie sadzonki sosen, trawy turzycy i wrzoście. Nigdy się nie dowiedziałaś, że tam byłem.

Zaskoczenie Gammie i kolorowe plamy, jakie ukazały się na jej policzkach, pomogły Reidowi w odzyskaniu równowagi.

- Dlaczego? - zapytała suchym, prawie niechętnym głosem.

Powinien być przygotowany na to pytanie. A jednak nie był.

Ona także według niego nie była gotowa na przyjęcie całej prawdy. Wzruszył ramionami.

- A dlaczego chłopcy w tym wieku robią różne rzeczy? Żeby się sprawdzić. Przekonać, że mogą to zrobić. Sprawdzić, czy uda im się pozostać niezauważonym. To ty wtargnęłaś w moje lasy, moje duchy, musiałaś być strzeżona.

- Co to znaczy: twoje lasy?

- Ja byłem pierwszy. Po jakimś czasie obserwowanie ciebie stało się moim hobby, pewnym sportem, czymś w rodzaju badania zwyczajów wiewiórek lub jeleni, na które się poluje.

- To był dla ciebie sport - powtórzyła z napięciem i dreszcz ją przeszedł, gdy uświadomiła sobie znaczenie tych słów. - Chcesz powiedzieć, że podglądałeś mnie, ponieważ to cię podniecało? Nie jesteś więc lepszy od maniaka seksualnego.

Gniew, jaki go ogarnął, spowodował kłujący ból w głowie, ale nie ostudził pożądania pulsującego w całym

ciele. Pragnął ją rozebrać tu, na trawie, zmusić do cofnięcia słów, wypaczających jego intencje, którym nadała wstrętny, nieprzyzwoity charakter. Pragnął wtłoczyć w jej usta te okropne słowa i stosując wszystkie znane mu zmysłowe fortele, wymusić na niej przeprosiny. Jego czoło pokryło się kropelkami potu. Milczał.

- Mam nadzieję, że ci się podobało - warknęła jadownicie. - Kiedy już to wiem, oświadczam, że jeśli kiedykolwiek jeszcze zobaczę cię kręcącego się wokół domu, zawołam policję.

Odwróciła się, zostawiając go tam, gdzie stał, i odeszła. A potem zatrzasnęła drzwi.

Cicho, z nutką melancholii rzekł Reid sam do siebie:

- Bardzo mi się podobało. Robiłem to z prawdziwą przyjemnością. A teraz jeszcze bardziej będzie mi się podobać.

## Skany - pona



## - VII -

Przez cały następny tydzień po zebraniu środki przekazu poświęciły Cammie sporo uwagi. Miejskowa gazeta nieco ironicznie pisała o tym wydarzeniu, co wcale nie zaskoczyło Cammie, ponieważ właścicielem gazety był zagorzały konserwatysta. Ważniejsze dla niej było to, że temat podchwyciła prasa ukazująca się w miastach położonych wokół Greenley. Na ludziach zawsze robi wrażenie, gdy lokalne wydarzenie trafia na pierwsze strony gazet wychodzących w sąsiednich miastach.

W całym stanie zanosilo się na wielkie zmiany w ochronie środowiska. Od dziesięcioleci sprawy ekologiczne pozostawały w tyle za rozwojem i działalnością gospodarczą. Jednak w ciągu ubiegłych paru lat wyraźnie wzrosło zainteresowanie i zaniepokojenie zanieczyszczeniem wód, odprowadzaniem środków chemicznych i zniszczeniem mokradeł, na których żyły wędrowne ptaki z Ameryki Północnej. Cammie uważała, że jej orędownictwo w obronie dzieciółów i zastrzeżenia, jakie zgłosiła co do selektywności wód i przeznaczenia ziemi, szczęśliwie zbiegły się z tym kierunkiem.

Także liczba telefonów, jakie otrzymywała w ostatnich kilku dniach, wskazywała, że coś się zaczyna zmieniać. Przynajmniej sześć razy telefonowali ludzie popierający jej stanowisko, cztery osoby zadeklarowały chęć podjęcia prac na rzecz ekologii. Miała również telefony od mężczyzn i kobiet, którzy przekonywali, że

akcja, jaką prowadzi, nie ma szans powodzenia. Dwa telefony były agresywne, pełne wściekłych ataków.

Kiedy wyjeżdżała z domu na zebranie komitetu przygotowującego festiwal „Święta Sosny”, zastanawiała się, czy Reid też czytał którąś z gazet albo słyszał komentarze na ten temat. Liczyła, że tak właśnie było i że będzie to dla niego trudne do przełknięcia. Teraz się przekona, że prawdą jest to, co mówiła, iż będzie z nim walczyć.

Wciąż jeszcze irytowało ją wspomnienie tej nocy, kiedy u niej w domu odbywało się zebranie. Było to tak samo denerwujące jak zarzut, że swoją opinię na temat drzew i ptaków traktuje jako tarczę przeciw niemu. Skąd taka myśl? Zwłaszcza że sugerował, iż jej pogląd ma jedynie na celu uspokojenie sumienia. O to miejsce troszczyła się długo przedtem, nim tamtej nocy natknęła się na niego w lesie.

Byłby to na przykład zarzut, że go unika, a jako powód podaje sprawę fabryki. Niby dlaczego miałyby to robić? Przecież to ona go uwiodła. Między nimi nie istniały żadne związki, nawet najbardziej bezosobowe, przynajmniej taki był jej punkt widzenia.

Nie bała się go. Gdyby naprawdę chciała go unikać po tej jednej nocy, mogłaby to zrobić z łatwością bez uciekania się do wykrętów.

A jeżeli była zawiedziona ich czysto fizycznym kontaktem i przez cały czas miała zastrzeżenia do ograniczeń, jakie jej narzucił, to bardzo się mylił. Ani od niego, ani od żadnego innego mężczyzny niczego więcej nie oczekiwała. Na tym etapie nie było miejsca na zaangażowanie uczuciowe.

Pokochała myśl, że jest osobą wolną, że może robić, co chce i kiedy chce. Cieszyła się, że może wychodzić bez konieczności opowiadania się czy wysłuchiwania czyichś uwag. Myśl, że nie musi przestrzegać godzin posiłków, zajmować się cudzymi ubraniami i zastanawiać,

co powinna robić wieczorami, doprowadzała ją do euforii. Po raz pierwszy od lat sama zaczyna kierować swoim życiem.

Mężczyzna nie był jej potrzebny. A już na pewno nie Reid Sayers.

Nagle spojrzała przez wycieraczki swojego cadillaca. Jakiś starszy mężczyzna, kierowca furgonetki, wyciągnął do niej palce w geście pozdrowienia. Automatycznie zrobiła to samo, chociaż zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, kim jest ten człowiek.

„No dobrze - pomyślała z niezachwianą pewnością siebie - to prawda, że brakuje mi Reida”. Złapała się na tym, że często o nim myśli i przypomina sobie jego wypowiedzi, wyraz twarzy i śmiech. Zdarzały się momenty, że wprost fizycznie czuła jego usta na swoich lub dotknięcie jego rąk. Zaprzestanie myślenia o godzinach spędzonych w jego ramionach było ogromnym wysiłkiem.

Inną równie ważną sprawą była myśl, że brakuje jej poczucia bezpieczeństwa, zarówno w dzień, jak i w nocy. Od czasu swego dzieciństwa nie spała lepiej niż wtedy, gdy była z Reidem w łóżku.

To było coś dziwnego. Przecież Evergreen był najdroższym dla niej miejscem, w dodatku doskonale znanym. Rzadko kiedy odczuwała jakieś lęki, z natury bowiem była bardzo odważna. Jednak od jakiegoś czasu nękało ją wewnętrzne przecucie, że musi się mieć na baczności. Nawet kiedy Keith był z nią, miała uczucie niepokoju. Jej mąż nieczęsto sprawdzał zamki, ponadto miał bardzo głęboki sen i nigdy nie słyszał żadnych odgłosów, które ją napawały lękiem. Z Reidem było inaczej.

Przy nim nie musiała czuwać. Co za wspaniałe uczucie!

Tęsknota za kochankiem to nie to samo, co brak opiekuna. To zupełnie co innego.

Musiała przyznać, że fizyczne zadowolenie, jakie osiągnęła, wpłynęło na jej zdrowy sen. W tej dziedzinie Reid był delikatniejszy niż Keith, który w ogóle o tym nie myślał.

Reid miał wiele dodatkowych zalet: był silny, szlachetny, troskliwy i kompetentny. Jego ramiona miały zarówno czarodziejską delikatność, jak i szorstką prostotę.

Zaskoczyła ją nagła, pulsująca jak ból tęsknota. Z wysiłkiem odsunęła natrętne myśli. Bez sensu było puszczenie wodzów fantazji czy rozpamiętywanie tego, co się zdarzyło.

Lepiej będzie, jeśli się skupi na tej sprawie, która ją irytuje. Sam pomysł szpiegowania, jakby była jakąś terrorystką lub prowadziła akcję wywrotową, oburzał ją. Co on sobie myśli? Gdzie on jest, w Izraelu? Nie miał prawa gwałcić jej zacisza domowego, niepokoić gości ani wchodzić na teren posesji.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że przez ułamek sekundy odczuła ulgę na jego widok.

Fred Mawley próbował wtargnąć w jej życie, w typowy dla niego, śliski i natarczywy sposób. Nie było innego sposobu, by się go pozbyć. Uważał się za męża opatrnościowego wszystkich rozwodzących się w Greenley i wierzył, że powinna być zachwycona, mogąc zobaczyć, jakim człowiekiem jest naprawdę. Krążyły plotki, że chętnie przyjmował zapłatę w naturze, nawet jeżeli kobieta nie była szczególnie atrakcyjna. Z niejasnych aluzji, którym nie zaprzeczał, Cammie wnioskowała, że plotki zawierały dużo prawdy.

Zdaniem Cammie zarozumiałość mężczyzny była niczym grzech śmiertelny. A tej cechy nie mogła przypisać Reidowi. Nie chciała katalogować jego zalet, miał wystarczająco dużo wad, żeby starczyło jej zajęcia.

Nie potrafiła pozbyć się myśli, że od dawna obserwował ją w lesie. Sądziła, że nikt nie jest świadkiem jej

dziecinnych zabaw: śpiewania, udawania ducha i prze-  
mykania wśród drzew z prześcieradłem zawiązanym  
wokół ramion. Świadomość, że ją widział, pozbawiła jej  
zabawy niewinności.

Jak większość jedynaczek miała bardzo rozwiniętą  
wyobraźnię. Być może wynikało to z jej samotności,  
choć nigdy nie zdawała sobie z tego sprawy. W miarę  
dorastania coraz częściej towarzyszyli jej szkolni koledzy  
albo kuzyni spotykani na rodzinnych przyjęciach, czasem  
jednak sama tworzyła w wyobraźni przyjaciół, ludzi  
i zwierzęta. Kiedy miała trzynaście lat, jej ulubioną  
zabawą było udawanie, że w pobliżu znajduje się silny  
i wysoki chłopiec o blond włosach. Ścigali się i zbierali  
jagody, jadal wspólnie drugie śniadanie. Ona siedziała  
na trawie oparta o pień sosny, on zaś leżał z głową na  
jej łonie. Opowiadała mu o swoich marzeniach i planach,  
o swojej miłości do lasu. Słuchał uważnie i był niezwykle  
wrozumiały.

Czy to zdarzyło się tego lata, kiedy czytała książkę  
i Reid podszedł bardzo blisko? Czy to możliwe, że  
wyczuła jego obecność? A może tylko jej mignął i chociaż  
go nie rozpoznała, to został włączony w jej wyimagine-  
wany świat? Czy to możliwe, że słyszał wszystkie  
głupstwa, jakie wówczas wygadywała, i poznał plany,  
jakie snuła?

Na myśl o tym przeszedł ją zimny dreszcz. Ogarnął  
ją lęk, że oto nadejdzie dzień, w którym Reid powie, iż  
wszystko słyszał.

Kiedy miała piętnaście lat, zaprzestała samotnych  
wędrowek. Matka, obawiając się, że może ją spotkać  
coś złego, powiedziała, jak wielkie niebezpieczeństwo  
grozi młodej dziewczynie samotnie chodzącej do lasu.  
Leśne wyprawy musiała więc ograniczyć do okazjonal-  
nych spacerów.

To chyba dobrze, kiedy wszystko zostanie wyjaśnione.  
do końca.

Tak naprawdę, mimo iż uznała za zniewagę to, że ją podglądał, nie uwierzyła, że Reid mógłby ją skrzywdzić.

Co by się stało, gdyby przyszedł? Czy z zadowoleniem przystałaby na jego towarzystwo? Czy też ze względu na zadawnioną wrogość między dwiema rodzinami byłaby ostrożna aż do przesady? I uciekłaby tak, jak to zrobiła kiedyś nad jeziorem? W rzeczywistości nie wiedziała, jak by postąpiła.

Podglądacz.

Słowo, jakim w niego cisnęła, prześladowało ją. Właściwie w samym obserwowaniu jej nie widziała niczego lubieżnego. Wiadomość ta jednak tak bardzo ją poruszyła, że musiała zareagować natychmiast. Oskarżenie, jakie w niego rzuciła, było odruchowe, po prostu takie słowo przyszło jej do głowy.

„Ale jakie skuteczne!” - pomyślała. Czuła, że ogarnia ją gorąca fala gniewu. Skóra na szyi i ramionach szczypała ją, jak w chwili jakiegoś zagrożenia. Była przekonana, że gdyby sytuacja zmusiła go do walki, na pewno by ją podjął. Lecz jej wściekłość była tak ogromna, że na to nie zważała. Prawie pragnęła, żeby tak postąpił.

A kiedy nie zareagował, zostawiła go stojącego na podjeździe. Jeszcze raz od niego uciekła.

Być może - ale tylko być może - bała się Reida. Jeżeli nie jego samego, to tego, co może zrobić z jej życiem, gdyby mu na to pozwoliła.

Potrząsnęła głową, starając się nie dopuszczać do siebie takich myśli. Kiedy się ocknęła, stwierdziła, że znajduje się przed wejściem do restauracji, w której umówiła się na obiad. Przez cały czas mówiła do siebie, ściskając kierownicę, jakby była ostatnią deską ratunku. Małżeństwo przechodzące obok samochodu spojrzało na nią z zaciekawieniem, a jakiś starszy Murzyn nadłożył z dziesięć metrów, byle tylko nie przejść zbyt blisko jej pojazdu. Sięgnęła po torebkę i z westchnieniem zatrzasnęła drzwiczki auta.

Jedzenie nie było ani lepsze, ani gorsze, niż się spodziewała. Menu składało się z bliżej nie określonego mięsa, rozmiękłych warzyw z dodatkiem cukru, który miał poprawić ich smak, i podanego na deser kremu śmietankowego o konsystencji mącznego kleju. Przynajmniej herbata nadawała się do picia.

Konferencja po obiedzie trwała krótko i była bardzo owocna. Wen Marston, przewodnicząca, wystąpiła z paroma propozycjami w związku z festiwalem „Święta Sosny”, mającym odbyć się za dwa miesiące. Nikt z obecnych nie wyrażał sprzeciwu, ale też nikt nie zgłosił się do pracy na ochotnika. Przewodnicząca potoczyła świdrującym wzrokiem po zebranych i wybrała ofiary. Gdy rozdzielono prace między kierowników różnych sekcji, spotkanie się skończyło i nastąpiła część towarzyska.

Przez kilka minut Gammie wesoło rozmawiała z Angelicą Emmons, przystojną Murzynką, dyrektorką szkoły średniej i córką Persephone. Kiedy Angelicą poszła odebrać syna z próby w szkolnym teatryku, Cammie podeszła do barku, by napełnić filiżankę kawą. Zaledwie zdążyła upić łyk, gdy za plecami usłyszała głęboki kontralt.

- Co to za nagła miłość do ptaków?

Cammie się zakrztusiła i rozkaślała, zdążyła jednak zasłonić ręką usta, żeby nie opryskać się kawą. Z oskarżycielskim wyrazem twarzy i załzawionymi oczami spojrzała na kobietę, która wypowiedziała te słowa.

Wen Marston była jej czwartą lub piątą kuzynką ze strony ojca. Właściwie miała na imię Gwendolyn, lecz nienawidziła tego imienia i każdemu, kto byłby na tyle nieostrożny, by tak ją nazwać, groziła ciężkim pobiciem. Wysoka, pulchna, o okrągłej twarzy, miała włosy zwinięte w kok upięty na czubku głowy. Mówiła głośno i mimo że była nadmiernie przebojowa, jej serce było jak

roztopione masło. Wen doskonale znała wszystkich ludzi w mieście dzięki swojej działalności, głównie jednak interesowali ją ci, którzy mogli być przedmiotem dyskusji. Była również współpracowniczką Gammie w antykwarjacie. W każdej grupie czy stowarzyszeniu, do którego wstępowała, pracowała nadzwyczaj aktywnie, torując sobie drogę do znaczącego stanowiska. Stowarzyszenie „Święto Sosny” prowadziła żelazną ręką.

Gammie, którą chwycił atak kaszlu, z trudem wymówiła:

- Do dzięciołów, Wen, dzięciołów.

- Bzdury! Powinnaś wiedzieć, że to nic nadzwyczajnego i nie dla ciebie, i nie w Greenley. Co innego w Nowym Orleanie...

- W Nowym Orleanie nic się nie wydarzyło - odpowiedziała prędko i z naciskiem.

- Czy ja mówiłam, że się wydarzyło? Boże, ależ ty jesteś przewrażliwiona!

W słowach Wen kryła się wyraźna aluzja. Otwierając szeroko oczy, zauważyła:

- Podobno stary Keith był nieprzytomny z wściekłości, kiedy usłyszał o twojej eskapadzie. To nauczy tego drania, żeby się odczepił od takiej słodkiej istoty.

- Mój wyjazd nie ma z nim nic wspólnego - zaprotestowała Cammie.

- Doprawdy? W takim razie wszystko mi się pomieszało. Jeżeli pojechałaś z Reidem Sayersem do Nowego Orleanu nie dlatego, żeby się zemścić na Keicie, nie widzę innego wytłumaczenia niż to, że ten facet ci się podoba. A jeżeli tak, to dlaczego, u diabła, występujesz przeciwko niemu, tak zajadle broniąc dzięciołów?

- Nie jest tak, jak myślisz.

Wen przewróciła oczami.

- No dobrze! Jeśli chcesz być tajemnicza, to sobie bądź, nie muszę wiedzieć.



- Nie ma nic niezwykłego, tajemniczego między mną a Reidem - powiedziała Cammie stanowczo. - Ja tylko jestem przeciwna sprzedaniu fabryki.

- Daj spokój, Cammie. Nie wciskaj kitu; pamiętaj, do kogo mówisz. To ja, stara Wen. Jesteś wspaniałą dziewczyną, do tego wolną - no prawie - on jest człowiekiem niezależnym, ma wygląd znacznie lepszy niż przeciętny i wielkie możliwości. Czy to nie jest normalne?

- Co jest normalne?

- Łóżkowa historia. Cóż może być innego? Wcale nie miałabym ci tego za złe. Poprzedniego wieczoru na zebraniu dobrze mu się przyjrzałam. Właściwie pierwszy raz od skończenia studiów. Już wtedy był z niego fajny facet. Kochanie, pozwól sobie powiedzieć: tak się zmienił, że teraz jest to ktoś zupełnie inny. Kiedy tylko zechce, może wskoczyć do mojego łóżka.

Cammie wstrząsnął dreszcz podobny do uczucia zazdrości. Trwało to jednak bardzo krótko.

- Co za zebranie? - zażądała odpowiedzi. - O jakim mówiłaś zebraniu?

- Nie wiedziałaś? Reid zaprosił pracowników fabryki, wraz z rodzinami, na wielkie smażenie ryb na kempingu na jeziorze. Mój młodszy brat, Steve, zabrał mnie ze sobą. Reid stanął twarzą do zebranych, tak jak to dawniej czynił jego ojciec, i wierz mi, wyglądał jak jeden z nich.

Cammie zacisnęła ręce na filiżance. Upiła mały łyk kawy.

- I co takiego im powiedział? - zapytała.

- Tylko tyle, że zdaje sobie sprawę, iż krążą jakieś plotki, i chciałby uczciwie wszystko wyjaśnić. Przyznał, że została złożona oferta na kupno fabryki, ale do podjęcia decyzji jest jeszcze daleka droga. Wspomniał o badaniach i wnikliwym sprawdzaniu ksiąg rachunkowych. Zanim dojdzie do konkretów, trzeba wykonać mnóstwo papierkowej roboty. Zapewnił również, że

zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nikt na tym nie stracił. Powiedział, że niezależnie od tego, co się wydarzy, każdy będzie miał zapewnioną pracę.

- Ta... ta nędzna kreatura! - wykrzyknęła Cammie. Wen spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- No dobrze. Dajmy temu spokój. Co on takiego zrobił? Wiem, że spędził noc w twoim domu. Keith powiedział o tym Steve'owi. Steve nigdy w życiu nie umiał dochować tajemnicy, w każdym razie nie przed starszą siostrą. Czy on od ciebie uciekł?

Cammie dotknęła ręką czoła, czuła, że zaczyna się ból głowy.

- Czy wszyscy sądzą, że to jest w pewnym sensie rodzaj zemsty?

- Ależ, kochanie, niczego takiego nie powiedziałam - zaprostestowała Wen, wyciągając ręce, by wziąć Cammie w ramiona i pocieszyć ją. - Z plotek, które do mnie doszły, dowiedziałam się, że mężczyzna cię wykorzystał, a ty jesteś zbyt dobra, aby odpłacić mu pięknym za nadobne.

- Dobry Boże! - jęknęła Cammie, przejęta wybujałą wyobraźnią mieszkańców Greenley. - Wcale tak nie było. Dlaczego ludzie nie potrafią pilnować swego interesu, tylko wsadzają nos w cudze sprawy?

- Już dobrze. Zrozumiałam aluzję - odparła Wen, udając zagniewaną. - Zmieniam temat. Chciałam z tobą porozmawiać o spotkaniach z prasą i o tym wszystkim. Czuję się zraniona do żywego, że nie zaczekałaś do mojego powrotu.

Wen wyjechała na kilka dni w rutynowy objazd po pokazach biżuterii antycznej. Zakup i sprzedaż biżuterii były rodzajem kamuflażu skrywającego jej prawdziwe dochody. Cammie badawczo patrzyła w twarz kuzynki. Nie była pewna, czy mówi poważnie, czy żartuje.

- Mogłabym zaczekać, gdybym wiedziała, że cię to naprawdę interesuje.

- Wiesz, że zawsze jestem zainteresowana. Nic mnie tak nie ekscytuje jak sprawianie kłopotów. Słyszałam, że wywołałaś prawdziwą sensację!

- Naprawdę? - Nagle kawa wydała się jej bardzo gorzka. Rozejrzała się z zamiarem odstawienia filiżanki.

Zrobiła to za nią Wen, która po prostu odstawiała ją na najbliższe krzesło.

- Tak, moja droga, ojcowie miasta robią w spodnie ze strachu, że załatwisz tę transakcję. Widzą już, jak płacą dodatkowe podatki ściągane od większych operacji finansowych. Wczoraj słyszałam, jak jeden z nich nazwał cię zwariowaną dziwką. A to oznacza, że się ciebie boją.

- Mnie?

- Dlaczego nie? Masz wszystko: pieniądze, kontakty, dobre pochodzenie i dobry wygląd. Do diabła, czy zdajesz sobie sprawę, że mogłabyś kandydować na urząd burmistrza i najprawdopodobniej byś wygrała?

- Nie mam zamiaru kandydować.

- A ja bym chciała, ale to nie ma znaczenia. Istnieją sprzeczne opinie o sprzedaży fabryki. Myślę, że byłoby dobrze, gdyby Greenley nie rozrosło się za bardzo. Zawsze znajdzie się człowiek, który będzie chciał zostać szefem. Jeżeli Greenley pozostanie małą miejsciną, być może mężczyźni uznają, że nie warto walczyć, i zmuszą mnie, żebym została burmistrzem.

- Nie mam zamiaru powstrzymywać rozwoju miasta Greenley - odparła Gammie, marszcząc brwi.

- Czyżby? Jeżeli będziesz się upierać przy swoim zdaniu, to na pewno tak się stanie.

- W dodatku - ciągnęła Cammie - ze swoją kandydaturą nie musisz czekać na rezygnację mężczyzny z ubiegania się o ten urząd. W każdej chwili możesz liczyć na mój głos.

Uśmiech Wen był raczej oziębły.

- Masz rację, myślę, że warto mieć twoje poparcie, zamiast patrzeć, jak je marnujesz na obronę dzieciaków.

- Zrozumiałam - powiedziała Cammie powoli, nie odwracając wzroku od twarzy kuzynki. - Wszystkie te gadki były po to, by dać mi do zrozumienia, że będzie znacznie lepiej, jeżeli zajmę się czymś innym.

Westchnienie, jakie wydobyło się z piersi Wen, przypominało ledwie dyszącą lokomotywę.

- Widzisz, kochanie, to jest tak. Im więcej fabryka dostanie, tym więcej będzie miało miasto. Im większe miasto, tym ważniejsze „Święto Sosny”. Im ważniejszy festiwal, tym ja więcej dostanę; właściwie to już jestem dostatecznie ważna, na pewno wiesz, co mam na myśli. Naprawdę chcę zostać burmistrzem, ale burmistrzem czegoś, a nie niczego. A tak może stać się z Greenley, jeżeli nie będziemy uważać.

- A co będzie, kiedy się okaże, że w Greenley nie da się żyć? - Głos Cammie był zduszony. Nie zносиła, jak manipulował nią ktoś, od kogo oczekiwała zrozumienia.

- Nie martw się! Na pewno miasto da sobie radę.

- Nic nie jest niezniszczalne. Czy nie czytasz gazet? Czy nie zwróciłaś uwagi na dane liczbowe mówiące o tym, ile potrzeba nam drzew, które zostały zniszczone w wyniku monsunowych deszczów? U nas drzewa są tak samo ważne jak w Ameryce Południowej. To samo dotyczy dzikiej zwierzyny.

- Nie przeczę, ale to, co my mamy, to nie są rzadkie okazy egzotycznych drzew czy ptactwa, które mogą przestać istnieć. My mamy jedynie sosny i ptaszki, chciałam powiedzieć: dzięcioły.

- Jesteś beznadziejna - rzekła Cammie.

- Jestem realistką, a ty romantyczką. Niestety w Greenley nie ma zapotrzebowania na romantyków. Jest coś, czego ludzie pragną, a czego ostatnio nie mieli zbyt dużo.

- Co takiego?

- Pieniądzy, kochanie.

- Istnieją ważniejsze sprawy. - W głosie Cammie brzmiała obronna nuta.

- Oczywiście są inne sprawy. Przede wszystkim władza, a tę kupuje się za pieniądze, nie daj się nikomu na to nabrać. W ich osiągnięciu stoisz na drodze wielu ludziom. To prawda, kochanie. Bądź bardzo ostrożna, bo może cię ktoś skrzywdzić, kiedy dokręcisz śrubę.

Cóż na to można było odpowiedzieć? Rozmowa przeszła więc na inne tematy: panie mówiły o zbliżającej się aukcji nieruchomości, na którą musiały pójść, omawiały również zjazd rodzinny mający się odbyć w najbliższy weekend. Formalnie nazywało się to zjazdem rodziny Batesów. Była to odnoga rodziny Cammie ze strony matki, ale z pewnością zgromadzi się tam połowa mieszkańców Greenley, ponieważ rodzinne pokrewieństwo rozciągało się daleko. Cammie i Wen wyszły, kiedy zebranie dobiegało końca.

W czasie jazdy do domu Cammie nie mogła uwolnić się od myśli o ostrzeżeniu, o jakim Wen powiedziała. Słowa te przypomniały jej się szczególnie wyraźnie, kiedy na drzwiach frontowych zobaczyła rozbite jajko.

Gdy otwierała drzwi, smród uderzył ją w twarz. Zrobiło jej się niedobrze. Odór ten przypływał do niej falami pod wpływem przeciągu w otwartym holu. Wszystko, co mogła zrobić, to zacisnąć usta. Zapaliła na ganku światło i ostrożnie otworzyła drzwi.

Rozbito na nich przynajmniej tuzin jajek, a drugi tuzin rozlewał się na ozdobnym wachlarzykowatym daszku w kształcie wschodzącego słońca i na szybach po drugiej stronie drzwi. Tylko dzięki solidności starego szkła i małych rozmiarów szybek półkoliste okno nad drzwiami nie zostało uszkodzone. Gruba warstwa żółtej mazi pokrywała wszystko surowym kłajstrem. Wysychając, przylgnęła mocno do głębokich rowków i szprosów, biegnących wokół szkła, w postaci maleńkich kuleczek i śliskich płatków.

Stojąc na frontowym ganku w świetle latarni zawieszanej na łańcuchu pośrodku ganku, Gammie czuła, jak włosy jeżą jej się na głowie. Myśl, że mogła wzbudzać aż taką nienawiść, przypawiła ją o ból. Miała również wrażenie, że jest wystawiona na widok publiczny: wszyscy mieli zobaczyć, jaka jest zmartwiona. Towarzyszyło jej także uczucie, że tam, w ciemnościach, ktoś bacznie ją obserwuje i zanosi się śmiechem.

Podniosła głowę. A niech się śmieją! Nie da się pokonać. Nie załamie jej byle jajko ani tym bardziej przyjacielskie rady, aluzje czy delikatne pogrożki. Postanowiła podjąć walkę.

Greenley jeszcze nie widziało czegoś takiego.

Ani Reid Sayers.

## - VIII -

Na zjeździe rodziny Batesów obecny był Reid; Keith też przyjechał. Cammie, wysiadając z auta, natychmiast spostrzegła ich obu stojących od siebie w pewnym oddaleniu. W pierwszej chwili chciała się nawet cofnąć i odjechać. Na ten krok nie pozwoliła jej jednak duma i świadomość, że polowa zebranych obserwuje ją, zastanawiając się, co zrobi.

Przypuszczała, że żaden z nich nie ma powiązań z rodziną Batesów. Keith prawdopodobnie przyszedł po prostu na darmową wyżerkę i po to, żeby ją zdenerwować. Reid również mógł się tam znaleźć z tych samych powodów, ale nie była o tym przekonana. Bez wątplenia ktoś musiał go zaprosić. Nasuwało się jednak pytanie: kto i dlaczego?

Reid stał pod rozłożystym dębem, opierając się plecami o pień drzewa. Promień słońca, padający przez liście, wydobył ciemnozłote refleksy z jego włosów i urzekający błękit oczu. Reid zachowywał się swobodnie, był rozluźniony, przechadzał się z ręką w kieszeni. Opalony jak robotnik portowy, ubrany w żółtą koszulę z rękawami zawiniętymi po łokcie, wyglądał pociągająco. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w jego oczach zobaczyła wyzwanie.

Łatwo można było przewidzieć, że ten zjazd rodzinny nie będzie przebiegał w sympatycznej atmosferze.

Keith przeprosił mężczyznę, z którym rozmawiał,

i skierował się w jej stronę. Kiedy się zbliżył, powitał ją pewnym siebie gestem.

- Zawsze lubiłem cię w tej sukni - powiedział.

Gammie miała na sobie suknię w kolorze zgaszonego różu, przepasaną różowo-zielono-niebieskim paskiem. Na nogi włożyła odpowiednie do sukni espadrile. Cały komplet kupiła miesiąc wcześniej i była pewna, że Keith nigdy tego ubrania nie widział. Otworzyła samochód, z którego wyjęła pieczoną szynkę.

- Co tutaj robisz? - zapytała, nie odwracając głowy.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zacisnął usta i wyjaśnił:

- Chronię swoje interesy.

- Co przez to rozumiesz?

- Spotkałem Wen pod „Mleczną Królową”. Mówiła, że zaprosiła Sayersa. Uznałem więc, że też powinienem przyjść na przyjęcie.

Cammie rzuciła mu złośliwe spojrzenie i dała mu szynkę do potrzymania.

- Jesteś ostatnią osobą, która mogła wymyślić, że Reid i ja stoimy po przeciwnych stronach w sporze o fabrykę.

Roześmiał się krótko.

- Słyszałem, jednak uważałem, że najlepiej będzie, jeśli sam się o tym przekonam. Co on zrobił złego?

- Zupełnie nic.

- Nie opowiadaj! W takim razie masz coś przeciwko Szwedom?

- Martwię się perspektywami rozwoju, a to, kto będzie właścicielem fabryki, wcale mnie nie obchodzi, chociaż wolałabym, żeby polityka, jaką prowadził ojciec Reida, była kontynuowana.

- Chodzi ci o kontrolę zanieczyszczeń? Badania emisji pyłów? Wysyłanie harcerzy do sprawdzania, gdzie dziecięcy zakładają gniazda? Ogradzanie całych partii terenów, dopóki nie skończy się sezon wylęgowy?



- Czy on to wszystko robił? - Przerwała, aby wyjąć czekoladowo-orzechowy tort.

- Oczywiście - odparł Keith, wzruszając ramionami. - Robotnicy z fabryki i furmani przewożący drewno mieli go za wariata, ale on był tu szefem.

- Nic nie wiedziałam! - Wzrokiem poszukała Reida. Obserwował ją, ale gdy zauważył, że zwraca się w jego stronę, uciekł spojrzeniem, unikając kontaktu.

- O wielu sprawach jeszcze nie wiesz - odparł Keith ponurym głosem.

- Nie jestem również pewna, czy chcę wiedzieć - odparowała ostro.

Nadjeżdżała właśnie Wen w swoim GMC suburban. Pomachała kuzynce na przywitanie, lecz nie wyszła jej naprzeciw. Wzięła szynkę od Keitha i skierowała się do stołów z jedzeniem.

Dzień był wyjątkowo piękny; świeciło słońce, wiał ciepły wiatr. Trawa była tak zielona, że aż oczy bolały od patrzenia. Dzieci bujały się na huśtawkach, starsze damy zasiadły na ogrodowych krzesłach pod namiotem i plotkowały. Starsi panowie, skupieni w małych grupkach, stali pod drzewami i rozprawiali o polityce i sporcie. W cieniu, na długich, wąskich deskach zastępujących stoły, ułożono jedzenie. Półmiski, wazy z pokrywami i tace zapełniały każdy centymetr. Kusiły wysmukłe dzbany z herbatą i owocowym ponczem. Roznosił się wspaniały zapach wyrafinowanych potraw i wybornych win.

Gammie znalazła wolne miejsce i postawiła przyniesione wiktuały. Kiedy spostrzegła swoją ulubioną krewną, ciotkę Beck, pośpieszyła do niej.

Starsza dama, prosta jak sosna, inteligentna, dobiegająca prawie setki, przyprowadziła na przyjęcie owdowiałą córkę, która właśnie stawiała na stole ogromną blachę z kurczakami i sosem, ciotka Beck zaś z wielkim trudem wyciągała z kufra wielki jak bagażnik samochodu plastikowy półmisek z sałatką kartoflaną.

Gammie pozdrowiła młodszą damę i wzięła w ramiona praciotkę, oddając jej szybki, obowiązkowy uścisk, przeznaczony dla rodziny i bliskich przyjaciół.

Biorąc z rąk ciotki półmisek, zauważyła, że jest ciepły.

- Czy to nie powinno być zimne? - spytała niepewnie.

Czarnooka dama, o białych, krótko ostrzyżonych i zaczesanych do tyłu włosach, ułożonych w fale i tak lekkich jak piórka, zwróciła się do niej:

- Czy wiesz, do kogo mówisz, dziewczyno? Od siedemdziesięciu lat przygotowuję kartoflane sałatki na zjazdy rodzinne i jak do tej pory jeszcze nikogo nie otrułam. Tę sałatkę zrobiłam z młodych kartofli w łupinach, dodałam dobrą cebulę i pikle, ale nie ma w niej jajek ani majonezu. Za to jest jogurt. Spróbuj, a przekonasz się, że jest to najlepsza sałatka, jaką kiedykolwiek jadłaś.

- Oczywiście, proszę pani - odparła Cammie potulnie, lecz z jakimś rozbawieniem. Ciotka Beck zawsze potrafiła zadbać o wszystko. Nigdy niczego nie zapomniała i trudno jej było czymś zaimponować. Była bardzo dobrze sytuowana i w małej cieplarni przy domu hodowała zimą oryginalne kwiaty: orchidee i bromelie. Sama grabiła dziedziniec, kopała ziemię pod klomby i każdej wiosny sadziła rośliny. Z wielkim optymizmem snuła plany na setne przyjęcie urodzinowe i nie było żadnego powodu do przypuszczeń, że się jej to nie uda.

- Co to za historie opowiadają o tobie i chłopcu Sayersów?

Stare ciemne oczy spojrzały szybko i przenikliwie. Cammie poczuła się, jakby znowu miała siedem lat.

- Nic takiego - odpowiedziała zażenowana.

- Hm... Jego dziadek był wspaniałym mężczyzną; na imię miał Aron. Raz lub dwa byłam z nim na randce, zanim postanowiłam wyjść za mąż za Henry'ego.

- Ciotko Beck! - wykrzyknęła Cammie, udając oburzenie.

Starsza dama przechyliła głowę i uważnie przypatrywała się dziewczynie.

- Wciąż jeszcze myślisz o tych rodzinnych bzdurach? Nigdy nie traktowałam tej sprawy poważnie. Uważam za wielką głupotę napominanie młodych ludzi, by na siebie nie spoglądali. To tak jakby odgrodzić kotki od mięty, za którą przepadają. Wnuk Arona jest lustrzanym odbiciem starego Justina Sayersa. Powiadali, że Justin był najmiłszym mężczyzną na ziemi, dopóki ktoś nie wszedł mu w drogę. Wówczas zamieniał się w szatana.

- Jaki byłby teraz? - spytała Cammie, czując, jak zasycha jej w gardle.

- Mówię ci po to, żebyś była ostrożna - ciotka Beck potrząsnęła głową.

- Myślę, że nie masz powodu do zmartwienia.

- Zobaczymy - odparła starsza pani, patrząc sceptycznie ciemnymi oczami.

Przyjęcie wyraźnie nabierało rozmachu. Samochody przywoziły coraz więcej roześmianych mężczyzn i kobiet, rozbrykanych dzieci i... góry jedzenia. Orkiestra, składająca się z dwóch gitarzystów, pianisty i kontrabasisty, rozlokowała się na prowizorycznie zrobionym podium i grała w stylu country. Młodzież rozpoczęła grę w siatkówkę. Rozpalono kilka grilli na węgiel drzewny, po czym położono na nie upieczone w domu kurczaki i żeberka, aby je podgrzać i wzbogacić ich smak. Rozszedł się zapach cząbrub, a dym spowił zebranych błękitną mgiełką.

Cammie wędrowała od grupki do grupki, odnawiając znajomości i dopytując się o stopień pokrewieństwa. Któryś z gości opracował skomputeryzowaną wersję drzewa genealogicznego rodziny; przyjrzała jej się i tak jak wszyscy zamówiła kopię.

Zauważyła, że Reid rzadko opuszczał miejsce pod rozłożystym dębem. Siedział w pobliżu grupy mężczyzn i daleko od kobiet. Kilka starszych i młodszych dam

rzucało spojrzenia w jego stronę. Z łatwością można było zauważyć, że stał się przedmiotem rozmów.

Keith był bardziej ruchliwy. W przeszłości uczestniczył w wielu podobnych zebraniach i swobodnie czuł się w tłumie. Za każdym razem, kiedy Gammie widziała, że kieruje się w jej stronę, natychmiast przenosiła się w inne miejsce; bawiła się z dziećmi lub chowała między starszymi paniami. Ta ostatnia metoda dawała najlepsze rezultaty; rzadko który mężczyzna decydował się na uczestniczenie w rozmowach o operacji macicy i gorących butelkach wkładanych do łóżek, a także kto z kim sypia i za kogo z nieuleczalnie chorych należy się modlić.

Była tylko jedna osoba, która nie obawiała się babskiego towarzystwa: pastor. Przyzwyczajony był do przebywania wśród kobiet wywodzących się z najstarszych klanów oraz kobiet despotycznych. To one zajmowały się większością kościołów i opiekowały biednymi rodzinami.

- Halo, Camilla! - odezwał się cichym i poufałym głosem wielebny Taggart, podchodząc do niej od tyłu. - Cieszę się, że zrozumiałaś mądrość mojej rady.

- Jakiej rady? - zapytała Cammie i przerwała, widząc, że jej wuj ukłonił się Reidowi. - Nie sądzę, żeby to była twoja rada, tak się złożyły okoliczności.

- Cokolwiek było - oznajmił stanowczo pastor - zrozumiesz, że to jest najlepsze wyjście. Nie mogę powiedzieć, abym całkowicie pochwalał twoją działalność w sprawie fabryki, ale przynajmniej jesteś na dobrej drodze do uniknięcia pozamałżeńskiej afery. Niewinność jest przymiotem kobiety. Teraz musisz posłuchać swojej duszy, która ci wskaże, jak się pogodzić z Keithem.

Spojrzała prosto w twarz tego siwego, ciężkiego mężczyzny.

- Już ci mówiłam, że nie chcę ugody. Różnię się z tobą także w poglądach na niewinność.

Oczy wielebnego omal nie wyskoczyły z orbit.

- Camillo! Uważaj, co mówisz. Rozumiem, że to jest żart, lecz inni nie znają ciebie tak dobrze jak ja.

- Dzięki niebiosom za skromne łaski!

- Przestań bluźnić! - skarcił ją surowo. - Jeszcze raz ci powtarzam, że rozwód jest paskudztwem. Co On złączył, nic nie może rozłączyć.

Słowa wuja wzbudziły w Cammie chęć podejścia do Reida i poflirtowania z nim na oczach wszystkich. Kiedy jednak spojrzała w jego stronę, zrozumiała, że to nie jest dobry pomysł. Reid uważnie śledził wymianę zdań między nią a wielebny, chociaż pozornie z największą uwagą słuchał stojącego obok mężczyzny, dyskutującego z przejęciem.

- To brednie, Jack! - dobiegł ich ostry głos ciotki Beck, która wyprostowana jak świeca siedziała niedaleko na metalowym, oplecionym taśmą fotelu. Wychyliła się i kościstym palcem dźgała wielebnego w plecy. Kiedy pastor się odwrócił, ciągnęła dalej: - Pokaż mi miejsce w Biblii, w którym jest napisane, że rozwód jest rzeczą paskudną. A jeżeli już o tym mówimy, powiedz: czy to twój interes, co Cammie robi albo z kim?

Rysy pastora stężały, mocno zacisnął szczęki.

- Jest moim obowiązkiem jako sługi bożego... - szepnął.

Stara dama wydała z siebie drwiące parsknięcie.

- Ty po prostu lubisz się wtrącać w cudze sprawy i taki byłeś, odkąd nauczyłeś się chodzić. Odwiedzałeś mnie ze swoimi rodzicami. Gdyby cię nie pilnowali, tobyś przejrzał wszystkie szuflady w komodzie, zajrzał pod łóżko i do lodówki. Jesteś wścibski i zawsze taki byłeś!

- Sądzę - odparł wielebny Taggart, z trudem skrywając zdenerwowanie - że myli mnie pani z jakimś innym dzieckiem.

- Nie, nie myślę cię. To byłeś ty. - Bystre, ciemne oczy, okolone zmarszczkami przypominającymi krepę,

iskrzyły się radością. - A kiedy nie mieszałeś się w cudze sprawy, to podsłuchiwałeś rozmowy, których nie powinieneś słuchać. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego zdecydowałaś się zostać kaznodzieją, chyba że popchnęła cię do tego ciekawość grzechów ludzi i ich spraw.

Sara Lou Taggart, żona wielebnego, przerwała miłą i spokojną rozmowę z przyjaciółką i podeszła do nich. Nerwowym, szybkim ruchem musnęła siwiejące pasma brązowych włosów i zwracając się do ciotki, powiedziała:

- Dlaczego, ciociu Beck, mówisz takie rzeczy do Jacka. On tylko stara się wskazać Cammie drogę, którą powinna iść.

- A cóż on wie o Cammie i jej poczynaniach? - Usta starszej damy wykrzywił grymas. - Albo o kierowaniu nią?

Twarz Jacka Taggarta zaczerwieniła się z gniewu lub może z zakłopotania. Żona spojrzała na niego z obawą.

- On należy do Boga. Co innego ma robić?

- Pilnować własnego nosa i głosić ewangelię. Ot, co powinien robić - odparła stanowczo stara ciotka. - Zostawić ludzi w spokoju i pozwolić im być sobą.

- Chodźmy, Saro - rzekł pastor. - Ta dyskusja nie ma żadnego sensu.

Krytyka pobrzmiwająca w jego głosie miała sugerować, że to jego żona spowodowała całe zamieszanie. I miała również dać do zrozumienia, że starsza pani cierpi na taki uwiad starczy, iż szkoda czasu na jakąkolwiek rozmowę.

- Sę - zamruczała ciotka Beck, rzucając za nim niechętnie spojrzenie.

Uśmiechnięta Cammie zastanawiała się, od którego ze swoich praprawnuczków starsza pani przejęła to powiedzenie. Położyła rękę na kruchym kościstym ramieniu ciotki.

- Dziękuję, że wstawiłaś się za mną - powiedziała.
- Nie mam cierpliwości do głupców, nawet do tych z dobrymi intencjami - odparła starsza pani.

Gammie niepewna, kogo ciotka miała na myśli, i z lęku, że może się o tym dowiedzieć, uznała, iż najrozsądniej będzie milczeć.

Kiedy już wszyscy myśleli, że czeka ich śmierć głodowa wśród wielkiej obfitości jedła, kobiety, wciąż się ociągając, bo może jeszcze ktoś przyjedzie, zdecydowały wreszcie, iż czas rozpocząć ucztę. Jedna z pań zaczęła przygotowywać talerze z jedzeniem dla dzieci. Druga donośnym głosem wezwała mężczyzn, by podchodzili do stołu. Brat Taggart z wdzięcznością przyjął zaproszenie do zainaugurowania uczy. W chwilę później wszyscy ochoczo rzucili się do stołu.

Postronny obserwator mogłyby sądzić, że pierwsi zostali obsłużeni mężczyźni i dzieci, natomiast kobiety zwyczajowo musiały czekać. Tymczasem wcale tak nie było. Po prostu kobiety sprawowały patronat nad tym zjazdem i one rozdzielały potrawy. To one decydowały, kiedy i co każdy gość ma jeść. Żaden mężczyzna nie odważył się tknąć jedzenia bez uprzedniej zachęty.

Przyjęcie przebiegało spokojniej, niż mogło się wydawać. Bardzo wielu panów już trzymało w rękach talerze, na których piętrzył się stos przysmaków nałożonych przez ich żony. Pozostawało im tylko wziąć kieliszek z trunkiem i poszukać miłego, spokojnego miejsca, w którym można by zjeść te specjały. Samotni mężczyźni czekali, aż kobiety zostaną obsłużone, i dopiero później ustawiali się w kolejce do stołu. Tak postępował każdy dobrze wychowany mężczyzna z Południa. Wcześniej go uczono, że jeżeli chce jeść, musi zaczekać na zaproszenie.

Reid zwlekał. Kilku równie samotnych panów, kończąc długą i zawiłą opowieść o łowieniu okoni, też

cierpliwie czekało. Wśród nich był szeryf Bud Deerfield, tym razem w cywilu, lecz z nieodłącznym rewolwerem u pasa. Keith również znajdował się w tej grupie.

Cammie, pomagając innym kobietom dzielić sałatkę z kapusty, kurczaki i pierożki, kątem oka obserwowała Reida. Pozostawał w tym samym miejscu nawet wówczas, kiedy mężczyźni ruszyli w kierunku smakowitych potraw.

W pewnej chwili przeszła obok niego pięcio- lub sześćioletnia dziewczynka, która zmierzała w stronę matki w zaawansowanej ciąży. Dziecko trzymało w jednej ręczce talerz z jedzeniem, a w drugiej pełną szklankę ponczu. Kiedy zbliżyła się do Reida, talerz wypadł jej z rąk. Krzyknęła z rozpaczą.

Reid błyskawicznie złapał talerz i zręcznym ruchem chwycił szklankę z napojem, który niechybnie wylałby się na biały fartuszek dziewczynki. Dziecko posłało mu uśmiech pełen uwielbienia. Nawet jej osobisty anioł stróż nie mógłby wyrzucić na niej większego wrażenia.

Cammie stała zbyt daleko, aby słyszeć, co powiedziała dziewczynka, ale widziała twarz Reida.

Zobaczyła w jego oczach wyraz cierpienia. W chwilę później widoczny ślad emocji zniknął z jego oblicza. Podał talerz dziewczynce z wielką ostrożnością, potem szybko się cofnął, znów stanął pod drzewem i plecami mocno wcisnął się w szorstką korę dębu, jakby chciał podtrzymać pień.

Cammie poczuła jakiś bolesny skurcz. Z trudem przełknęła ślinę. Sięgnęła po talerz i zaczęła nakładać jedzenie. Nalała do szklanki mrożonej herbaty i ruszyła w kierunku Reida.

Keith stał z dwoma mężczyznami, czekając na włączenie się do kolejki do stołu. Widząc, że Cammie zmierza w jego kierunku, przesłał jej uśmiech. Gdy Cammie znalazła się w pobliżu, wyciągnął rękę, myśląc, że to właśnie jemu chce podać jedzenie.



Cammie zdała sobie sprawę, że powinna go ominąć większym łukiem. Nie mogła już jednak tego naprawić. Nie miał prawa sądzić, że ona będzie go karmić czy w ogóle o niego się troszczyć. Stanowczym ruchem minęła Keitha i skierowała się prosto do miejsca, w którym stał Reid. Wiedziała, że Keith będzie się ciskał i rzucał na nią gniewne spojrzenia, ale nic jej to nie obchodziło.

- Dlaczego to robisz? - spytał Reid, lekko marszcząc brwi, chociaż machinalnie przyjął talerz, który Cammie mu wcisnęła.

- Wygląda na to, że ruszysz się dopiero wtedy, kiedy wszystko zniknie.

- Ale ty też nie jadłaś. - Usiłował oddać jej talerz i szklanę.

- Zaraz zjem, za chwilę.

Rozchmurzył się. Popatrzył na nią z troską.

- Zaczekam na ciebie.

- No dobrze - powiedziała z wahaniem. - Ale tylko dlatego, że chcę cię o czymś przekonać.

Zrobił zdziwioną minę. Cammie odeszła, zanim zdążył otworzyć usta.

Popijał herbatę, obserwując dziewczynę ze wzrastającą uwagą. Po chwili przyniósł dwa ogrodowe krzesła: na jednym usiadła Cammie, sam zajął drugie.

- A więc? - zapytał.

Miała czas, by przemyśleć, co mu powie.

- Chciałam dowieść, że nasza spreczka nie ma osobistego charakteru - powiedziała opanowanym głosem.

- Mogę to zrozumieć - odparł, a po namyśle spytał: - Ale czy naprawdę tak jest?

- Jeżeli o mnie chodzi, to tak - zapewniła, rzucając mu szybkie spojrzenie.

- Miło to wiedzieć.

Poczuła się niezręcznie, gdy wyczuła nutkę ironii.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu?  
- Już raz zostałem wykorzystany do stłumienia brudnych plotek. Nic mi nie udowodniono. W każdym razie jestem wolny. Możesz mnie wykorzystać.

Wzięła kawałek kurczaka i po chwili go odłożyła.

- Powiedzmy, że wolę, by ludzie się domyślali...  
- To łatwo można zrobić - odparł. - Zawsze możemy publicznie się nie zgadzać, a prywatnie romansować.

Zacisnęła usta.

- Albo przeciwnie - powiedziała niepewnie.  
- Prywatne nieporozumienia i publiczna zgoda? To mnie zdumiewa, ale nie zniechęca. Czy chciałabyś od razu w tym miejscu zacząć od namiętnego pocałunku, czy też zjedziemy nad jezioro, gdzie wystawieni na widok publiczny będziemy się obmacywać?

Długo na niego patrzyła, nie wiedząc, czy kpi, czy jest aż tak bezczelny, czy też łączy w sobie te obydwie cechy.

- Ani jedno, ani drugie - rzuciła ostro.

- Nie? Jaka szkoda!

- Czy mógłbyś być poważny?

- Ależ jestem - odparł chłodno.

Zamknęła oczy, po chwili je otworzyła.

- No dobrze. Widzę, że nie masz zamiaru mnie wysłuchać, dopóki nie postawisz na swoim. Bardzo mi przykro, że nazwałam cię podglądaczem. Czy teraz jesteś zadowolony?

- Nie!

Ten mężczyzna był jakiś nedorzeczny i w dodatku niewdzięczny, nawet nie spróbował jedzenia, jakie mu naszykowała. Cammie podciągnęła nogi, gotowa do wstania.

Reid błyskawicznie wyciągnął ręką, aby ją zatrzymać.

- Nie jestem zadowolony - wyjaśnił - ponieważ po starannym rozważeniu sprawy doszedłem do wniosku, że być może to ty masz rację.

Zupełnie się tego nie spodziewała. Urzekł ją głęboki błękit jego oczu i szczerze spojrzenie. Ciepły i stanowczy nacisk palców na jej skórę żywo przypomniał tamtą noc. Noc, o której chciała zapomnieć. Poczowała się zagubiona i nie bardzo wiedziała, co ma powiedzieć. Z ulgą przyjęła wypowiedziane w ciszy słowa:

- Nie myślałem, jak ocenisz moje - z braku lepszego określenia nazwijmy to: szpiegowanie. Nie powinienem zakradać się w ten sposób. Albo nie powinienem o tym mówić.

Roześmiała się. W jego głosie wyraźnie usłyszała fałsz i zobaczyła, że opuściły mu się kąciki ust. Było oczywiste, że wcale nie żałuje tego, co się stało.

- I chciałeś, żebym ja o tym nie wiedziała?

- Można tak powiedzieć - zgodził się.

Spojrzał na nią zdeterminowany. Zwolnił uścisk jej ramienia. Dopiero w chwilę później Cammie zdała sobie sprawę, że kciukiem dotyka jej przegubu, w miejscu, w którym szalał przyśpieszony puls.

„Jak łatwo - pomyślała - wdać się w romans, wszystko jedno: prywatny czy nie, z Reidem Sayersem”. Nigdy by w to nie uwierzyła. W jaki sposób stało się to tak szybko? Jak do tego doszło, że tak bezwolnie pozwalała sobą manewrować temu właśnie mężczyźnie?

Dalej już się to nie uda. Przecież jej powiedział, że nie ma nic do zaoferowania. Uwierzyła. Seks bez zobowiązań dobry był na jedną noc, a ona miała większe wymagania, zwłaszcza kiedy będzie wolna.

To był wstyd.

Uwolniła z uścisku ramię stanowczo, lecz bez pośpiechu. Nie próbował jej powstrzymać i była mu za to wdzięczna. Opanowała się i przyjęła postawę osoby zachowującej dystans, wciągniętej w obojętną rozmowę. Była to danina, jaką płaciła na rzecz gapiów. Rozpoczęła konwersację o drobiazgach, taką, jaką mogłaby prowadzić w obecności innych.

Zainteresowanie rozmową było obustronne. Reid zadawał pytania i uważnie słuchał odpowiedzi. Sama była zdziwiona, że opowiedziała mu o zdobyciu pierwszego miejsca w punktowanym pokazie na najlepszą akwarelę i o tym, że chciała zbudować arkady w letnim domu w Evergreen, po czym obsadzić je pnącymi różami. Wspomniała również o kliencie, który kolekcjonował porcelanowe szpilki do kapeluszy i tego ranka kupił jedną w *jej* antykwariacie; zwierzyła się ponadto z zamiaru odbycia na frachtowcu podróży dookoła świata.

W zamian dowiedziała się, że on lubi lazanie, a za spaghetti nie przepada. Jego przyjaciel Francuz, który mieszka w Nowym Jorku, jest Żydem i obaj grają w weekendy na komputerze w szachy. Wyznał jej również, że nie znosi telefonów komórkowych, chociaż sam ma taki, i że zawsze pragnął mieć rodzeństwo. Powiedział też, że szczególnie interesuje się muzyką. Zbiera płyty z klasycznym jazzem i odtwarza je na starym gramofonie. Utwory ulubionego kompozytora Haydna słucha na nowoczesnym odtwarzaczu. W wolnym czasie oddaje się swojej największej pasji, a mianowicie komponowaniu muzyki country posługuje się przy tym klawiaturą podłączoną do komputera.

- Masz na myśli muzykę towarzyszącą picciu piwa? - spytała z niepewnym uśmiechem.

- To piosenki o smutku, a także o miłości do wspaniałej, dobrej kobiety. Czy ci to nie odpowiada?

- Jak może mi nie odpowiadać? To jedyna muzyka z wyraźną melodią i słowami, nie będącymi obrazą dobrego smaku, nie mówiąc już o przyzwoitości. Poza tym - dodała nonszalancko - teraz występuje wielu nowych i bardzo przystojnych piosenkarzy.

- Są współczesnymi trubadurami opowiadającymi pieśnią o życiu. Jest to poezja pracujących ludzi i możliwe ujście dla ich uczuć.

- Może spróbować dzielić je z kobietą życia - odparła z niesmakiem.

Reid przecząco potrząsnął głową.

- To zbyt ryzykowne. A co będzie, jeżeli ona go nie zrozumie lub zrozumie za dobrze i zacznie nim gardzić? Albo się litować?

Oczy Cammie spotkały się z nieodgadnionym spojrzeniem Reida, w którym kryła się wielka, nieoczekiwana czułość. Być może nie była taka nieoczekiwana... Wolno pokręciła głową.

- Jesteś niezwykłym i zadziwiającym mężczyzną.

Nagły błysk, coś gorącego i jasnego jak wiosenna błyskawica ukazało się w jego oczach. Trwało tylko sekundę i zgasło, zanim odwrócił głowę. Cammie wciąż jednak czuła jego żar, miała wrażenie, że w piersiach przesunęło jej się serce.

Zdała sobie sprawę, że Reid Sayers był człowiekiem, który głęboko chował swoje uczucia. Był dobrze przygotowany i uodporniony na wszelkie sondy i wścibską ciekawość. Zastanawiała się, co można zrobić, żeby się otworzył i pozwolił komuś naprawdę poznać siebie. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek tak się stanie.

Ach, co za wstyd!

## - IX -

- Prawdopodobnie mnie nie pamiętasz - odezwała się młoda kobieta. Przysiadła nerwowo na brzeżku kanapy stojącej w salonie, obitej delikatną materią we wzory ryb, wody i żółtych kwiatów na beżowym tle.

Miała rację. Ta kobieta z nikim nie kojarzyła się Carnmie, chociaż usiłowała ją sobie przypomnieć. Nazwisko Baylor należało do starej rodziny znanej w Greenley i okolicy, ale imię Janet nic jej nie mówiło. Twarz kobiety była nieznaną; blada cera, miękkie rysy i popielatobrązowe włosy, które przywodziły na myśl mysz.

- Nie ma żadnego powodu, żebyś mnie pamiętała - wyjaśniła Janet Baylor. - W szkole byłam od ciebie o cztery klasy niżej. Wiesz, jak to jest: młodsze dzieci zawsze zachowują w pamięci starsze, a starsze - tylko najwyżej o rok młodsze. Ciebie zapamiętałam dobrze. Kiedy ciężarówka potrafiła mojego pieska, którego dostałam od taty na urodziny, ty jechałaś za ciężarówką, która to zrobiła. Zatrzymałaś się, wzięłaś mnie i Rocky'ego i zawiozłaś do weterynarza.

- Ach tak - przypomniała sobie Cammie, doznając nagłego olśnienia. - Ależ to było wiele lat temu! Czy wszystko dobrze się skończyło?

Janet Baylor uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Rocky ma już dziesięć lat i wyrósł na pięknego psa. Nie byłoby go z nami, gdyby nie ty. Nigdy nie zapomnę uprzejmości i troskliwości, jaką nam okazałaś. Więc kiedy znalazłam te materiały w sądzie, nie

wiedziałam, co mam robić. Powiedzieli mi, żebym nikomu nic nie mówiła, lecz wydało mi się to niesłuszne. Ostatecznie zdecydowałam, że muszę się z tobą zobaczyć i powiedzieć ci o tym.

W tym momencie do saloniku weszła Persephone, trzymając na tacy szklanę wody, o którą prosiła Janet. Gammie proponowała jej kawę, soki i ciasto, lecz odmówiła. Przynęła do siebie wodę i wygładziła Inianą serwetkę wykończoną na brzegach brukselską koronką. Kiedy Persephone wyszła Gammie zapytała:

- Nie rozumiem, o czym pani mówi. Co pani znalazła w sądzie?

Janet upiła łyk wody, popatrzyła na Gammie i zaczęła mówić:

- Jestem urzędniczką w kancelarii prawniczej Lane, Endicott i Lane. Zajmuję się głównie rutynowymi czynnościami: wkładam do kartotek wierzytelności hipoteczne, sprawdzam orzeczenia sądowe, kontroluję oryginalność testamentów i spadkobierców. Kilka tygodni temu przyszedł do nas z fabryki list z prośbą o wyszukanie tytułu własności. Musiałam odszukać starą umowę dzierżawną z Justinem Sayersem i znaleźć oryginał nadania ziemi na nieruchomości zajmowaną przez fabrykę.

Gammie czuła dziwne podniecające drżenie. Janet Baylor mówiła o ziemi prawdopodobnie nadanej staremu Justinowi przez jej prababkę Lavinie. Od dawna jej się zdawało, że w tej transakcji jest coś tajemniczego.

- Cały czas słucham cię uważnie - powiedziała, uśmiechając się zachęcająco.

Janet Baylor skinęła głową.

- Znalazłam dokumenty dotyczące dzierżawy Justina Sayersa oddanej fabryce Sayers-Hutton Opakowania i Wytwórnia Papieru. Dzierżawa opiewa na dziewięćdziesiąt dziewięć lat i jest potwierdzona notarialnie. Z tym nie ma kłopotu. Niestety nie mogę znaleźć aktu nadania ziemi przez Lavinie Annę Wiley Greenley

Justinowi Sayersowi. Taki dokument powinien być skatalogowany lub znajdować się w kartotekach w trzech różnych miejscach. W żadnym nie ma ani śladu.

- Czy chcesz powiedzieć, że ten dokument w ciągu stu lat mógł być złożony w niewłaściwym miejscu... a może skradziony? - Uderzona trafną myślą, aż zmrużyła oczy.

- Nie, nic takiego się nie zdarzyło - kobieta wyraźnie się przestraszyła. - Zastanawiam się, czy ten dokument nie został zniszczony w latach dwudziestych, kiedy był wielki pożar sądu. Gdyby tak się stało, w rejestrze sądowym, w którym są dokumenty z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku, powinien pozostać jakiś symbol. Ta stara księga jest wciąż w dobrym stanie. Istnieją jeszcze dwie inne możliwości.

Urwała i przesunęła językiem po wargach, jakby nagle poczuła suchość w ustach. Gammie zaczynała się domyślać, co Janet Baylor chce powiedzieć. Przyjrzała jej się uważnie.

- Ach tak?! - mruknęła.

Janet Baylor głęboko odetchnęła, wstrzymała oddech na krótką chwilę, po czym ze świstem wypuściła powietrze i wyprostowała ramiona. Podniosła głowę i ciągnęła dalej:

- Pierwsza możliwość jest taka, że akt nadania ziemi z jakichś powodów nigdy nie został skatalogowany i gdzieś tam sobie leży lub jest schowany głęboko w jakimś sejfie z depozytami. Druga możliwość to ta, że akt nadania ziemi nigdy nie został sporządzony.

„Akt nadania ziemi nigdy nie został sporządzony...” Kiedy Gammie wpatrywała się w marmurowy kominek, echo tych słów brzmiało jej w głowie. Gdyby nie było aktu nadania, wówczas ziemia pod fabryką, może też budynki znajdujące się na niej - należałyby do spadkobierców rodziny Greenleyów, potomków Lavinii Greenley i jej męża Horacego. To by znaczyło...



- Jest jeszcze coś...

Suchy ton głosu kobiety przywrócił Cammie świadomość.

Gwałtownie zwróciła głowę w stronę kobiety.

- Tak?

Janet Baylor obracała szklanekę z wodą. Chciała ją postawić na niskim stoliku stojącym między nimi, ale ręce tak jej drżały, że wylała wodę na srebrną tacę.

- Och, bardzo przepraszam!

- Nie szkodzi, nic się nie stało - rzekła Cammie. - Proszę, mów dalej.

Kobieta splotła ręce na podołku, a jej długie rzęsy przykryły oczy.

- Zaczęłam sprawdzać stare dokumenty dotyczące sukcesji Greenleyów, łudząc się, że może tam znajdę akt nadania. Może były jakieś powikłania, jak na przykład sprawy poprzedniej hipoteki, a może powiązania z większą transakcją dotyczącą ziemi. I właśnie tam znalazłam papiery rozwodowe.

- Co? Moje? - spytała Cammie ze zmarszczonymi brwiami.

Janet Baylor przecząco potrząsnęła głową.

- Papiery rozwodowe Lavinii i Horacego Greenleyów.

- Musisz się mylić. Nie było rozwodu. W tamtych czasach byłby to okropny skandal.

- A jednak był rozwód w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym, dwa lata przed śmiercią Horacego Greenleya. Na własne oczy widziałam dokumenty. Były wyraźnie podpisane przez Horacego i jestem tego tak pewna jak tego, że teraz jest dzień. Podpis Horacego był identyczny przynajmniej z sześcioma innymi jego podpisami znajdującymi się w kartotece. Papiery leżały w zapieczętowanej kopercie i Lavinia Greenley nigdy ich nie podpisała. Sądzę, że istnieje możliwość, iż... - Urwała i po chwili znów się odezwała. - Lavinia nigdy o nich nie wiedziała.

Cammie przecząco pokręciła głową.

- Tak być nie mogło. Żyli razem jak mąż i żona, kiedy zmarł Horacy. Kilka tygodni przed jego śmiercią urodziło się dziecko.

- Wiem o tym - odparła kobieta. - Sprawdzałam i to.

- To by znaczyło... - zaczęła Cammie i nagle zamilkła. Pierwsze dziecko Horacego i Lavinii Wiley Greenley miało prawie pięć lat, kiedy zmarł Horacy. Po romansie Lavinii i pogodzeniu się z mężem przyszła na świat dziewczynka. Zgłosiło się nawet sporo spadkobierców majątku należącego do drugiego dziecka. Byli to ludzie, których Cammie od lat nazywała kuzynami, włączając do ich grona Wen Marston i szeryfa Buda Deerfielda. Jeżeli rozwód naprawdę miał miejsce w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku, oznacza to, że córka Lavinii była dzieckiem nieślubnym. Jej potomkowie są oczywiście spokrewnieni z rodziną Greenleyów, ale nie z prawnego punktu widzenia, jak do tej pory uważają. Wygląda na to, że oni nigdy nie mogli sobie rościć prawa do majątku Greenley.

Jakie to dziwne! Nie dlatego, żeby to dla Cammie miało jakąkolwiek wagę. Wszystko wydarzyło się tak dawno, a wyjaśnienie rozmaitych zawiłości prawnych będzie więcej kosztowało niż wartość majątku, nawet jeżeli to nikogo nie obchodzi. W każdym razie ona z pewnością się tym nie zainteresuje.

- Oznacza to - kontynuowała Janet Baylor - że bez znaczenia jest fakt, czy kiedykolwiek istniał akt nadania ziemi pod papiernię, czy też nie. Oznacza to także, że Lavinia Greenley w chwili, kiedy chciała przenieść prawo własności, jeżeli w ogóle to uczyniła, nie miała do tego podstaw. Nie występowała w roli osoby użytkującej własność należącą do jej zmarłego męża. Wszystko, co mogła zrobić, oczywiście w ramach prawa, to zatrzymać ziemię dla syna, twojego dziadka, Jonathana Wileya Greenleya.

Janet Baylor przyglądała się Gammie wyczekująco. Cammie starała się za wszelką cenę zrozumieć, co usłyszała. Widziała sprawę w ogólnym zarysie, lecz jej umysł jeszcze nie obejmował wszystkiego.

Kobieta pochyliła się w stronę Cammie.

- Czy nie rozumiesz? Jonathan Wiley Greenley, jedyny prawny spadkobierca Lavinii i Horacego, miał dwóch synów i córkę. Córka zmarła wcześniej na chorobę Heinego i Medina. Najstarszy syn miał dwadzieścia trzy lata, kiedy się ożenił, lecz zginął w czasie drugiej wojny światowej pod Guadalcanal. Był bezdzietny. Tylko twój ojciec przeżył. Tak więc tylko ty jako jego jedyne dziecko jesteś prawną spadkobierczynią. Tereny pod papiernią należą do ciebie. Za niecałe dwa lata wygasa termin dziewięćdziesięciodziewięcioletniej dzierżawy.

Do niej należy ziemia, na której stoi fabryka, oraz sama fabryka! Wszystko to prawnie należy do niej! Słowa te powoli docierały do Cammie i zaczęły nabierać znaczenia.

- Szwedzkie Towarzystwo nie jest zainteresowane w odnowieniu dzierżawy - powiedziała Cammie. - Oni chcą to po prostu kupić.

Janet Baylor przytaknęła.

- Jeżeli chcesz przeszkodzić w wykupieniu fabryki, wystarczy, że się nie zgodzisz na jej sprzedaż.

Uniesienie, jakiego doznała Cammie, było trudne do opanowania. Będzie mogła ocalić lasy, ziemię i... dzięcioły. Bitwa zakończyła się jeszcze przed rozpoczęciem. Jako właścicielka fabryki będzie miała prawo kształtować ochronę środowiska w gminie, tak jak uzna to za stosowne. Nikt i nic jej w tym nie przeszkodzi. Doznała uczucia wielkiej ulgi, radość musowała w jej żyłach jak szampan. Uśmiech, który okraślił jej usta, promiennie rozświetlał oczy.

Po krótkiej chwili podniecenie zaczęło stopniowo przygasać.

Jeżeli miasto umrze, tylko ona będzie za to odpowiedzialna. Do tej pory było inaczej. W akcji przeciw

sprzedaży fabryki razem z nią działali inni ludzie. Uświadomienie sobie tego było jak kubeł zimnej wody.

- Jest jeszcze inna sprawa - ciągnęła Janet Baylor. - Wpadłam na to ubiegłej nocy - i właśnie między innymi z tego powodu chciałam się z tobą dziś rano zobaczyć. Jeżeli ziemia należy do ciebie, zatem ty jesteś jedyną spadkobierczynią i przez te wszystkie lata powinnaś otrzymywać pieniądze za dzierżawę. Z obliczeń wynikało, że Justin Sayers zgodził się na sumę jednego dolara za trzysta akrów rocznie. Jeżeli wszystko dodasz, pomnożysz przez sto lat i doliczysz do tego przeciętny bankowy procent - jaki sąd może nakazać po procesie spornym - to otrzymasz pokaźną sumę. I są to pieniądze, które właściciele fabryki byłiby ci winni, niezależnie od tego, czy sprzedasz fabrykę, czy też nie.

Po bulwersujących informacjach usłyszanych od Janet zaczęły w Cammie budzić się podejrzenia. Pełna wątpliwości, ostrożnie zapytała:

- Zdaje mi się, że mówiłaś, iż odkryłaś tę sprawę kilka tygodni temu. Czy to oznacza, że wyniki poszukiwań zostały wysłane do tej osoby w fabryce, która napisała do was list?

- Tak.

- A czy mogłabyś mi powiedziedzieć - oczywiście, jeżeli wiesz - kim była osoba, która nawiązała kontakt z kancelarią Lane, Endicott i Lane?

Janet Baylor skinęła głową.

- O ile wiem, list przysłał Gordon Hutton.

Cammie nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymała oddech, dopóki ze świstem nie wydobył się z jej płuc. Od bardzo dawna Reida nie było w domu, nie on zatem upoważnił urzędniczkę do wykonania tej pracy, ale mógł to uczynić jeszcze jego ojciec. W tym wypadku wydawało się mało prawdopodobne, żeby Reid nie znał wyników poszukiwań. Natomiast jeżeli za tym stał Gordon, wszystko było możliwe.

Jednak istniała pewna osoba, która niewątpliwie o tym wiedziała. Tą osobą był jej były mąż.

W Cammie wzbierało uczucie pogardy. Nagle wszystko stało się jasne. To dlatego Keith tak bardzo chciał anulować pozew rozwodowy i zająć dawne miejsce przy jej boku. Zgodnie z obowiązującym prawem własności w Luizjanie połowa majątku uzyskanego w czasie trwania małżeństwa należałaby się jemu. Gdyby fabryka została sprzedana, a sąd uznałby ją za właścicielkę, on dostałby połowę tej sumy. Nawet gdyby sprzedaż fabryki okazała się nieaktualna, on i tak wydarłby wielką kwotę należną za dawną dzierżawę.

Gdyby zaś sąd udzielił rozwodu, zanim wszystkie sprawy zostałyby ustalone, wówczas musiałyby się obejść smakiem. Nic by nie dostał. Absolutnie nic!

„Już ja tego dopilnuję - pomyślała Cammie. - Dostanie to na co zasłużył”.

Z trudem powróciła do rzeczywistości i do kobiety siedzącej tuż obok.

- Nie potrafię wprost wyrazić swojej wdzięczności za to, że do mnie przyszłaś. Chyba nie będziesz miała kłopotów z tego powodu, prawda?

Janet Baylor zacisnęła usta.

- Jeszcze nie wiem. Zapewne zechcesz wykorzystać moje informacje, w przeciwnym razie nie miałyoby to sensu. Ale jeśli tak uczynisz, czy sądzisz, że mogłabyś zapomnieć, w jaki sposób się o tym dowiedziałaś?

- Jestem pewna, że tak - zgodziła się Cammie, kładąc rękę na dłoni kobiety.

Uśmiechnęły się do siebie ze zrozumieniem.

Późnym popołudniem Cammie zdecydowała się na rozmowę z Reidem. Dwadzieścia cztery godziny, a nawet dłużej, myślała nad poznanymi rewelacjami. Jednak im dłużej je rozpamiętywała, tym dostrzegała coraz więcej spraw do rozważenia. Pojawiały się także pytania, na

które nie znała jeszcze odpowiedzi. Zmęczyło ją bezwzględne ćwiczenie umysłu, najbardziej jednak dręczyły wątpliwości.

Nie zastanawiała się nad przyczyną sprzeczki z Reidem, uwagę jej zaprzętało co innego. Zrodziło się w niej podejrzenie, które stopniowo zaczęło zagrażać zdrowemu rozsądkowi.

Miało ono związek z wyznaniem Reida, że obserwował ją tamtej nocy, kiedy u niej w domu odbywało się zebranie; przyznał się również, że podglądał ją, gdy dorastała. Wiele razy analizowała rozmowę, jaką z nim odbyła tamtego wieczoru, ale nie pamiętała, czy Reid powiedział, że tylko wówczas ją podglądał. Nie przypominała sobie także, by jej obiecał, że już nigdy więcej tego nie zrobi.

Uznała, że była to bardzo znacząca pomyłka. Zamierzała się o tym upewnić, i to bez zwłoki. Nie dlatego, że obawiała się jakiejś przeszkody, po prostu nie lubiła niczego odkładać.

Wyjęła z szafy ciemnoszarą kurtkę chroniącą przed wiatrem, czarne spodnie, koszulę z dzianiny z długimi rękawami, skarpety i buty. Szybko się przebrała i w kilka minut później, kiedy na niebie widać było jeszcze resztki dnia, wyszła z domu.

Zatrzymała się na chwilę w ogrodzie z tyłu domu, podniosła głowę i wciągnęła w płuca słodki zapach drzew oliwnych i azalii. Zdawało się jej, że odróżnia delikatny zapach kapryfolium, a także cierpką woń ligustru. Wokół domu nie było już tych wstrętnych krzewów, które trzydzieści lat temu jej dziadek zasadził w formie żywopłotu. Krzaki wykopano i zniszczono, lecz w pobliskich lasach przetrwały zdziczałe odmiany dzięki ptakom, które rozrzucały nasiona. Kierując się zapachem, lekkim krokiem ruszyła naprzód.

Na swoje schronienie wybrała rozłożyste, stare drzewo ligustru. Było dostatecznie gęste, żeby posłużyć za kryjówkę. Nie miało kolców ani kłujących liści. Jego konary były na tyle niskie, że mogła się na nich

usadowić, i wystarczającą mocne, by ją utrzymać. Ale największą zaletą była ostra woń kwiatów, która z pewnością przytłumi zapach perfum.

Nie miała zamiaru ryzykować. Dobrze zapamiętała reakcje i pokaz zdolności Reida.

Czekanie nie było takie proste. Wraz z gęstniejącą ciemnością las rozszumiał się tysiącem szmerów, skrzypień, szczebiotów i wezwań. Przy najbliższym ruchu lub wietrze miękkie liście ligustru ocierały się o Cammie; przypominało jej to delikatne dotknięcia małych pajęczków i innych pełzających stworzeń. Dopadły ją komary krążące wokół. Przez cały czas słyszała uporczywe, natrętne brzęczenie.

W domu zostawiła kilka palących się świec. Teraz ich długie promienie wyznaczały na trawie granicę jasności; blask sięgał aż po skraj lasu. Obserwowała przestrzeń między drzewami, przyzwyczajając oczy do rozróżniania naturalnych cieni, zmieniających położenie pod wpływem wiatru, od tych, które mogły być obce.

Konar, na którym siedziała, coraz bardziej wpijał jej się w nogi. Przesunęła się trochę i znieruchomiała, bo przypomniała sobie, że musi być ostrożna i cierpliwa.

Jakieś pół godziny później spostrzegła poruszający się cień. Z wrażenia zaparło jej dech w piersiach. Wytrzeszczała oczy, aby nie stracić go z pola widzenia. Cień był niski, krótki, wijący się i bezszelestny. Pełzał tuż nad ziemią. Trzymał się blisko lasu, poza zasięgiem światła padającego z domu. Poruszał się szybko i sprawnie.

To był kot.

Cammie odetchnęła. Głowę oparła o pień. Pajęczyna przylepiła się do jej policzka i wplątała w rzęsy. W chwilę później do niedawna pustą przestrzeń między słodkim gumowcem a cedrem wypełniły ramiona mężczyzny. Cammie zamrugnęła, aby się upewnić, że to nie jest przywidzenie. Postać była potężna, mieszała się z innymi cieniami, raz się ukazywała, raz znów zniknęła.

To musi być Reid.

Bała się nawet oddychać, kiedy obserwowała, jak bada teren i bezgłośnie się porusza, zakreślając szerokie koło wokół domu. Może to duch albo jakiś większy kot, a może pantera, do której kiedyś porównała Reida? Wyraźnie zadowolony, że wszystko znajduje się tam, gdzie być powinno, mężczyzna wrócił na dawne miejsce jakieś trzydzieści metrów od domu, na wprost okna sypialni. Bujając się na piętach, zajął pozycję. Musiała dobrze przetrzeć oczy, aby stwierdzić, że on tam jest.

Świadomość tego faktu dziwnie na nią podziałała. Nie była pewna, jakie uczucie bierze w niej górę: zagrożenia czy ulgi; czy się boi, czy też jest wdzięczna.

Ale bez wątpienia nie było to uczucie obojętności. Mocno reagowało na otaczającą noc i siłę czuwającego mężczyzny... Nie tego najbardziej by sobie życzyła, ale cóż mogła zrobić?

I co teraz?

Przygotowała sobie kilka pytań, które chciała zadać, gdyby udało jej się podejść do niego bliżej bez narażania się na pobicie lub coś gorszego... Otworzyła usta, żeby go ostrzec, ale zaraz je zamknęła.

W szaroczarnej nocy kształt mężczyzny ją zaniepokoił i nasunął wątpliwości. Cień wydał jej się zbyt duży i zbyt zwarty. Niezdarny sposób, w jaki stawiał stopy na piętach, wzbudził *jej* podejrzenie.

To musi być Reid, bo któż by inny?

Chyba że... Keith.

Nieprawdopodobne! Keith nie przepadał za polowaniem. Poza tym był szczuplejszy, nie mógł rzucać takiego dużego cienia.

A jednak to był albo jeden, albo drugi.

Delikatny nocny wiaterek wiał jej prosto w twarz. A więc jeśli zajmie pozycję z wiatrem w stosunku do mężczyzny, który stał przed domem, najlżejszy dźwięk rozniesie się daleko. Spróbuje podejść bliżej, zanim ujawni swą obecność.



Z wielką ostrożnością zeszła ze swojego gniazda.

Przytrzymała gałęzie, żeby się o nią nie ocierały, następnie przesunęła się pod nimi i powoli zeszła z drzewa. W trakcie tych czynności straciła wzrokowy kontakt z miejscem, w którym stał mężczyzna. Kiedy ponownie tam spojrzała, nie mogła go już dostrzec.

Czy to on się przesunął, czy też ona zgubiła go w ciemnościach? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Zaciśnęła zęby. Nerwowy dreszcz przebiegł przez jej ciało. Leciutko na palcach stała niezdecydowana.

Nie mogłaby tkwić tak przez całą noc. W dodatku nie ma pewności, że to miejsce jest bezpieczne, zwłaszcza jeżeli ów mężczyzna, ktokolwiek nim jest, szuka łupu.

Uważając, by nie łamać gałęzi, zrobiła pierwszy krok. Coraz głębiej zanurzała się w las, okrążając jak najdalej dom i mężczyznę stojącego na czatach.

Minęła godzina, a może dwie, zanim Cammie ponownie zobaczyła nikłe światła padające przez drzewa domu Evergreen. Weszła między gałęzie młodej sosny i stamtąd obserwowała i nasłuchiwała.

To był szalony, a nawet głupi pomysł. Zupełnie nie wiedziała, co skłoniło ją do przypuszczenia, że tam stoi Reid. Była już zmęczona zabawą i miała zwyczajnie dosyć pilnowania się i koncentrowania uwagi na tym, żeby stać się niewidzialną. Gdyby nie zauważona mogła dotrzeć do tylnych drzwi, wbiegłaby do środka tak szybko, że nawet kot nie zdążyłby mrugnąć. Tak właśnie robi.

W zasięgu wzroku nic nie było widać oprócz pokrytej srebrną rosą trawy i rzucanych przez nią cieni. Ostrożnie wyszła z ukrycia.

Silne ramię jak wąż oplotło jej talię i przycisnęło do ciała twardego i pewnego jak drzewo orzecha. Ciepła ręka stłumiła w niej krzyk przerażenia.

- Jeżeli Keith lub ktokolwiek inny zacznie używać perfum gardenii - Reid mruknął jej prosto w ucho - znajdę się w prawdziwym kłopotcie.

## — X —

- Od jak dawna jesteś tutaj, w tym miejscu? - spytała Cammie, kiedy tylko mogła usunąć palce Reida z własnych ust.

Poczuła, jak zeszywniał.

- Czy jeszcze kogoś widziałaś?

- Sama próbuję się tego dowiedzieć!

Jego reakcja była natychmiastowa.

- Zostań tutaj! - nakazał szeptem, tak że nie była pewna, czy dobrze usłyszała.- Oprzyj się plecami o dużą sosnę, tę zaraz za nami. Nie ruszaj się nawet na milimetr! Nie kaszł, nie kichaj, zachowaj absolutną ciszę. Czekaj, aż wrócę.

Odszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Przez ciągnące się w nieskończoność sekundy stała tam, gdzie ją zostawił, starając się za wszelką cenę opanować drżenie kolan. Dobry Boże! przecież ten człowiek może ją tutaj dopaść. Zaczęła się denerwować, ogarniała ją niepewność; nie wiedziała, czy Reid odczuwa strach, czy też tylko prymitywne pragnienie kobiety. Cokolwiek to było, jej się nie podobało.

Ale postąpiła tak, jak nakazał Reid, raczej na skutek instynktu samozachowawczego niż posłuszeństwa. Nie miała zamiaru dawać mu okazji do przeprosin i tłumaczenia się z czegokolwiek. Po chwili zobaczyła sylwetkę rysującą się w świetle padającym z okien domu. Stał bezgłośnie do momentu, kiedy się zorientował, że go dostrzegła. Wówczas złapał ją za rękę i odciągnął od

Evergreen. Dopiero gdy się zatrzymali między wysokimi sosnami, jakieś pięćset metrów, a może nawet więcej od domu, zdała sobie sprawę, jak ufnie za nim podążała.

Sama ta myśl doprowadzała ją do wściekłości, zwłaszcza że za mało miała powodów do takiego postępowania.

Tempo, jakie Reid narzucił, nie było szybkie, jednak brakowało jej tchu, kiedy stała blisko niego. Ręka, w której spoczywała jej dłoń, była gorąca; wiedziała, że Reid jest w najwyższym stopniu uważny, zdecydowany i skoncentrowany.

Czekała, aż się do niej odwróci. Gdy spostrzegła, że się nieco zrelaksował, zapytała łagodnie:

- Czy coś tam zauważyłeś?

- Zauważyłem pewne znaki - powiedział, lekko wzruszając ramionami. - Trudno mieć całkowitą pewność w tym świetle. Równie dobrze mogły to być i twoje ślady.

- Zdecydowanie ktoś tam był, chyba że bawisz się ze mną w ciuciubabkę! - Nie starała się nawet ukryć podejrzeń.

- To nie byłem ja - odparł spokojnie - ale chętnie sprawdzę.

- Ale ja nie chcę! Już dosyć tego myszkowania wokół domu.

- Doskonale. W każdej chwili możesz sama wrócić.

Dreszcz przeniknął ciało Cammie.

- Z pewnością mogłabym, nieważne, czy w to wierzysz, czy nie - odparowała. - Skoro jednak przyszłam tu, bo chciałam z tobą porozmawiać, byłoby to nielogiczne.

- Odgrażałaś się, że gdy zobaczysz mnie blisko twojego domu, wezwiesz policję.

- Wydawało się to najlepszym rozwiązaniem... - mruknęła zdesperowana.

- Ale nie wtedy, kiedy mnie potrzebujesz - podsunął niestępliwie. - Dlaczego błądziłaś w ciemnościach? Dlaczego nie zatelefonowałaś?

- Sądziłam, że nie ma cię w domu, ponieważ poinformowałeś mnie uprzejmie, gdzie cię mogę znaleźć. - Czekwała na jego odpowiedź, bojąc się odetchnąć.

- Być może - odparł łagodnie - powiedziałem ci zbyt wiele.

- Albo za mało - odparowała, wyczuwając wymówkę w jego głosie. A widząc jego zakłopotanie, szybko dodała: - Dlaczego na przykład nie wspomniałeś o braku dokumentu świadczącego o tym, że Justin Sayers kiedykolwiek był właścicielem ziemi, na której stoi fabryka?

Długo milczał i Gammie uznała, że chce mieć czas na przygotowanie wykretnej odpowiedzi. Zamiast tego usłyszała pytanie:

- Czy chcesz ze mną przedyskutować ten temat jeszcze raz?

Nie podając źródła informacji, Gammie dokładnie mu opowiedziała, czego się dowiedziała od Janet Baylor.

- Nie jestem pewna wszystkich prawnych zawiłości, ale wygląda na to, że to ja jestem właścicielką papierni - dokończyła po chwili milczenia.

- Gratuluję.

Cammie, słysząc ironiczny ton w jego głosie, całkowicie pozbawionym złości, poczuła, że opuszcza ją wszelka radość.

- Nie masz zamiaru o nią walczyć? - spytała, marszcząc brwi.

- A po co? Świadomość, że rodzinna fortuna powstała dzięki szlachetności kobiety, zawsze była dla mnie przykra.

Nie do końca pojęła, co chciał przez to powiedzieć.

- Co będzie, jeżeli się okaże, że moje wiadomości są nieprawdziwe? - spróbowała wyjaśnić.

- Wtedy wszystkie trudne decyzje znowu będą należały do mnie.

- Nie rozumiem...

- Sprawa jest prosta - odpowiedział. - Będę walczyć do końca, aby chronić to, co jest moją własnością, ale nie kiwnę palcem, żeby walczyć o coś, co do mnie nie należy.

Na ustach Gammie pojawił się wymuszony uśmiech.

- Wątpię, by twoi partnerzy podobnie sądzili.

Szybki był, musiała to przyznać. Ledwo zdążyła skończyć zdanie, gdy wybuchnął krótkim śmiechem.

- Czy Keith wie? A Gordon?

- Na to wygląda.

- Nie wierzę - powiedział z rozmysłem - żeby Keithowi chodziło tylko o pieniądze.

Zastanowiła się, czy Reid powiedział to celowo, ponieważ wyczuł, że to właśnie pragnęła usłyszeć.

- Nie - odparła - tu chodzi o władzę. Kontrolowanie ciebie i brata sprawiłoby mu ogromną przyjemność, nawet gdyby miało się odbywać wyłącznie za moim pośrednictwem.

- Nigdy nie powiedziałem, że nie walczyłbym z Keithem - sprostował.

Spojrzała na niego, lecz w ciemnościach nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy.

- Nie mówiłaś chyba Keithowi, że wiesz o tym? - odezwał się na chybił trafił.

Potrząsnęła przecząco głową i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie mógł zobaczyć tego ruchu, więc szybko dodała:

- Nie, jeszcze nie.

Reid milczał. W oddali odezwało się samotne pohukiwanie sowy. Odwrócił głowę w stronę Cammie, jakby mógł ujrzeć jej oczy.

- Czy jesteś senna? - zapytał obcesowo.

- Nie, nie bardzo... - zawahała się, nie wiedząc, jakie konsekwencje mogą wyniknąć z tej odpowiedzi.

Ściągnął kurtkę z szerokich barów. Pochylając się, by rozłożyć ją na ziemi, dotknął ramienia Cammie

i zachęcił, by usiadła na tym pościeliu. Sam usiadł obok niej.

W ciszy, jaka nastąpiła, Gammie słyszała szum nocnego wiatru nad ich głowami i czuła wilgotny chłód na twarzy. Sosnowe igły pod kurtką, na której siedzieli, sprężynowały, dając złudzenie elastycznego łóżka. Otaczał ich zbutwiały, lecz żywiczny zapach igliwia, mieszający się z wonią świeżej wiosennej zieleni.

Cammie czuła bijące od Reida ciepło i zapach wody po goleniu. Przypomniała sobie, co mówił o jej perfumach, i zapytała, czy je jeszcze czuje.

- Oczywiście - potwierdził, śmiejąc się, gdy zwróciła ku niemu twarz. - Twoje włosy pachną, przynajmniej tak mi się wydaje. Myjesz je w perfumach?

Odwróciła głowę, jakby nie chciała, by zobaczył, że się zaczerwieniła.

- Rozpylam je w powietrzu, następnie przechodzę pod nimi.

Przytaknął, zadowolając się takim wyjaśnieniem.

- Czy robisz to po kąpieli, zanim się ubierzesz?

- Co takiego?

Po lekkim szeleście wywnioskowała, że Reid się od niej odwrócił.

- Nieważne. Po prostu jestem ciekaw szczegółów głośnego romansu między Justinem i Lavinia. W mojej rodzinie nigdy się o tym nie mówiło.

- Zbyt haniebne?

Zastanawiał się.

- Justin był osobą skrytą i myślę, że jego żona, a moja prababka udawała, że nic takiego nie miało miejsca. Wyszła za męża za Justina, tak mi się przynajmniej wydaje, w parę miesięcy po zakończeniu romansu, gdy Justin był przyłapany na gorącym uczynku. Raz lub dwa razy słyszałem, jak moja matka rozmawiała o tym z przyjaciółmi, ale kiedy jej się zdawało, że słucham, zaraz zmieniała temat.

- Nie jestem pewna, czy sama wiem wszystko o tej sprawie - powiedziała powoli Gammie. - Wiadomości docierały do mnie stopniowo i we fragmentach. Moja babka, matka mojej matki, zajmowała w tej kwestii pozycję obronną i raczej z obowiązku gorszyła się tym, co się działo. Moja matka była bardziej tolerancyjna, ale to nie była jej rodzina. Lavinia nie zaznała szczęścia w małżeństwie. Dziesięć lub dwanaście lat młodsza od Horacego, lubiła tańczyć i śpiewać. Horacy zaś uważał, że zadaniem mężczyzny i kobiety jest wyłącznie ciężka praca, a chodzenie do kościoła wystarczającą rozrywką dla każdego. Mieli synka, którego Lavinia uwielbiała i traktowała jak ulubioną lalkę. Taka była sytuacja w memencie, w którym pojawiła się brygada do wycinania lasu.

Reid ze zrozumieniem pokiwał głową, a Cammie kontynuowała:

- Firmy zajmujące się handlem drewnem przybyły tutaj ze wschodu, a tamtejsi ludzie dobrze znali wartość tego towaru. Farmerzy z sąsiedztwa cieszyli się, że ktoś wyręczy ich w ciężkiej pracy, przy wykonywaniu której niemal łamał się kręgosłup. Przybysze ścinali ogromne drzewa i usuwali je za pomocą wozów zaprzężonych w woły. Tacy ludzie jak Horacy Greenley zaoferowali im gościnę w swoich domach. Była to normalna sąsiedzka gościnność. W tamtych czasach nie było żadnych hoteli, a pensjonaty szybko zapełniały się ludźmi. Justin Sayers był jednym z tych, którzy zamieszkiwali w Evergreen.

- Domyślam się, co stało się potem - rzekł Reid.

- W Greenley - ciągnęła Cammie - traktowano drwali jak członków rodziny królewskiej. Organizowano dla nich tańce, zbierano pieniądze na cele charytatywne, a nawet wznowiono tradycję sadzenia drzewek; w imprezach tych uczestniczyli wszyscy, nawet kaznodzieje, dla samej tylko zabawy. Do tej pory kobiety znały wyłącznie farmerów, drwale bardzo się od nich różnili.

Zdarzyła się jedna lub dwie niespodziewane cięże i kilka przymusowych ślubów. Wkrótce wszystkie duże drzewa zostały wycięte, zachowano tylko te, które rosły na bagnach. Tam trudno było dotrzeć, a ponadto Horacy chciał je ocalić, zostawić z sobie tylko znanych powodów. Drwale ruszyli dalej. Kiedy odeszli, Lavinia wyjechała z miasta razem z Justinem.

- Tak po prostu?

Cammie się skrzywiła.

- Wątpię, żeby to było takie proste i żeby Lavinia nie miała w ogóle wyrzutów sumienia. Wiem, że bardzo cierpiała, i po odbyciu z Justinem prawie rocznej podróży do Nowego Jorku, Chicago i Saratogi oraz krótkim pobycie u jego krewnych w Vermont wróciła do Greenley. Horacy ją przyjął, co wszyscy uważali za niesłychanie szlachetny gest. W świetle faktów wygląda to jednak na ukrytą zemstę, ponieważ Horacy potajemnie się z Lavinia rozwiódł.

- Potem Justin wrócił - dopowiedział Reid, kiedy Cammie przerwała opowieść.

- Tak - przyznała. - Od dawna się zastanawiałam, dlaczego to zrobił.

- Oczywiście dla Lavinii. Skoro raz ją namówił, żeby z nim wyjechała, uważał, że może to zrobić ponownie.

Pewność Reida zaintrygowała Cammie. Czy on by tak postąpił, gdyby chciał zdobyć kobietę?

- W każdym razie Justin już nigdy nie opuścił Greenley - dodała Cammie - nawet potem, kiedy ożenił się z kimś innym.

- Wciąż nie wyjaśniona jest przyczyna, dla której został - powiedział Reid. - Wygląda na to, że mu się spodobał łagodny klimat i swobodne zachowanie południowców. Biorąc wszystko pod uwagę, trzeba powiedzieć i to, że zostało jeszcze sporo lasu, a ponieważ Justin był drwalem, w dodatku z kupieckiej rodziny, chciał się po prostu dorobić.



Patrzyła na jego sylwetkę rysującą się w mroku.

- Absolutnie nie chciałem powiedzieć, że jest w tym coś złego, jest to tylko łapanie okazji, która sama wchodzi w ręce. Justin był człowiekiem przewrażliwionym, tak przynajmniej słyszałem. Tak samo przewrażliwiony jest jego praprawnuk. - Zamilkł na moment, po czym zapytał: - W jakim punkcie się zatrzymaliśmy?

Po chwili Cammie ciągnęła swoją opowieść:

- Tutaj wszystko zaczyna się gmatwać. Kiedy Justin wrócił do Greenley, Lavinia była w ciąży. Ludzie przez cały czas się zastanawiali, kto jest ojcem. Być może Lavinia nie chciała ponownie opuścić swojego maleństwa. Tymczasem Justin zainteresował się inną kobietą i wkrótce pojął ją za żonę. W kilka tygodni później Lavinia urodziła córeczkę.

- Zgadujmy, na co się zdecydowali - zaproponował Reid. - Pytam o to dlatego, że się zastanawiam, czy przypadkiem niektórzy z twoich kuzynów nie są moimi kuzynami.

- Nikt tego nie wie - rzekła oziębłe. - Sądzę, że za wcześnie, by się o tym przekonać. W każdym razie to, co się wydarzyło później, dokładnie zdezorientowało ludzi. Horacego znaleziono z dziurą w głowie na polu bawełny. Niemowlę miało zaledwie parę tygodni. Horacy trzymał pistolet w zaciśniętej ręce, ale ludzie nie uwierzyli w samobójstwo, ponieważ był człowiekiem wierzącym i bojącym się Boga. Większość uważała, że go zastrzeliła Lavinia.

Z ust Reida wydobył się cichy świst.

- Z tego, co słyszałem, nigdy jej nie aresztowano.

Cammie podciągnęła nogi i objęła rękami kolana. Przecząco potrząsnęła głową.

- Była pogrążoną w głębokiej żałobie wdową i zarazem młodą matką. Pochodziła ze sławnej rodziny i nikt nie znalazł przeciwko niej żadnego dowodu. Wydaje mi się, że w tamtych czasach kobiety jej pokroju mogły

popęłnić morderstwo i nie być o nie oskarżone. Może dlatego, że kobiety zabijały tylko w absolutnej rozpaczce.

- Czy myślisz, że ona go zabiła i udało jej się uniknąć kary? - zapytał Reid z ciekawością.

- Sama nie wiem - powiedziała powoli Cammie. - To jest takie nieprawdopodobne. A jeśli Lavinia dowiedziała się, co zrobił Horacy? A jeżeli już wiedziała, że jest wolna, kiedy Justin po nią wrócił, lecz Horacy o tym jej nie powiedział? Będąc na jej miejscu, też mogłabym popełnić zbrodnię.

- Może Justin zabił Horacego z tych samych powodów - zastanawiał się. - Może Lavinia się dowiedziała, co zrobił Justin, nie mogła z tym żyć i dlatego się rozstali?

- Sądzisz, że wzięła winę na siebie, ponieważ była pewna, że nigdy nie będzie sądzona?

- Nie bardzo w to wierzę, ale taka sytuacja ma cechy prawdopodobieństwa.

- To wcale nie tłumaczy powodów, dla których Lavinia przekazała ziemię Justinowi!

- Wiesz na pewno, że tak zrobiła?

- Niezupełnie. Najwyraźniej Justin przez te wszystkie lata uważał, że ziemia należy do niego, w przeciwnym razie nigdy by tam nie postawił tartaku.

- Może oni byli cichymi współnikami? Dziwniejsze rzeczy zdarzały się na świecie.

- A może Lavinia czuła się winna, że z jej przyczyny Justin zastrzelił Horacego?

- Żaden z moich pradziadków nigdy nie miał długów, jeżeli to chcesz zasugerować - powiedział Reid ze złością.

- Niezupełnie - odrzekła Cammie odruchowo. - A co będzie, jeżeli oni oboje, razem...

- Absolutnie nie wierzę, żeby Justin potrafił zabić z zimną krwią. Może w czasie gwałtownej sprzeczki,

ale nie po to, by się pozbyć męża. Justin był typowym wiktoriańskim patriarchą: uczciwy, dumny i uparty.

- Podobny raczej do Horacego, tylko od niego młodszy i przystojniejszy - powiedziała Gammie z rozbawieniem. Zauważywszy przeczący ruch Reida, dodała: - Oglądałam zdjęcie Justina w albumie o historii miasta. Jesteś bardzo do niego podobny.

- Powiniennem podziękować, lecz nie wiem, czy to miał być komplement.

To miał być komplement, ale Cammie nie chciała tego przyznać. Kiedy odwróciła głowę, zachwiała się i wsparła na Reidzie. Mimo kurtki poczuła bijące od niego ciepło i muskularne ramię. Wydawało jej się, że Reid odwzajemnił ucisk, wspierając ją bez słowa i... wysiłku.

Przesunęła się, by wrócić do poprzedniej pozycji, i wyprostowała kolana. Zwilżając wargi, które nagle stały się zupełnie suche, powiedziała:

- Nie sądzę, abyśmy kiedykolwiek poznali wszystkie szczegóły. Lavinia mogła starać się zatrzymać Justina dla siebie albo też przekazała mu ziemię w zamian za wycinanie dla niej drzew. A może zrobiła to dla miasta Greenley ze zwykłej dobroci serca, ponieważ wiedziała, że miasto potrzebuje przemysłu? W jej życiu to był okres altruizmu. Czy wiesz, że kilka lat później podarowała stanowi trzysta akrów ziemi jako zaczątek rezerwatu?

- I przedsiębiorstwo Sayers-Hutton Opakowania i Papier zostało dołączone do rezerwatu jako firma, która od dawna nabyła tę ziemię. Czy wiedziałas o tym?

- Nie miałam pojęcia - odparła z niezadowoloną miną.

- Trzydzieści tysięcy akrów należących do rodziny, minus trzysta akrów Lavinii i wszystko, co zostało nabyte od innych właścicieli. - Roześmiał się krótko. - Stan może nie mieć tytułu własności do ziemi, tylko władzę sądowniczą nad zarządzaniem zasobami rezer-

watu. Chciałby zobaczyć tego, który by spróbował wziąć choćby kawałeczek.

- Ja bym nie wzięła, nawet gdybym mogła. Niech nikt nie próbuje zabijać dzieciaków w rezerwacie!

- Nie zamierzam ich zabijać - zapewnił kategorycznie.

- Mógłbyś mnie oszukać!

- Daj spokój, Cammie, mam wrażenie, że aż się prosisz, żeby cię oszukać.

Napięcie między nimi trwało przez cały czas. Wydawało się, że zaczęło żyć własnym życiem. Cammie czuła drgania mięśni Reida, przenikające w głąb jej żył. Mięśnie brzucha i ud miała naprężone do ostateczności. Usta pulsowały, jakby dążyły do pocałunku. Nagle sobie uświadomiła, że jeżeli się poruszy albo powie choćby jedno słowo, Reid natychmiast ją obejmie. Zszokowana nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała przerwać jego opanowanie i jak trudno byłoby powstrzymać się od tego.

Kiedy się odezwał, głos jego brzmiał jak z oddali, lecz miał wyraźny odcień złośliwości.

- Chciałbym, żebyś mi wyświadczyła przysługę.

- Jaka? - spytała niepewnie.

- Pozwól mi porozmawiać z Keithem o nadaniu ziemi, zanim zdradzisz się przed nim, że o tym wiesz. Wiem, że proszę o zbyt wiele, ale chciałbym się przekonać, jaką on wymyśli wymówkę, żeby nic mi o tym nie powiedzieć.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - spytała, przechylając głowę.

- Dla własnej satysfakcji - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Zgadzasz się?

Gdyby Reid żądał, z pewnością by odmówiła. Lecz spokojny ton jego prośby nie skłaniał do odmowy.

- Dlaczego nie? - odparła.

Następnego dnia Reid przyjechał do fabryki godzinę wcześniej. Stało się to jego przyzwyczajeniem; okazało się bowiem, że przez pierwszą godzinę wykonuje tyle pracy, ile później aż do obiadu. Nadzorcy i pozostali pracownicy, kiedy się zorientowali, że jest osiągalny, i dowiedzieli się, kim był jego ojciec, coraz częściej przychodzili do niego ze swoimi propozycjami i pytaniami.

Dumny był z rosnącego zaufania. Jednocześnie czuł się winny, ponieważ zamierzał sprzedać fabrykę.

Chyba nie będzie tak źle. Przecież zostaną złożone gwarancje, fabryka w dalszym ciągu będzie funkcjonowała, nawet znacznie lepiej. Siedząc w biurze i patrząc na zdjęcia ojca, dziadka i pradziadka - Justina, zastanawiał się, czy oni myśleliby podobnie.

Tego ranka jednak niewiele zrobił. Wyciągnął z sejfów wykazy zysków i strat oraz rachunki bieżące. Przejrzał je po raz dziesiąty, a może i piętnasty. Wciąż wychodziły mu dwa zestawy liczb, co do których miał zastrzeżenia. Księgowość nie była jego mocną stroną; jeszcze raz powtórzył obliczenia aż do wydatków związanych z zaopatrzeniem. To była działka Keitha. Skoro tylko jego sekretarka podsumuje rachunki, poprosi o ich kopie i zamówienia z ubiegłych sześciu miesięcy.

Zupełnie nie mógł się skupić na wydarzeniach ubiegłej nocy. Sytuacja, w jakiej spotkał Cammie czekającą w lesie, odkryła znów jego marzenia; nie był więc spokojny. Wyobrażał sobie, co mogło się zdarzyć i co może nastąpić. Nie potrafił przestać myśleć, co by Cammie zrobiła, gdyby pociągnął ją na ziemię usłaną sosnowymi igłami i obnażył jej ciało, pragnące niecierpliwie jego dotyku.

Właściwie powinien się już przyzwycząić, że sam jej widok budzi w nim ogromne pożądanie, nie mówiąc o okoliczności, kiedy siedzą razem w ciemnościach i jej ramię go dotyka. Nigdy się nie przyzwycząi. Gdyby

zamknął oczy, mógłby wyczarować jej ulubiony zapach gardenii i woń ubrania suszonego na słońcu. Nie był nawet pewien, jak by się zachował, gdyby przyszła do niego do biura.

Czasami czuł się jak wygłodniały człowiek, któremu pozwolono skosztować tylko mały kęs z bogatego zestawu dań. Fakt, że on sam spowodował ten stan, bynajmniej nie poprawiał jego samopoczucia.

Mimo wszystko była w tym jakaś gorzka przyjemność. Gammie pogodziła się z jego obecnością jak z częścią własnego życia, jeżeli nawet nie taką istotną, to jednak ważną, czego dowiodła ubiegłej nocy. Uwierzyła, że on nic nie wiedział o prawnych zawiłościach związanych z ziemią należącą do fabryki. Był tego absolutnie pewien, choć z Cammie nigdy niczego nie można było być pewnym. Umiała ukrywać swoje uczucia aż nadto dobrze.

Tym razem nie wygłaszała tyrad, nie wściekała się i nie rzucała obelg. Z godzin, jakie z nią spędził, udało mu się wyjść tylko z paroma zadrażnieniami. Kto to wie? Jeśli nie zajdą nieprzewidziane okoliczności, może nadejdzie taki dzień, kiedy uda im się przeprowadzić długą rozmowę bez wzajemnego obrzucania się inwektywami.

Jego poranne zajęcia miały się ku końcowi. Z holu dobiegały rozmowy ludzi przychodzących do pracy, dały się także słyszeć podniesione głosy. Mógłby pójść sprawdzić, czy to nie był Keith, porozmawiać z nim i usunąć z drogi. Gdyby jeszcze nadarzyła się okazja, mógłby mu zadać kilka pytań choćby dotyczących zamówień na taką ilość atramentu, którego fabryka zaczęła używać, jakby to była beczka bez dna.

Kiedy opuścił swój pokój i skierował się do holu, nagle ujrzał w otwartych drzwiach dwóch mężczyzn.

Reid zwolnił. Zmysły mu się wyostrzyły. Dwóch silnych, dobrze zbudowanych mężczyzn rzuciło na

niego nienawistne spojrzenia graniczące ze zniewagą. Wszystko to spowodowało, że poczuł ucisk w żołądku. Zdał sobie sprawę, że nie ma w ręku żadnej broni. Pomyślał o tym po raz pierwszy od wielu tygodni, od powrotu do Greenley.

Dwaj mężczyźni, według niego obcy na tym terenie, uprzejmie jednak kiwnęli głowami, po czym szybko oddalili się w stronę wyjścia. Reid zmarszczył brwi, kiedy się zorientował, że pokój, z którego wyszli, należał do Keitha. Rysy jego twarzy stężały. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, pchnął drzwi.

Zgarbiony Keith siedział na biurku z ręką przyciśniętą do brzucha. Zakrwawioną chusteczkę przyciskał do ust, skąd ciekła krew. Podniósł głowę, ukazując podbite, gwałtownie siniejące oko.

- Czego chcesz? - spytał ochrypłym głosem.

- Niczego. Potrzebujesz lekarza lub kogoś, kto by cię zawiózł do szpitala?

„Uszkodzenie ciała - myślał Reid - robi wrażenie bardzo bolesnego, ale nie zagraża życiu, choć mogą być obrażenia wewnętrzne”.

- Niczego nie potrzebuję od ciebie - wymamrotał Keith zduszonym głosem. - Wyjdź i zostaw mnie w spokoju.

Reid zdawał sobie sprawę, że Keith nie ma zamiaru opowiadać mu o tym, co zaszło. Nietrudno było wytłumaczyć przyczynę tej powściągliwości. Był przepracowany, a ludzie, którzy to zrobili, nie byli znajomymi z towarzystwa. Reid ocenił ich jako profesjonalnych zabijaków. Skargi Cammie na męża, który lubi wydawać pieniądze, i wnioski, do jakich sam doszedł, zaczynały się układać w pewną całość.

Kolory powróciły na twarz Keitha, prawdopodobnie w wyniku złości. Reid popatrzył na tego słabego człowieka, męża Cammie, i zdziwił się, jak mało czuje do niego sympatii. Z powodów, nad którymi nie miał

zamiaru się zastanawiać, żałował, że to nie on jest sprawcą tych uderzeń.

- Jeżeli masz dość siły, żeby mi wymyślać - odezwał się ostro - to chyba jesteś w stanie zrozumieć jeszcze jedno ostrzeżenie, i nieważne, czy to będzie dla ciebie bolesne, czy nie: Węszenie wokół Evergreen może się okazać niebezpieczne. Jeżeli nie będziesz ostrożny, możesz nieźle oberwać!

- Mówić to ty umiesz - mąż Cammie zauważył fałszywie.

- Można tak powiedzieć - rzekł Reid tonem dalekim od zamierzonego. - Jeszcze raz ci radzę: uważaj!

- Cammie jest moją żoną. Wróciłaby do mnie, gdybyś nie węszył w okolicy.

- Jeżeli tak sądzisz, to jesteś większym głupcem, niż myślałem. Przy okazji może byś odpowiedział na moje pytanie. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego nie poinformowano mnie o kłopotach związanych z prawem własności ziemi, na której stoi ten budynek.

Keith Hutton szeroko otworzył oczy i bardzo szybko je zamknął. Z jego ust wyrwał się jęk.

- O Jezu, jeszcze mi tego brakowało!

- A zatem wiedziałeś o tym? Tak myślałem. Co to za pomysł? Kiedyś sam się dowiem.

- Powinieneś porozmawiać z Gordonem. Tak będzie lepiej. On ci to wyjaśni.

- Co wyjaśni? - ostrym rozkazującym głosem, zdradzającym pewne zaniepokojenie, zapytał Gordon Hutton, który właśnie wszedł do pokoju. Kiedy zobaczył, w jakim stanie znajduje się jego brat, zacisnął usta. Odwrócił się i z trzaskiem zamknął drzwi.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał.

Keith patrzył na brata, a w jego spojrzeniu był strach.

- Sayers się wścieka, ponieważ nikt nie powiedział mu o zaginięciu aktu nadania ziemi - wyjaśnił, trzymając się obiema rękami za żebra.



Twarz Gordona Huttona była blada, a oczy zimne. Obracając się w stronę Reida, zapytał:

- I dlatego pobijeś mojego brata? Jeżeli w ten sposób masz zamiar prowadzić interesy, to lepiej będzie, jak wyniesiesz się z fabryki!

Zdziwiony Reid podniósł brew, ale zanim zdążył się odezwać, Keith zdyszany głosem szybko powiedział:

- Zostaw go, Gordie. Może powiedziałem parę rzeczy, których nie powinienem. Przecież Sayers również jest zainteresowany w transakcji. Może mu wyjaśnisz, jak do tego doszło, dobrze?

Było oczywiste, że Keith nie chciał, aby brat się dowiedział, co naprawdę zaszło w jego biurze. Kierowany pierwszym odruchem, Reid chciał wszystko wyjaśnić, po namyśle jednak uznał, że sytuacja, w której Keith będzie jego dłużnikiem, może okazać się korzystna przynajmniej do czasu, kiedy się dowie, dlaczego on miał być sprawcą pobicia.

- Może zadałem pytania niewłaściwemu człowiekowi? - spytał Reid, patrząc na Gordona.

Gordon chrząknął.

- Za pół godziny mam zebranie, a przedtem wiele papierkowej roboty. Mogę ci poświęcić pięć minut. Chodźmy do mojego biura!

To stanowcze polecenie było zarazem apelem o niemarnowanie czasu. Reid pomyślał jednak, że to jest przede wszystkim gra o władzę, próba narzucenia przebiegu rozmowy, ustawienie sobie przeciwnika na terenie nie należącym do niego. W wojsku widział wiele podobnych zagrywek wykonywanych przez specjalistów wojskowych. Tych doświadczeń starczy mu do końca życia. Głosem niesłychanie uprzejmym, ale i nieustępliwym powiedział:

- Moje biuro jest bliżej. Nie zatrzymam cię dłużej, niż będzie to konieczne.

Gordon odwrócił się sztywno i pomaszerował wzdłuż holu. Reid nie miał wątpliwości, że Hutton przez chwilę zmagał się z chęcią zajęcia miejsca za biurkiem. Wybrał jednak kompromis i splatając z tyłu ręce, stanął za krzesłem przeznaczonym dla interesantów.

Reid także, zamiast zasiąść za biurkiem, które dawałoby mu przewagę, zadowolił się jego rogiem. Spokojnie czekał, nie zamierzając wszczynać dyskusji, miał bowiem nadzieję, że cisza zmusi Gordona do wyjaśnień, a przez chwilę nawet myślał, że odwoła swoje kłamstwa. Ale twarz mężczyzny była zacięta, a zachowanie lekceważące. Zaczerwienił się lekko, a jasnobrażowe, głęboko osadzone oczy i pozbawione rzęs powieki sprawiły, że oblicze nabrało dzikiego wyrazu. Kąciki ust miał opuszczone, a usta zaciśnięte.

- Zdobywanie dokumentu dotyczącego nadania własności ziemi - odezwał się po chwili - posuwało się, moim zdaniem, od pewnego czasu zbyt wolno. Otrzymaliśmy wstępny raport, lecz chcieliśmy raz jeszcze wszystko sprawdzić. Chciałem być pewny, że cała sprawa nie jest wynikiem błędu popełnionego przez dziewczynę wynajętą do przeprowadzenia tego prawniczego dochodzenia. Musisz zrozumieć, że dopóki nie mamy pewności co do faktów, nie możemy uczynić następnego kroku.

Głos Gordona działał Reidowi na nerwy.

- To ty skontaktowałeś się z kancelarią prawniczą i uwiarygodniłeś sprawę poszukiwania aktu nadania?

- Tak. Było to postępowanie rutynowe, zwłaszcza kiedy zarysowała się możliwość sprzedaży.

Reid pokiwał głową.

- Ale o wynikach nie poinformowałeś mojego ojca.

- Rezultaty były tak nieprawdopodobne, że wyszedłbym na durnia, gdybym postąpił pochopnie. W interesach, zanim jakakolwiek decyzja zostanie

podjęta, trzeba dokonać oceny całokształtu i dopiero potem przystąpić do działania.

- Nie podoba mi się twój protekcjonalny ton, Hutton - rzekł ostro Reid. - Doskonale zdaję sobie sprawę, że w takiej sytuacji muszą być podjęte normalne czynności prawne i trzeba postępować ostrożnie, aby zapobiec błędom. Jednocześnie wiem, że wstępny raport mógł i powinien być dostarczony wiele tygodni temu. Interesuje mnie, dlaczego raport został zatajony.

Hutton zacisnął szczęki.

- A ja chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dowiedziałeś się o tym? Nie mam zamiaru tolerować przecieków dotyczących moich działań.

- Chyba naszych działań - poprawił go Reid. - A to, w jaki sposób się dowiedziałem, nie ma żadnego znaczenia. W tym wypadku jestem ogromnie wdzięczny za ten szczególny przeciek.

- Już dobrze, dobrze. Po prostu chronię tak twoje interesy, jak Keitha i moje. Nie sądzę, żebyś uważał, iż operacja warta sporo milionów dolarów powinna opierać się na słowach jakiejś głupiej urzędniczki, która nie odróżnia aktu nadania od swojego prawego cycka. Gdyby ci nie zależało na pieniądzach, jakie masz w fabryce, nigdy byś nie wrócił do Greenley i nie wtrącałbyś się do rachunków, które lekceważyłeś przez wiele lat.

Reid czuł, jak wzrasta w nim irytacja, ale doskonale nad sobą panował.

- Uważasz, że mnie przejrzałeś?

- Właśnie tak! - rzekł Gordon z chłodną pogardą. - Jesteś już zmęczony ryzykowaniem dla marnych orzeszków w jakichś przez Boga zapomnianych dziurach. Pomyślałeś, że wrócisz tutaj, gdzie życie jest przyjemne, i od razu przejmiesz to, co ci zostawił twój stary, drogi tatuś. Wybrałeś świetny czas, ponieważ sprawa sprzedaży jest właśnie w toku; możesz wziąć swoje udziały albo je odrzucić i wyjechać stąd na zawsze. Nic mnie to nie

obchodzi. Tylko przestań mi wciskać kit na temat tego, co nastąpi przed sprzedażą.

- Załóżmy - ciągnął Reid opanowanym głosem - że się okaże, iż fabryka należy do Cammie? Co wtedy?

- Byłoby bardzo źle. Nie jesteśmy przygotowani na to, aby z powodu jakiegoś zagubionego dokumentu oddać fabrykę tej cholерnej babie, która z nią nigdy nie miała nic wspólnego.

- Dlaczego nie, skoro własność ziemi prawnie jest uregulowana?

Gordon Hutton przez dłuższą chwilę przyglądał się Reidowi, po czym zaklął pod nosem.

- To ta dziwka! Mogłem się domyślić. Oczarowała ciebie, jak innych, jak również Keitha, dopóki nie wyrwał się spod jej uroku. Nie rozumiem, co takiego ona może mieć między nogami, co dorosłych mężczyzn zmienia w ofermę.

Reid się wyprostował. Przestrzeń dzieląca dwóch mężczyzn nie była duża; okrążając krzesło, stojące między nimi, schwycił za przód koszuli Gordona. Zakręcił nim i tego ciężkiego mężczyznę postawił na palcach.

- Ta dama - rzekł z naciskiem - jest piękną i inteligentną kobietą. Denerwuje mnie, gdy słyszę, jak się o niej mówi, używając nieodpowiednich słów! A kiedy jestem zdenerwowany, skłonny jestem użyć przemocy. Czy rozumiałeś mnie dobrze?

Hutton zrobił przerażone oczy, tak że niemal wyszły z orbit. Próbował coś mówić, lecz z ust wydobył się tylko kaszlący, dławiący dźwięk. Reid nieznacznie rozluźnił uchwyt.

- Tak, wszystko rozumiem... - wychrypiał.

- To dobrze. - Reid uwolnił go i wygładził zmarszczki na bawełnianej koszuli. - Może i to zrozumiesz, że nie znasz mnie tak dobrze, jak myślisz. Nie masz pojęcia, co czuję i czego chcę. I ani umysłowo, ani moralnie nie stać cię, żeby zgadywać.

Cofnął się, ponieważ pozostawanie w bliskości tego mężczyzny było dla niego zbyt denerwujące. Kontynuował z właściwą mu precyzją:

- Powiem ci jedno i mam nadzieję, że zapamiętasz: Nie życzę sobie żadnych podstępnych działań związanych ze sprzedażą fabryki! Nie chcę, żeby Cammie była w jakikolwiek sposób niepokojona. Żądam, aby prawnicy informowali mnie o każdym kroku dotyczącym tej sprawy. Najlepiej będzie, jak kancelaria Lane, Endicott i Lane zacznie przysyłać raporty bezpośrednio mnie.

Oczy Gordona Huttona zapłonęły nienawiścią, ale nie zaprostestował.

- Jeszcze tego pożałujesz - oznajmił, prostując się i poprawiając ubranie.

- Być może - odparował Reid - chociaż mocno w to wątpię. Natomiast kiedy ty dostaniesz pozew w sprawie zwrotu pieniędzy za stuletnią dzierżawę wraz z odsetkami, może nareszcie zrozumiesz, że opłaca się trzymać język za zębami.

- Ona się nie ośmieli!

Reid uśmiechnął się złośliwie.

- Uważasz, że nie? Nie roszczę sobie pretensji do dokładnej znajomości tej damy, ale nie sądzę, by którykolwiek z nas cieszył się jej sympatią. Ponieważ tak jest, powiedziałbym, że nic nie jest bardziej prawdopodobne.

przerobiła polgara68

## - XI -

Wiejski klub położony na wzgórzu z rozległym widokiem na jezioro był kiedyś rodzinnym dworem. Portyk z kolumnami stwarzał imponujące wrażenie. Tam, gdzie ongiś znajdowała się sala balowa, teraz ulokowano jadalnię, w której odbywały się także tańce. Rząd wysokich okien i francuskich drzwi, otwierających się na jezioro, oraz wykładany kamieniami taras, ze schodami prowadzącymi nad wodę, stwarzały miłą atmosferę.

To wszystko, co można powiedzieć o klubie. Sam dom wymagał pilnego odnowienia; zasłony były zniszczone, a jedzenie, jakie tu podawano, było zaledwie znośne. Basen i pola golfowe utrzymano starannie, zgodnie z panującą modą, ale już korty tenisowe wymagały nowej nawierzchni. Ostatnia jej wymiana miała miejsce kilkanaście lat temu. Ogólne wrażenie było raczej przykre, jakby klub nikogo nie obchodził. Dni dawnej świetności minęły, tak jak przekonanie, że przynależność do klubu znacznie podnosiła status społeczny.

Niewątpliwie taki punkt widzenia zmienił się wraz z odejściem drugiego pokolenia osadników, którzy byli założycielami klubu. Nie można także wykluczyć, że powolne jego obumieranie było znakiem zastoju w ekonomice zamierającego przecież miasta.

Cammie stała na przeszklonym ganku dawnego rodzinnego domku kempingowego, położonego po drugiej stronie jeziora, i obserwowała ludzi kręcących się wokół klubu. Widziała latarnie rozwieszane wzdłuż

portowego basenu i słyszała muzykę niesioną przez wodę. Właśnie w klubie trwało przyjęcie weselne. Gammie też brała w nim udział, wyszła jednak wcześniej i tylko z grzeczności zatrzymała się przy recepcji.

Przyjęcie było nawet sympatyczne, ale ponieważ Gammie nie znała bliżej ani narzeczonej, ani pana młodego, uznała, że pozostawanie do końca i czekanie na odjazd młodej pary wcale nie jest konieczne. Skoro jednak znalazła się nad jeziorem, postanowiła spędzić noc w domku kempingowym.

Jej przyjęcie ślubne także odbywało się w klubie. Było to jedno z przyjemniejszych wspomnień Gammie. Orkiestra grała romantyczne melodie, a szampan uderzał do głów. Jedwabna ślubna suknia przypominała światło świec, a koronka mieniła się różnymi błyskotkami. Keith wyglądał imponująco. Był dumny i szczęśliwy. Panował nastrój podniecenia, mający swe źródło w początku wspólnego życia. Przynajmniej tak wówczas myślała.

Gammie uważała, że nie wszystko w jej małżeństwie było niedobre; pamiętała i nosiła w sercu wiele pogodnych chwil.

Na przykład złoty pierścionek z topazem, który Keith kupił w Meksyku w czasie ich podróży poślubnej. Kiedy oglądali witrynę jubilera, zauważył, że Cammie ogromnie podoba się ten klejnot. Poczekał więc, aż Cammie się zdrzemnie, powrócił do sklepu i kupił go, a potem włożył do szklanki z margeritą. Cammie nie lubiła alkoholu, przez chwilę sączyła napój, a resztę wylała przez balkon pokoju; Keith o mało nie dostał ataku serca.

W rok później Keith sprzedał swoją rybacką łódź, aby wpłacić ratę na sportowy samochód, który, jak sądził, będzie podobał się żonie. Cammie się nim zachwycała, aby zrobić mężowi przyjemność, choć zdawała sobie sprawę, że jeszcze ich na to nie stać. Ale był to bardzo miły gest z jego strony. Tak naprawdę to

nie znosiła tego samochodu z zacinającymi się biegami i siedzeniami umieszczonymi tak nisko, że miała wrażenie, iż szoruje po jezdni. Upłynęło wiele miesięcy, zanim Keith o tym się dowiedział.

„Keith potrzebował zupełnie innej kobiety - pomyślała Cammie. - Na pewno bardziej frywolnej, bardziej prozaicznej, nie wymagającej okazywania uczuć; kogoś, kto pasowałby do sportowego samochodu lub u szczytu romansu rozczulałby się nad pierścionkiem ukrytym na dnie margerity. Kogoś, kto odbierałby prezenty jako jedyny wyraz miłości, jaką Keith może dać". Nigdy nie była taką kobietą, chociaż przez długi czas bardzo się starała.

Cammie kątem oka dostrzegła jakiś ruch na jeziorze. Na wodzie ukazała się jak duch łódź ze szklanego włókna, której kierowca siedział na rufie. Niski szum silnika dotarł do niej. W chwilę później zobaczyła, że łódź skręca do przystani domku kempingowego.

Spojrzała na swój strój, składający się z białego podkoszulka i kremowej spódnicy, i domyśliła się, że z daleka dobrze ją widać. Cofnęła się więc, by wejść do domku. Gość był ostatnią osobą, na jaką miała ochotę.

- Kochanie, nie uciekaj! To tylko ja.

Na te słowa zatrzymała się w pół kroku. To była Wen Marston. Wszędzie by poznała ten głęboki, wesoly głos.

Cammie szybko się rozluźniła. Śmiejąc się, otworzyła przeszklone drzwi i pobiegła żwirową ścieżką nad brzeg jeziora. Kiedy łódź uderzyła o brzeg, złapała linę rzuconą przez Wen.

- Co robisz o tej porze nocy? - spytała Cammie, zawiązując linę.

- Składam wizyty, kochanie. Urwałam się z wesela, ale już było za późno na odwiedzenie pani Conelly, która znowu mnie prosiła o wycenę brylantowej spinki należącej kiedyś do jej babki. Jest to złośliwość tej kobiety, ponieważ ona jej nigdy nie sprzeda. Ktoś powiedział, że



pojechałaś do domku kempingowego. Pomyślałam, że odwiedzę cię i opowiem historię, którą przed chwilą usłyszałam.

Paplanina Wen rozśmieszyła Cammie.

- Wejdz wreszcie i pozwól, że przygotuję ci coś do picia.

- Nareszcie mówisz rozsądnie.

Cammie nalała burbona i coca-coli dla Wen, a dla siebie kieliszek białego wina. Zabrały szklanki i wyszły na ganek, ponieważ noc była bardzo ciepła. Rozsiadły się w fotelach z cyprysowego drewna, wdychając głęboko delikatne powietrze. W świetle padającym z kuchni ich twarze były ledwo widoczne.

- Nie rozumiem, dlaczego nie wprowadzisz się tutaj - powiedziała Wen, wypiwszy więcej niż połowę trunku. - Gdyby to do mnie należało, natychmiast bym tu zamieszkała.

- Czasami o tym myślę - rzekła Cammie.

Domek kempingowy miał tylko dwie sypialnie i wielki pokój spełniający wiele funkcji: kuchni, jadalni i miejsca wypoczynku - wszystko zwarte i bardzo wygodne. Nad szerokimi, przeszklonymi werandami rozpościerał się dach, a sufit przypominał sklepienie w katedrach. Urody dodawał kominek ustawiony nieco wyżej i połączony drewnianymi spoiwami w kształcie gołębiego ogona. Dzięki temu pomieszczenie wydawało się znacznie większe, niż było w istocie. Położony jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od miasta dom był zaciszny i napawał spokojem.

Jeszcze chwilę pożartowały, po czym Cammie zapytała:

- Co to za historia? Nie trzymaj mnie w niepewności!

Wen spojrzała na Cammie, upiła duży łyk napoju i wytarła usta.

- No dobrze, już mówię. Chodzi o tę dziewczynę, która pracuje w kancelarii Artura Lane - spokojna

istotka przypominająca myszkę. Zanim wyszła za mąż za chłopaka Baylorow, nazywała się Reese. W zeszłym roku się rozwiedli. Może sobie przypominasz?

- Janet Baylor - odpowiedziała Cammie.

Czuła na szyi zimny dreszcz nie mający nic wspólnego z chłodnym winem, które powoli sączyła. Janet była tą urzędniczką, która odkryła kłopoty związane z tytułem własności fabryki.

- Właśnie- potwierdziła Wen, rzucając Cammie kokieteryjne spojrzenie. - Od czasu, jak rozstała się z mężem, zamieszkała w wynajętym lokalu przy drodze prowadzącej do starego cmentarza. Wczoraj rano nie przyszła do pracy. Jedna z dziewczyn pracujących w kancelarii zadzwoniła do niej, ale telefonu nie odebrano. Nikt się tym nie przejmował aż do następnego dnia, kiedy znowu nie pojawiła się w biurze. Po daremnych próbach skontaktowania się z nią zadzwonili do jej matki. Ta poszła do mieszkania Janet, aby sprawdzić, co się dzieje. Janet zniknęła.

- Tak po prostu zniknęła?

- Szafa była pusta, żadnych jej rzeczy nie znaleziono także w łazience; nie było również torebki ani samochodu. Tylko w kuchni piętrzył się stos brudnych naczyń, lodówka wypełniona po brzegi, a komoda zapchana starymi stanikami, pudełkami po cukierkach i szklankami do toastów z ostatniego wesela. Wszędzie panował nieopisany bałagan, jakby Janet ogromnie się śpieszyła. Nikomu nie powiedziała, dokąd jedzie ani kiedy wróci.

- Nikt nie widział, jak wychodziła?

Wen przecząco pokręciła głową.

- Dzisiaj późnym popołudniem znaleziono jej samochód na parkingu przed szpitalem św. Franciszka w Monroe. Początkowo sądzono, że poszła na przystanek autobusowy, jednak nikt nie pamiętał kobiety podobnej do niej. Po prostu zniknęła.

Cammie patrzyła na jezioro. Księżyc wyrzał zza

drzew. Obserwowała, jak się przesuwał, zostawiając srebrnozłotą ścieżkę w poprzek wody.

- Dlaczego to zrobiła? Czy ktoś próbował to wyjaśnić?

- Nikt nie miał nic do powiedzenia - odparła Wen, wzruszając ramionami. - Janet nie należała do dziewcząt, które znają wielu mężczyzn. Nie piła i nie wychodziła do miasta, by posiedzieć w kawiarni. Jediną niezwykłą rzeczą, jaka się zdarzyła, to była nocna wizyta mężczyzny w jej domu tuż przed wyjazdem. Mówiła o tym wdowa mieszkająca w pobliżu. Niestety było prawie ciemno, a ponieważ wzrok wdowy nie jest najlepszy, nie widziała wyraźnie gościa Janet i nie mogła go rozpoznać.

- Czy były jakieś ślady walki?

- Niczego szczególnego nie zauważono. Wygląda na to, że Janet wyszła z mieszkania z własnej woli, choć można przypuszczać, że opuściła je razem ze swoim gościem, a samochód został skradziony później. Mogło być także tak, że ci dwoje się umówili, iż spotkają się za miastem, nie chcieli bowiem, by widziano ich razem; później zaś wsiedli w taksówkę i, pozorując romantyczną ucieczkę, kazali się wieźć na lotnisko. Ale istnieje też możliwość, że Janet wpadła w szpony jakiegoś maniaka, który namówił ją do ucieczki, zamordował, a teraz jej zwłoki leżą w jakimś dole.

Gammie gorączkowo myślała. Może zniknięcie Janet Baylor nie ma nic wspólnego z jej odkryciem w sądzie, musiała jednak przyznać, że taka możliwość istnieje. Jeżeli wystąpiłby pewien związek między tymi wydarzeniami, to trzeba zawiadomić biuro szeryfa. Cammie się obawiała, że jej sprawy zostaną wydobyte na światło dzienne, ale nic na to nie mogła poradzić.

- Janet odwiedziła mnie w zeszłym tygodniu - oznajmiła. Z ciężkim westchnieniem odstawiła kieliszek na stojące obok krzesło. Włożyła palce we włosy, a głowę oparła na rękę. Opowiedziała Wen, co urzędniczka znalazła w sądzie.

- To wyjaśnia parę spraw - orzekła ponurym głosem Wen, kiedy Cammie skończyła opowieść. - Nancy Clemens, jedna z kobiet pracujących w biurze sądu, opowiadała mi, że kilka dni temu ktoś zabrał nóż do archiwum. Zginęło kilka stron dokumentów, chociaż nie wiadomo dokładnie, kiedy to się stało.

- Miałoby to sens, gdyby zginęły papiery rozwodowe - zauważyła Cammie. - Nie mogę uwierzyć, że Janet byłaby do tego zdolna. Nie wygląda na taką osobę.

Wen roześmiała się cynicznie.

- Nigdy byś nie uwierzyła, co ludzie mogą zrobić, jeżeli im się odpowiednio zapłaci.

- Przecież wszyscy wiedzieli, że Janet pracuje w archiwum; wiedzieliby więc także, kiedy przysłała i kiedy wyszła. Byłoby to przecież oczywiste.

- Osoba, która zawsze tam jest, będzie ostatnią, którą ludzie zauważą. Oczywiście ktoś może być zainteresowany tym, co Janet znalazła, i liczyć, że upłynie dużo czasu, zanim ktoś odkryje brakujące stronicę. Ale Nancy Clemens to sprytna bestia. Zebrała z podłogi strzępy papieru i stwierdziła, że pochodzą ze starych ksiąg archiwalnych.

- Muszę wrócić do domu i zadzwonić do Buda - oznajmiła Cammie. Jednym z wielu dobrodziejstw jest to, że w domku kempingowym nie ma i nigdy nie było telefonu.

- Na pewno będzie zadowolony, jak dasz mu znać - zgodziła się z nią Wen - chociaż nie jestem pewna, czy będzie taki uradowany, kiedy wyśledzi Janet. Zdajesz sobie sprawę, że w świetle starych dokumentów moja rodzina jest nieślubna.

Cammie odwróciła się do niej twarzą.

- Wiem, że tak może być, i bardzo mi przykro z tego powodu. W obecnej sytuacji nie ma to jednak żadnego znaczenia.

- Dla ciebie to nie ma znaczenia. Masz dobre nazwisko, wielki dom i być może nawet papiernię. - W głosie Wen wyczuwało się zazdrość, lekką i zakamuflowaną dowcipem.

- Jedyne przez przypadek urodzin - zaprotestowała Cammie. - Skoro nie mam z tego żadnych korzyści, dlaczego mam brać na siebie całą winę?

- Równie miłe - jęknęła Wen - i jakie wspaniałe, że mężczyźni walczą o ciebie. Nie mogę tego znieść!

- Nie bądź śmieszna - zachnęła się Cammie, sięgając po kieliszek.

- Nic nie wiedziałas? Mój stale brzęczący telegraf donosi, że kilka dni temu, w biurze Keitha, on i Reid wygarnęli sobie całą sprawę. Twój mąż gorzej na tym wyszedł.

- Co to ma znaczyć? - spytała Cammie ostro i znieruchomiła z kieliszkiem w ręku w pół drogi do ust.

- Podbite oko, rozkwaszony nos i dwa złamane zębra - odparła zwięźle Wen.

- Reid nie mógłby - urwała, przypominając sobie, że Reid coś mówił o rozmowie z Keithem. Może rozmowa wymknęła się spod kontroli. - Kto rozpusza takie plotki? Czy to jedna z fabrycznych sekretarek?

- Wyobraź sobie, że to chyba była Vona Hutton. Gordon wściekły wrócił do domu i wywiązała się kłótnia. Musiała się komuś zwierzyć, by przynieść ulgę zszarganym nerwom. Ponieważ miała uczestniczyć w ubieraniu Pierwszego Kościoła Baptistów, to jej bardzo pomogło załatwić sprawę.

Źródło wydawało się wiarygodne, lecz informacje wciąż nie zadowalały Cammie. Takie postępowanie zupełnie nie pasowało do Reida, który charakteryzował się nadzwyczajną umiejętnością samokontroli. Istniała oczywiście możliwość, że świadomie nie chciał się opanować.

Wen została w domku, dopóki nie wypięła do końca trunku i nie zobaczyła, że gasną światła w klubie po

drugiej stronie jeziora. Kiedy już przedyskutowały wiadomości przywiezione przez Wen, Cammie odnosi wrażenie, że Wen chętnie poznałaby dalsze szczegóły. Nie wiedziała, co ją powstrzymało, z pewnością jednak nie była to dyskrecja.

Cammie odprowadziła Wen do przystani. Pożegnały się, po czym Wen wsiadła do łodzi i uruchomiła silnik. Cammie odwiązała linę przytrzymującą łódkę i rzuciła ją na rufę. Przed włączeniem biegu Wen zapytała jeszcze:

- Co zrobisz, jeśli się dokumenty nie znajdą i nie będziesz mogła udowodnić, że jesteś właścicielką papierni?

- Nie wiem - odparła Cammie. - Nigdy nie widziałam żadnego dokumentu stwierdzającego, że to ja jestem właścicielką papierni.

Przeźrenie pomiędzy łodzią a drewnianym pomostem stawała się coraz większa; leniwie pracujący silnik nisko warkotał. Wen krzyknęła:

- Mogę sobie wyobrazić ludzi, którzy dużo by dali, żeby nie ujrzał światła dziennego żaden dowód, zwłaszcza teraz, kiedy usiłujesz zatrzymać rozwój fabryki. Tak samo wielu ludziom, prócz mnie, nie spodoba się, że ich drzewo genealogiczne zostanie zużyte na podpałkę. Musisz być bardzo ostrożna, szczególnie teraz. Słyszysz mnie?

Cammie nie odpowiedziała, tylko podniosła rękę. Silnik zmienił tonację z terkotu na przytłumiony jęk. Wen zatoczyła szerokie koło i skierowała łódź w poprzek jeziora w stronę wiejskiego klubu.

Cammie patrzyła dopóty, dopóki łódź nie wtopiła się w ciemność. Zdawało jej się, że w resztkach światła widzi przód cumującej łodzi i słyszy, jak silnik wydaje ostatnie tchnienie. Wciąż stała na przystani, a słowa Wen dzwoniły jej w uszach.

Czy ktoś mógł skrzywdzić Janet Baylor za to, co znalazła w archiwach? Jeżeli ta dziewczyna stanowiła takie zagrożenie, to co dopiero o niej mówić?

Cammię zapragnęła znaleźć się w Evergreen. Kiedy stamtąd wyjeżdżała, miała uczucie, jakby opuściła złotą klatkę. Od pewnego czasu nocą zaczęła się obawiać, że ktoś mógł zacząć się w ciemnych korytarzach. Denerwowała się, gdy przechodziła obok nie zasłoniętych okien, że ktoś z zewnątrz może ją obserwować. Teraz jednak rozległy dom wydał jej się bezpiecznym schronieniem.

Księżyc wspiął się wyżej i obmywał niebo bladym światłem. Od jeziora wiał wilgotny nocny wiaterek, który przynosił odrobinę chłodu. Pachniał wodą, mieszaniną ryb oraz rozkładających się części roślin i zwierząt. Przy brzegu cyprys wznosił do nieba zielone gałęzie w geście niemej prośby. Gdzieś w oddali słychać było krzyk nocnego ptaka, będący ponurym akompaniamentem do chóru żab i owadów.

Cammię spojrzała na paletę księżycowej poświaty na ciemnej tafli jeziora. Śledziła ją aż do miejsca, w którym wody odbijały się od słupów przystani. To właśnie tam, niecałe dwa metry od końca przystani, wiele lat temu stanął przed nią Reid. Widocznie to wspomnienie, a może jeszcze inne sprawy przywiodły ją nad jezioro. Myśli o tej chwili nawiedzały ją w bardzo dziwnych momentach i były tak uporczywe jak zadawany żal. Czuła, że w tamtym spotkaniu było coś, czego nie zauważyła, coś, o czym powinna wiedzieć.

Cokolwiek to było, wciąż wymykało się z jej rąk. Zdenerwowana odwróciła się i poszła w stronę domku kempingowego.

Przy rogu szerokiego budynku poruszył się cień. Gwałtownie się zatrzymała i wbiła oczy w gęstniejący mrok.

Cisza była całkowita i cień nie zadrgał już po raz drugi. Może to był jakiś krzak poruszony zabłąkanym wiatrem? Albo wąsający się kot lub pies uciekający przed obcymi?

Gammie była jednak absolutnie pewna, że to coś innego.

Ogarnął ją taki strach, że aż wywołał uczucie piekącego bólu, podobnego do żrącego kwasu. Serce jej biło gwałtownie; słyszała własne tętno, które mocno waliło w uszach.

Opanowała ją nieprzeparta chęć zadarcia spódnicy i pobiegnięcia do tylnych drzwi, aż stopy będą fruwały, a ramiona poruszały się jak przy pompowaniu. Światło z kuchni miało jak złota latarnia i przez otwarte drzwi oświetlało ganek, na skutek czego wewnątrz domu wyglądało jeszcze ciemniej. Kiedy wychodziły z Wen, nie pomyślała, by zamknąć drzwi; wydawało się, że nie trzeba tego robić...

Przyszło jej do głowy, że poruszającym się cieniem może być Reid.

Na samą myśl wszystko się w niej zagotowało. Fala gorąca dodała jej sił. Ruszyła naprzód. Zmusiła się do wolnego kroku; stawiała jedną stopę przed drugą i podchodziła coraz bliżej domu. Napędził jej takiego strachu, że gdyby miał jeszcze odwagę się pokazać, mogłaby go zabić. Albo zarzucić ręce na szyję i już nie puścić.

Albo może uciekłaby na koniec świata?

Niewątpliwie osobą, która by najwięcej zyskała na zniszczeniu dokumentów w sądzie i unicestwieniu kogoś, kto to odkrył, był Reid Sayers. Przez ostatnią godzinę Cammie starannie unikała tego logicznego wniosku. Ale dłużej już nie mogła.

Wąska, zniszczona żwirowa ścieżka, wydeptana krokami ludzi, którzy szli lub wracali znad jeziora, zdawała się ciągnąć bez końca. Kamyki głośno zgrzytały pod stopami. Czuła, jak mokra od rosy trawa ociera się o jej nogi. Przez drzewa widziała słaby błysk światła dochodzącego z sąsiedniego domku, stojącego tuż przy brzegu. Było tam jednak stanowczo za daleko, żeby szukać schronienia lub wzywać pomocy.



Plama rzucona przez dach domu wydłużyła się i wchłonęła Cammie. Jeszcze parę kroków i sięgnęła do klamki przeszklonych drzwi. Otworzyła je szybkim ruchem, przytrzymując zarazem, żeby nie trzasnęły.

Ciemny ganek był pusty. Drzwi wewnętrzne wyglądały jak czarna dziura. Trzeba było nie lada odwagi, aby do nich podejść.

Zaraz za progiem zatrzymała się i włączyła kontakt. Znajomy widok pokoju z wiejskimi, bujanymi fotelami oraz pełnymi książek stolikami, ustawionymi po obu stronach przeładowanej kanapy, przyniósł jej ogromną ulgę.

W pokoju nie było nikogo. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Pochyliła się, głowę oparła o drewnianą futrynę i westchnęła z ulgą. Kiedy się wyprostowała, ręce jej wciąż drżały. Pomyślała o szklankach, których obie z Wen używały i które zostały na ganku. Trudno, mogą poczekać do rana. Teraz najbardziej potrzebowała gorącej kąpieli, rozluźniającej napięte mięśnie i pozwalającej pozbyć się okropnego chłodu, który w niej tkwił.

Rzeczywiście kąpiel jej pomogła. Bardzo rozgrzała, aż twarz ją paliła. Osuszyła się ręcznikiem, na twarz położyła krem nawilżający i szczotką rozczesała wilgotne włosy. Zanim wślizgnęła się w nocną batystową koszulę z białym haftem, zdążyła trochę ochłonać.

Materiał koszuli kiedyś był gładki i nieprzezroczysty. Lata używania i prania zrobiły z koszuli miękką i cieniutką szmatkę. Przedtem sięgała samej podłogi, a teraz była zaledwie powyżej kostek. Poprawiła ją i poszła w stronę przyległej sypialni.

Stała zaalarmowana nie do końca uświadomionym przecuciem. Za moment już wiedziała, co to było. Światło! Zgaszone, mimo że była pewna, iż zostawiła je zapalone.

Odwróciła się w stronę łóżka. Długi, ciemny cień leżał w poprzek odwiniętego prześcieradła. Poruszył się.

- Na Boga, dziecino. Już myślałam, że będę musiał iść po ciebie do łazienki - rzekł Keith, siadając na łóżku.

Doznała silnego wstrząsu, a po chwili ogarnął ją niepokohamowany gniew.

Wyłącznik światła był po drugiej stronie pokoju, tuż obok drzwi. Skierowała się w tę stronę. Jej były mąż przetoczył się przez łóżko, blokując drogę.

Zatrzymała się. Krzyżując ręce na piersiach, zapytała:

- O co ci chodzi? Czy o jeszcze jeden rachunek, którego nie możesz zapłacić?

- Zawsze miałaś zwyczaj trzymać jakieś pieniądze przy sobie, bardzo by mi się przydały, ale nie po to przyszedłem. - Rozluźnił się, kładąc jedną rękę na biodrze. - Pomyślałem, że może czujesz się samotna tutaj nad jeziorem i pragnęłabyś jakiegoś towarzystwa.

- Jesteś w błędzie. - Słowa zabrzmiały bardzo ostro. Była to odpowiedź na propozycję, jaką wyczuła w głosie męża. W świetle padającym z łazienki widziała jego błyszczące oczy, nie miała jednak pewności, czy to była złośliwa przyjemność, że ją tak nastraszył, czy też lubieżny zamiar.

Keith przekrzywił głowę.

- Gammie, co się z tobą dzieje? Dawniej byłaś taka łagodna, taka rozsądna.

- Byłam twoją żoną.

- Dobrze, już dobrze - powiedział, posuwając się o krok do przodu. - To jest również moja wina. Mężczyźni czasami robią różne głupie rzeczy; nic na to nie można poradzić. Obiecuję, że decyzja będzie należeć do ciebie, jeżeli tylko mi pozwolisz.

Bacznie go obserwowała i bardziej ją interesował ton głosu niż wypowiedane słowa. Kiedy skończył, oświadczyła:

- Nie mogę uwierzyć, że znowu chciałyś spróbować. Nie ma mowy!

- Dlaczego nie? Pragnę wyjaśnić sprawę, które nas dzieli. - Jeszcze raz zamierzał do niej podejść.

- Doskonale wiesz, że nie musisz - odrzekła, odrzucając włosy do tyłu. - Janet Baylor zniknęła, a razem z nią dokumenty...

Zmieszanie Keitha wydawało się prawdziwe, chociaż trwało tylko sekundę.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział mocnym głosem - i nic mnie to nie obchodzi. To jest sprawa między tobą a mną. Proszę cię, Cammie, nie zmarnuj tego, co wspólnie przeżyliśmy. Nie odrzucaj mnie.

Kiedy zbliżył się do niej, na jego twarz padło światło z łazienki i uwydatniło blednące już żółtawoczerwone siniaki pod jednym okiem. Zwróciła także uwagę na sporą opuchliznę biegnącą w poprzek nosa. Koncentrowała się jednak na chęci ucieczki przed jego działaniami. Sięgnął po nią, dosłownie - sięgnął po nią, obejmując jej szyję i próbując przyciągnąć do siebie i pocałować, tak jak to zwykle robił, lecz Cammie mocno walnęła go pięścią.

- Przestań!

- Do diabła, Cammie! Nie bądź taka uparta. Musisz do mnie wrócić.

- A co z dziewczyną, która za chwilę urodzi ci dziecko? Uważasz, że możesz uszczęśliwić nas obie? A może masz zamiar nic jej nie mówić?

Wyraźnie się zdenerwował.

- Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Zabawne! Uważam, że jednak ma - odparła Cammie, odwracając się do niego i próbując wymknąć. - Myślałam, że to z jej powodu dążysz do rozwodu.

Złapał ją za ramię i obrócił.

- To była pomyłka, rozumiesz? Przy niej czułem się ważny i mocny, ale ona nawet nie jest warta tego, żeby rozwiązać ci rzemyk u buta.

Widząc przebiegły wyraz twarzy Keitha, Gammie zrobiło się żal dziewczyny, która nosiła jego dziecko. Odpłynęła z niej cała złość.

- Wracaj do niej, Keith. Ona ciebie chce, ja nie - powiedziała spokojnym głosem.

Zaklął, a jego palce zacisnęły się jak szpony. Szarpnął nią i ochrypłym głosem krzyknął prosto do jej ucha:

- Chciałem to załatwić bezboleśnie, ale ty wolisz widocznie inaczej. Zrobimy to tak jak na początku, w rezerwacie.

Ciało Keitha wbiło się w jej biodro, poczuła gorące spęcznienie członka i wiedziała, do czego zmierza. Podanie o rozwód w przypadku wznowienia stosunków małżeńskich - nieważne - czy z użyciem siły, czy nie zostanie automatycznie anulowane. W sądzie Keith może tylko złożyć oświadczenie, że żyli ze sobą jak mąż i żona. Jeżeli nie będzie mogła zaprzeczyć, zeznając pod przysięgą, on wygra sprawę.

Wybór miała niewielki. Krzyk na nic się nie zda, ponieważ w sąsiedztwie nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć. Nie miała bronii. Pozostawało jej tylko zagadanie go lub walka.

- Gwałt to bardzo brzydkie słowo - powiedziała ostrym tonem - ale możesz być pewien, że doniosę na ciebie odpowiednim władzom.

Pchnął ją mocno w kierunku łóżka.

- Moje słowo przeciwko twojemu. Zobaczymy, komu uwierzą chłopcy z biura szeryfa.

- Myślę, że Bud uwierzy mnie.

Ponownie chwycił ją za ramię, więc próbowała się wyrwać, lecz on wzmocnił ucisk, aż palcami wpił się w jej ciało.

- Może tak, a może nie. Nie jestem pewien, czy będzie chciał wdać się w rodzinną kłótnię. I sądzę, że ty sama nie będziesz chciała, żeby każdy człowiek w mieście wycierał sobie usta opowiadaniem różnych pikantnych szczegółów.

Keith pochylił się nad nią, zionąc cuchnącym oddechem, w którym mieszał się zapach burbona i gумы miętowej, jaką wcześniej żuł, aby zabić woń trunku.

Cammie zbierało się na mdłości. Napiętym głosem rzekła:

- Najodpowiedniejszą osobą, do której powinnam się zwrócić, jest Reid. Może będziesz się bał, spotykając go ponownie oko w oko.

Niepotrzebnie mu to powiedziała. Z twarzą wykrzywioną wściekłością mamrotał jakieś sprośności. Schwycił ją za przód nocnej koszuli, kłykciami wdzierając się w miękkie zagłębienie między jej piersiami. Mamrocząc z wysiłku, cisnął ją w poprzek łóżka i usiłował rozepchać kolanem jej nogi.

Przekręciła się, uderzając w niego. Napinając stopę, odrzuciła go na tyle, że mogła uderzyć go kolanem w krocze.

Przesunął swoje ciało, blokując w ten sposób cios ze strony Cammie. Następnie całym ciężarem rzucił się na nią, pozbawiając ją oddechu. Zanim zdołała oprzytomnieć, rozwarł jej biodra i złapał za ramiona, unieruchamiając całkowicie. Oparł się na delikatnym kopyczku powyżej włosów łonowych.

Ogarnęła ją wściekłość i wyjątkowe obrzydzenie. Zacisnęła zęby i jednym szybkim ruchem uwolniła rękę. Pięścią walnęła go prosto w nos.

Zgięty w pół Keith zawył z bólu i zaczął wyrzucać z siebie przekleństwa. Nagle się wyprostował. Kiedy błyskawicznie wyciągnął rękę, żeby złapać nadgarstki Cammie, jego twarz wyrażała okrucieństwo. Ściągnął jej ręce tak mocno, że prawie zmiażdżył kości. Z gardła Cammie wyrwał się zdławiony łkaniem jęk; Keith obie jej ręce wyciągnął nad głową i przycisnął do materaca jedną ręką, drugą zaś mocno uderzył ją w twarz.

Poczuła rozdzierający ból w szczęce, a potem pulsowanie w policzkach. Nie mogła oddychać. Łzy

napłynęły jej do oczu, w uszach dzwoniło. Zanim udało jej się raz jeden złapać oddech, Keith znowu wysunął rękę do uderzenia.

Lecz cios już nie dosięgnął celu.

Poczuła, że jakaś siła podnosi i ściąga z niej ciało męża. Kiedy Keith stopami dotknął podłogi i, potykając się, przeleciał przez pokój, ochrypły wrzask wyrwał mu się z gardła. Walnął w ścianę, odbił się od niej i znowu zwisł. Przeklinając i płacząc, upadł na podłogę i trzymał się za żebra.

W ciemnym pokoju poruszył się potężny, gibki cień zwiastujący Keithowi wielkie niebezpieczeństwo. Przesunął się w jego stronę i pochylił nad nim. Był to cień Reida.

Skan - *pona*

## - XIII -

Reid lodowatym wzrokiem patrzył na skamlącego mężczyznę leżącego na podłodze. Umiejętność pozbycia się litości w określonych okolicznościach pozwalała mu zabić bez uczucia żalu. Tym razem jednak chodziło mu o coś innego: w spokoju czekał na przeprosiny.

Pogarda, jaką żywił dla mężczyzn wykorzystujących swoją siłę do znęcania się nad kobietami, była nieprzejednana. Ten zaś, który to zrobił Gammie, zasługiwał na najwyższą karę. Modlił się w duchu, by Keith Hutton miał przy sobie broń i zechciał jej użyć.

- Reid?

Jakby z wielkiej oddali usłyszał głos Cammie. W ciemnościach zbliżała się do niego wolnymi krokami, usilnie starając się pozostawać w polu jego widzenia. Jej ostrożność i strach wywołały u niego falę wyrzutów.

Spojrzeniem Reid przesunął po wzburzonych, jedwabistych włosach, przez cień na policzku, żywą bolesną plamę, a potem po wdzięcznych kształtach widocznych przez cieką bawełnianą koszulę. Czuł, jak burzy się w nim krew. W takiej chwili jednak ani nie chciał, ani też nie potrzebował erotycznego pobudzenia, które zastąpiło inne uczucia. Cammie ledwo musnęła jego ramię końcami palców. Każde jej dotknięcie odczuwał jak przeszywające elektrowstrząsy. Pragnienie wzięcia jej tu i teraz, zatopienia się w jej zmysłowej miękkości, bez zwracania uwagi na świat, uderzyło go z siłą

tornada. W wysiłku powstrzymania się stracił oddech, a każdy mięsień jego ciała napięty był do ostatnich granic.

- Nie rób tego! - wyszeptała.

Różne myśli przelatywały mu przez głowę: Co robić? Czy zabić Keitha? Czy ją wziąć? Czy przestać panować nad sobą i zrobić obie rzeczy?

Opanował się, gdyż ona oczekiwała, że będzie wyrozumiały. Nie przyszło mu to łatwo, jednak rozprężył się, zmieniając nieznacznie swoją pozycję. Odsunął się trochę od Cammie, aż jej ramię opadło.

Są sprawy, których już nie wypuści z rąk. Sam nie wiedział, kiedy narodziła się taka decyzja, ale nie miał zamiaru nad tym się zastanawiać. Nie chciał stracić z oczu kobiety stojącej przed nim, przynajmniej przez resztę tej nocy.

Reid pochylił się i postawił Keitha na nogi. Nie zwracał uwagi na jego jęki i przekleństwa, z trudem tłumiąc w sobie chęć agresji. Wiedział, że Cammie idzie za nimi, ale nie zważał na to. Popychając Keitha w drodze na ganek, jego ciałem otworzył przeszkłone drzwi.

Keith poleciał do przodu, ale zaraz się pozbierał. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami.

- Kim ty, do cholery, jesteś?! - wykrzyczał.

- Człowiekiem, który cię zabije, jeżeli jeszcze raz zrobisz coś podobnego - odparł spokojnie Reid. Postąpił o krok i wcale się nie zdziwił, kiedy się Keith cofnął. Z groźbą w głosie dodał: - Wiem, gdzie zostawiłeś swój rover. Za pięć minut masz odjechać albo przyjdę po ciebie.

Mąż Cammie za wszelką cenę próbował jeszcze walczyć. Za nic nie chciał mu oddać ani placu, ani kobiety. Jednocześnie zdawał sobie sprawę ze swoich możliwości i nie był aż tak głupi, żeby wbrew rozsądkowi zaatakować. Z twarzą wykrzywioną złością wyglądał,



jakby zaraz miał się rozpląkać. Potem się zakręcił i zniknął w ciemnościach.

Reid czekał. Tylko czekał. Wkrótce rozległ się potężny ryk landrovera. Opony zapiszczały w proteście, gdy maszyna wyrwała się prosto w ciemność.

Reid zamknął zamek przeszklonych drzwi ganku. Cammie zapaliła światło w dużym pokoju. Zobaczył, że go obserwuje. Twarz miała spokojną, oczy wielkie i ciemne. Z trudem zatrzymał spojrzenie na wysokości jej obojczyków. Wciąż jednak widział, wyczuwał jakimś dodatkowym zmysłem, wspaniałe kształty jej ciała podświetlone padającym z tyłu blaskiem.

Nie komentował swojego wrażenia, nie chcąc w żaden sposób zepsuć sobie przyjemności. Był na to zbyt mądry. Podeszedł bliżej, co jeszcze poprawiło ten wspaniały widok.

- Przepraszam, że nie mogłem przyjść wcześniej, zanim cię skrzywdzono - powiedział spokojnie.

- Śledziłeś Keitha. Czy tak?

W jej głosie usłyszał szybko stłumiony strach. Wzruszył go ten wewnętrzny dowód hartu ducha, i to był jego błąd. Gdyby nie był tak w nią zapatrzony, gdy podglądał ją w świetle księżycy, nie straciłby z oczu Keitha. Gdyby pilnował Keitha, nie musiałyby okrażać domku kempingowego, żeby odnaleźć jego ślady, i nie musiałyby wrywać zamka, gdy się zorientował, że intruz jest w domku.

Spojrzał na swoje wciąż zaciśnięte pięści. Zmuszając się do swobody, powiedział:

- Widziałem go w Evergreen. Kiedy zobaczył, że nie ma cię w domu, sprawiał wrażenie, że wie, gdzie cię można znaleźć. To prawda, śledziłem go. Byłoby to niepotrzebne, gdybyś mi powiedziała, dokąd idziesz.

- Nie wiedziałam, że mam składać sprawozdanie z rozkładu swoich zajęć - odparowała, odsuwając się od niego i wchodząc w głąb pokoju.

Reid wciąż patrzył na jej plecy i biodra. Zamykając wejściowe drzwi, wsadził na miejsce uprzednio wyrwany zamek. Ze sztywnej postawy Cammie wnioskował, że ona doskonale zdaje sobie sprawę z tego, co robi, ale nie protestowała. Według niego było to jedno z jego małych zwycięstw.

- Po dzisiejszej nocy to nie ma żadnego znaczenia - mówił, idąc za nią do kuchni. - Od tej pory postanowiłem trzymać się bliżej ciebie.

- Czy mam się czuć zaszczycona?

Nie odpowiedział. Wyjął garść kostek lodu z zamrażarki. Zobaczył, że na twarzy Cammie malował się smutek i odrobina ciekawości.

- Wystarczy mi, mówiąc ogólnie, zwykła wdzięczność - powiedział, widząc, jak gorący rumieniec oblewa jej szyję.

- No dobrze - powiedziała oschle, podkreślając gestem swoją kapitulację. - Bardzo ci dziękuję. Cieszę się, że cię widzę. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś nie wdarł się tutaj. Czy to chciałeś usłyszeć?

Nie odpowiedział, tylko się blado uśmiechnął. Poszukał w szufladzie plastikowego woreczka i wysypał do niego kostki lodu.

- Jeżeli dla mnie, to ja tego nie potrzebuję.

- Będziesz musiała jakoś się wytłumaczyć z tych śladów - powiedział, zaabsorbowany zawiązywaniem torebki.

Przez chwilę miała zaciśnięte usta, potem jednak zrezygnowała z oporu.

- Jesteś najbardziej denerwującym mężczyzną, jakiego znam - orzekła. - Gotów jesteś przebiec kawał drogi lub zrobić coś równie bez sensu, bylebym tylko rzuciła ci się na szyję, dziękując za uratowanie.

- Prawdopodobnie masz rację.

Ona miała absolutną rację, chociaż nie chciał się do tego przyznać.

- A ty nawet nie masz na tyle przyzwoitości, żeby zaprzeczyć i dać mi powód do zdenerwowania.

- Może wcale nie chcę, żebyś była wściekła?

Między zmrużonymi powiekami widział jej błyszczące oczy.

- Myślę, że chcesz albo chciałeś. Jeżeli to robisz, bo uważasz, iż muszę oderwać myśli od tak błahej sprawy jak ta, że przed chwilą o mało nie zostałam zgwałcona, to lepiej pomyśl dwa razy.

- Sądzę - powiedział, podchodząc do Cammie i przykładając woreczek z lodem do jej zaczerwienionego policzka - że masz dosyć zdrowego rozsądku, aby zgadnąć, dlaczego to robię, i stosownie zareagować.

- Nie chcę być rozsądna! - odparła szczerze, utkwivszy spojrzenie gdzieś na wysokości drugiego guzika jego koszuli.

W ciszy, jaka potem nastąpiła, słyszał własne przyspieszone tętno.

- Czy w swoim zwycięstwie nie pozujesz na osobę wspaniałomyślną? - odezwał się po chwili.

Spojrzała mu prosto w oczy i wówczas Reid zobaczył, jak ściemniały jej czarodziejskie, mieniające się różnymi kolorami źrenice. Rozchylone usta były gładkie, naturalnie zabarwione, nieskończenie zapraszające. Piersi wznosiły się równym rytmem pod cienką tkaniną, widać było, jak powoli twardnieją jej brodawki. Każde ścięgnię jego ciała odpowiadało na wyzwanie, uodparniało na zbliżający się ból.

Przytrzymując przy twarzy woreczek z lodem, usiadła na kanapie, drugą rękę położyła na piersi.

Udowodniła tym samym, że rozumie intencje Reida.

Ale Reid pragnął, żeby go nie rozumiała. Z pewnością była to perwersja z jego strony. Chciałby mieć jakiś powód, jakikolwiek powód, żeby ją kochać. To nie było zwyczajne pożądanie - jeżeli pożądanie może być

zwyczajne! - ale chęć jej pocieszenia i złagodzenia bólu. Wiara, że jego męskość ma moc leczenia, była niewątpliwie szczytem zarozumiałości. Reid dobrze o tym wiedział.

- A niby jakie to zwycięstwo miałabym odnieść? - zapytała sucho. - Urzędniczka, która odkryła dokumenty dotyczące rozwodu Horacego, wyjechała z miasta, a dowody na to, że fabryka jest moja, zaginęły. Jak na razie w tym wyścigu prowadzisz ty.

- Doszły mnie słuchy, że Lane, Endicott i Lane wzywali mnie. Czy naprawdę sądzisz, że ja mogę mieć coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyny? - spytał Reid.

- Kto jeszcze może tego chcieć, jeśli nie ty?

- Sądzę, że wielu - odparł.

- Keith nic o niej nie wiedział, w przeciwnym razie nie miałby powodu, żeby tutaj przychodzić. Nie ma żadnego wytłumaczenia tego, co zrobił.

- To sprawa indywidualnej oceny - odparł, patrząc na nią z powagą. - Może przywiodło go do twojego domu coś innego niż pieniądze?

- Nie chce mi się w to wierzyć.

- Uwierz - rzekł. - Jest taka możliwość.

Przyglądała mu się rozszerzonymi oczami, a po chwili odwróciła wzrok.

- Nie wydajesz się zmartwiony tym, że ludzie mogą pomyśleć, iż to ty pozbyłeś się Janet Baylor, urzędniczki kancelarii.

- Chodzi o ludzi czy o ciebie?

- O jedno i o drugie - odparła wymijająco, nie chcąc, by pytanie nabrało charakteru osobistego.

Zaprzątnięty zupełnie innymi myślami, Reid machinalnie odpowiedział:

- Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

- A dlaczego nie? - zapytała Gammie z wahaniem.

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Mam taką samą dumę jak każdy człowiek, może nawet większą. Już samo zmuszanie mnie, bym udowodnił swoją niewinność, spowoduje, że poczuję się winny.

- Spodziewasz się, że innym wystarczy twoja własna ocena wartości? W życiu tak nie jest, ludzie domagają się czegoś więcej.

- Czy uważasz mnie za człowieka, który mógłby pozbyć się tej kobiety, byle uzyskać prawo własności do fabryki?

Długo milczała, zanim odpowiedziała, a on, czekając na jej reakcję, miał wrażenie, że coś go mocno uciska w piersiach.

- Nie. Ale znam powody, dla których nie mógłbyś tego zrobić.

Nie potrafił opanować uśmiechu ukazującego się powoli na jego twarzy.

- Ty mi wierzysz.

- Tylko do pewnego momentu - odparła szybko.

- Dobre i to.

Patrząc na nią, Reid czuł się tak bezbronny jak mały chłopiec, chociaż zupełnie niechłopięcę było jego pożądanie. Kiedy Cammie odwzajemniła spojrzenie, dojrzał w nim smutek i uczucie samotności, a także uwięzionej w niej żądzy. Jeden jedyny raz udało mu się uwolnić tę wielką żądzę i pamięć tej chwili wciąż go prześladowała. Zdawał sobie sprawę, że jest jeszcze wiele głębin, do których nie dotarł; żaden mężczyzna tam nie dotarł i nie wiadomo, czy było to w ogóle możliwe. Jednak przymus podjęcia kolejnej próby wciąż w nim tkwił.

Było wielce prawdopodobne, że niektóre z tych myśli odbiły się na jego twarzy. Oczy Cammie rozblęskły, ale natychmiast zgasł ich blask. Wstała i odsunęła się od niego.

Zrobił szybki krok w jej stronę, zanim zmusił się do zatrzymania. Delikatnym głosem, wyrażającym o wiele więcej uczucia, niż tego chciał, powiedział:

- Nie bój się. Nie ma potrzeby.

Kiedy odwróciła głowę, jej włosy przesunęły się po plecach i zaiskrzyły światłem.

- Grasujesz po moim domu, nachodząc go, kiedy zechcesz. Manipulujesz. Chcesz zniszczyć wszystko, co dla mnie drogie. Bijesz ludzi. Przychodzisz znikąd w środku nocy. Ja miałabym się bać? Powinnam biegać po lesie i krzyczeć! Sama nie wiem, dlaczego tego nie robię.

- Jesteś odważna. - A po chwili dodał: - I uczciwa.

- Nie sądzę - powiedziała, potrząsając głową.

- W takim razie co?

W delikatnych kącikach jej ust ukazał się nieszczerzy uśmiech.

- Ciekawość. Czyż nie za taki grzech, kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, Ewa została wygnana z raju?

Czuł ogromną potrzebę wyrażenia swego zdania, ale mięśnie twarzy miał ściągnięte. Odwrócił się i jeszcze raz zaczął przeszukiwać szafki. Znalazłszy to, czego szukał, wyjął szklanki i nalał dwie przyzwoite porcje dwunastoletniej whisky. Zanim wrócił do Cammie, by podać jej szklanekę, sam upił potężny łyk. Dopiero potem ośmielił się zapytać:

- Czy jesteś zadowolona? Mam na myśli twoją ciekawość.

Nie odrzekła od razu. Nie dlatego, że nie wiedziała, co mówić, przynajmniej jemu się tak zdawało, ale nie była pewna, co odpowiedzieć, wietrząc podstęp w tym pytaniu. I miała do tego powody. Reid, przy całej swojej uczciwości i rozsądku, chciał zbadać granice leżące między nimi, by wiedzieć, jak daleko może się posunąć.

Upiła łyk whisky; wstrząsnął nią lekki dreszcz. Dosyć obcesowo oznajmiła:

- Mam kilka zastrzeżeń.

- Na przykład takie: co na tym zyskam? - Zakręcił bursztynowym płynem w szklance, obserwując, jak narasta w niej zdenerwowanie.

- Wydaje się, że dobrze będzie zacząć z tego miejsca.

- Nie wierzysz, że powodem jest twoje piękne ciało? Roześmiała się.

- Nie bardzo - odparła.

- To dobrze - rzekł i wypił wciąż wirującą whisky, po czym odstawił szklankę na najbliższy stolik, a sam podszedł do Cammie. - A zatem nie myślisz, że w ten sposób odbieram moją nagrodę...

Widząc, że Reid się zbliża, zastygła w bezruchu; patrzyła rozszerzonymi źrenicami i z półotwartymi ustami. Schylił głowę z wielką ostrożnością, spoglądając jej prosto w oczy. Był czujny na najmniejszy choćby znak oporu.

Przycisnął swoje wargi do jej miękkich, kształtnych ust pachnących whisky i miętową pastą. Drgnęła, kiedy wziął ją w ramiona, a potem znieruchomiała. Pod wpływem pocałunku jej usta stawały się coraz gorętsze i idealnie wtapiały się w jego wargi. Napięcie, jakie przez cały czas jej nie opuszczało, zelżało. Reid przytulił ją do siebie; poddała mu się całkowicie, każdy ciepły i pachnący załamek jej ciała przylgnął do niego.

Ustami potarł wargi Cammie, ciesząc się jej wypowiedzią. Językiem dotknął kącików jej ust, smakując ich cudowną wilgoć, badając filigranowe wgłębienie kącików warg. Skórę miała tak delikatną, że zdawało mu się, iż czuje pod nią przepływ krwi.

Mamrocząc niezrozumiale, mocniej przycisnęła się do niego. Koniuszki jej palców rozpoczęły swoją wędrówkę, ześlizgując się z ramion, a później przedostając aż na kark. Przyjemny dreszczyk rozszedł się po kręgosłupie Reida, zwiększył więc nacisk na wargi dziewczyny, pieszcząc językiem wnętrze ust.

Dotknięcie jej języka było bardzo delikatne. Takie kobiece. Świadczyło o nieustannym wysiłku powstrzymywania się, co było znacznie bardziej kuszące niż natychmiastowe uwolnienie żądy. Taki stan wymagał wielu poszukiwań, ale i obiecywał bogactwo wyrafinowanych doznań. Trzeba było tylko wykazać dostateczną cierpliwość, aby je odkryć. Był wniebowzięty i nic innego go nie obchodziło. Już kiedyś doznał takich uczuć i jak straceniec chciał je na nowo odnaleźć. Ślepy, głuchy, prawie bez świadomości, podążał śladem wirujących i poszukujących zmysłów.

Nagle zdał sobie sprawę, że Cammie się nie rusza, zaczął się więc wycofywać równie podstępnie, jak ona mu na to przyzwoliła.

Sekundy. Wystarczyły krótkie sekundy na zniszczenie jego obrony.

Wiedział, że był niebezpiecznie blisko celu. W środku swego jestestwa odczuwał głębokie drżenie, kiedy tak krok po kroku zaczął się wycofywać i zamykać w sobie.

Odsunęła się, w oczach miała łzy.

- Nie lubię ciebie - powiedziała ochryple.

- Nigdy mnie nie lubiłaś - zgodził się i głos mu lekko zadrżał.

- Nienawidzę tego, co zamierzasz zrobić z tym miastem i z gminą.

- Wiem. - Ustami dotknął miejsca między jej brwiami, powędrował do delikatnych załamek powiek.

- Kiedy mi się zdawało, że fabryka może do mnie należeć, zrozumiałam, jak trudno jest sprawić ludziom zawód.

Próbował zebrać myśli, zrozumieć, o czym ona mówi, a jednocześnie czuł dziwne mrowienie w piersiach, wywołane jej ekscytującym mamrotaniem. Wszystko to nie było łatwe, zwłaszcza że w tym samym czasie usiłował odpędzić od siebie szalone myśli.



- Naprawdę? - zapytał i poczuł się niezręcznie, kiedy sobie uświadomił, że ledwie go było słychać.

- Jeżeli nawet zginie dokument potwierdzający moje prawa do fabryki, nie musisz siebie obarczać odpowiedzialnością za mnie.

Odchylił się, spojrzeniem badając jej twarz.

- Czy to, według ciebie, właśnie robię?

Skrzywiła się.

- Powiedziałaś, że sama mogę wyciągnąć wnioski.

- To było głupie.

Wysunęła się z jego ramion. Nie mógł sobie przypomnieć momentu, w którym z własnej woli wypuścił ją z objęć. Przed chwilą była z nim, a teraz stała oddalona o półtora metra.

- To miało sens - powiedziała - i wciąż ma.

Obserwował, jak podchodzi do drzwi sypialni. Kiedy była już prawie w środku, zapytał:

- Czy to ma znaczyć, że już nie będziesz ze mną walczyć?

Obdarzyła go uśmiechem, którego nie potwierdziły oczy.

- Nigdy!

- Doskonale - odrzekł. - A już się martwiłem.

Oparła jedną rękę o futrynę drzwi i patrząc na niego przez ramię, powiedziała:

- Możesz już iść do domu.

- Ty wiesz lepiej - odparł z uśmiechem.

Czy to ulga pojawiła się na jej twarzy, czy też rezygnacja? Wiele by dał, żeby to wiedzieć. Zanim zdążył ustalić, jakie uczucie odmalowało się na jej obliczu, Cammie się odwróciła i zniknęła w ciemnościach sypialni.

Przez wiele długich minut stał w bezruchu tam, gdzie go zostawiła. Całym jego ciałem wstrząsnął silny dreszcz. Odwrócił się na pięcie i opuścił dom.

Obszedł posiadłość, omijając dom, i dalej posuwał się wzdłuż brzegu jeziora. Niedaleko przystani zatrzymał

się. Stał, patrząc na wodę i oddychając głęboko. Odwrócił się w stronę srebrnozłotej ścieżki, którą oświetlał blask księżycy, tak że wyglądała jak szklista czarna smuga. Światło padające na jego skórę przyjął jak pieczętotę. Starał się zapomnieć.

Nic nie mógł na to poradzić. To właśnie tam, przy końcu przystani, po raz pierwszy starał się zmniejszyć dzielącą ich przepaść. Nic z tego nie wyszło; był zbyt agresywny, zbyt gwałtowny, zdany na łaskę zmysłów szalejących w nim przy najlżejszym dotyku tej jednej jedynej kobiety. Nawet teraz wzdraga się na swoją niezręczność.

Już przestał być chłopcem. A może jednak wciąż nim był?

Może wciąż stara się zbawić siebie, przynajmniej we własnym pojęciu? Może musiał coś udowodnić, przeciąć jątrzącą się ranę, zanim się zagoi? To trochę dziwaczny pomysł. Ani jemu to nic nie da, ani kobiecie. W takim razie co mu pozostaje?

Wnioski.

Czyżby był aż tak zrozpaczony, że chwyciłby się najmniejszego nawet pretekstu, byle jeszcze raz wziąć Gammie w ramiona? Czy można nie myśleć o jutrze, przedkładając dobro nocy? Nawet gdyby tak zrobił, czy byłoby to uczciwe? Albo słuszne? Czy choćby w części mądre?

Odwracając kolej rzeczy, odpowiedzi brzmiałyby: Tak. Tak. I nie. Nie. O Boże, nie!

Czy w takim razie zamierza to zrobić mimo wszystko?

Z rękami wspartymi na biodrach patrzył na strumień bladego światła księżycy. Rysy jego twarzy stwardniały. Obrócił się powoli i wpatrywał w ciemny kempingowy domek. Zaczął wspinać się po zboczu.

Co zrobi, będąc tak bardzo zależnym od Cammie?

Ale jeszcze nie całkiem.

## - XIII -

Gammie z okna sypialni obserwowała, jak Reid wraca znad jeziora do domu. Sprawiał na niej wrażenie człowieka ciężko skrzywdzonego. Światło księżyca musnęło jego włosy i nadało im srebrzysty blask. Kiedy blada jasność wydobyła jego rysy, spostrzegła, że Reid ma nieugięty wyraz twarzy, niczym dawny rycerz udający się na beznadziejną wyprawę.

Nie czuła skruchy, że go obserwuje, kiedy on o tym nie wie.

Gdy zniknął jej z oczu, odetchnęła, nie wiedząc nawet, że wstrzymuje oddech. Zamyślona przypominała sobie jego siłę, swobodę, pewność ruchów, a także uśmiech i błyski zrozumienia odbijające się w jego oczach.

Sama chciała by wiedzieć, w jakie cechy Reida wierzy, a w jakie nie. Instynkt i logika, przyzwyczajenie i sprawiedliwość, gniew i pociąg - wszystkie te sprzeczności walczyły w niej, wisały nad nią i dekoncentrowały.

Nie usłyszała jego kroków, nie przeczuła jego obecności, nie wiedziała, że był z nią, dopóki jej nie oplotły silne męskie ramiona. Zaparło jej dech, próbowała się obrócić, wyrwać z uścisku. Nie mogła się schylić, uwolnić - po prostu nie mogła się w ogóle ruszyć. Z trudem wydobywał się z niej krótki, urywany oddech, który unosił piersi przyciśnięte przez Reida. Jego uścisk jednak nie sprawiał bólu.

Z wysiłkiem opanowała chęć walki, jej czoło pokryło się kropelkami potu. Walka nie tylko uchylała by jej

godności, ale była z góry skazana na niepowodzenie. Tę lekcję już przerabiała i dobrze ją znała.

Zrozumienie swojej bezsilności wzbudziło w niej dziwne podniecenie najpierw w żołądku, a później w dolnej części ciała.

- Puść mnie - powiedziała zduszonym głosem.

- Nie! - odparował.

- Co robisz? Właśnie za to przed chwilą zniszczyłeś Keitha.

- Nie mam zamiaru cię do niczego zmuszać.

Zgrzytnęła zębami, zakołysała się od zawrotu głowy, który nie miał nic wspólnego ze strachem.

- Nie? W takim razie o co chodzi?

- Przyjacielska perswazja.

- Wcale nie jestem nastawiona przyjacielsko! - warknęła.

- Nie? - Poruszył ramionami i potarł jej sutki. Reakcja była natychmiastowa i oczywista dla obojga.

- Nie rób tego - powiedziała znacznie spokojniej, z figlarnym półszepczeniem.

- W takim razie wysłuchaj mnie!

W tej propozycji nie wyczuła podstępów. Z ociąganiem kiwnęła przyzwalająco głową.

Zwiększył uścisk tak, że znalazła się jeszcze bliżej niego.

- Zastanawiałem się - powiedział przez jej włosy - czy mogłabyś mnie zaliczyć do gatunków zagrożonych wyginięciem. Będę udawał dziecko, a ty zaczniesz litować się nade mną.

- Nie znałam żadnego mężczyzny, którego trzeba by mniej żałować niż ciebie - odparła cicho.

- To może współczucie. Nie jestem dumny.

Ale był dumny i ona dobrze o tym wiedziała. Wiedziała także, ile wysiłku kosztowała go ta prośba. Musiał zahamować drżenie głosu i rozmowę uczynić dowcipną, tak jak tylko on potrafił. To była prawdziwa sztuka.

- Tylko na tę jedną chwilę, tylko na tę jedną noc? - zapytała, walcząc z uciskiem w gardle.

- Taki jest mój zwyczaj; raz na jakiś czas przychodzić i nie dawać gwarancji. - Ustami musnął jej włosy na skroniach, jakby chciał ją przeprosić.

Nie wierzyła mu. Tyle było spraw nie wyjaśnionych. Ponadto ciało jej miało już dosyć ciągłej walki z nie dającą się powściągnąć żądzą, jaka pchała ich ku sobie. Przepajało ją to uczuciem, którego nie sposób zlekceważyć. Uznała, że wątpliwości i podejrzenia były głupstwem w porównaniu z czarodziejskim pragnieniem wirującym we krwi.

- Co chcesz, żebym powiedziała? - rzekła z troską w głosie.

- Powiedz: tak. To wszystko - odparł spokojnie. - Powiedz: tak.

Patrzyła przed siebie, prosto w noc. Po chwili spytała:

- Czy najpierw mnie pocałujesz?

- Odwróć głowę - poprosił, podejrzewając z jej strony jakiś podstęp i bojąc się wypuścić ją z rąk.

Zrobiła więcej. Odchyliła głowę ku jego szerokim ramionom i pozwoliła, by całe jej ciało spoczęło na nim.

Nachylił się i nakrył jej usta swoimi, pieścił ich wewnątrz końcem języka, smakował swoje zwycięstwo. Nie śpieszył się, jakby na tym świecie niczego innego nie było albo jakby ten jeden pocałunek był wszystkim, na co mu czas pozwolił.

Z najwyższą delikatnością objął jej usta swoimi wargami, dopasowując każdy załomek i każdy ich brzeg do swoich ust. Językiem uciekł z linii łączącej ich usta. Coraz mocniejszy nacisk pozwolił mu wejść głębiej. Musnął delikatnie jej usta, prześlizgnął się przez porcelanową gładkość zębów i zanurzył gwałtownie w aksamitnym wnętrzu, chcąc skłonić jej język do podjęcia gry.

Nie mogła uciec, ale była to ostatnia rzecz na świecie, jaką chciałyby zrobić. Słodycz akordu wziętego przez mistrza wprawiła ją w ekstazę. Wszystko w niej

wzbierało, wdzierało się w każdy kawałeczek skóry, grając zmysłami. Poddała się, przyjmując z radością żar płynący od niego, spleciona z nim, złączona. Zapach whisky zmieszany z wonią męskiego ciała pobudzał jej zmysły. Ulegając każdej zachciance i potrzebie, dotykała jedwabistej gładkości jego ust, odwzajemniała zachętę.

Kiedy poczuła jego ręce na swoich piersiach, rozkosz wstrząsnęła jej ciałem. Jędrne półkule naprężyły się i wypełniły jego dłonie. Czubkiem kciuka pocierał brodawki, delikatnie je drażnił, aż stwardniały. Jego szorstka ręka i jej uległe ciało, jego żywotna siła i jej bezbronny głód współgrały jak punkt i kontrapunkt głosów w melodii namiętności. Zadrżała, czując w sobie przesywające uniesienie w tej czystej, wibrującej harmonii.

Serce waliło mu w piersi; słyszała to wyraźnie. Posmakował jej ust, by nagle kaskadą pocałunków obrzucić podbródek, szczękę i ucho. Tracił językiem muszlę ucha i wciągnął między wargi. Ostrożnie ścisnął zębami, potem ssął, aż zaswedziały ją piersi, a rozkosz skręciła ciało.

- Zdejmij suknię - wyszeptał, a jego ciepły oddech doprowadził jej zmysły do szaleństwa.

Z chęcią spełniłaby prośbę, ale nie była pewna, czy się utrzyma na nogach.

- Ty zdejmij, proszę.

Oddech miał przyspieszony i nierówny. Jednak ręce jego były pewne, kiedy odpinał małe perłowe guziczki stanika. Zaglądając przez ramię, szeroko odchylił jego brzegi. Mało nie eksplodował, kiedy światło księżyca padło na gładkie kontury jej piersi. Jednym zdecydowanym ruchem usunął materiał, opuszkami palców dotknął satynowej gładkości wzgórz i zamknął je w długich palcach...

Tak trzymał przez dłuższy czas, delikatnie szarpiąc brodawki, żeby je uwrażliwić i wydłużyć. Obrócił Cammie do siebie twarzą i wziął w ramiona. Muskał jej brwi, koniuszek nosa, wargi i podbródek, potem schylił

głowę i końcem języka zwilżył najpierw jedną brodawkę, potem drugą.

Owładnęło nią gwałtowne pożądanie. Oczarował ją też jego artyzm. Jakaś ugruntowana w niej moc, która nigdy nie ulegała przemocy i zawsze opierała się okrucieństwu, teraz rozsypywała się pod naporem pieśszcot.

- Reid... - łamiący się szept brzmiał jak delikatna prośba, a nie sprzeciw.

Podniósł głowę. Wątpliwości i namiętność odbijały się w jego oczach, kiedy patrzył na jej zaróżowioną twarz i ciężkie powieki.

- Chcesz, żebym przestał? - spytał ochrypłym głosem.

Gwałtownie potrząsnęła głową w niemym proteście. To, czego chciała, nie dało się wyrazić słowami.

Spojrzenie Reida było napięte, ale jaśniało zadowoleniem, zdążyła to zobaczyć, zanim zakrył oczy powiekami. Przyłgął twarzą do zagłębienia między piersiami, wędrował po nich wargami i językiem. Gorącym oddechem aż do bólu rozpałał jej ciało.

Z ramion i rąk Gammie ściągnął rękawy sukni. Przez chwilę dekolt znalazł się na wysokości bioder, dzięki czemu wyglądała jak żywy, nagi posąg w sukni udrapowanej w fałdy wokół łydek i kostek. Cofnął się i śledził wydobyte światłem księżyca linie jej ciała i wklęsłości pozostające w cieniu. Jego dłonie gładziły smukłe zagięcia talii, zeszyły niżej do wspaniałych bioder, aż napotkały suknię leżącą u stóp. Odrzucił ją natychmiast. Spadła ze szmerem na podłogę.

Na twarzy mężczyzny malował się ból. To z kolei przejęło ją dziwnym uczuciem. Jak wielka fala przepłynęła przez nią głęboka czułość, kiedy tak stała nieporuszona z dłońmi zwróconymi na zewnątrz. Nigdy przedtem nie była czczona, nigdy nie czuła się wychwalana i nigdy w życiu nie miała chęci nieskończonego dawania, jaka ją teraz przepełniała. Chciała go, chciała

robić to, co on chce i być tym, kim on sobie zażyczy. W takiej chwili dawanie wydawało się przyczyną, dla której została stworzona. Była to ostateczna odpowiedź na jej własną niepohamowaną namiętność.

Ukląkł przed nią i przycisnął do siebie niecierpliwymi palcami. Położyła ręce na jego ramionach i zamknęła powieki, pozwalając kaskadzie lśniących włosów opaść do tyłu aż na łopatki. Wilgotny żar języka wkręcającego się w jej pępek zapierał dech. Gotycki deseń, jaki narysował na płaskim brzuchu, zupełnie ją oczarował. Na widok twarzy, ukrytej w trójkącie wspaniałych loczków w spojeniu nóg, zaczęła dygotać. Gorący oddech w tym najbardziej sekretnym miejscu przeniósł ją do krainy niezwykłych doznań.

Dokładnie i bez wahania szedł coraz głębiej, smakując każdą fałdkę ciała, każdą jego strukturę. Przedłużył jej reakcję i delektował się tym, Cammie zaś, zanurzwszy ręce w jego włosach, ścisnęła i rozluźniała palce rytmicznie, kiedy znalazł delikatne wzniesienie i nie szczędził starań, by dać jej największą rozkosz.

Niski dźwięk, jaki wyrwał się z jej ust, przypominał raczej jęk. Zanim oprzytomniała, resztką świadomości drapała plecy Reida palcami niczym szponami. A on mocniej ścisnął jej biodra i ugniatał piękne ciało, jakby chciał, żeby jak doskonała forma pasowało do jego rąk. Uwolnił jedną rękę, wślizgnął się między ich złączone ciała i wędrował do góry, ku wewnętrznej stronie jej ud. Opuszkami palców rozdzielał wilgotne i delikatne ciało, aż zapuścił się w miękką głębię.

Rozkosz, jaka przyszła, była dzika i gwałtowna aż do utraty tchu. Wygięta nad nim w łuk, z rękami opuszczonymi swobodnie i palcami szeroko rozstawionymi, wyzwaliała się po nagłym ujściu napięcia. Była bliska omdlenia i nie umiała temu zapobiec.

Kiedy przygarnął Cammie do siebie, jej oczy zapłonęły jak dwa szafiry. Głodny spadł na jej usta,



żądając wzajemności. Mamrotała bezgłośnie z wielkim zadowoleniem. Podtrzymując to intymne wtargnięcie, przeniósł się niżej, tam gdzie czekała na niego jej rozpalona miękkość.

Ciało dziewczyny z radością czekało na jego dotyk w równomiernym wewnętrznym pulsowaniu. Idąc za rytmem bicia jej serca, w gorącą wilgotność wsadził palec, na co pozwalały mu rozluźnione mięśnie.

Zwariuje, na pewno zwariuje od napadów rozkoszy, które miotają nią jak fale. Nie mogła ich znieść w swoim ciele i umyśle, pozostając zarazem przy zdrowych zmysłach. Musi się znaleźć jakieś ujście; musi do niej dołączyć albo ona wybuchnie. Szukając po omacku zapięcia koszuli Reida, zaczęła wrywać guziki.

Reid przyszedł jej z pomocą; jednym ruchem odpiął koszulę i wyciągnął z džinsów, kiedy ona sięgnęła do paska jego spodni. Odsunął błędzące palce, sam odpiął pasek i odsunął suwak. Już nic nie mogło jej powstrzymać. Podniecony, oddychał z trudem, kiedy Cammie z ogromnym entuzjazmem oceniła jego anatomiczne możliwości.

Chcąc oderwać się od czułych gestów Cammie, ważył w rękach jej piersi. Patrzył jak zaczarowany, prawie nie oddychając, jak moreloworożowe sutki i ich wyrzuczone aureole zmieniały się w wypukłą słodycz.

- Jesteś taka piękna! - szepnął w zachwyceniu jakby do siebie.

- Ty też.

Jej głos był cichy jak szelest nocnego wiatru.

Wzmocnił uścisk. Cammie zacisnęła ręce. Ścisnął gwałtowniej.

Nagle chwycił ją za biodra, uniósł wysoko, a sam położył się plecami na podłodze. Ściągnął ją w dół między swoje uda, pociągnął lekko w górę i umieścił na swojej piersi. Chwilę odpoczywała, przyciskając twarz do miejsca, w którym jak młot waliło jego serce.

- Kiedy tylko zechcesz - powiedział, przesuwał ją tak, że wilgotny członek dotykał kobiecości.

Podniosła się nieznacznie i usiadła na nim, a wówczas jego penis wsunął się w jej ciało. Urywany oddech Reida i nerwowe bicie serca ujawniały z coraz większym trudem skrywane podniecenie. Tylko drgające powieki wskazywały, do jakiego stopnia posiadał sztukę panowania nad sobą.

Odczuwała potrzebę wchłonięcia go aż do bólu, zwłaszcza że miała już przedsmak uniesienia. Popchnął mocnej; łyzy nabiegły jej do oczu. Uniosła się wraz z nim jeszcze wyżej i ogarnęła ich rozkosz.

Natychmiast odczuła jego reakcję.

- Boże - szepnął ochryple i mocnym skrętem bioder gwałtownie ruszył do przodu, by osiągnąć jej głębię.

Krzyknęła z nagłego przypływu błogości. Wpijając się w ramiona Reida, zacisnęła oczy i wprawiła biodra w falujący rytm. Chciała go czuć głęboko, pragnęła, by został w niej na zawsze.

Zespolone mocno dwa harmonijnie kołyszące się ciała były tylko oczekiwaniem na nadejście zbliżającej się ekstazy.

Nie była jeszcze gotowa do przyjęcia wspaniałości przepływającej między nimi. Przeszkadzała jej w tym świadomość śmieszności i prymitywizmu kryjącego się w fizycznym spółkowaniu. Nie znała tej nie dającej się wyobrazić łaski, jaka nawiedza dwa splecione ciała w chwili majestatycznej wzniosłości.

Wznosiła się wciąż wyżej i wyżej, wykonując ruchy wahadłowe jak na cwałującym koniu i dążąc do odległego crescendo, na które oboje czekają, w zgodnym rytmie odwiecznej i jedynej muzyki miłości. To było bezgłośne porozumienie dusz, spotkanie dwóch identycznych połówek tworzących jedną całość w doskonałej równowadze, odnajdujących subtelną symetrię ruchu i uczucia. Niczego nie zatrzymała dla siebie, on również. Zdyszani

z wysiłku, rozpaleni z tęsknoty, wspólnie zmierzali do jednego celu.

Raptem z niezwykłą intensywnością przesyłał powietrze krzyk upojenia. Objęło ich szczęście tak potężne, że aż prawie niemożliwe. Kurczowo trzymali się razem, nie zachowując żadnej ostrożności. A przecież taka miłość mogła roztrzaskać ich serca...

## - XIV -

Kobiety, które z jednego nieudanego związku natychmiast rzucają się w drugi, Cammie uważała za niespełna rozumu. Twierdziła, że nie można się kierować uczuciem w takich sprawach jak uporządkowanie poglądów dotyczących czasu i miejsca.

Nigdy nie miała zwyczaju rozpamiętywania minionych zdarzeń. W czasie trwania małżeństwa udawało jej się utrzymać dystans, dzięki czemu mogła właściwie oceniać swoje działania i przyjąć postawę, która zapobiegała wplątaniu się w ryzykowne romanse. Zawsze uważała, że bierze się to z dobrego, moralnego wychowania i w miarę trafnego wyboru. Obecnie się zastanawiała, czy przypadkiem nie kierował nią strach. Nigdy jednak dotąd pokusa nie była tak silna.

Rozważała te sprawy w piękny, jasny poranek, kiedy leżała w łóżku i obserwowała Reida, który z ręcznikiem opasnym wokół bioder niósł dwie filiżanki kawy. Uciec od niego - takie postępowanie powinien podpowiedzieć jej zdrowy rozsądek.

- Ze śmietanką, ale bez cukru, czy mam rację? - spytał, stawiając filiżankę na nocnym stoliku. Jego oczy były ciepłe, gdy spoglądał na delikatną skórę Cammie, ale w głosie nie było nic poza uprzejmością.

Reid mało stracił. Była przekonana, że dobrze wie, iż ona czuje się niezręcznie w jego obecności. Skinęła głową twierdząco, starając się jednak unikać jego wzroku.

Opuścił pokój, by powrócić za chwilę ze stosem pszennych tostów posmarowanych masłem. Postawił talerz pośrodku łóżka, położył się obok niej, wyciągnął na poduszkach, krzyżując długie nogi, i z widoczną przyjemnością ugryzł kawałek grzanki.

Spojrząwszy na męskie ramiona i złote w porannym świetle włosy na piersiach, przypomniała sobie, w jaki sposób znalazła się w łóżku. Podniósł ją z podłogi, na której leżała półprzytomna po miłosnym akcie. Ułożył na materacu i znowu się kochali. Tym razem nie pytał jej o pozwolenie, wszystko stało się nie wiadomo kiedy; nie mogła nawet zaprotestować.

Reid był nienasycony, jak gdyby chciał sobie wynagrodzić to, czego pozbawiony był przez wiele lat. Na samą myśl o tym czuła podniecenie.

Czy on był tak wspaniały, za jakiego go uważała, czy też jej małżeństwo było gorsze, niż myślała? Mając bardzo ograniczone doświadczenie, nie mogła odpowiedzieć na to pytanie.

Napiła się kawy i spróbowała tostów. Były doskonałe. Mogła się tego spodziewać.

- I co teraz zrobimy? - spytała pozornie obojętnym tonem.

- A na co miałabyś ochotę?

W błyszczących, niebieskich oczach Reida i stanowczych konturach ust dostrzegła wspomnienie ubiegłej nocy.

Na zadane pytanie starała się odpowiedzieć trochę wcześniej, i to nie jeden raz, ale ze sto razy. Rzuciła mu ironiczne spojrzenie, a jednak nie mogła zapobiec rumieńcowi, jaki zabarwił jej policzki.

Udawał zamyślnego, ale w oczach miał zuchwałstwo.

- Możemy śniadanie i obiad zjeść w łóżku, ewentualnie jakąś przekąskę, a w przerwach robić coś innego.

- Wiesz, co mam na myśli! - wykrzyknęła.

- Tak, lecz mogę dać ci tylko taką odpowiedź, jaka mnie interesuje - odparł, przytomniejąc.
- Nie możemy zostać w łóżku przez całe życie!
- Widać, że coś jest nie w porządku z tym światem.
- Zanudziłyś się na śmierć - orzekła, popijając kawę.

Na twarz Reida powrócił uśmiech.

- Na pewno.

Zadławiła się i rozkaszała.

- Jesteś niemożliwy!
- Raczej zaskakujący, ale nie niemożliwy.

Zamilkła. Ona próbuje ułożyć ich przyszłość, a on jej starania odrzuca. Nie miała pojęcia, czy powodem jego uniku jest chwilowa niechęć do zastanawiania się, czy świadomość, że nie mają wspólnej przyszłości.

Nie oczekiwała obietnic. Wolała o tym nie myśleć.

Odetchnął głęboko i rzucił kawałek nie dojedzonego tosta na talerz.

- Osobiście wolałbym zabrać cię do Fortu i tam trzymać. Przynajmniej byłabyś bezpieczna.

Bezpieczeństwo! Tylko to się liczy. Żadnych innych okoliczności nie bierze pod uwagę.

- Wątpię, żeby Keith jeszcze raz spróbował. Chciał tylko unieważnić rozwód - odparła. Ponieważ Reid milczał, dodała: - Czy o tym myślisz?

- Chyba będziesz musiała mi to wytłumaczyć - odrzekł z premedytacją.

Cała ta sprawa byłaby mniej żenująca, gdyby mogła powiedzieć, że Keith napadł na nią ogarnięty żądzą. Podała mu jednak tylko suche fakty i nic więcej.

- Trzeba go było zabić! - W jego głosie słychać było hamowaną gwałtowność.

Przypomniała sobie, co Wen mówiła, iż Reid pobił Keitha w jego biurze. To musi być prawda; poprzedniej nocy widziała siniec pod okiem Keitha. Był obolały, trzymał się za boki, widocznie miał pęknięte żebra.

Widziała również łatwość, z jaką Reid dał sobie radę z Keithem. I jego strach.

- To wielka pokusa - odparła z wahaniem - ale nie chciałabym mieć go na sumieniu.

- Nie ma zatem innego wyjścia niż zostawić wszystko bez zmian.

- To jest propozycja czy pytanie?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Załóżmy, że jest to próba dowiedzenia się, co zamierzasz.

- Nic - odrzekła rozczarowana. Chciała poznać Reida zamiary i plany na przyszłość, on jednak ich nie ujawnił, być może z nadmiernej ostrożności albo przebiegłości; może kierował nim zwykły instynkt samoobrony.

- W takim razie - zakończył z niewyraźnym uśmiechem - nic nie możemy zrobić.

Oczywiście nie było to takie proste. Leżąc w łóżku, przeglądali stare, sprzed miesiąca, magazyny i jeszcze starszy „National Geographics”. Słuchali płyt kompaktowych z muzyką Mozarta. Chodząc na bosaka, objęli się o siebie w kuchni i wzajemnie sobie przeszkadzali w przygotowywaniu sałatki z tuńczykiem, jajek na twardo i mrożonej herbaty na późny lunch. Kochali się wolno i z rozmysłem, potem brali prysznic, znów kochali się krótko i gwałtownie i znowu szli pod prysznic. Wieczorem zjedli w łóżku kolację, na którą składały się szarlotka i lody. Ale jedzenie nie było najważniejsze.

Dopiero następnego ranka poczuli się wobec siebie niezręcznie. Oboje musieli być wcześniej w mieście, oboje mieli pracę i różne zobowiązania. Kiedy się ubrali i zjedli śniadanie, ich sztuczne zachowanie stało się monstrualne. Ani poczucie humoru, ani zdrowy rozsądek nie wpłynęłyby na ich wzajemny związek, tym bardziej nie gwarantowałyby jego trwałości.

Reid zaproponował, że odprowadzi ją do Evergreen. Chętnie na to przystała. Tak będzie łatwiej. Nie chciała

zostać w domku kempingowym, gdzie prześladowały ją przykre wspomnienia. Do starych doszły jeszcze nowe. Zdecydowanie za dużo tego było.

Kiedy dotarli do domu na wzgórzu, ogarnęła ją chęć, żeby go zatrzymać. Patrząc, jak odjeżdża, poczuła się opuszczona i osamotniona. Jakby zabrał ze sobą pewność i bezpieczeństwo.

Ranek upływał szybko. Chcąc oderwać się od ponurych myśli, zadzwoniła do Freda Mawleya. Jej telefon uznał za komplement i bardzo chętnie wdał się w pogawędkę. Minęło sporo czasu, nim Gammie udało się zadać dręczące ją pytanie. Nie, jeszcze nie wprowadził poprawek do testamentu; nie przypuszczał, że tak się spieszy, była przecież o wiele młodsza od innych klientek, które go popędzaly, aby dokonać podziału majątku. Większość kobiet nie martwi się tymi sprawami, zwłaszcza w stanie Luizjana, gdzie spuścizna jest sprawiedliwie dzielona. Tak, oczywiście, ma tutaj gdzieś na biurku wspólny testament sporządzony dla niej i Keitha oraz zmiany, jakie na jej prośbę ma wprowadzić. Zaraz się do tego weźmie. Co powiedziałyby na wspólny obiad w sobotę wieczorem? Mogliby pojechać do Tower Club w Monroe. To spokojna i bardzo ekskluzywna restauracja. Został członkiem klubu, więc musi się tam pokazywać, żeby w jakiś sposób odzyskać zainwestowane w członkostwo pieniądze.

Podziękowała za obiad, dając do zrozumienia, że docenia wyróżnienie, jakie ją spotkało. Na szczęście miała dobrą wymówkę: zebranie grupy protestującej przeciw sprzedaży fabryki miało się odbyć właśnie w sobotę. Mieli zaplanować kampanię reklamową.

Myśląc o nadchodzącym spotkaniu, Gammie zdała sobie sprawę, że nie wykonała wszystkich planów na bieżący dzień. Stanowczo zbyt mały był jej wkład w zorganizowanie ruchu.

Wyjęła książkę adresową i odbyła kilka rozmów



telefonicznych z ludźmi mieszkającymi w stolicy stanu. Wybrała tych, którzy mogli mieć dobre pomysły albo po prostu chęć pomocy. Dumna była, widząc, jak wielkie zainteresowanie wzbudziła ta sprawa wśród różnych ludzi, począwszy od znanego fotografa ptaków i zwierząt Luizjany, skończywszy zaś na wdowie po właścicielu pól naftowych w Shreveport, znanej z różnych akcji charytatywnych. Połączyła się również z wieloletnim przyjacielem z Departamentu Ochrony Rezerwatu i Wędkarstwa i poprosiła go o wygłoszenie referatu dotyczącego skutków wycięcia drzew na rozlewisku rzeki. Nie dał się długo prosić.

Mniejsze powodzenie miała u miejscowych ludzi, którym przypominała o zebraniu lub których zachęcała do przystąpienia do ruchu. Kobiety, które znała od lat, były wyjątkowo nieuprzejme, a jedna nawet odłożyła słuchawkę. Znalazł się także mężczyzna, który jej naubliżał i powiedział, że powinna rodzić dzieci, a nie mieszać się w nie swoje sprawy. Przyjaciółka ciotki Becki starsza już dama, oznajmiła nawet, że swoim postępowaniem hańbi dobre imię rodziców i dziadków.

Przez długą chwilę Cammie siedziała przy telefonie, patrząc przed siebie i nie zdając sobie sprawy z tego, że rękę wciąż trzyma na słuchawce. Wiedziała, że są w mieście ludzie niezadowoleni z jej postępowania, ale nie uświadamiała sobie, że jest ich tak wielu. Na myśl o tym, że ma aż tylu przeciwników, zrobiło jej się niedobrze. Sąsiedzi i przyjaciele, których znała przecież od lat, potrafili tak szybko się od niej odwrócić i zostawić w osamotnieniu.

Nie mogła pojąć, dlaczego tak mało ludzi kocha ziemię i troszczy się o nią. Wydawało im się, że nic nie mogłoby zmienić obecnego stanu, choćby ze względu na rodzaj gleby tak charakterystyczny dla Luizjany. Ziemia tu była bardzo bogata, żyzna i stale się odradzała.

Deszcze wypełniają wodą dopływy i rozwidlenia rzek, moczary zaś zapobiegają rozlewiskom. Ziemia,

której nie zatrzymują tarasy, drzewa ani korzenie, przesuwa się powoli, a teren jest zbyt płaski, by mogła odsunąć się daleko. Upał i deszcz sprzyjają gwałtownemu wzrostowi roślin; każdego roku głównym zmartwieniem odpowiednich służb jest zapewnienie widoczności na poboczach dróg i zakrętach, gdyż młode sadzonki, krzewy i wysokie trawy rozrastają się bardzo szybko. Nasiona drzew wysiewające się na starych klombach wokół opuszczonych domów potrafią wystrzelić w górę w ciągu jednej nocy. Gdyby ich nie przycinano, zamieniłyby się w drzewa dające oparcie pnączom, osłonę wrzoścom, schronienie dla grzybów i porostów, i oczywiście pleśni niszczącej dachy, ściany i fundamenty. Trudno w to uwierzyć, ale porzucony dom w ciągu paru lat może zawalić się pod ciężarem pnączy, liści, nasion i innych organizmów.

Cykle życia i zmian są regularne. Większość ludzi uważa, że drobne zniszczenia, utrzymane pod kontrolą, są pożyteczne i nie przynoszą szkody. Oczywiście są w błędzie, ale nie można im tego wytłumaczyć.

Pod ręką Cammie zadzwonił telefon. Podskoczyła, jakby ktoś ją uderzył.

- Cammie, czy to ty? Od dawna próbuję się dodzwonić do ciebie. Czy dobrze się czujesz?

Płaczliwy głos należał do osoby, której rozwój zahamowano nieustannym gderaniem - siostry jej matki, Sary Taggart. Cammie odpowiedziała najuprzejmiej, jak mogła.

- Twój wuj mnie namawiał, żebym do ciebie zadzwoniła, i sędzę, że tym razem ma rację - powiedziała ciotka. - Sama nie wiem, co zrobić z tym fantem, naprawdę nie wiem. Sędzę jednak, że powinnam ci o tym powiedzieć, zwłaszcza po tym, co się stało.

- O co chodzi, ciciu Saro? - spytała Cammie, próbując stłumić ton zniecierpliwienia, choć nie była pewna, czy się jej to udało.

- Chodzi o tę młodą kobietę, która zaginęła. Janet Baylor. Jedna z pań w naszym zgromadzeniu ma brata chorego na raka. Jeździ na naświetlania do szpitala św. Franciszka. Siostra go wozi, ponieważ jego żona pracuje...

- Co z tą dziewczyną, ciociu Saro? - przerwała Gammie ostrym głosem. Ręka jej zdrętwiała, tak mocno ścisnęła słuchawkę.

- Właśnie do tego zmierzam, Cammie. Wygląda na to, że ta pani z naszego zgromadzenia widziała młodą kobietę wysiadającą z samochodu prowadzonego przez mężczyznę. Od razu ją rozpoznała, ponieważ znała tę rodzinę, zanim Janet wyszła za mąż. Przysięga, że to był dżip prowadzony przez Reida Sayersa.

To, że ktoś w Greenley zawsze wyciągnie na jaw to, co inny chce zataić, wcale jej nie zdziwiło. W całym mieście i bliskiej okolicy nie było takiego miejsca, w którym można by prowadzić jakąkolwiek ukrytą działalność. Ludzie tu byli zbyt ruchliwi, zbyt aktywni i przede wszystkim zbyt zainteresowani sprawami swoich przyjaciół i sąsiadów. Zawsze ktoś widział... zawsze ktoś powiedział... I tak niosła się plotka.

Cammie się zastanawiała, co w tym czasie robił Reid. Może umieścił urzędniczkę w jakimś motelu w Monroe? Może odprowadził ją na przystanek autobusowy? A może wynajął samochód, żeby wywieźć ją ze stanu Luizjana? Czy dał jej dosyć pieniędzy, aby mogła rozpocząć nowe życie?

Być może ktoś za rok lub dwa odkryje jej ciało w jakimś płytkim grobie.

Niemożliwe! Cammie nie mogła w to uwierzyć; nie będzie myślała o takich rzeczach.

- Cammie? Jesteś tam? Nie chciałam cię zmartwić.

- W takim razie co chciałaś zrobić? - zapytała gniewnie.

- Jack uważał, że powinnaś znać prawdę. Nie byłoby dobrze, jego zdaniem, gdybyś związała się z Reidem Sayersem. Wiesz, jaki on jest i z jakiej pochodzi rodziny. Nie było go tutaj tak długo, że właściwie jest obcym człowiekiem. Słyszy się o nim takie różne, dziwne rzeczy... nigdy nie wiadomo, co robi. Musisz o tym pamiętać.

- Wątpię, żeby to było możliwe. Jeżeli nawet udałoby mi się o tym zapomnieć, zawsze się ktoś znajdzie, kto przypomni.

- Może powinnam wysłać wuja, żeby z tobą porozmawiał. On też, biedak, wiele przeżył rozczarowań i bólu. Przeszedł prawdziwą próbę ognia w Wietnamie, gdzie dobry Bóg sprawdzał jego powołanie. Od tamtej pory ma szczególny dar rozumienia ludzi i ich zmartwień. Wiele godzin, a czasami dni i nocy spędził na niesieniu ludziom pociechy.

Gammie wiele razy słyszała o powołaniu wuja i jego oddaniu służbie Bogu.

- Ciociu Saro, doceniam wiadomość, jaką mi przekazałaś, ale naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

Ton głosu Gammie wyraźnie sugerował zakończenie rozmowy. Ciotka Sara nie protestowała.

- Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Daj nam znać, czy wszystko u ciebie w porządku. I koniecznie wpadnij do nas.

Cammie podziękowała i też poprosiła ciotkę, by ją odwiedziła. Zaproszenie było równie puste jak to, które otrzymała od ciotki. Odwiesiła słuchawkę.

Plan wuja się nie powiódł. Było to kompletne pudło, zresztą musiało tak się stać. Taką wiadomość przyniósł ktoś, kto cierpi na przerost wyobraźni i rozpuszcza złośliwe plotki. Janet Baylor mogła spotkać mężczyznę - co jest bardzo prawdopodobne - ale to nie musiał być Reid.

W każdym razie Reid oświadczył jej kategorycznie, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Janet Baylor. Czyżby nie mówił prawdy?

Nie mogła sobie przypomnieć, jakich słów użył. Być może tylko sugerował, że nie ma żadnego związku z tą sprawą.

To niemożliwe. Reid na pewno nie działałby skrycie. A może jednak?

Co ona właściwie o nim wie? Nie wystarczy pójść do łóżka z mężczyzną, by go dobrze poznać.

Ale gdzie znaleźć takiego, który by jak on był tak bardzo sobą? Jeżeli nie można ocenić człowieka po jego delikatności i troskliwości okazywanej w czasie miłosnego aktu, to skąd ma wiedzieć, jaki jest naprawdę?

Była roztargniona i nie mogła się na niczym skupić. Powinna rozpakować torbę z rzeczami wziętymi z domku kempingowego, ale się nie mogła zmusić do oglądania ubrań, których prawie nie nosiła. Mimo że Persephone zrobiła listę zakupów, Cammie nie chciała nawet o nich myśleć. Zamierzała pojechać do antykwariatu, ale i z tego zrezygnowała. Nie miała na to sił.

Ukojenie przynosiła jej zazwyczaj praca przy kwiatach, wzięła więc nożyce, parę znoszonych rękawic ogrodowych i wyszła z domu.

Godzinę pracowała w ogrodzie. Ścięła azalie i ułożyła z nich bukiety. Opełła grządki, podzuciła nawozu pod kamelie i usunęła zimową trawę z miejsc, w których co roku robiła klomby. Dzień był przyjemny i ciepły. Zbliżał się już czas sadzenia kwiatów. Postanowiła wpaść do miejscowego ogrodnika i zobaczyć, jakie rośliny ma w sprzedaży.

Wchodząc do domu po portmonetkę, zauważyła leżącą na komodzie koszulę Reida. Nosiła ją wówczas, gdy była w Forcie. Mogłaby tam wpaść i ją oddać. Tylko niewiele zboczyłaby z drogi.

Reida nie było w domu, ale miał za chwilę wrócić. Tak przynajmniej powiedziała jego gospodyni. Za-

proponowała Cammie kawę z ciastem, gdyby zechciała *zaczekać*. Ona jednak podziękowała, tłumacząc się brakiem czasu, i zostawiła koszulę.

- Zastanawiałam się, gdzie się też ona podziała; to jest ulubiona koszula pana Reida, mimo że bardzo już zniszczona - wyjaśniła Lizbeth. Wysoka, ciemna kobieta o włosach zaplecionych w warkocze i upiętych w koronę pogładziła miękką tkaninę długimi palcami.

- Nie wiedziałam...

- Niech się pani nie martwi. Przypuszczam, że wiedziałby, gdzie jej szukać, gdyby mu na tym zależało.

Cammie nie pozostawało nic innego niż zgodzić się z Lizbeth, widząc, że doskonale się orientuje, co ich łączy. Przeprosiła i wyszła z domu.

- Pani Hutton... w sprawie fabryki... - zaczęła i urwała, jakby nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

Cammie się odwróciła i spojrzała kobiecie prosto w oczy. Ujrzała w nich głęboką troskę.

- Tak? O co chodzi?

- Bardzo chciałam porozmawiać o tym z panią. Pan Reid się zamartwia, chce przecież jak najlepiej, a to wcale nie jest łatwe. Jego ojciec zawsze powtarzał, że trzeba brać pod uwagę wszystkie aspekty sprawy, i pan Reid stale szuka najlepszego wyjścia.

- Tak, wiem - podtrzymała rozmowę Cammie, gdyż zależało jej na tym, żeby Lizbeth mówiła dalej.

- Pan Reid zna mojego Josepha i naszych dwóch synów. Oni już zarabiają na życie, zwożą drewno z lasu. Najmłodszy syn, Ty, służy w lotnictwie i byt ma zapewniony. Ale pozostali muszą pracować wtedy, kiedy jest lato, bo nie mają dość umiejętności, by ściągać drzewo w porze deszczowej czy zimą. Fabryka nie zawsze może wszystko od nich brać, więc obniża im płacę. To, co zarabiają, wystarcza na utrzymanie, zwłaszcza że i ja trochę zarabiam, ale wykonując taką pracę, nie mogą myśleć o ptasich jajach w gniazdach.

Gdyby fabryka była większa, to i perspektywy byłyby lepsze, ponieważ zakład potrzebowałby więcej drewna. Moi chłopcy dumni są z tego, że nie biorą zasiłku; dzięki temu czują się mężczyznami. To smutne, że ich przyszłość maluje się w ponurych barwach.

- Przykro mi, ale będzie jeszcze gorzej, gdy zabraknie drzew do wyrębu.

- Joseph i moi chłopcy są bardzo uważni. Zostawiają młode drzewka, tak jak to zawsze radził ojciec pana Reida. Wiedzą, w którym miejscu zrobić nacięcie na drzewie, aby padając, nie zniszczyło innych. Mój mąż i synowie są dobrymi drwalami. Ojciec Josepha i jego dziad pracowali przy wyrębie lasów na długo przed wynalezieniem piły łańcuchowej.

- A jaki będzie los ptaków i zwierząt? Najlepsza pora na ścinanie drzew to zarazem czas ptaków wysiadujących jaja.

- Oni zwracają uwagę na gniazda sów i dzięciołów i tną wokół tych drzew. Kiedy się pomylą, są naprawdę bardzo nieszczęśliwi, ale tak już w życiu jest.

Cammie spojrzała w ciemne oczy gospodyni.

- Czasem zwierzęta i drzewa są lepsze od ludzi; nie mogą znieść krzywdy, jaką się im wyrządza.

- Pan Bóg wie, że mówię prawdę - rzekła Lizbeth, potrząsając głową. - Jeżeli wszyscy ludzie o dobrych sercach zbiorą się razem, to na pewno coś wymyślą. Czy zgadza się pani ze mną?

- Tak, to byłoby dobrze - odparła Cammie z wymuszonym uśmiechem. - Byłoby więcej niż dobrze, byłoby wspaniale. Ale nie każdy ma dobre serce.

- To wielka życiowa prawda, nie mogę temu zaprzeczyć.

Gospodyni podsumowała rozmowę i nie miała już zamiaru zatrzymywać gościa. Usłyszane przed chwilą słowa wciąż dźwięczały Cammie w uszach. Ten bardzo osobisty punkt widzenia poruszył ją do żywego. Co

innego jest wiedzieć, a co innego bezpośrednio zetknąć się z problemem.

Kierowanie się sympatią *uznała* jednak za bezsens. Nie mogła pozwolić, by takie uczucie miało wpływ na jej decyzje, nie miała też zamiaru stchórzyć tylko dlatego, że nie wszyscy aprobowali jej działania. Wcale nie byłoby jej łatwiej, gdyby zrezygnowała ze swojego planu.

W centrum ogrodniczym był jak zwykle ogromny wybór towarów. Kupiła sześć flanc niecierpka, winorośl do altany i dwa różowo kwitnące hibiskusy, które miała zamiar posadzić po obu stronach schodów z tyłu domu. Już się ściemniało, kiedy znalazła się na podjeździe przed domem.

Persephone przygotowała prosty obiad: zupę jarzynową ze świeżych warzyw i kukurydziany chleb. Bardzo wczesnie jadła śniadanie i chociaż nie czuła głodu, zdawała sobie sprawę, że powinna coś *zjeść*. O lunchu w ogóle zapomniała.

Właśnie wkładała naczynia do zmywarki, kiedy usłyszała pukanie. Zapaliła światło na ganku i wyjrzała przez okno. Przed drzwiami stała w półmroku ciężka postać szeryfa.

- Przepraszam Cammie, że ci przeszkadzam - odezwał się Bud Deerfield, dotykając róna kapelusza. - Otrzymaliśmy zgłoszenie, że koło domu kręci się jakiś mężczyzna.

- Dzisiaj wieczorem? - zapytała zaskoczona.

- To było parę minut temu. Byłem niedaleko, więc pomyślałem, że lepiej będzie, jak zajrzę.

To musi być Reid. Ale czy na pewno? Pomyślała, że Reid jest zbyt zręczny, by dać się zauważyć. To mógł być Keith, a jeżeli on, może być tylko wdzięczna sąsiadom.

Cofnęła się i otworzyła szeroko drzwi, zapraszając kuzyna do wejścia.

- Cieszę się, że sprawdzisz dom, chociaż nikogo nie widziałam i nie słyszałam.



- Masz szczęście. - Bud starannie wytarł nogi o wycieraczkę i przekroczył próg. Minął Cammie i poszedł wzdłuż holu. Idąc, nie przestawał mówić. - Ostatnio dziwnie dużo pojawiło się włamywaczy w okolicy. Przynajmniej trzy wdowy stale mi się naprzykrzają; twierdzą, że widziały mężczyzn wchodzących do tego domu i wychodzących z niego różnych porach.

- A czy kogoś znalazłeś? - Cammie z dezaprobatą patrzyła na szerokie bary szeryfa.

- Do tej pory jeszcze nie. Według mnie to sprawa z Janet Baylor tak zdenerwowała kobiety.

Wszedł do salonu, uważnie się rozejrzał i skierował się do słonecznego pokoju.

- Uważasz, że jest jakiś związek między tymi sprawami?

- Kto to wie? - Kiedy tak krążył po pokojach, jego głos jak echo docierał do Cammie. Policjant jeszcze raz podszedł do domu od frontu, obrócił się wokół filaru podtrzymującego schody i zaczął wchodzić na górę.

Nikogo nie znalazł, chociaż przejrzał szafy i łazienki, a nawet - żeby być w porządku - zaglądał pod łóżka. Wychodząc, przypomniał Cammie, żeby zamknęła drzwi i sprawdziła wszystkie okna. Widziała, jak jeszcze raz obszedł cały dom, podchodząc aż do skraju trawnika łączącego się z lasem.

Dziesięć minut później szeryf znów był przy drzwiach, by tylko powiedzieć, że fakt, iż był to fałszywy alarm, wcale nie znaczy, że ktoś nie kręci się koło domu. Jeżeli usłyszy najmniejszy choćby szmer, niech natychmiast krzyknie, a jego człowiek zjawi się tak szybko, że przestępca nie zdąży uciec.

Cammie czekała, aż szeryf zniknie jej z oczu. Ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami przeszła przez hol i stanęła u podnóża schodów.

- W porządku! - zawołała. - Możesz już wyjść.

Odpowiedziała jej cisza. Poczowała się trochę głupio,

lecz nie miało to większego znaczenia, ponieważ była sama. Instynkt podpowiadał jej jednak, że jest inaczej. Nie wiedziała, co było bardziej denerwujące: świadomość tego czy fakt, że wyczuwała obecność Reida. Powoli obracała się w miejscu, nasłuchując odgłosów z góry i zaglądając w ciemne kąty.

- Reid?

Nagle zobaczyła go wychodzącego ze słonecznego pokoju - cień wyłaniający się z cieni. Jego kroki na starej podłodze nie wydawały najłżejszego dźwięku, ruchy były swobodne, choć czujne. Zatrzymał się jakieś dwa metry przed nią i czekał.

Z trudem przełknęła ślinę, pokonując nagły ścisk krtani.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Dostatecznie długo - padły lakoniczne słowa. - Przyszedłem spotkać się z tobą, kiedy niespodziewanie nadjechał szeryf; zobaczyłem, że wpuszczasz go do domu.

- Jak tego dokonałeś, że Bud cię nie widział?

- Obydwoje robiliście tyle hałasu, że nie usłyszelibyście wycofywania się regularnego plutonu, a co dopiero mówić o jednej osobie. Po prostu znajdowałem się zawsze o jeden lub dwa pokoje przed wami.

- Jeżeli ty mogłeś tak zrobić, to i ktoś...

- Prócz nas nikogo tu nie ma, daję ci moje słowo. - Mówiąc to, lekko się przez chwilę uśmiechał. - I nieważne, kogo sąsiedzi widzieli koło domu, zapewniam cię, że nie mnie.

- Czy jesteś pewien? Nie chcę wątpić w twoje słowa, ale przecież każdy może postawić fałszywy krok.

- Tam, gdzie byłem przez kilka ostatnich lat, nie można zrobić fałszywego kroku. Fałszywy krok i choćby jeden błąd mogły kosztować życie człowieka - zauważył obojętnie.

Jeżeli nie Reid, w takim razie kto to był? Z pewnością nie Keith, zwłaszcza po ubiegłej nocy. Może jeszcze ta

postać, którą widziała w zeszłym tygodniu. Prawie siebie przekonała, że chodził tu jej były mąż, miała jednak jeszcze pewne wątpliwości.

W końcu uznała, że Reid mówi prawdę. Nie miał przecież żadnego powodu, by kłamać. I-tej sprawy nie można porównać do zniknięcia Janet Baylor.

- O co chodzi? Kto w imię starych grzechów chce mnie prześladować? - zastanawiał się, spoglądając na jej zmartwioną twarz.

Pragnienie powtórzenia mu tego, co o nim mówiła ciotka Beck, i usłyszenia, co ma na swoją obronę, było bardzo silne, ale się powstrzymała.

- Czy było ich tak wiele? - zapytała.

- Trochę. - Spojrzał na nią ponuro. - Jeżeli chcesz usłyszeć jakieś mrozące krew w żyłach szczegóły, musisz się zwrócić gdzie indziej.

- Nie, dziękuję - odparła szybko.

Odwróciła się i skierowała do kuchni. Po chwili wahania podążył za nią, mimo że nie zwracała na niego uwagi. Przez cały czas zmagала się z myślami, co zrobić z nadchodzącą nocą.

- Lizbeth mi mówiła, że byłeś u mnie w domu - powiedział, opierając się o stół. - Mogłeś sobie zaoszczędzić drogi. I tak bym przyszedł.

Ledwo na niego spojrzała.

- Zapomniałam oddać ci koszulę, kiedy tu byłeś.

- To brzmi zachęcająco - uśmiechnął się i zaraz dodał: - Myślałem, że jest jakiś szczególny temat, który chciałabyś ze mną omówić.

- Na przykład jaki? - spytała, wycierając blat.

Cień poirytowania przemknął mu przez twarz.

- Nie wiem, Cammie. Jest wiele spraw do omówienia: Keith, fabryka, zagubione dokumenty - wszystko i nic. Albo w ogóle nic, jeżeli po prostu chciałaś mnie zobaczyć. Do diabła! Od czasu do czasu mogę być optymistą.

- Nie radziłabym - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Palcami przeczesał włosy.

- No dobrze, więc o co chodzi tym razem? Co takiego zrobiłem albo czego nie zrobiłem, że wprowadziłem cię w taki nastrój?

- Nic - odparła niezupełnie zgodnie z prawdą.

- Nic? To dlaczego ilekroć się widzimy, musimy wszystko zaczynać od początku?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w twarz.

- A czy sądzisz, że rzucę się w twoje ramiona? Zaciągnę cię do łóżka?

- Niewątpliwie byłaby to miła odmiana.

- Niedoczekanie!

- Z przyjemnością przyjąłbym powitalny pocałunek. Stanowczość w jego oczach nieco ją zaniepokoiła.

- Nie jestem pewna, czy jesteś mile widziany.

- To niedobrze. Ale jestem tutaj, niezależnie od tego, czy mnie witasz miło, czy nie.

- Ale dlaczego? - dopytywała się. - Dlaczego, skoro wiesz, że ja ciebie nie chcę?

- A ja mimo to chcę być z tobą - odparł z ponurym uśmiechem.

W tych celowo dobranych słowach i modulacji głosu kryła się aluzja, której nie rozumiała. Miała też wątpliwości, czy chciałyby ją zrozumieć.

Przypominając sobie poranne godziny, kiedy leżała w jego ramionach, przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Reid nie spał, może w ogóle nigdy nie zasypiał? Jedną ręką trzymał ją mocno przy sobie, a drugą rozgarniał jej włosy. Rozprostował delikatnie jedwabistą masę, wyciągając z niej pasmo po paśmie i układając na poduszce.

Czuła się bezpieczna i niewiarygodnie szczęśliwa.

Było w tym jakieś spełnienie, którego do tej pory nigdy nie zaznała. Marzyła, żeby móc tak leżeć w bezruchu do końca swoich dni.

Tak się jednak nie stanie; wszak ją uprzedzał, że jest niezdolny do takiego życia. Musiała mu wierzyć;

czy miała jakiś wybór? I czy tak nie będzie najlepiej? Przecież ona sama, kierując się niemądrą wyobraźnią, wykreowała fałszywy obraz człowieka, jakim on nigdy nie był i nie będzie.

- Możesz nie chcieć ze mną rozmawiać - odezwał się spokojnie, lecz jego twarz wyrażała troskę - ale ja chciałbym ci coś powiedzieć. Jeżeli ci powiem, że istnieje możliwość zapobieżenia nadmiernej ekspansji fabryki, czy zgodzisz się rozważyć tę propozycję?

- Oczywiście - odparła chłodno. - Nie jestem nierozsądna.

Zacisnął szczęki i nie skomentował odpowiedzi.

- Możliwe jest wprowadzenie do umowy pewnych warunków gwarantujących kontrolę środowiska. Oczywiście, Szwedzi mogą te warunki odrzucić, przypuszczam jednak, że raczej się na nie zgodzą, zbyt im zależy na wejściu na rynek. Zawsze chciałem zapisać w umowie pewne gwarancje. Jeżeli ty dołączysz swoje postulaty, można będzie wycofać inne. Tak byłoby wtedy, gdybym ja pozostał właścicielem fabryki. Jeżeli własność przejdzie na ciebie, będziesz mogła zrobić, jak zechcesz. Jest to jedyny sposób na uratowanie tego, na czym ci zależy, a jednocześnie umożliwiający zachowanie korzyści płynących ze sprzedaży fabryki.

Słuchała jego słów z szeroko otwartymi oczami. W pewnym momencie rzekła:

- Przecież ja się nie znam na klauzulach do umowy.

- Trochę się znasz, a poza tym możesz się nauczyć. Oczywiście, nie obejdzie się bez prawnika, który sporządzi ostateczną wersję.

- Oczywiście - powtórzyła jak echo. - Dlaczego to robisz? I dlaczego tak wiele czasu zajęło ci złożenie tej propozycji?

- Przede wszystkim dlatego, że to ma sens. Zanim zacznę wprowadzać zmiany do umowy, chcę się dowiedzieć, jak dalece Szwedzi zaangażowali się w kupno fabryki.

Roześmiała się sztucznie.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli rozmowy dotyczące kupna nie będą przebiegały pomyślnie, będziesz mógł wycofać umowę i wziąć swoje pieniądze?

- Zawsze będę walczył o sprawy, w które wierzysz - odparł, nie reagując na jej złośliwą uwagę - ale nigdy dla ochrony kilku ptaków nie narażę na szwank miasta, ludzi ani ich pracy.

Słowa Reida brzmiały szczerze i budziły zaufanie. Ale przecież widziano go z Janet Baylor w dniu, w którym zniknęła. Obie te sprawy zupełnie się ze sobą nie zgadzały.

Już otwierała usta, żeby prosić Reida o wytłumaczenie epizodu z Janet, kiedy zauważyła, że Reid stał się czujny. Idąc w ślad za jego spojrzeniem, spostrzegła światła samochodu wjeżdżającego na podjazd.

Reid podniósł brwi. Cammie potrząsnęła głową, dając mu znak, że nie oczekuje nikogo.

Do tylnych drzwi ktoś zapukał. To był znowu Bud Deerfield.

Otwierając drzwi, Cammie pomyślała, że może ktoś widział, jak Reid wchodził do domu, i zawiadomił policję. W sekundę później odrzuciła tę możliwość.

- Wielkie nieba, Bud! O co chodzi tym razem? - Widziała, że Reid został w kuchni.

- Cammie, bardzo mi przykro, że to ja muszę ci przekazać tę wiadomość.

- Co się stało? - Postąpiła krok, aby lepiej widzieć twarz szeryfa. Srebrna gwiazda przypięta do koszuli rzucała blask aż na ganek.

- Chodzi o Keitha, kochanie.

Kiedy Bud stał przed drzwiami i obracał w palcach filcowy kapelusz, wydawał się ogromnie zmartwiony.

- Czy jest ranny?

- Znacznie gorzej. On nie żyje, kochanie. Przed chwilą znaleziono go w rezerwacie. Koroner twierdzi, że stało się to dziś po południu.

Zszokowana, ciężko oddychając, zapytała:

- Czy to był wypadek samochodowy?

Bud przecząco potrząsnął głową.

- Został zastrzelony z magnum kaliber 357. Broń leżała obok niego.

- On nie popełnił... To nie było... samobójstwo? -  
W głowie miała tyle pytań i tyle obaw, że czuła się zupełnie odrętwiała.

Nagle Bud przyjął bardzo oficjalny ton.

- Sprawa jest jasna. To było morderstwo, czyste, zwyczajne morderstwo.

Bud odszedł, a Cammie wciąż trzymała rękę na klamce. Kuzyn chciał znaleźć kogoś, kto by jej dotrzymał towarzystwa, a przynajmniej dał jakiś środek na uspokojenie. Podziękowała mu za jedno i za drugie. Czuła się kompletnie zdezorientowana; zupełnie nie wiedziała, co robić.

W pierwszym odruchu chciała pójść do matki Keitha. Teść zmarł przed paroma laty; z teściową jednak nadal utrzymywała dość dobre stosunki. Zdawała sobie sprawę, że starsza pani bardzo przeżyje tę wiadomość, a jej obecność może potraktować jako natręctwo, nie pamiętając o dobrych stronach tego związku.

Keith zastrzelony! Wiadomość zupełnie nie pasowała do tego spokojnego miasta. Brzmiała obco.

Zamordowany Keith i zniknięcie Janet Baylor.

Co się tutaj dzieje? Mieszkańcy zawsze żywo interesowali się wszystkimi wydarzeniami w mieście i mieli w nich swój udział: w sobotnich awanturach, rodzinnych kłótniach, tragicznych wypadkach i rozpaczach z powodu śmiertelnie chorych. Ale czegoś takiego jeszcze nie było.

Zastrzelony w rezerwacie.

Puściła wreszcie klamkę i poszła w stronę schodów. Udała się do sypialni i natychmiast zajrzała do nocnej szafki. Wysunęła górną szufladę, do której włożyła pistolet. Jeszcze nie tak dawno groziła nim Keithowi. Reid oddał jej magnum.

Ale w szufladzie broni nie było.



Reid wyszedł z kuchni i podążył za nią do sypialni. Oparty o futrynę, stał w drzwiach, bacznie ją obserwując. Podniosła głowę, aby na niego spojrzeć.

Kiedy mówił: „Ja go nie zabrałem”, w jego głosie słychać było zdenerwowanie.

Nawet o tym nie pomyślała. Czy naprawdę o tym nie myślała? Zupełnie odruchowo spytała:

- Gdzie byłeś dzisiaj po południu?

- Sprawdzalem drewno - padła natychmiastowa odpowiedź. - A co ty robiłaś, poza wizytą w Forcie i zakupami w sklepie ogrodniczym?

Podejrzliwość. To paskudna sprawa i do tego obosieczna broń.

Odwróciła się od niego, spuszczać oczy. Skrzyżowała ręce i dłońmi złapała się za łokcie, próbując opanować przejmujący chłód.

Reid długo jej się przyglądał.

- Gdybyś nawet to zrobiła - po chwili powiedziała z namysłem - w co trudno uwierzyć, nie miałbym pretensji. Po tym wydarzeniu, kiedy Keith ciebie uderzył, miałas ku temu wszelkie powody.

Zdumiona podniosła oczy i napotkała pełen zrozumienia wzrok Reida.

- Ty także mogłeś mieć powody - odparowała chrapliwym głosem.

- I też mnie rozgrzeszasz? - Przechylił głowę i z napięciem oczekiwał odpowiedzi.

- Nie jestem tego pewna.

- Nie - dopowiedział. - Ale w przeciwieństwie do ciebie nie mam podstaw do okoliczności łagodzących. W moim przypadku nie byłoby wytłumaczenia.

- A gdyby twoje powody okazały się ważniejsze, niż myślisz?

- Uważasz, że mógłbym go zabić dla twojego dobra? - zapytał, mrużąc oczy.

- Nie można tego wykluczyć.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili Reid skłonił głowę, jakby się z nią zgadzał.

- Mógłbym to zrobić, lecz tylko wtedy, gdybym wiedział, że tego pragniesz.

To była prawda. Od razu wiedziała, że to prawda. Ale czy cała prawda, czy tylko jej część?

Najgorsze było to, że odpowiedź nie miała żadnego wpływu na prymitywną satysfakcję, jakiej doznawała i która z niej emanowała. Natychmiast ją stłumiła, kiedy zdała sobie sprawę ze swoich myśli. Ale mogła je jedynie odrzucić. Co z niej za kobieta, jeżeli sprawia jej przyjemność gotowość mężczyzny do zabicia dla niej? Nawet nie miała odwagi nad tym się zastanawiać.

- Dla ciebie byłoby to łatwiejsze niż dla innych - zauważyła spokojnie.

- Łatwiejsze do wykonania - odparł. - Trudniej zwalczyć głęboko wpojona niechęć do zbrodni.

Twarz Reida wyrażała całą bezbronność i nienawiść do samego siebie. Cammie nagle zrozumiała, że w tej jednej jedynej chwili Reid odsłonił tę część siebie, którą tak starannie ukrywał. I nie ona się do tego przyczyniła, sam zrobił to celowo z przyczyn, których wolała się nie domyślać.

- Jeżeli więc jesteś winny - powiedziała zgodnie - ja ponoszę winę razem z tobą.

- Tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi dzielić z tobą winę, która może być twoim udziałem.

Wzajemne podejrzania, wzajemny brak zaufania i obopólna chęć patrzenia inaczej na sprawę. Sytuacja bez wyjścia. Dlaczego to tak bardzo boli?

Reid zmienił się na twarzy; zrobił krok w jej stronę.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć - coś, co zaszło między mną a Keithem w fabryce.

- Wiem o tym - odparła i szybko się odwróciła. - To nie ma znaczenia. Wolałabym o tym nie mówić. I chciałabym dzisiejszej nocy zostać sama.

W ciszy, jaka zapadła, odniosła wrażenie, że Reid w ogromnym skupieniu wsłuchuje się w echo jej głosu i usiłuje zrozumieć znaczenie tych słów. A może rozważał konsekwencje, o których nawet nie wspomniała?

Wreszcie się odezwał:

- Śpij zatem, jeśli możesz. Nie myśl o niczym. Nie ma sensu denerwować się sprawami, których nie można zmienić.

- Opierasz się na własnym doświadczeniu? Ile razy miałeś do czynienia z przypadkami nagłej śmierci?

Znużenie zabrzmiało w jego głosie.

- Co jeszcze wymyślisz?

Nie słyszała, jak odchodził, ale kiedy się w chwilę potem odwróciła, już go nie było.

Dwa dni później odbył się pogrzeb. Gdyby nie zwłoka konieczna do przeprowadzenia autopsji, uroczystości dokonałyby się wcześniej.

Rodzina Keitha pragnęła, by pochowano go jak najszybciej. Chciała położyć kres niezdrowej sensacji. Nie było końca telefonom i wizytom wścibskich ludzi. Z każdą godziną narastał tłum kłębiący się wokół domu przedpogrzebowego. Przynajmniej cztery gazety zwróciły się o pozwolenie relacjonowania przebiegu uroczystości.

Wiadomości docierające do Cammie pochodziły jak zwykle z tego samego źródła, czyli plotek. Cammie nie była więc pewna ich wiarygodności. Zastanawiała się nawet, czy ma iść na pogrzeb. Za nic w świecie nie chciała znaleźć się w sytuacji, w której byłaby poproszona o wypowiedź dla prasy. W końcu nie mogła walczyć z obowiązkiem i przyjętymi zwyczajami. Jej nieobecność na pogrzebie wywołałaby więcej komentarzy niż udział w uroczystości. Uważała również, że za wszystkie lata spędzone z Keithem należy mu się z jej strony jakiś przyjazny gest.

Równie trudno było jej się zdecydować, co na siebie włożyć. Żałobny wdowi strój może zakrawać na ironię, a ubranie kolorowe może być odczytane jako brak szacunku do zmarłego i niestosowne podczas takiej uroczystości. Ostatecznie wybrała kostium w kolorze gołęzim oraz białą jedwabną bluzkę. Miała nadzieję, że będzie wyglądała na tyle przeciętnie, iż nikt nie zwróci na nią uwagi.

Pogrzeby w Greenley były traktowane jako ważne wydarzenia towarzyskie. Przed rozpoczęciem uroczystości trumna ze zmarłym jest wystawiana na widok publiczny. Czuwają przy niej krewni, którzy odbierają kondolencje od znajomych i przyjaciół zmarłego. W nieskończoność przeciągają się krótkie uściski, pocieszające poklepywania i słowa pociechy. Nie słychać płaczu, chociaż przygotowano wiele chusteczek. O pozycji zmarłego świadczy liczba i różnorodność przyniesionych kwiatów. Wielką wagę przywiązuje się również do dekoracji trumny.

Msza za Keitha odbywała się przy akompaniamencie ulubionych przez jego matkę pieśni biblijnych. Po krótkim wspomnieniu o zmarłym nastąpiło nabożeństwo tak żarliwe, że wszystkim się zdawało, iż za chwilę usłyszą prośbę, by się nawrócili.

Gammie, chcąc uniknąć mieszania się z tłumem i rozmów z ludźmi, celowo przysłała później. Nie udało jej się jednak umknąć fotografowi, który znalazł się na wprost niej, kiedy wyszła z kaplicy. Nie uchwyciła się również przed szeptami i ciężkimi spojrzeniami rzucającymi w jej stronę. Zachowując kamienny spokój, jakoś zniosła to nadmierne zainteresowanie z nadzieją, że wkrótce się ono skończy.

Niestety, myliła się. Kiedy orszak zaczął iść w stronę cmentarza, poznała przyczynę. Przy bramie stał samochód Reida. Spodziewano się jego obecności. Przecież Huttonowie i Sayersowie byli wieloletnimi partnerami,

a poza tym Reid znał Keitha jeszcze ze szkoły. Reid przynajmniej miał na tyle zdrowego rozsądku, że nie przybył na główne uroczystości i zjawił się dopiero na cmentarzu.

Stał w tłumie, który zebrał się wokół świeżo wykopanej mogiły i położonego pod baldachimem sztucznego dywanu imitującego trawę. Nie podszedł do Cammie, za co mu była wdzięczna. Dzieliła ich jednak mała przestrzeń i odgłos komentarzy wymienianych przez żałobników przypominał brzęczenie natrętnych much.

Ceremonia żałobna wreszcie się zakończyła. Cammie nie chciała stanąć razem z rodziną, ale kiedy matka Keitha wyłoniła się spod baldachimu, instynktownie do niej podeszła.

Przez chwilę starsza dama patrzyła na nią jak na powietrze. Cammie bez zająknięcia złożyła wyrazy współczucia, nie zrezygnowała też z szybkiego uścisku. Poczuła, jak ciało teściowej zeszytywniało, a w załzawionych oczach pokazał się gniew.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Cammie, ponieważ nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Doprawdy? - kobieta odparła ze stłumioną uprzejmością. - Trudno w to uwierzyć. Ale chciałam z tobą porozmawiać o rzeczach Keitha, jakie wciąż mogą być u ciebie. Spodziewam się, że odeślesz je do domu.

Vona Hutton, ciężka i niezgrabna żona Gordona, stała zaraz za matką Keitha.

- Tak będzie najlepiej - przytaknęła obłudnie, zerkając jednocześnie na męża zatopionego w rozmowie z księdzem.

- Tak, oczywiście - odpowiedziała Cammie.

Usiłowała sobie przypomnieć, jakie rzeczy Keitha znajdują się u niej: kilka zardzewiałych narzędzi, stary rower i różne niepotrzebne części samochodowe. Wszystko przejrzy, odda nawet stary śrubokręt i zardzewiałą świecę samochodową.

- To byłoby wszystko. I ani ja, ani jego brat nic więcej od ciebie nie chcemy.

Była to wyraźna odprawa, ostateczne zerwanie. Niewątpliwie celowo tak powiedziała, żeby zabołało.

- Jak pani sobie życzy - Cammie odparła z całym spokojem.

Kobieta towarzysząca matce Keitha odwróciła się i uniosła wysoko głowę. Vona objęła teściową tłustym ramieniem, szepcząc jej do ucha słowa pociechy. Cammie patrzyła, jak odchodzą, i miała wyrzuty sumienia, że poczuła ulgę.

W tym czasie ktoś podszedł do niej z boku. Spodziewała się Reida, tymczasem był to Fred Mawley.

Uśmiech prawnika wyrażał troskę i usłużność.

- Mam nadzieję, iż znajdziesz minutkę, żeby ze mną porozmawiać.

Cammie wymamrotała coś stosownego, nie zwracając prawie uwagi na prawnika. Reid wyszedł z cmentarza i dołączył do grupy mężczyzn stojących na poboczu. W większości byli to pracownicy fabryki.

- Chciałbym uzgodnić termin spotkania w związku z testamentem. Im szybciej się do tego zabierzemy, tym lepiej - zaczął Fred Mawley.

Idąc w stronę bramy cmentarnej, Cammie rzuciła mu lodowate spojrzenie.

- Czy nie sądzi pan, że teraz jest na to trochę za późno? - zapytała.

Podniósł brew i nieoczekiwanie zachichotał.

- Nie chodzi o pani część, tylko o Keitha. Ponieważ wasze testamenty nigdy nie zostały unieważnione i nie zostały zastąpione innymi, pani w dalszym ciągu dziedziczy po Keicie. Jego aktywa przechodzą na panią, włączając w to udział w fabryce papieru.

Stała jak wryta, w oczach miała przerażenie.

- Nie mogę uwierzyć, że nigdy o tym nie pomyślałaś - powiedział Mawley z rozbawieniem.

- Nigdy - warknęła, gdy odzyskała panowanie nad sobą.

- Gordon Hutton jednak o tym pomyślał. Wczoraj rano miałem od niego telefon z pytaniem, jak sprawy wyglądają. Wydawało mi się to rzeczywiście zabawne, ponieważ on był tym, kto... - Adwokat urwał, jakby za dużo powiedział.

- Gordon był tym, który co? - spytała Cammie.

Mawley robił wrażenie zakłopotanego, chociaż uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Nic, nic. To nic ważnego. Co powiesz na kolację dziś wieczorem? Chciałbym, żebyśmy mieli dużo czasu na omówienie szczegółów.

Możliwe, że rozwój wydarzeń był częścią planu rodziny Huttonów.

- Nie ma potrzeby się spieszyć - zapewniła Cammie.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła, że Reid opuszcza cmentarz. W jego postawie było coś, co ją zaniepokoiło, powiedziała więc Mawleyowi, że do niego zadzwoni, i szybko odeszła.

Była już prawie przy bramie, kiedy sobie uświadomiła, co Fred powiedział o Gordonie i testamencie. Wygląda na to, że brat Keitha może mieć coś wspólnego ze zmianą dokumentu dotyczącego wzajemnego dziedziczenia. Zaiste byłby to dobry dowcip. Pytanie tylko, dlaczego on miałby się tym martwić.

Nie mogła się doczekać chwili, kiedy opowie o tym Reidowi. Chciała zobaczyć jego reakcję na nowiny i dowiedzieć się, co o tym myśli. I chociaż przyśpieszyła kroku, na parkingu Reida już nie zastała.

Zawód był tak wielki, że aż poczuła ucisk w gardle. Stojąc na placu i patrząc na miejsce, gdzie jeszcze niedawno stał samochód Reida, pomyślała, że jest to bardzo dziwne, iż pragnęła podzielić się wiadomością z kimś, kogo podejrzewa o zabicie Keitha. Ponadto Reid może wcale nie uznać tej wiadomości za interesującą.

Po powrocie do Evergreen Cammie się przebrała: włożyła parę dżinsów i trykotową koralową bluzeczkę. Zjadła lunch i wyszła na dziedziniec. Zobaczyła flance niecierpka i w nagłym przypływie energii wykopała bratki i ozdobne czermienie, które już przekwitły, a w tym miejscu posadziła kupione kwiaty.

Wykonywała czynności machinalnie, przez cały czas myśli jej błądziły gdzie indziej.

Keith, według policyjnych raportów, był zamordowany przez zawodowca: otrzymał jeden strzał w głowę. Każdy, kto miałby trochę rozumu, a chciałby zabić Keitha, poczekałby do sezonu na polowania. W tym okresie w lasach - a nawet w rezerwacie - kręciło się sporo mężczyzn ze strzelbami. Można by z łatwością upozorować wypadek. Sposób, w jaki zabójca to zrobił, wskazuje na osobę, która działała w ogromnym gniewie albo była absolutnie pewna, że ujdzie jej to płazem.

Żadne z tych przypuszczeń nie pasowało do Reida. Cammie sądziła, że gdyby on chciał się pozbyć Keitha, zabiłby go po cichu, a ciało zakopał w dobrze ukrytym miejscu, gdzie nigdy by go nie znaleziono.

Tak mogą również myśleć inni. Może chciał, żeby zabójstwo wyglądało na brutalne, bo zdawał sobie sprawę, że takie umiejętne pozbycie się Keitha wskazywałoby na niego.

Po raz kolejny Cammie przypomniała sobie stanowcze zapewnienia Reida, że nie zabił Keitha. Chciała mu wierzyć, ale przychodziło jej to z wielką trudnością. Zakładała, że Reid działał z własnej woli, bo chciał ją uwolnić od prześladowań byłego męża.

Ale może po prostu źle go ocenia. Nie była pewna, co jest gorsze: mieć rację czy się mylić.

Tak krańcowo różne myśli doprowadzały ją do szaleństwa już od wielu dni. Od czasu nocy w Evergreen dziś rano widziała Reida po raz pierwszy. Jego za-



chowanie na pogrzebie nie ułatwiało jej podjęcia decyzji. Ale musi być coś, co jej pomoże.

Zdecydowała, że jeśli będzie trzymać się daleko od Reida, to go nie pozna. Musi zatem do niego się zbliżyć, przełamać opory i wreszcie odkryć prawdę o tym człowieku. Tylko w ten sposób osiągnie spokój.

Gammie rzuciła na schody ogrodowe rękawice, saszak i pustą skrzynkę. W chwilę później jechała do Fortu.

Reida nie było w domu. Lizbeth spojrzała na nią bardzo uważnie i wskazała kierunek, w jakim poszedł.

Ślad prowadził do Wielkich Drzew. Był to obszar dziewiczy, rozciągający się z tyłu fabryki i w północnej części, graniczący z rezerwatem okalającym Fort. Ciężko było przedzierać się przez las aż do miejsca, gdzie zaczynał się starodrzew. Ogromne, sięgające nieba sosny i dęby, wawrzyny, gumowce i jesiony stykały się wierzchołkami, zamykając drogę słońcu. Zarośla pod drzewami były coraz rzadsze, aż zupełnie zanikły. Została tylko brązowa leśna ziemia, na której rosły grzyby i mech. Pod nogami czuło się cudownie miękką ściółkę utworzoną z opadłych liści. Było to otwarte miejsce, gdzie śpiewały ptaki, i nawet odległe odgłosy wiewiórek brzmiały melodyjnie. W ciszy, jaka tam panowała, te wszystkie dźwięki wirowały wokół niej, jakby znalazła się w jakiejś ogromnej komorze pogłosowej.

Zatrzymała się, żeby nabrać tchu. Szła bardzo szybko i pokonała już kawał drogi. Znowu ogarnęły ją wątpliwości, czy ma sens gonienie po lasach za mężczyzną, którego posądza o morderstwo. Odsunęła od siebie męczące myśli i skoncentrowała się na poszukiwaniach.

Gdzieś niedaleko usłyszała stukanie i uśmiechnęła się, poznając ten dźwięk. Zawróciła na ciemnej ścieżce i skierowała się tam; zobaczyła dzięcioła z gatunku Skromnych. Był wielkości małego koguta, a upierzenie miał szarobrazowe, wzbogacone czerwoną kokardką, która zaczynała się na ramionach i przykrywała całą

główkę. Ptak wczepiony w usychającą sosnę pracowicie wystukiwał dziury w pniu drzewa. Promienie słońca zabarwiły jego pióra na miedziany kolor. Na chwilę przerwał stukanie, słysząc jej kroki. Widocznie uznał, że nie ma zagrożenia, i wrócił do swoich poszukiwań.

Sporo czasu upłynęło odkąd Cammie ostatni raz widziała tego rzadkiego ptaka. Zdumiała się na jego widok. To było tak, jakby w dawnych czasach kobieta napotkała w lesie jednorozca. Świat byłby o wiele uboższy, gdyby te wspaniałe zwierzęta wyginęły. Wróciła na ścieżkę dopiero wtedy, gdy dzięcioł odleciał w głąb lasu.

Muzyka doprowadziła ją do Reida. Już od pewnej chwili słyszała delikatną melodię graną na gitarze. Przypominała stare ludowe piosenki, takie jak „Zielone rękawy” czy „Jarmark w Scarborough”.

Siedział na skraju polany porośniętej paprociami. Za jego plecami rozpościerały się kępy baldachimów paproci, widomy znak nadejścia wiosny. W niebo wystrzeliwały nowe spirale zieleni, odcinające się od grubej warstwy opadłych liści.

Promień słońca rozszedł włosy Reida. Twarz miał skupioną, cały był pochłonięty muzyką. Grał melodię, której powinny towarzyszyć słowa. Rytmem przypominała pieśń lub balladę o miłości i stracie ukochanego. Muzyka towarzysząca picciu piwa, będąca - jak to powiedział Reid - jedynym ujściem dla wyrażenia uczuć przeciętnego człowieka.

Zapragnęła odejść, zanim Reid się zorientuje, że tu przyszła.

- Nie odchodź - rzekł, nie podnosząc głowy. - Usiądź i powiedz, czego szukasz.

Podeszła i usiadła na przegniłym pniu.

- Szukam ciebie, oczywiście.

Brzdąkając palcami po strunach gitary, spojrzął na nią spode łba.

- Po co? Czy potrzebny ci jest ktoś, kto popełniłby jeszcze jedno zabójstwo? Może Mawley sprawia ci kłopot?

- Pamiętam - odezwała się zduszonym głosem - że byłeś pewien, iż z takimi sprawami sama dam sobie radę.

Reid uderzył w struny i muzyka się urwała. Odłożył gitarę i popatrzył prosto przed siebie. Oddychając głęboko, odwrócił się w jej stronę.

- Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem. Powiedz tylko, czego ode mnie chcesz.

Wyglądało na to, że zablokował wszystkie swoje uczucia, jakby w oczekiwaniu, co ona powie.

- Ubiegłej nocy chciałeś mi opowiedzieć o bójce, jaką stoczyłeś z Keithem w fabryce. Wtedy cię powstrzymałam. Może nie powinnam. Czy możesz mi teraz o tym opowiedzieć?

W zmrużonych oczach Reida pokazała się złocista iskra. Kiwnął głową na znak zgody i w zwięzłych słowach opowiedział jej o wizycie dwóch zbirów w biurze Keitha i o tym, co się później zdarzyło z Gordonem.

- Nie sądzę, by chciał, żeby Gordon się o tym dowiedział, czy też ja, odkąd zacząłem przeglądać rachunki. Na pytanie, dlaczego to robił, możesz sobie sama odpowiedzieć. To ty mówiłaś, że Keith bardzo lubił pieniądze. Ma to niewątpliwie związek z wizytą tych dwóch oprychów. Czy podejrzewałaś Keitha, że gra na wyścigach? Albo uprawia hazard?

- Wiem, że regularnie odwiedzał Luizjana Downs: to jest za blisko Greenley - zastanawiała się Cammie. - Bardzo lubił Vegas. Nigdy jednak nie słyszałam, żeby zbyt wiele przegrywał w którymś tych miejsc. W ostatnich kilku miesiącach niewiele z nim przebywałam, więc nie mogę wiedzieć.

- Istnieje sposób, aby się dowiedzieć, jeżeli zechcesz pójść dalej.

- Jak daleko? - spytała bez ogródek.

- Do Nowego Jorku.

Aż ją zadziwił własny śmiech.

- Ach tak. Tak po prostu!

- Opowiadałem ci o moim przyjacielu. Nazywa się Charles Meyer i mieszka w Nowym Jorku - kontynuował z powagą Reid. - Jest absolutnym geniuszem - mówię to z całą odpowiedzialnością - w dziedzinie komputerów. Wciąż pracuje dla Towarzystwa, a od czasu do czasu nawet anonimowo dla Biura. To są pozory, gdyż w rzeczywistości jego zadanie polega na penetracji sieci komputerowych na całym świecie. Zbiera informacje i pilnuje, by nikt inny nie zrobił podobnej przysługi.

Cammie przyglądała się Reidowi, usiłując zrozumieć, co mówi.

- Nie widzę w tym żadnego związku z naszą sprawą - powiedziała w końcu.

- Od pewnego czasu Biuro Federalne usiłuje kontrolować przestępczość zorganizowaną. Luizjana jest szczególnym obiektem zainteresowania ze względu na Nowy Orlean i działającą tam przestępczą rodzinę Marcellos. Do tego dochodzą jeszcze powiązania z Kubą i Ameryką Południową. Inwigilację wprowadzono zaraz po otwarciu wyścigów konnych, loterii i kasyna gier hazardowych. Jeżeli Keith choćby otarł się o którąś z tych instytucji, to w komputerze na pewno będzie zapis.

- Dlaczego nie zadzwonisz do przyjaciela i nie poprosisz go o sprawdzenie?

- Wolałbym sam to zrobić. Co prawda można przesłać wiadomość za pośrednictwem modemu na mój telefon i wprowadzić dane do mojego komputera w Forcie, ale jest to zbyt ryzykowne. Nie mogę przecież ujawniać udziału Charles'a w tej operacji.

- Ale mnie powiedziałeś.

- Tak - odparł spokojnie.

Był to tylko dowód wiary w jej dyskrecję i uczciwość. Jednak sprawił jej przyjemność. Z drugiej strony zdawała sobie sprawę z kłopotów, jakie mogą powstać, gdy Reid zaangażuje się w ciemne sprawy.

- Nie ma potrzeby, żebym jechała do Nowego Jorku.

Podniósł pytająco brew.

- Nawet za cenę zobaczenia dowodu na własne oczy?

- Uwierzę ci na słowo.

Patrzył na nią oczami, w których zachwyt mieszał się z czymś jeszcze.

- Czy teraz pojedziesz? - spytał łagodnie.

Cammie nie wiedziała, skąd się bierze taka pewność siebie.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała.

Po tych słowach nastąpiła jakaś zmiana. W absolutnej ciszy panującej w lesie między tych dwojgiem wytworzył się stan bolesnego napięcia.

Wyciągnął do niej rękę. Kiedy Cammie włożyła rękę w jego ciepłą dłoń, bez najlżejszego wysiłku przyciągnął ją do siebie. Ramieniem objął jej talię i posadził na łożu z paproci i liści.

- Nie potrafię ci powiedzieć - wyszeptał prosto w jej skroń - ile razy marzyłem o tej chwili.

To było czyste szaleństwo. Powinna trzymać się od niego z daleka, uciec, natychmiast uwolnić się od jego dotyku. To jakieś zboczenie być tak blisko z mężczyzną, którego podejrzewa się o morderstwo. I chociaż wszystko biło w niej na alarm, ciało przylgnęło do niego i chłonęło jego ciepło, siłę i zapach.

Głowę oparła mu na ramieniu i przyglądała się grze światła i cieni na jego twarzy. Obserwowała iskierki słońca przesuwane się po włosach razem z lekkim wietrzykiem. W źrenicach Reida widziała swoje odbicie. Kiedy się nad nią pochylił i dotknął ustami jej warg, wydała westchnienie pełne oczekiwania.

W tym pocałunku zawarta była słodycz, stanowczość i chęć dawania. Wciągnął ją w grę miłosną, drażniąc, pieszcząc, przyciągając. Powoli badał każde zagłębienie i każdą fałdkę ust, każdy cal jedwabistego wnętrza, szukał spotkania z jej językiem. Potrzeba poznania Cammie nie miała żadnych granic ani żadnych ograniczeń. Nawet najdrobniejszy szczegół wart był zbadania i zapamiętania.

Porwała ją jego rozkosz, wyzwoliła własny urok i zaowocowała falą ogromnej namiętności. Dotykała szczupłych policzków, chłonąc ich żar i czując delikatne ślady zarostu. Dłonią przejechała wzdłuż ucha, włożyła palce w gęste włosy, dotknęła karku i przyciągnęła do siebie jego głowę.

Odetchnął szybko i uwolnił rękę obejmującą talię dziewczyny. Odpiął guziki bluzki i odchylił szeroko brzegi. Głowę zanurzył w kragłości ukazujące się powyżej stanika, tak długo podgrzewał oddechem ukryte pod jedwabiem sutki, aż marszcząc się, utworzyły dwa twarde węzły. Czują promienie słońca na powiekach, a w środku roztopiające się ciepło.

Nagle dał się słyszeć cichy odgłos podobny do szelestu zeschniętych liści. W jednej chwili uścisk Reida stał się tak mocny, że mógłby zranić.

Uwolnił Cammie. Zanim zdołała nabrać powietrza, z piekielną siłą przesunął ją za siebie, a sam przyjął postawę obronną.

Cammie pozbierała się i oparła na łokciu. Włosy odrzuciła do tyłu, chcąc lepiej widzieć.

W odległości niecałych dwudziestu metrów wyłonił się z lasu siedemnasto- lub osiemnastoletni chłopiec. W rękę trzymał strzelbę kaliber 22, a na szyi miał zawieszoną lornetkę. Na jego twarzy odbiło się zdumienie połączone z zażenowaniem i zrozumieniem sytuacji.

- Dokąd idziesz, u diabła? - spytał Reid groźnym tonem. - To własność prywatna. Wynoś się stąd!

Chłopak poczerwieniał.

Potyając się, odszedł szybkim krokiem, a potem puścił się biegiem.

Przez jakiś czas słychać było, jak przedziera się przez las, po czym na polanie znów zapanowała cisza.

Reid odetchnął i zmęczonym ruchem przejechał palcami po włosach.

- To był błąd z mojej strony - powiedział bez-namiętnym głosem.

- Tak.

Cammie musiała przyznać, że można było to lepiej załatwić. Uśmiech i przypadkowe pozdrowienie mogłyby załagodzić cały incydent. Kategorieczny i ostry ton Reida natomiast może wzbudzić w chłopcu niechęć i sprawić, że cała ta sprawa będzie wyglądała bardziej sensacyjnie niż w rzeczywistości. Stanie się prawdziwy cud, jeżeli do wieczoru całe miasto o niczym innym nie będzie mówiło, tylko o tym. Przy wszystkich kłopotach, chyba tego by już nie zniosła.

- Źle to rozegrałem i nie ma na to usprawiedliwienia. - Odwrócił od niej wzrok i patrząc na drzewa, dodał: - Za nic nie chciałem postawić cię w takiej sytuacji.

- Nie zrobiłeś tego sam - rzekła zwięźle. Przez chwilę stała z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyła, widać było, że podjęła decyzję.

- No to co z tym Nowym Jorkiem? - zapytała. - Kiedy wyjeżdżamy?

## - XVI -

Cammie niezmiennie podobał się Nowy Jork, chociaż nie chciała się do tego przyznać, może z powodu lokalnego patriotyzmu. Nie potrafiła się jednak oprzeć urokowi tego miasta. Oczywiście wiele było rzeczy, których nie znosiła, na przykład lepkie, pozbawione tlenu powietrze i ulice pokryte czarnym osadem. Trudno było wyobrazić sobie noszenie ubrań w kolorze innym niż szary lub czarny. Ekscytowały ją kamienne i szklane potwory zasłaniające niebo, radował ogrom tego rojowiska i obietnica, jaka się w tym kryła. Do wyobraźni przemawiała także bezwzględna jazda kierowców, którzy niczym się nie przejmowali. Najbliższe było jej wyznanie Le Corbusiera, który napisał, że Nowy Jork to „katastrofa, jaką nieprzychylny los zesłał na dzielnych i odważnych ludzi, ale imponująca i wspaniała katastrofa”.

Cammie i Reid najpierw zrobili sobie wolny dzień. Po przyjeździe z lotniska La Guardia zatrzymali się w hotelu Roosevelt. Cammie bardzo lubiła się w nim zatrzymywać nie tylko ze względu na jego centralne położenie, ale także dlatego, że swoim wystrojem i przyblakłą świetnością przypominał jej hotel Fairmont w Nowym Orleanie. Zarezerwowali bilety na widowisko i stół w restauracji Le Perigord. Potem udali się na spacer, aby rozprostować nogi po długim locie i wmieszać w tłum przewalający się falą po chodnikach.

Zwiedzali wystawy na Fifth Avenue i przyglądali się kobiecie karmiącej gołębice na schodach kościoła



św. Patryka. Od ulicznego sprzedawcy kupili ogromny precel z musztardą, zachwycili się przechodzącą piękną dziewczyną, prawdopodobnie modelką; zobaczyli arabskiego milionera z ochroniarzem i przyjrzeni się członkowi sekty rastafarian\*. Chwilę postali przy młodocianym sprzedawcy, który reklamował zabawki - lwy godnie kroczące i ryczące. Na koniec wypili kawę w Rockefeller Plaża, dyskutując zawzięcie o tym, czy posąg z brązu widoczny w Centrum przedstawia Prometeusza, czy Apolla.

Przedstawienie zawiodło ich oczekiwania, za to obiad był znakomity. Po tym wszystkim wrócili do hotelu, wzięli kąpiel i w łóżku zabawiali się wymyślaniem skandalicznych historyjek o nocach poślubnych, popołudniowych randkach i płatnych schadzkach, które zapewne odbywały się w tym pokoju.

Reid opowiadał takie okropności, że aż Cammie usiadła na łóżku i z rozbawieniem, ale i nutką zazdrości oznajmiła:

- Zaczynam wierzyć, że to pokoje hotelowe tak na ciebie działają.

- Mylisz się - zaprzeczył krótko, obdarzając ją zmysłowym uśmiechem.

- Nie sądzę...

Spoważniał, kiedy w jej oczach ujrzał wyzwanie. Zebrał się w sobie, plecami oparł o wezgiłowie i splótł ręce z tyłu głowy. Starannie dobierając słowa, powiedział cicho:

- Pozwól, że ci powiem, co na mnie działa.

- Oprócz pokoi hotelowych? - odparowała, czując dziwny ucisk w żołądku.

Potrząsnął głową. Wzrok miał senny, a jednak uważny.

\* Rastafarianin - członek sekty Ras Tafari popierający cesarza Hajle Syllasje z Etopii; Ras Tafari to prawdziwe imię Hajle Syllasje (przyp. tłum.).

- Podniecają mnie deszczowe noce i czerwone zachody słońca. Gęste lasy, muzyka i poezja. A także długie, piękne włosy kobiety, zwłaszcza kiedy rozwiewa je wiatr.

- To bardzo charakterystyczne dla mężczyzn - prychnęła.

Milczał dłuższą chwilę, po czym złapał ją za ramiona i przytulił. Wciągnął ją na siebie, odwrócił na plecy, a sam ułożył się na niej. Szeptem mówił dalej:

- Widok twoich włosów opadających na plecy podnieca mnie bezgranicznie, tak jak wyraz twojej twarzy, kiedy cię całuję... Działa na mnie kształt twoich piersi, a nawet sposób, w jaki koszula układa się na twoim ciele, nie mówiąc już o dekolcie. Podnieca mnie, kiedy się rozbierasz, a na końcu zdejmujesz majtki; bardzo zręcznie zsuwasz je z bioder. Nie rzucasz żadnych nieśmiałych spojrzeń, jakbyś nie dbała o to, że patrzę na ciebie.

- To niesprawiedliwe - niepewnym głosem zaprotestowała Cammie, otwierając szeroko oczy.

Zachowywał się, jakby nie słyszał. Wypuścił ją z objęć i poślinionym palcem drażnił jej sutki, niezupełnie przykryte włosami opadającymi na ramiona.

- Porusza mnie odgłos, jaki wydajesz, kiedy cię dotykam, a wstrzymujesz oddech tak jak teraz; pobudza zmysły także gładkość twojej skóry. Myśl, że jesteś pode mną, wyobrażenie, że jestem w tobie - wszystko to mnie podnieca. — Zamilkł, a po chwili odezwał się chropowatym głosem: - Ty cała mnie podniecasz. Przede wszystkim ty!

Spojrzeni sobie prosto w oczy. Cammie miała uczucie, że fala ciepła rozchodzi się po całym ciele. Dostała więcej, niż się spodziewała, ale wciąż miała za mało.

Lekki oddech Cammie wywołał u niego dreszcze. Opuściła powieki i ręką starała się wygładzić chwilową szorstkość skóry.

- Ty także mnie podniecasz - zaczęła. - Właściwie chciałam powiedzieć, że...

- Wiem, co chciałaś powiedzieć - przerwał z zadowoleniem.

Zarzuciwszy mu ręce na szyję, przyciągnęła głowę Reida tak, że wargami prawie dotykała jego ust.

- Czy jesteś gotów?

- Zaraz będę, możesz się o tym przekonać...

Kiedy przestali się kochać, Reid zasnął, ona zaś leżała z głową wspartą na jego piersi, wpatrując się w sufit. W pokoju było jasno. Powoli zaczęła sobie przypominać sprawy, które trzeba było rozwiązać. Palce, którymi gładziła pierś Reida, podświadomie się zacisnęły.

- Przestań myśleć - powiedział i mocno przycisnął jej rękę.

- Nic na to nie mogę poradzić.

- Pomogę ci się oderwać od tych myśli...

I to już wystarczyło.

Charles Meyer mieszkał w dzielnicy Queens, na jednej z tych ulic, przy których rzędami stały domy z czerwonej cegły z identycznymi schodami i jednokowym ogrodzeniem. Drzwi frontowe pomalowane były na ciemnozielony kolor tak intensywny, że aż prawie czarny. Na drzwiach była umieszczona stara wiktoriańska kołatka z brązu. Wspaniałe czerwone tulipany i białe smagliczki rosły w donicach z czarnego marmuru.

Przyjaciel Reida był taki jak jego dom: czysty, przyjemny i elegancki. Z pociągłą twarzą i brodą, w której lśniły białe włosy, wyglądał na człowieka zamieszkałego w jakiejś bocznej, eleganckiej uliczce na lewym brzegu Sekwany. Powinien się przyjaźnić z niedbałymi artystami odzianymi w koszule z krótkimi rękawami i w beretach na głowach. Nawet mówił tak jak oni, chociaż jego żona Michelle, pozbyła się akcentu.

Ich czteroletni synek Andre był bardzo podobny do Charles'a, a ogromne brązowe oczy upodobały go do postaci z piętnastowiecznych portretów. Był żywym

przykładem działania genetyki; jego matka też miała ciemne oczy, wdzięk i elegancję właściwą nowojorskim damom. Ich drugie dziecko, siedmiomiesięczna dziewczynka o imieniu Reina, przypominała aniołka i wydała się ulepiona z tej samej gliny co jej brat.

Początkowo Gammie czuła się niezręcznie w domu Meyerów. Obawiała się, że może zrobić lub powiedzieć coś nieodpowiedniego. Sprawy religii nie były dla niej najważniejsze. Wychowana na metodystkę, lecz w jej rodzinie wiarę traktowano jako rzecz osobistą, której się publicznie nie okazuje. W Greenley mieszkało kilka rodzin żydowskich, ale nie byli ortodoksyjni. Kiedy Gammie skończyła dwadzieścia lat, zdała sobie sprawę, że ich obrzędy religijne różnią się od innych. Starła się zrozumieć, na czym polega odmienność, niestety jej znajomość żydowskich obrzędów i obyczaju była znikoma.

Niepotrzebnie się martwiła. Charles i Michelle z wyraźną życzliwością przyjęli ją w swoim domu. Ich uroczy żarty, śmiech, żywa rozmowa, ubarwiona dowcipnymi uwagami, były prawdziwą rozkoszą, wciągały do wspólnej zabawy, nie pozostawiając miejsca na zażenowanie.

Gammie się dowiedziała, że Michelle Meyer zarządza funduszem powierniczym na Wall Street. Jej celne decyzje umożliwiły Charles'owi pracę w domu, gdzie tworzył połączenia systemów komputerowych. Charles wprowadził na rynek biznesu wiele innowacyjnych rozwiązań. Ale była to tylko przykrywka do jego prawdziwej działalności. Tak jak mówił Reid, główne jego zajęcia stanowiła współpraca z agencjami rządowymi.

Penetracja światowych sieci komputerowych była dla niego zabawą, którą traktował jak wyzwanie. Najważniejszym zadaniem było jednak czuwanie nad bezpieczeństwem programów rządowych. Fakt, że znacznie wyprzedzał wszystkich hakerów i innych

zaintersowanych we włamaniu się do niezwykle obszernych danych, dostarczał mu wiele radości i ogromnej satysfakcji.

Prawie nic, co było związane z bezpieczeństwem danych, nie było mu obce. Istniało tylko parę systemów, do których, nawet gdyby chciał, nie miałyby dostępu. Z chęcią zgodził się na zrobienie ekspertyzy dla Cammie, zwłaszcza że Reid go o to prosił.

Obiad był wspaniały. Upłynął w atmosferze życzliwości i przy akompaniamencie nieustannych żartów. Po obiedzie obaj panowie wyszli do kuchni posprzątać naczynia, po czym zasiedli przed komputerem w małym gabinecie obok jadalni. Wyglądało na to, że sprawdzają system ostrzegawczy, podwójnie kontrolując czas i warunki. Było to coś bardzo osobistego.

W tym czasie Michelle i Cammie po prostu sobie rozmawiały, lecz uwaga Cammie koncentrowała się głównie na cichej wymianie zdań między mężczyznami.

Widząc, że Cammie wciąż zerka w stronę gabinetu, Michelle przestała mówić; na jej ruchliwych wargach pojawił się uśmiech.

- Masz rację, oni są dziwni. Myślę, że praca przy tajnych operacjach tak ich wciąga. Teraz sprawdzają system na wypadek alarmu. Czy Reid ci o tym mówił?

Cammie pytająco uniosła brew.

- To bardzo proste. Przez całą dobę obaj mają włączone komputery, obaj mają do nich dostęp w miejscu, w którym ukryją się w razie ataku. Kod składa się z dwóch wyrazów. Jeżeli pojawi się na komputerze, drugi natychmiast zawiadamia marynarkę, w najgorszym razie policję.

- Na tak dużą odległość?

- Kiedy posługujesz się komputerem, nie istnieje odległość.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Michelle potrząsnęła głową.

- Jestem śmiertelnie poważna. W dzisiejszych czasach, przy tych wszystkich włamaniach i morderstwach popełnianych przez narkomanów, nie wspominając już o ludziach, którzy chętnie porwaliby Charles'a i Reida, by korzystać z ich wiedzy, wygląda na to, że się bardzo opłaca taki nowocześniejszy system alarmowy.

Cammie musiała przyznać, że to ma sens.

- Mam nadzieję, że Charles nie będzie miał przykrości w związku ze sprawdzaniem. Czułabym się okropnie - powiedziała.

- Nie ma w tym szczególnego ryzyka, chociaż Charles dla nikogo innego tego by nie zrobił. Z drugiej strony oni nie przejmują się tym tak bardzo, ponieważ praca przy tajnych misjach zawsze łączyła się z działaniem trochę na granicy prawa.

- Wydaje się, że ta praca im się podoba - skomentowała Cammie.

- Niewątpliwie. Obaj mają podobne umysły, są skrupulatni, ale o bardzo szerokich horyzontach. Jaka szkoda, że Luizjana jest tak daleko - ciągnęła Michelle, sadowiąc się na kanapie z podwiniętymi nogami. - Charles'owi ogromnie brakuje Reida. Niewiele jest osób, z którymi może mówić o swojej pracy, a jeszcze mniej tych, którzy coś z tego rozumieją.

Rozmowa o życiu Reida z okresu, kiedy znajdował się poza Greenley, zburzyła spokój Cammie.

- Może przeniesie się bliżej, jeżeli sfinalizuje się sprzedaż fabryki - rzekła obojętnie.

- Bardzo wątpię - odparła Michelle. - Reid robi wrażenie zadowolonego z tego, co ma. Oczywiście, Charles byłby zachwycony. Odbyli razem długą drogę. Reid ocalił kiedyś życie Charles'owi. Pewnie o tym wiesz.

- Nic mi nie wspominał.

- Wcale się nie dziwię. On twierdzi, że jest to normalna sprawa; tak mężczyźni postępują w walce. Zdarzenie miało miejsce w Izraelu podczas potyczki na

granicy z Palestyńskim Ruchem Wyzwolenia na kilka miesięcy przed wojną w zatoce o kryptonimie Pustynna Burza. Charles z Reidem pracowali w prowizorycznej kwaterze łączności. Budynek został wysadzony w powietrze za pomocą bomby podłożonej w samochodzie. Czterech Żydów zginęło na miejscu, inni odnieśli obrażenia. Charles miał złamaną nogę i nie mógł się wydostać spod zwalów dachu, który spadł mu na plecy. Ranny był także Reid. W takiej właśnie sytuacji zostali zaatakowani. Charles'a, Reida i innych żołnierzy oblegali palestyńscy szpiegowie wiele godzin. Reid był jedynym, który mógł walczyć; zanim nadeszła pomoc, czterech żołnierzy z całej szesnastki zginęło. Nigdy nie słyszałam dokładnego sprawozdania z tej akcji, myślę, że celowo Charles mi nie mówił.

- Reid potrafi być bardzo niebezpieczny - rzekła Gammie zduszonym głosem.

Twarz Michelle przybrała nieodgadniony wyraz.

- To najsubtelniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znałam. Jest dla mnie prawdziwą zagadką. Często się zastanawiam, czy może dlatego, że pochodzi z Południa.

- Słynni dżentelmeni z Południa? - odparła Cammie nieco sztucznie. - Nie przypuszczam.

- A zatem jest to jego własna cecha; mogłam się tego domyślić. Z mężczyzn, których znałam, żaden nie był taki: silny i najwyraźniej nie chciał i nie potrzebował ukrywać swoich uczuć. To się stało w Izraelu, zanim opuścił Towarzystwo. Wówczas wydarzyła się ta straszna historia, którą przeżył bardziej niż...

Kobieta urwała, słysząc płacz dziecka dobiegający z pokoju małej Reiny.

- Za chwilę wrócę- powiedziała i zniknęła za drzwiami.

Kilka minut później Michelle wróciła, trzymając na rękach płaczące dziecko. Próbowwała małą uspokoić, dawała jej butelkę, smoczek, bujała na kolanach, głaskała po plecach, pokazywała zabawki. Nic nie pomagało.

Charles oderwał się od swoich zajęć i zaproponował:

- A może mnie ją dacie?

Michelle z ulgą przyjęła propozycję. Podała dziecko mężowi; niemowlę natychmiast się uspokoiło.

Michelle z zawiedzioną miną usiadła obok Cammie.

- Dziecko lubi mężczyzn. Właściwie nie ma się czemu dziwić, ponieważ kiedy wróciłam do pracy, Charles się nią zajmował aż do szóstego miesiąca.

Cammie z uśmiechem odprowadziła wzrokiem brodatego mężczyznę wracającego do pracy. Z dużym wyczuciem i doświadczeniem trzymał niemowlę na ramieniu i jednocześnie obsługiwał klawiaturę komputera.

Charles bacznie obserwował Reida. W pewnym momencie podniósł zadowolone, ssące kciuk dziecko i wcisnął je w ramiona przyjaciela.

Reid zeszytniał. W oczach miał przerażenie i zaraz szorstko zaprotestował. Charles, podtrzymując niemowlę zasypiające na ramieniu Reida, patrzył na niego uważnie.

Nie tylko Cammie była zaniepokojona. Michelle wpadła w panikę. W pełnej napięcia atmosferze wydała syczący dźwięk.

Reid delikatnie podłożył rękę pod wąskie plecy dziecka. Mała westchnęła, rozciągnęła się wygodnie i obróciła buzię w jego stronę.

Reid ciężko oddychał. Językiem zwilżył wargi, jakby były suche.

- Mój Boże! - wyszeptała Michelle, opadając na kanapę.

- O co chodzi? - spytała zdumiona Cammie, chociaż sama nie pozbyła się jeszcze lęku.

- Kawa! - szybko powiedziała Michelle, zrywając się na nogi. - Przygotuję dla was kawę. Jest sernik. Cammie, czy mi pomożesz pokroić ciasto?

Cammie natychmiast zrozumiała wybieg. Poszła za nią do kuchni. Wcale się nie zdziwiła, zobaczywszy Michelle opierającą się o szafkę ze skrzyżowanymi na



piersiach rękami. Zachowywała się tak, jakby chciała opanować dreszcze.

Cammie energicznie zareagowała.

- Chyba nie myślałaś, że Reid może skrzywdzić twoje dziecko!

- Nie, nie! Tylko to było... takie niesamowite. Nie mogę tego znieść - uśmiechnęła się niepewnie.

Cammie wpatrzyła się w nią pełna napięcia.

- Powiedz mi, co się tutaj stało.

- Przez sekundę myślałam, że Reid odrzuci dziecko Charles'owi jak zegarówą bombę. Kiedy urodziła się Reina, Reid był akurat w Nowym Jorku. Przyszedł nas odwiedzić, a ja dałam mu dziecko do potrzymania. Myślałam, że on zemdleje; zrobił się błądy jak podkoszulek. Wówczas nic o tym nie wiedziałam, Charles mnie nie ostrzegł.

- Przed czym? Zdaję sobie sprawę, że coś się wydarzyło... nie chcę wnikać w szczegóły, ale...

Przez dłuższą chwilę Michelle patrzyła jej w oczy, po czym odwróciła wzrok.

- Jeśli Reid ci nie powiedział, to i ja nie mogę. Powinnaś go sama zapytać.

- A jeżeli nie będzie chciał o tym mówić, co wtedy? - Widząc, że Michelle nie ustępuje, dodała błagalnie: - Proszę, powiedz mi, muszę to wiedzieć!

Michelle ze zmarszczonymi brwiami wyjęła sernik z lodówki i rozstawiła deserowe talerzyki. Następnie nalała wody do ekspresu, wzięła puszkę doskonałej kawy i napełniła młynek; zapach świeżo mielonej kawy rozszedł się po kuchni. Kawę wyspała do ekspresu, po czym go włączyła.

Wreszcie odwróciła się do Cammie.

- Mogę tego żałować, ale... - Wzruszyła ramionami. - Wszystko, co dotyczy dzieci, doprowadza go do ciężkiego rozstroju. Z tego powodu zrezygnował z pracy w tajnych misjach. Skoro tylko nadarzyła się okazja,

wrócił do domu i zaszył się w lasach. Widzisz, on zabił małą dziewczynkę...

Cammie odłożyła na bok nóż przygotowany do krojenia ciasta. Zaszokowała ją ta wiadomość, rozpaczliwe myśli rozsadały jej głowę.

- Nie! - szepnęła. - Nie rozumiem tego.

- Stało się to w małej osadzie na wzgórzach Golan. Reid był doradcą przy elitarnych oddziałach izraelskich. Dowodził grupą składającą się z dwunastu żołnierzy. Do nich należało utrzymanie pokoju w mieście i przeszkodzenie Palestyńczykom w przenikaniu na ich teren. W rejonie tym dochodziło do rozruchów, powoli jednak następowała stabilizacja. Spędzali czas na rutynowych patrolach, regularnej musztrze i uciszaniu miejscowych przywódców. Zostawało im wiele wolnego czasu. Kwatery znajdowały się w środku miasta, niedaleko bazaru. Na jednej z ulic mieszkało kilka palestyńskich rodzin. Jedna z dziewczynek, pięcio- lub sześćioletnia, całymi dniami bawiła się przed domem. Była ulubienicą żołnierzy, zwłaszcza Reida. Przynosili jej cukierki i gumę do żucia, robili dla niej zabawki, uczyli ją języka jidisz i angielskiego.

Cammie przyłożyła rękę do ust, przepojona bólem i rozpaczą. Już wiedziała, do czego zmierza opowieść. Mogła to sobie wyobrazić, aż nazbyt dobrze.

- Zapewne trochę orientujesz się w problemach izraelsko-palestyńskich - kontynuowała Michelle. - Niekończące się potyczki o ten wąski pasek piaszczystej ziemi, głęboko zakorzeniona nienawiść, która jątrzyć się będzie przez pokolenia, i okrucieństwo intifady. Zapewne słyszałaś, a może i czytałaś, jak mało cenione jest na Środkowym Wschodzie życie ludzkie, a zwłaszcza życie kobiet.

- Ta mała dziewczynka... - wtrąciła Cammie.

- Jej ojciec był przywódcą i zginął w czasie powstania. Dziewczynka, jej młodszy brat i matka zamieszkali u stryja, brata ojca. Był on fanatycznym zwolen-

nikiem tego ruchu. Uznawał walkę aż do śmierci i bezgraniczne poświęcenie. Taki typ ekstremisty. Oczywiście, bez wahania wysłał dziewczynkę.

- Chcesz powiedzieć...

Michelle patrzyła przed siebie smutnymi oczami.

- Kiedy żołnierze z oddziału specjalnego przyzwyczaili się do obecności dziecka, kiedy często zabierali je do siebie, dziewczynka została wysłana po raz ostatni. Do jej piersi przytwierdzono materiały wybuchowe...

- Nie! - wyszeptała przerażona Cammie.

Michelle pokiwała twierdząco głową.

- Pewnego dnia wczesnym rankiem wesoła dziewczynka przyszła do kwatery z miską owoców. Reid ją przytulił, chcąc podziękować, i wówczas odkrył podstęp. Wiedział, co to oznacza. Zdawał sobie także sprawę, że tylko sekundy dzielią od wybuchu. Nie było wyboru między jej a jego życiem, nie istniał nawet okruczeństwo nadziei na jej uratowanie; musisz to zrozumieć. Żeby uratować swoich ludzi, musiał ją od nich oddalić. Było to jego obowiązkiem. Chwytał dziewczynkę i rzucił na ulicę, daleko od żołnierzy. Później opowiadał Charles'owi, że w jej oczach zobaczył straszliwe przerażenie i zrozumienie swojego losu. Ten widok prześladowuje go do dziś. Przerażenie i świadomość tego, co nastąpi.

Przez długi czas Cammie nie była zdolna powiedzieć ani jednego słowa.

- To jej stryj ją zabił, nie Reid.

- Tak. Reid jednak uważa, że powinien był wiedzieć, co się może zdarzyć, przewidzieć i przeszkodzić temu. A jeżeli tego nie zrobił, to powinien był wziąć dziecko w ramiona, kiedy umierało.

Cammie zjednoczyła się z bólem Reida. Ogromny smutek zagnieździł się w jej sercu; zżerający koszmar uzupełniony krwawymi obrazami wywołanymi w wyobraźni. Teraz zrozumiała, co znaczył wyraz jego oczu, kiedy tamtej nocy w Forcie oskarżyła go o znęcanie się

nad dziećmi. Przypomniała sobie scenę z uroczystości rodziny Batesów: mała dziewczynka niosąca talerz z jedzeniem, jej słodki, pełen wdzięczności uśmiech i jego reakcja - natychmiastowe cofnięcie się. Teraz zrozumiała, skąd się bierze jego wrażliwość i delikatność. W jej oczach zalśniły gorzkie łzy, a serce waliło jak oszalałe.

- Przestań albo ja zacznę płakać! - powiedziała Michelle. Oderwała kawałek papierowego ręcznika i wręczyła go Gammie, a potem urwała dla siebie.

Gammie w żaden sposób nie mogła dopuścić do tego, by Reid się domyślił, że ona wie o tej historii. W każdym razie nie teraz i nie tutaj. Wytarła nos i odetchnęła. Spróbowała wymazać z pamięci przykre myśli, tak jak ją Reid uczył, zastanawiając się, czy może wówczas nauczył się tej trudnej sztuki. Ciekawa też była, czy zawsze mu się to udaje.

- W każdym razie wydaje się, że Reid ma to już za sobą. Przecież trzymał małą Reinę na rękę. - Michelle spojrzała niepewnie na Cammie. - Dobrze byłoby znaleźć dużą dziewczynkę, która by mogła udzielić mu „pierwszej pomocy”.

Cammie usiłowała się uśmiechnąć, ale bez większego powodzenia.

- Wątpię, czy w ogóle istnieje taka możliwość.

- Reid nigdy się nie obrażał, przynajmniej tak uważa Charles. Dawno temu skrzywdziła go pewna kobieta. Nie przypuszczam, by zmieniła go w inwalidę lub zakonnika, ale wyrobiła w nim pewną odporność.

Cammie dowiedziała się o Reidzie więcej, niż chciała. Odwróciła się od Michelle, całą uwagę skupiając na krojeniu sernika.

Kiedy obie kobiety wróciły do salonu, mężczyźni wpatrzeni w komputer rozmawiali przyciszonymi głosami. Śpiące dziecko leżało jak laleczka na ramieniu Reida. Czułość, jaka malowała się na jego twarzy, mogłaby wywołać łzy wzruszenia.

- Spójrz na to! - zawołał Charles. - Myślę, że wygraliśmy na loterii.

Charles, stosując rzadko używane metody, podłączył się do bazy danych Brygady do Spraw Zorganizowanej Przestępczości przy Federalnym Biurze Śledczym, dotyczących przestępstw w południowo-wschodniej części kraju, łącznie z Nowym Orleanem. Miał już doświadczenie w pracach z tą brygadą, jednak wyszukanie informacji nie było takie proste jak znalezienie zwykłych danych na przykład o działalności mafijnej rodziny.

- Musisz zrozumieć - tłumaczył Charles - że, jak większość spraw w Nowym Orleanie, również zorganizowana zbrodnia przebiega inaczej niż w innych stanach.

Cammie kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- Kiedyś słyszałam, jak ktoś mówił żartem, że popełnienie zbrodni w stanie Luizjana byłoby czymś zupełnie wyjątkowym - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

- To podsumowuje sprawę - zgodził się Charles. - Rodzina Marcello jest najstarszą mafijną rodziną w Stanach Zjednoczonych. Don Carlos Marcello, znany z pseudozwiązków z zabójstwem Kennedy'ego, już nie żyje, ale sprawy toczą się jak dawniej. Przedstawienie swojej rodziny jako La Cosa Nostra, jak woli nazywać się Marcello, jest błahostką w porównaniu z rodzinami z Północnego Wschodu. Oni pielęgnują krwawe obrzędy, przysięgi i wierność aż po grób, ale nie kontrolują przestępstw w Nowym Orleanie. Jest wiele miejsca dla wszystkich dopóty, dopóki któryś z nowo przybyłych nie nastąpi im na odcisk. Oni nie przestrzegają podziału na kapitanów i żołnierzy. Nie są w stylu Marcella wojny między rodzinami ani bójkę o terytorium, ani kaleczenie ludzi w restauracjach, ani zaścielanie ulic trupami. Jeżeli zdecydują, że kogoś koniecznie trzeba usunąć, robią to po cichu, urządzając przyzwoity pogrzeb albo ciało wrzucając w bagno, gdzie zostaje pożarte przez krokodyle.

Różny charakter związków między mafijnymi rodzinami znacznie utrudnia ich śledzenie, a jeszcze bardziej rozbicie. Przez cały czas FBI uważnie śledziło sytuację, nasilającą się od czasu legalnego wprowadzenia gier hazardowych.

Nazwisko Keitha Huttona ukazało się na liście graczy. Jego długi były równe obrotowi drugorzędnej agencji Bossier City-Shreveport, zajmującej się ściąganiem długów i będącej odnogą La Cosa Nostra. Keith był winien sumę przekraczającą ćwierć miliona dolarów!

Reid wyciągnął się, uważając, aby nie obudzić dziecka śpiącego na jego ramieniu, i wystukał cyfrę w migoczącym okienku komputera.

- Powiedziałbym, że sprzeniewierzenie takich pieniędzy jest wystarczającym motywem do popełnienia zabójstwa przez zawodowca.

- A zatem miałaś rację - wtrąciła Cammie, dotykając ramienia Reida.

- Wciąż jednak nie ma dowodu - odparł. - Niczego, co by usprawiedliwiało obecność zbirów w sąsiedztwie, niczego, co by wskazywało, że ich obecność była tam spodziewana.

- Nie sądziłeś chyba, że to będzie takie proste? - spytała.

Uśmiechnął się, nie patrząc jej w oczy.

- Może i nie. Ale byłoby to bardzo pożądane.

- Co teraz zrobimy?

- To jest pytanie! - odparł spokojnie.

Nie mieli już co odkrywać w Nowym Jorku i dłuższe pozostawanie tutaj nie miało sensu. Kiedy oczekiwali na odlot, Cammie ogarnęła ogromna chęć, by wskoczyć do pierwszego z brzegu samolotu i polecieć do Paryża albo Wenecji - wszędzie, byle nie do domu. Musiała w sobie stłumić tę chęć. Ucieczka, choć kusząca, nie na wiele się przyda. Wsiadli więc do właściwego samolotu.

Chodziły jej po głowie myśli o sprawach, o których rozmawiała z Michelle. Bardzo chciała podzielić się nimi z Reidem, ale ani pora nie była odpowiednia, ani nie było okazji. Nie chciała, by przypuszczał, że się nad nim użala. A przede wszystkim nie mogła mu dostarczyć powodu do podejrzeń, że z Michelle mówiła o nim za jego plecami. Nie była też pewna, czy podczas rozmowy o wydarzeniu z małą dziewczynką nie zaczęłyby płakać.

Kiedy tak siedziała, wsłuchując się w warkot samolotu, przypominała sobie o kobiecie, która zraniła Reida. Czy możliwe, by to ona nią była? Ta myśl sprawiła jej ból. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby nie odwzajemnić jego miłości, gdyby ją ofiarował.

„A ja jestem mimo to wierny”.

Słowa te usłyszała nie tak dawno. Zastanawiała się, w jak daleką sięgają przeszłość. Wiele by dała, żeby to wiedzieć.

Był taki opiekuńczy, tak się o nią troszczył. Żadna kobieta nie mogłaby wymarzyć sobie troskliwszego i delikatniejszego kochanka.

Kochała go. Od wielu dni podejrzewała siebie o to uczucie. A obserwując, jak Reid mocnymi dłońmi trzymał delikatne dziecko Michelle, upewniła się o tym ponad wszelką wątpliwość.

Może to dziwne przyznać się do miłości, a jednocześnie myśleć o nim jak o człowieku zdolnym do popełnienia morderstwa. Kierując się sercem, nie myśli się logicznie; byle spojrzenie, uśmiech czy słowo zmieniają obraz świata.

Zadzwonił zegar. Stewardesa zapowiedziała, że zbliżają się do lotniska w Monroe. Cammie sprawdziła pas. To było małe lotnisko o krótkim rozbiegu i trzeba było się przedrzeć przez niespokojne prądy powietrzne zbierające się nad Quachita River. Poszukała ręki Reida. Odwrócił do niej głowę, a z jego ciepłych oczu biła pewność i zaufanie.

Żałowała, że nie polecili do Paryża.

## XVII

W drodze do Evergreen Cammie i Reid zauważyli Buda Deerfiolda siedzącego w wozie patrolowym na wprost pizzerii. Cammie pomachała mu na powitanie; gdy go minęli, ruszył za nimi. Zatrzymał się dopiero na podjeździe, niecały metr za ich zderzakiem. Cammie podeszła do szeryfa, a Reid wyjął *jej* torbę podróżną leżącą z tyłu dżipa.

- Nie mam zamiaru mówić ci, co masz robić - rzekł Bud, gramoląc się z samochodu, aby się z nimi przywitać. - Ale muszę przyznać, że robiłaś już mądrzejsze rzeczy.

Cammie uniosła brwi, podążając za wzrokiem Buda skierowanym na Reida, który właśnie stawiał jej torbę na schodach.

- Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego mądrość - odezwała się ostrym tonem.

- Zaraz ci wytłumaczę. Od czasu, jak wyjechałaś z Sayersem, ludzie stale do mnie przychodzą i nie przestają trąkotać o waszej wycieczce. Uważają, że dziwny jest twój szybki wyjazd zaraz po pogrzebie Keitha. To ich niepokoi i zastanawia.

- Mam szlochać na cały głos? Daj spokój Bud. Sprawa rozwodowa była prawie zakończona.

- Prawie - to stanowczo za mało na tutejsze stosunki. Wszyscy wiedzieli, że Keith zamierzał załagodzić małżeński konflikt. Mówił o tym każdemu, kto chciał go słuchać. Ludzie uważają, że Keith starał się nie



dopuścić do rozwodu i to cię doprowadziło do wściekłości. Ludzie oglądają w telewizji różne programy, w których mężowie zabijają żony, a żony z kolei wynajmują płatnych morderców, by zabili mężów. I tak dalej, i tak dalej. Zastanawiają się, czy wrzawa, jaka powstała wokół sprzedaży fabryki, i spór między tobą i Reidem nie są przypadkiem dymną zasłoną. Zaczynają podejrzewać, że wszystko uzgodniście ze sobą po to, by się pozbyć Keitha.

Opowieści były tak nieprawdopodobne, że Cammie dosłownie zamurowało.

- Skąd się to bierze? - zapytała pełna rozpacz.

- Tylko Bóg może wiedzieć, ja nie wiem - odparł szeryf, opierając ręce na biodrach.

Ich spojrzenia spotkały się.

- Chyba w to nie wierzysz? Czyż nie tak?

Potrząsnął głową.

- Nie ma żadnego znaczenia, co ja myślę; muszę jednak uważać. Powiem więcej, sama powinnaś wiedzieć, jak twoje postępowanie może być komentowane: w środku całej nie wyjaśnionej sprawy wyjeżdżasz i włóczysz się z Seyersem, jakbyś nie miała za grosz rozumu.

- To był mój pomysł. To moja wina - powiedział Reid, zbliżywszy się do nich.

- To nie było tak! - rozgniewała się Cammie. - Mieliśmy ważny powód...

Bud zakręcił się na pięcie, aż załśniła w słońcu odznaka szeryfa.

- Mam nadzieję, że będziesz miał się czym popisywać przed ludźmi, ponieważ robi się gorąco... Ludzie się zastanawiają, dlaczego nikogo nie przyprowadziłem, by odpowiedział na kilka pytań - rzekł Bud.

- Tacy ludzie jak Gordon Hutton? - spytała Cammie z nie skrywanym cynizmem.

— Między innymi. Chciałbym prowadzić dochodzenie w miłej i przyjacielskiej atmosferze. Byłoby mi

znacznie łatwiej, gdybyś zrobiła to, co do ciebie należy. W przeciwnym razie może być nieprzyjemnie.

Po przekazaniu tych wiadomości Bud, nie zwlekając, wsiadł do patrolowego wozu i odjechał. Zdumiona Cammie patrzyła za nim ze zmarszczonymi brwiami.

Reid przejechał dłonią po włosach i poklepał się po szyi.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli będę przychodzić do ciebie rzadziej - powiedział.

- Dlaczego? - zapytała. - Nie zrobiliśmy nic złego.

- Ale i nic dobrego. Oboje wiemy, jak jest w Greenley.

Cammie zacisnęła usta, potem z rezygnacją westchnęła.

- Wiesz, wydaje mi się, że mogłabym przyzwycząić się do takiego miejsca jak Nowy Jork, gdzie nikt *nie* wie, kim się jest, i nikogo naprawdę to nie obchodzi.

- Na razie mamy do czynienia ze sprawami rozgrywającymi się tu i teraz - podszedł bliżej i wargami musnął jej wargi. - Zatelefonuję do ciebie, i nie zapomnij, proszę, zamknąć dobrze drzwi.

Cammie odprowadziła wzrokiem odjeżdżający samochód, a kiedy zniknął z jej oczu, weszła do domu. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak samotna.

Zajęła się rozpakowywaniem walizki, odkładając jedne rzeczy do prania, inne zaś wieszając w szafie. Persephone nie знаła terminu powrotu Cammie, nie ugotowała więc obiadu. Cammie wyjęła z zamrażarki kawałek mięsa, by zrobić spaghetti.

Nie mając żadnego określonego zajęcia, chodziła z kąta w kąt i chwytiała się różnych prac. Podlewała kwiatki, wzięła do ręki nie dokończoną robótkę, którą po chwili odłożyła, potem zaczęła przeglądać magazyn ogrodniczy. Była tak bardzo niespokojna, że nie potrafiła się na niczym skoncentrować. Z ulgą przyjęła dzwonek telefonu.

W słuchawce usłyszała czysty, ale i rozdrażniony głos ciotki Beck:

- Gdzie się podziewałaś, na litość boską? Dzwonię i dzwonię, nie ma cię w domu.

- Włączyłam sekretarkę; trzeba było zostawić wiadomość - wyjaśniła Cammie.

- Nie znoszę tych głupich maszyn, czuję się jak idiotka, mówiąc do kogoś, kogo nie ma. Kiedy zadaję pytania, lubię słyszeć odpowiedź.

- Oczywiście, proszę pani - uśmiechając się, rzekła Gammie. - Czym mogę służyć?

- Najlepiej będzie, jeśli do mnie przyjedziesz. Od dawna chcę ci o czymś opowiedzieć. Nie licz na to, że powali mnie demencja albo szybka śmierć.

- To będzie dzień! - zażartowała Cammie.

- Dowcipnisia! - oburzyła się ciotka i odłożyła słuchawkę.

Kiedy Cammie po przejechaniu trzynastu kilometrów dotarła na miejsce, starsza dama była już w znacznie lepszym humorze. Bardziej cieszyła ją obecność gości niż zainteresowanie krewnych.

Ciotka Beck miała swoje ulubione zwyczaje. Ogromnie lubiła gorącą herbatę, co w Greenley było rzadkim zjawiskiem. Królowała tu bowiem niepodzielnie herbata mrożona. Ta przyrządzana przez ciotkę była specjalnie parzona i podawana w starych, georgiańskich posrebrzanych filiżankach, tak cienkich jak skorupka jajka. Do tego podawała jakiś wykwinny smakołyk i układała własnoręcznie wykonane serwetki z adamaszku, wykończone koronką.

Cammie podobały się takie ceremonie i chętnie naśladowała je wówczas, kiedy czuła potrzebę podtrzymania rodzinnej tradycji. Ale teraz jej cierpliwość bliska była wyczerpania, ponieważ ciotka stanowczo odmówiła rozmowy przed zaparzeniem herbaty, będącej mieszanką różnych egzotycznych gatunków. Rozmowa

więc miała się zacząć dopiero wtedy, gdy herbata będzie parować z wytwornych filiżanek.

Starsza dama rozsiadła się w fotelu i po zwykłej wymianie grzeczności poprosiła Gammie, by podała swoją wersję śmierci Keitha. Słuchała bardzo uważnie opowieści dziewczyny. Kiedy temat został wyczerpany, ciotka Beck przez chwilę siedziała w milczeniu, bacznie obserwując Cammie przesywającym wzrokiem. Gdy się w końcu odezwała, w jej głosie pobrzmiwały zupełnie inne tony.

- Chyba już ci mówiłam, że znałam Arona, dziadka Reida? To był syn Justina Sayersa.

Na chwilę zapanowała duszna cisza, jakby nad Cammie zawisła ciężka chmura.

- Tak - powiedziała nieswoim głosem. - Wspominałaś o tym.

- On również był przystojnym chłopcem. Kiedy byłam roztrzepanym podlotkiem, pozwoliłam mu się pocałować za stodołą. Ale był przecież twój wuj, więc oczywiście nic z tego nie wyszło.

Sięgając po kanapkę w kształcie paluszka, Cammie okazywała umiarkowane zaciekawienie. Obawiała się bowiem, że jej nieprzewidywalna ciotka zmieni temat, gdy wyczuje, jak bardzo jest tym zainteresowana.

- Moja starsza siostra Maybelle wyszła za mąż za twojego dziadka Greenleya. Zapewne nie wiesz, iż zdarzyło się tak dlatego, że nasza matka była najbliższą przyjaciółką Lavinii Greenley i jedną z niewielu osób, które opowiedziały się za nią wówczas, kiedy Lavinia wpadła w tarapaty po śmierci męża. Tak więc zupełnie naturalne było, że ich dzieci też trzymały się razem.

- Nigdy o tym nie słyszałam - odparła Cammie, zajadając kanapkę. - Czy to możliwe, że pamiętasz Lavinie?

Zagadkowy uśmiech pokazał się na twarzy ciotki.

- Jakby to było wczoraj! Moja matka wcześniej owdowiała i nigdy nie wyszła powtórnie za mąż. Ona i Lavinia miały ze sobą wiele wspólnego. W późniejszych latach zdezelowanym starym fordem coupe podróżowały po Południu i Południowym Zachodzie. Dotarły nawet do Meksyku. Odwiedzały stare plantacje, zanim popadły w ruinę. Przyjaźniły się z Cammie Garret z Melrose - to miejscowość położona niedaleko Natchitoches. Cammie Garret hołubiła artystów. Właśnie tobie nadano jej imię.

- Nic o tym nie wiedziałam...

Starsza dama skinęła głową.

- Zawsze mówię, że wszystko ma swój *cel*.

- Kiedy więc przycichł skandal, Lavinia ułożyła sobie nowe życie - dopowiedziała Cammie, by sprowadzić rozmowę na właściwy tor.

- To coś innego. Niewielu było polityków, których by nie znała. Miała sporo do powiedzenia tym, którzy znaleźli się we władzach stanowych w Baton Rouge. Popierała Hueya Longa, kiedy po raz pierwszy startował w wyborach, i przez wiele lat utrzymywała kontakty z innymi członkami jego ugrupowania. Właśnie wówczas ofiarowała ziemię z przeznaczeniem na tereny łowieckie i rezerwat przyrody.

- Co wiesz o tej transakcji? - spytała Cammie, wychylając się do przodu.

- A po co innego bym ciebie wzywała?

- Chodzi o ziemię pod fabryką?

- Przede wszystkim o to. W życiu nie słyszałam takich bzdur, jakie opowiadała mi Wen Marston, że ty jesteś właścicielką tej ziemi. Co za pomysł! Gdyby nawet Lavinii przyszła do głowy taka fantazja, to nie miała prawa przekazać tej ziemi. Lavinia była bystrą osobą, a i Justin Sayers nie należał do głupców. Dlaczego w taki przypadkowy sposób mieliby organizować swój biznes? To nie ma za grosz logiki!

- Zgadzam się, ale o ile wiem, powstały jakieś trudności prawne spowodowane tajemniczym rozwo-  
dem.

- Tajemniczy rozwód? Nie do wiary! To nie była żadna tajemnica. Gała rodzina o tym wiedziała. A ty przede wszystkim powinnaś wiedzieć najlepiej. Nie mam cierpliwości do ludzi, którzy twierdzą, że wszystko, co Lavinia miała, pochodziło od Horacego. Czy żadnemu z was nie przyszło do głowy, że Lavinia mogła mieć własność prawnie do niej należąca?

Cammie z ostrym zgrzytem odstawiła filiżankę, aż się zlekła, że może ją stłuc. Czuła się ogłuszona nie tyle z powodu rewelacji zasłyszanych od ciotki, ile uświadomienia sobie, że ona sama też wpadła w ten stereotypowy tok myślenia co pozostali.

- Jeżeli uważasz, że Lavinia miała prawo do sprzedania ziemi, zatem albo ziemia należała do niej przed małżeństwem, albo kupiła ją po rozwodzie - zauważyła Cammie. - Jeżeli jednak ją kupiła, to powinien istnieć dokument...

Ciotka Beck uniosła głowę, a w jej ciemnych, starych oczach pokazał się błysk ironii.

- Ziemię odziedziczyła po śmierci matki. Rodzina jej matki żyła w *tej* gminie tak długo, jak długo istnieją Greenleyowie, a może nawet dłużej. Fakt, że Horacy rozwiódł się z nią w tak podstępny sposób, nie miało najmniejszego znaczenia. Lavinia zyskała absolutne prawo podarowania swojej własności, komu chciała, a w przypływie fantazji darowała ją Justinowi Sayersowi!

Cammie wzięła do ręki filiżankę, dla ostrożności podkładając palec pod dno.

- W ostatnich paru dniach wiele myślałam o ich związku z powodów zupełnie oczywistych - powiedziała po chwili namysłu. - Uważam, że po tylu latach nikt naprawdę nie wie, co się wydarzyło. Ale ponieważ ją znałaś, wytłumacz mi, dlaczego po ich wyjeździe na

północny wschód Lavinia ot tak sobie wróciła do Greenley?

- Sądzę, że Lavinia wróciła z powodu synka. On był taki mały, miał niecałe trzy latka. Ciężko jest matce opuścić dziecko, nawet dla kochanka. Oczywiście Horacy sprawował opiekę nad dzieckiem i nie dopuścił, aby się z nim zobaczyła. To nie był mężczyzna, który wybacza.

- Miał już swoją zemstę.

- Można tak powiedzieć, chociaż nie przypuszczam, by mu sprawiła satysfakcję. Horacy był wierzącym człowiekiem, a w tamtych czasach rozwód był grzechem.

- Czy sądzisz, że dlatego Lavinia go zabiła?

Ciotka Beck milczała bardzo długo, tak że Cammie myślała, iż nie usłyszała pytania. Już chciała je powtórzyć, kiedy ciotka się odezwała:

- Siedemdziesiąt lat temu, a może jeszcze dawniej, sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Nie istniały takie instytucje jak ośrodki pomocy społecznej i nikt nie przejmował się tym, że jakiś mąż poturbował żonę, zwłaszcza jeżeli okryła go wstydem, uciekając z innym mężczyzną. Kiedyś słyszałam, jak moja matka powiedziała, że Lavinia zasługuje na spokój, ponieważ jej małżeńskie życie było piekłem na ziemi. Myślę, że jeżeli zabiła Horacego Greenleya, to miała ku temu istotne powody.

Przez chwilę Cammie zastanawiała się nad tym, co usłyszała od ciotki Beck, po czym zapytała:

- A co było później? Dlaczego ona i Justin nigdy się nie zeszli? Wiem, że już wtedy był żonaty, ale przecież mógł się rozwieść, jeżeli był zakochany w Lavinii. Skoro to była wielka miłość, mogli znowu wyjechać na Wschód i tam się osiedlić.

- Sądzę, że złożyło się na to kilka przyczyn. Co prawda Lavinii nigdy nie aresztowano za zabójstwo, lecz podejrzenia zostały. W tamtych czasach uczciwej kobiecie mogło ujść wiele rzeczy, ale gdyby wyszła za mąż za swojego kochanka, nimby mąż ostrygł w grobie,

musiałyby złożyć dokładne i szczegółowe wyjaśnienia. Z kolei kobieta, z którą Justin na przekór wszystkiemu się ożenił, była uroczą, łagodną damą spodziewającą się dziecka i naprawdę nie zasługiwała na to, by jej małżeństwo legło w gruzach. Powiem więcej: Lavinia się wstydziła! Wstydziła się, że opuściła męża i dziecko i złamała śluby wierności; że zrujnowała małżeństwo i zniszczyła ludzkie życie. Wstydziła się, iż tak błędnie zrozumiała własne serce, że aż zdradziła swoją miłość i wróciła do męża. Ponieważ wszystko zburzyła, zasługiwała, aby wszystko stracić.

- Uważasz, iż w niej samej tkwiła przyczyna, że się nie zeszli?

- W każdym razie moja matka tak uważała. Zawsze twierdziła, że Justin Sayers wskoczyłby w ogień dla Lavinii. Bardzo możliwe, że odszedłby od żony, gdyby Lavinia go o to poprosiła. Ale ona tego nie zrobiła. Potem Seyersom urodził się syn i już nie mogła wymagać, by zostawił dziecko, nie była bowiem w stanie odpłacić mu tym samym.

- Chyba teraz rozumiem - odezwała się Cammie. - A co z ziemią pod papiernią? Skąd się wziął ten pomysł?

- Kto to wie? Oczywiście to była sprawa między nimi. Sama się zastanawiałam nad tym parę razy. Możliwe, że był to pewien rodzaj rekompensaty - można powiedzieć: jedno marzenie zastąpiono drugim.

Obie panie wymieniły uważne spojrzenia.

- Sądzisz zatem, że Reid jest prawnym właścicielem fabryki?

- Nie mam cienia wątpliwości.

Cammie dopiła herbatę i odstawiła filiżankę. Siedząc z rękami swobodnie opartymi na kolanach, podsumowała:

- Właściwie niczego innego się nie spodziewałam.

- A czy wzięłaś pod uwagę... - zaczęła ciotka Beck i zaraz przerwała, jakby chcąc zebrać myśli, po czym



dokończyła: - Jeżeli się nad tym zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że podobne do siebie są dawne kłopoty Lavinii i obecnie twoje. Czy to zauważyłaś?

- Czy dlatego, że zarówno Keith, jak i Justin zostali zastrzeleni? Doprawdy nie przypuszczam...

- Obie byłyście w podobnym wieku, obie niezależne finansowo, obie zamężne i mające kłopoty z mężami i obie uczuciowo zaangażowane w innych związkach. Wasi mężowie zostali zastrzeleni i obie jesteście podejrzane o dokonanie zabójstwa. Czy nie wydaje ci się dziwna ta powtarzalność zdarzeń?

- Co więc proponujesz?

- Może jestem cyniczną, starą kobietą, ale zastanawiam się, czy ktoś nie robi tego umyślnie, żeby upozorować to właśnie podobieństwo.

- Och nie, z pewnością nie! - zaprotestowała Cammie. Wierzyła w teorię Reida, że przyczyną śmierci Keitha były jego karciane długi.

- Działy się rzeczy o wiele dziwniejsze. Obiecuj mi, że będziesz ostrożna, i głupio nie ryzykuj.

Cammie popatrzyła na swoje ręce.

- Cała ta sprawa: kłopoty z fabryką, zniknięcie Janet Baylor, brak dokumentów i śmierć Keitha - wszystko to jest takie niewiarygodne. Ale najbardziej martwi mnie, co ludzie do mnie i o mnie mówią.

W białych włosach starszej damy zalśniły srebrne pasma, gdy energicznie kiwnęła głową.

- Ludzie najlepiej potrafią obgadywać. Ale w tym, co się dzieje, zauważyłam szczególną podłość. Wierz mi, że wcale nie jest przypadkiem opowiadanie historii, którą wczoraj usłyszałam, jak ciebie i Reida nakryto nagich, kochających się w lesie, a Reid strzelał do myśliwego, który się na was natknął.

- Dobry Boże! - Cammie zrobiło się niedobrze na samą myśl, jak wszystko można rozdmuchać i zohydzić.

- Kobiecie, która odważyła się mówić takie rzeczy, powiedziałam, że zamiast mózgu ma trociny - rzekła ciotka Beck ze złośliwym uśmiechem. I zaraz dodała: - Nieprawda, powiedziałam, iż nie mogła to być moja Cammie. Później przyszło mi do głowy, że może ktoś dla zabawy opowiada takie sprośności albo robi to z powodów, których nie znamy.

- Chcesz powiedzieć, że to uzupełnienie całej sprawy?

- Możesz mnie nazwać nienormalną, rozkapryszoną staruchą, ale zawsze mówię to, co myślę.

- Czasami - odezwała się Cammie znużonym głosem - mam dosyć przynależności do ludzkiej rasy.

- I zostawić wszystko zbrodźcom? To by im się bardzo podobało. Wolę posłać ich do piekła!

Patrząc na swoją lekkomyślną ciotkę, spokojnie popijającą herbatę z przepięknej porcelanowej filiżanki, Cammie musiała się roześmiać. Lepiej niż płakać.

W drodze *powrotne*) do domu miała w głowie zamęt od różnych myśli. Nie wiedziała, która była ważniejsza. Nie wyjawiała ciotce paru spraw nie dlatego, że to by nie interesowało starszej pani, ale dlatego, że z łatwością mogła przewidzieć jej odpowiedź. A tego nie chciała słuchać.

Przypuszczenia ciotki Beck, że plotki są celowo rozpowszechniane, trafiały jej do przekonania. Zwłaszcza że szczegóły tego, co zrobiła i co robi, rozchodziły się zdumiewająco szybko. Co gorsza, chociaż historie były znacznie wyolbrzymiane, miały jednak w sobie załączek prawdy. Było więc widoczne, że ten kto za tym stał, nie był człowiekiem obcym. Ta myśl ją mierziła, ale musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Był tylko jeden człowiek, który o każdej porze dnia i nocy był doskonale zorientowany, co ona robi.

Ponadto istniało podobieństwo między jej zmartwieniami i kłopotami prababki. Podejrzenie, że ktoś

manewruje jej życiem, organizując fakty i okoliczności odpowiadające temu samemu niegodziwemu wzorcowi, wywoływało w niej falę zimnych dreszczy. Diabli wiedzą, jaka może być tego przyczyna!

Jej zdaniem istniały dwa powody takiego postępowania. Pierwszy mógł wypływać z pewnego rodzaju wyniosłości, chęci wcielenia się w osobę wszystkowiedzącą, która kierując się własnym, spaczonym odruchem, pragnie wzbudzić strach, kiedy podobieństwo zostałyby rozpoznane. Drugi - to chęć upozorowania, że to ona sama powtarzała działania Lavinii, dokładnie naśladowując zaplanowane wcześniej morderstwo.

Istniała tylko jedna osoba, która miała większe możliwości niż ktokolwiek inny aranżowania wydarzeń i stwarzania podobieństw, na jakie zwróciła uwagę ciotka Beck.

Tylko jeden człowiek miał idealny motyw, aby wpłynąć na powszechną opinię i ukazać Cammie w podwójnym świetle - jako rozpustnicę i osobę winną morderstwa.

Motywe były pieniądze. A tym człowiekiem był Reid.

Cammie zrezygnowała z powrotu do domu. Zawróciła samochód i pojechała do Fortu. Nie spocznie, dopóki nie pozna odpowiedzi na te szaleńcze podejrzenia. Jeżeli wyjaśnienia rozwieją jej wątpliwości, powie Reidowi, czego się dowiedziała o Lavinii i Justinie.

Zadzwoiła, ale nikt nie otwierał. Odeszła od frontowych drzwi i obeszła dom w pewnej odległości, żeby sprawdzić, czy dżip Reida jest w garażu. W wieczornym zmierzchu zauważyła smugę dymu niczym szarobłękitny welon przepojony zapachem lawendy.

Stała nieruchomo i rozglądała się dookoła. W domu wydawało się wszystko w porządku, tak jak w garażu powiększonym o sklep. Słup dymu unosił się ze zbocza

za domem, niedaleko lasów. Marszcząc brwi, ruszyła Cammie w tamtą stronę.

Powietrze było chłodne, choć czuło się jeszcze prądy ciepła, idące od ziemi nagrzanej promieniami słonecznymi. W kojącej ciszy owady i żaby wyśpiewywały wiosenne pieśni. W zapadającym zmroku drzewa rzucały długie cienie. Upajały zapachy kapryfolium, wilgotnej ziemi, zieleni i kwaśna woń dymu. Wszystko to wpływało na nią tak, że niemal odzyskała spokój.

Najpierw zobaczyła ognisko palące się dosyć dużym, jasnym płomieniem; ziemia wokół niego była dokładnie zagrabiona, by ogień nie mógł się rozprzestrzenić. Ze skraju lasu wyłonił się mężczyzna, który dorzucił do ognia naręcze suchych gałęzi i liści. Na tle trzaskających, skaczących i bijących w niebo iskier jego twarz, gołe ramiona i tors, odbijający pomarańczowożółte światło, świeciły jak brąz.

Sprzątał rozrośnięte poszycie na skraju lasu, które prawie wdzierało się do Fortu. Obok leżała siekiera i mała łańcuchowa piła. Powinna wiedzieć, że Reid panuje nad wszystkim, co się wokół niego dzieje.

Ruszyła do przodu i zatrzymała się przy złotoczerwonym kręgu ogniska. Czekwała.

- Myślałem - rzekł tonem lekko rozdrażnionym, ale i z nutą rozbawienia, sięgając po następną porcję liści - że mieliśmy postępować rozsądnie i tak, by nas nie widziano razem. Gdybym wiedział, że przyjdiesz, posprzątałbym.

Zapomniała o tym postanowieniu na skutek ostatnich rewelacyjnych wiadomości, jakie usłyszała od ciotki Beck.

- Muszę z tobą porozmawiać. Nie zostanę długo.

- Wcale nie narzekam. - Ręką wskazał jej uprzątnięte miejsce tuż za sobą. Rzucił liście do ognia i podszedł do gałęzi, na której wisała koszula; strzepnął ją i rozłożył pod ogromną sosną na skraju lasu. - Moglibyśmy pójść do domu, ale muszę pilnować ogniska, dopóki się nie wypali.

- Czy nie będzie ci zimno?

Spojrzała na jego szeroką umięśnioną pierś, na której lśniły nagle kropelki potu. Zachwyciły ją znów wspaniałe kręcone, złote włosy, które blask ognia barwił na czerwono.

Kiedy napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się smutno.

- Pracowałem - powiedział. - Ponadto...

- Co ponadto?

- Nie, nic - wycofał się, unikając jej wzroku. Lekko dotknął jej ramienia i wskazał miejsce, które dla niej przygotował. Sam kucnął na piętach w niewielkiej odległości, tak by jej przypadkowo nie trącić.

Chciał powiedzieć, że jej obecność go rozgrzewa. Świadomość tego była bardzo miła. Odczuwała ich wzajemny pociąg. Odsunęła jednak te wrażenia i przekazała mu to, czego się dowiedziała od ciotki Beck, po czym niecierpliwie czekała na reakcję.

- To jest bystra starsza pani - zauważył, nie modulując głosu.

- Zgadza się, ale czy ona ma rację?

Wziął do ręki uschniętą gałązkę i połamał ją na drobne kawałeczki. Niewidzącym wzrokiem popatrzył na ogień, a potem na to, co robił.

- Cammie, jak możesz ode mnie oczekiwać odpowiedzi? Ja nie wiem.

Ona też nie wiedziała. Dlaczego w takim razie wróciła? Nie mogła nie wrócić. Nie mogła pozwolić, by ktoś jej dyktował, co ma robić. A ponieważ zawsze czuła się spokojna i bezpieczna, odnalazła w sobie nieprzewartą chęć zaznania niebezpieczeństwa.

To, czego oczekiwała, było raczej uspokojeniem niż odpowiedzią. I niepotrzebne były żadne słowa.

Na głowie Reida zobaczyła uschnięty, skręcony liść. Sięgnęła, żeby go strzepnąć, i koniuszkami palców musnęła wilgotny kosmyk włosów tuż nad uchem. Pragnęła Reida aż do bólu, chociaż trudno

było powiedzieć, czy była to tęsknota fizyczna, czy uczucie.

Wyraz jego twarzy wskazywał, że odgadł jej pragnienia. Wziął ją za rękę, złożył szybki pocałunek na palcach i przyłożył do swojej piersi. Poczowała rozpaloną skórę i ciężkie bicie serca.

- Chciałbym ciebie objąć - odezwał się ochryple - ale jestem zbyt brudny.

Ramiona miał pokryte kurzem, pachniał dymem. Niosła się od niego woń powietrza i świeżo ściętego dębu. Trawy przyklepione do jego skóry pachniały jak naturalny afrodyzjak.

- To mi nie przeszkadza - odparła, odchylając się, aby podać mu usta do pocałunku. Palcami przesunęła po jego rozgrzanej piersi. Ich zetknięcie, chociaż krótkie, wywołało w obydwójgu dreszcze. Lekko się od niej odsunął ze śmiechem.

- Smakujesz jak herbata z ciastkiem. Mógłbym cię zjeść jednym kęsem.

- Zrób to - wymruczała, gładząc jego szyję aż po obojczyki. Przyciągnęła go do siebie.

Poddał jej się z ochotą i usiadł bliźniutko.

- Uważaj, mamy jeszcze kilka nie załatwionych spraw - rzekł z rozbawieniem w głosie.

- W kilku miejscach takich jak to - zgodziła się, myśląc jednocześnie o ogromnej sile, jaka przyciągnęła ich do siebie już pierwszego wieczoru, kiedy uciekała przed Keithem. I później, gdy natknęła się na niego w lesie za domem, kiedy rozmawiali w ciemnościach. To były pamiętne chwile podobne do dzisiejszego popołudnia.

- Ty także? - rzekł ze śmiechem, obejmując jej kibić. - Co za zmarnowane okazje!

- Nie zmarnuj ich tym razem - szeptała, odwracając się i dopasowując do niego swoje ciało.

Przewrócił ją na plecy, dając jej to, czego pragnęła. Kiedy poczuła jego ciężar i narastającą twardość, żądza

rozpaliła jej ciało. Nie chciała o niczym innym myśleć ani rozpatrywać wątpliwości, wtuliła twarz w jego ramię, rękami rozpaczliwie przyciągając go do siebie, napiętymi z wysiłku nogami oplótła jego nogi. Tęsknota za nim była wszystkim, o czym mogła myśleć, czego potrzebowała. Tęsknota była wydrażoną pustką, którą tylko on mógł wypełnić.

- Gammie, o co chodzi? - wyszeptał z troską.

- O nic i o wszystko. Reid, pocałuj mnie i nie przerywaj!

Wyczuła jego wahanie. Zdawał sobie sprawę, że ona pragnie uciec przed podejrzeniami, jakie ją dręczą, a także z tego, że uczucie rozpaczliwej żądzy zastąpiła żądza.

Ręce, które czuła na sobie, były silne i pewne. Już teraz ją znał, wiedział, jakie pieścioty doprowadzają ją do szaleństwa i jakie dotknięcia zmiękczają jej kości, zostawiają pustkę w głowie i uległe ciało.

Ona również go znała. Wiedziała, jak mu dokuczyć i dręczyć; jak doprowadzić na skraj samokontroli.

Wsunął rękę pod drelichową spódnicę aż do miękiego wzgórk. Długimi, silnymi palcami gniótł ubranie, kolano wcisnął między jej nogi. Poddała mu się z westchnieniem rozkoszy.

Schylił głowę, odnalazł schowane brodawki, szczypał je, hojnie oblizując językiem i ssąc. W tym czasie ona odnalazła miedziany guzik jego dżinsów, odpięła i pociągnęła suwak w dół. Bezceremonialnie sięgnęła pod jego majtki...

Wcisnął się w jej gorącą, wilgotną miękkość. Brzuchem jej wstrząsnęły drgawki, zacisnęła się wokół palca, który wsuwał się i wysuwał z jej palącego i śliskiego wnętrza.

Podniosła głowę. Ustami objął jej rozwarte wargi, muśnięciami języka smakował je, wpychał się, aż drżały z wrażliwości. Wcisnął się jeszcze głębiej, wdzierając i cofając w stanowczym, podwójnym rytmie.

Jęknęła cicho, jak tylko rozpalona wilgotność zaczęła się z niej przesączać. Podniosła biodra, dopasowując się do silnych rąk mężczyzny. Z jego ust wydobył się głuchy krzyk. Porzucił jej usta, wziął w zęby brodawki, ogrzewając je gorącym oddechem przez warstwy bawełny i jedwabiu.

Stało się to nie do zniesienia, a jednak wciąż nie mieli dosyć. Zdzierali z siebie odzienie, zostawiając tylko to, co nie stanowiło przeszkody. Rozpaleni, podnieceni i poddający się, osiągnęli spełnienie w nierozzerwalnym związku. Otworzyła się szeroko, przyjmując go radośnie w swoją najskrytszą jaźń.

To była pasjonująca próba sił, szaleństwo ekstazy, żądzy, udręki nienasycenia wiodącej do szczytu. Ciało przeciw ciału w nieubłaganej pogoni za spełnieniem... Było to wspaniałe zderzenie, współgranie umysłu, psychiki i dwóch ciał.

To było przepiękne przeżycie! Uosobienie zmysłowości. Matnia, z której nie sposób było ani uciec, ani jej się wyrzec.

Ani też udaremnić.



## XVIII

Cammie wyjechała z Fortu pokrzepiona, ale także przygnębiona. Tym razem ona wystąpiła z inicjatywą, a potem z wdzięcznością przyjęła miłość Reida. Kochali się w zapamiętaniu, jakby to miało być ostatni raz, jak gdyby przed nimi nie istniała przyszłość. A przecież zawsze jest jakieś jutro.

A może właśnie tego się obawiała? Może nie pragnęła żadnego jutra?

Nie chciała wyjeżdżać z Fortu, jednak Reid nalegał, twierdząc, że tak będzie najbezpieczniej.

Chronił ją aż nazbyt dobrze. Od tamtej pory nigdy nie czuła się bezpieczna, gdy jego nie było w pobliżu.

A co jej podpowiadał zdrowy rozsądek?

W dalszym ciągu nie uzyskała odpowiedzi w sprawie Janet Baylor. Strach powstrzymywał ją przed naleganiem. Co pocznie, jeżeli Reid się przyzna, że uciekł się do groźby lub przekupstwa, aby zmusić urzędniczkę do wyjazdu z miasta?

Pozostawał jeszcze Keith. W swojej wyobraźni widziała przerażonego Keitha, kiedy zrozumiał, że musi umrzeć. Odwaga nigdy nie była jego mocną stroną; na pewno błagał o darowanie mu życia. A może wcale tak nie było?

Kiedy wyjechała z prywatnej drogi prowadzącej do domu Reida, zauważyła we wstecznym lusterku światła reflektorów innego samochodu. Ktokolwiek jechał tym autem, rozwinął dużą szybkość, tak że niebawem znalazł

się tuż za jej samochodem, niemal trzymając się tylnego zderzaka.

Zbyt bliska jazda była w każdej sytuacji niebezpieczna, a zwłaszcza w ciemnościach, na krętych drogach rezerwatu, gdzie było pełno ślepych zakrętów i przejść dla zwierzyny. Cammie się obawiała, że może to być próba zamachu na jej życie. Nie widziała innego wytłumaczenia; szanse na szczęśliwy przejazd były równe zeru. Kierowcą mógł być jakiś wariat, spragniony mocnych wrażeń, albo nastolatek chcący się pochwalić przed przyjaciółmi czy dziewczyną wieszoną do lasu.

Cammie starała się zwiększyć szybkość. Na nic się to nie zdało, jadący za nią samochód przyczepił się jak rzep. Kiedy naciskała hamulec, wóz jadący z tyłu na chwilę się cofał, by ponownie przyspieszyć.

Z ulgą powitała wjazd na główną szosę do Greenley i czym prędzej tam skręciła. Miała nadzieję, że ścigając ją auto wjedzie na pierwszy wolny pas, skręciła więc na pobocze, by mu to ułatwić.

Nic takiego się jednak nie stało. Samochód toczył się za nią, dotykając nieomal tylnego zderzaka. Znowu dodała gazu.

Obleciał ją strach; ktoś celowo nękał ją w ten sposób. Kto mógłby robić coś takiego? Możliwości było wiele. Mogła to być ta sama osoba, która zabiła Keitha, albo ktoś, kto nie popierał jej sprzeciwu w sprawie rozbudowy fabryki. Jechała równo, utrzymując jednakową prędkość i jednocześnie zastanawiając się, co zrobić.

Nie wpadła w panikę. Za chwilę wjedzie na przedmieścia Greenley, gdzie świecą latarnie i jarzą się reklamy. Wówczas będzie mogła zobaczyć, kto za nią jedzie, chyba że w obawie przed rozpoznaniem prześladowcy zwolni tempo.

Istnieje również możliwość, że kierowca gdzieś się zaczai, a kiedy ona przejedzie przez miasto, wznowi pościg.

Ogromny market i przystanek dla ciężarówek położony na skraju miasta były oświetlone jak lotnisko na Boże Narodzenie. Cammie włączyła światła ostrzegawcze i podjechała pod wejście do sklepu. Lawirowała między dystrybutorami i szerokimi drzwiami, po czym zatrzymała auto.

Z tyłu zapisały hamulce. Pojazd, który ją ścigał, ominął łukiem dystrybutory, zrobił zakręt i stanął w miejscu. Szofer szarpnął gwałtownie, wyszedł zza kierownicy i zwrócił się w jej stronę.

Cammie była już w pół drogi do drzwi sklepu, kiedy zobaczyła człowieka, który ją ścigał.

Był to Gordon Hutton.

Ogarnął ją gwałtowny gniew. Nie czekała, aż do niej podejdzie, tylko dumnym krokiem sama podeszła do niego.

- Na litość boską, co ty wyprawiasz? Mogłeś nas oboje zabić!

- Próbowałem cię dogonić - rzekł z szyderczym uśmiechem na okrągłej twarzy. - Od kilku dni usiłuję się z tobą skontaktować, ale ty fruwasz po całym kraju. Widziałem, jak wychodziłaś od Sayersa, postanowiłem więc cię śledzić i jechać za tobą dopóty, dopóki się nie zatrzymasz,

- Mogłeś zadzwonić i umówić się na spotkanie - rzekła Cammie z dezaprobatą.

- Zostawiłem twojej gospodyni z pół tuzina wiadomości i nic z tego nie wyszło. Podejrzewam, że ona przekazuje ci tylko te informacje, które sama uznaje za ważne.

Cammie nie rozmawiała o tym z Persephone, ale nie widziała powodu, żeby mu o tym mówić.

- A więc czego chcesz?

Przysunął się bliżej, zaciskając duże białe ręce w pięści. Doleciały do niej opary alkoholu, zapach nieświeżego ciała i gorzkosłodka woń taniej wody

kolońskiej. Zmusiła się do pozostania w miejscu, chociaż miała wielką ochotę cofnąć się, by złapać trochę świeżego powietrza.

- Teraz kiedy i ty masz swój udział w fabryce, pora dojść do jakiegoś porozumienia. Początkowo irytowało mnie twoje wtrącanie się do sprzedaży, ale byłem skłonny o tym zapomnieć, ponieważ wiedziałem, że to był tylko głupi babski sposób szukania odwetu na Keicie za pozew o rozwód. Teraz chcę to załatwić.

Lekceważenie, jakie usłyszała w jego głosie, spotęgowało jej złość. Bezcelna pewność siebie i dyktowanie, co ona ma robić, zniweczyły jej zamiary wysłuchania Gordona. Z zimną pogardą powiedziała:

- Może to będzie dla ciebie szokiem, Gordonie, ale nigdy mnie nie obchodziło, czego ty chcesz.

- Dziwka! - rzucił i zacisnął zęby tak mocno, że aż zatrzeszczały szczęki. - Zawsze byłaś egoistką, nikt i nic cię nie obchodzi. Nic dziwnego, że Keith musiał opuścić dom, by znaleźć kobietę, jakiej potrzebował.

Przez ułamek sekundy Cammie się zastanowiła, czy Gordon nie ma racji. Czy przypadkiem nie brak troski z jej strony wypędził z domu Keitha? Po chwili jednak wróciły zdrowy rozsądek i pamięć. Uśmiechając się, powiedziała nieustępliwie:

- Można to odwrócić. Może to ja nauczyłam się dbać o siebie, ponieważ nikt inny tego nie robił?

- Bzdura. Od dawna połowa mężczyzn w miasteczku ślinała się na twój widok. I ty o tym dobrze wiesz.

Coś tak wyjątkowo i obrzydliwego i pożądlivego było w mięsistej twarzy Gordona, że aż dostała gęsiej skórki. Nie po raz pierwszy zauważyła jego obleśny wzrok, ale pierwszy raz sobie to uświadomiła z taką mocą. Gordon Hutton po prostu pożałował żony swojego brata i zawsze tak było. Podniosła głowę.

- Ale to nie jest to samo! - rzuciła.

- Jednak udało ci się rozwiązać twój drobny kłopot. Prawda? Dostałaś Sayersa, tak jak chciałaś: na kolanach - wysapał.

Keith, kiedy był pijany, stawał się ponury, Gordon zaś - okrutny. Alkohol nie zmienia charakteru; wydobywa jedynie cechy głęboko ukryte. Rezultaty mogą być bardzo pouczające.

- Nie muszę tego wysłuchiwać- błękitnobiałe światło padające z wnętrza sklepu oświetliło jej twarz wyrażającą niesmak. - Jeżeli chcesz porozmawiać o fabryce, zadzwoń do Freda Mawleya, oczywiście gdy wytrzeźwiejesz. Spotkam się z tobą w jego kancelarii.

Zszokowany Gordon zdołał jedynie wymamrotać:

- Dlaczego, ty...

Cammie już nie słyszała. Wskoczyła do wozu i włączyła silnik. Zatoczyła duże koło i odjechała.

Pisk opon uświadomił jej, że nie zrezygnował z pogoni. Przekonanie Gordona, że takie nękanie ujdzie mu na sucho, zwiększyło tylko jej gniew. Zaczęła jasno myśleć: Nie zatrzyma się po raz drugi, ale też nie ma zamiaru uciekać. Jeżeli jest na tyle bezczelny, że pojedzie za nią aż do Evergreen, może poznać kilka szczegółów dotyczących rodziny, o których na pewno wolałby nie wiedzieć.

Kiedy wjeżdżała na podjazd, światła samochodu Gordona odbijały się w jej wstecznym lusterku. Zaczęła się obawiać, że Gordon jest gotów staranować cadillaca, zanim zdąży z niego wysiąść.

Gdy wyszła z ciemnego garażu, Gordon, wygramoliwszy się z auta, już stał na szeroko rozstawionych nogach i rękami trzymał się pod boki. Wielka postać mężczyzny zagradzała jej drogę.

- Nikt jeszcze tak do mnie nie mówił, sestro - syknął, zgrzytając zębami.

- Ja również bym tak nie mówiła, gdybyś mnie do tego nie zmusił - odparowała z wściekłością. - Ponieważ

tak się stało, chcę ci powiedzieć o kilku ważnych sprawach. Po pierwsze, nie podoba mi się twoje czajenie się i szpiegowanie.

- To śmieszne, co mówisz. Po prostu przejeżdżałem koło Fortu.

- Z pewnością - odparła jadowitym głosem. Popełnił błąd taktyczny, broniąc się, ale Cammie nie miała zamiaru pozwolić mu na zmianę strategii. - Druga sprawa - to zachęcanie Keitha do gwałtu; chciałeś w ten sposób unieważnić nasz rozwód. Z twojej winy Keith o mało nie przypłacił tego życiem. Nie dlatego, że cię to obchodziło. Chciałeś jedynie być pewny, że dostaniesz swoje cenne pieniądze za fabrykę. Pieniądze - oto co kochasz, i Keith dobrze o tym wiedział. Dlatego bał się powiedzieć, że tkwi po uszy w karcianych długach. Był tak zrozpaczony, że wołał sprzeniewierzyć pieniądze fabryki niż zwrócić się do ciebie o pomoc!

Kompletnie zszokowany Gordon Hutton wyglądał tępo i głupio w jaskrawym świetle reflektorów samochodu.

- Co on zrobił? - spytał ochryple.

- Sprzeniewierzył przynajmniej pół miliona dolarów. Nigdy nie zauważyłeś ich braku, nawet ci to nie przyszło do głowy. Reid odkrył brak pieniędzy.

Z trudem łąpał powietrze.

- Nie wierzę! Keith nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Zabranie gotówki z fabryki jest równoznaczne z wyjęciem pieniędzy z kieszeni brata.

- Również Reida, zechcesz o tym pamiętać - przypomniała, cedząc wyrazy.

Zamrugał, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- To dlatego Sayers za nim gonił...

- Jeżeli masz na myśli dzień, w którym Keitha pobito, to wiedz, że nie zrobił tego Reid. Najprawdopodobniej dokonali tego ludzie, którym był winien pieniądze.

- O Boże! - Twarz Gordona nabrała ziemistego koloru i obwisły mu ramiona. - Gdyby przyszedł do mnie, pomógłbym mu zdobyć te pieniądze. Dlaczego miałby... Huttonowie nie robią takich rzeczy. Och Boże, ta wiadomość może zabić mamę!

Gammie poczuła skruczę. Gordon sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. Miał przecież swoją dumę; jego rodzina cieszyła się dobrą opinią; także w pracy w fabryce Huttonowie uchodzili za ludzi uczciwie prowadzących interesy. Nigdy nie wydarzyło się nic takiego, co by wskazywało, że Sam Gordon lub jego ojciec, a nawet dziadek nie byli porządnymi ludźmi. Wiadomość, że jego brat nie miał tych pozytywnych cech, musiała być dla Gordona prawdziwym ciosem.

Nagle się wyprostował. Próbował bronić brata za wszelką cenę.

- Jeżeli Keith wzięł pieniądze, to przez ciebie. Nie mógł znieść, że ty masz ich więcej od niego.

- Nie ponoszę winy za problemy, jakie miał ze swoją jaźnią.

- Przy tobie czuł się poniżany. I nie wierzę w to, co powiedziałaś. Mój brat nigdy by tego nie zrobił. Jesteś kłamliwą suką. Nie wystarczy ci, że wypędziłaś go z domu i kompletnie zniszczyłaś, to jeszcze chcesz zhańbić jego imię.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Keith w pięknym stylu sam doprowadził się do ruiny. Zapewniam cię, że nie miałam w tym żadnego udziału.

Gordon zaciśniętą pięścią potrząsał jej przed twarzą.

- Milcz! Zamknij swoje kłamliwe usta! Jeżeli się dowiem, że rozpowiadasz tę historię, gorzko tego pożałujesz. Chcesz popsuć układ w sprawie sprzedaży, uzasadniając swoje stanowisko trudnościami finansowymi. Nie pozwolę na to! Słyszysz? Prędzej zobaczę cię martwą!

- Radzę ci, żebyś był ostrożny - odezwała się ze śmiertelną powagą. - Ostami mężczyzna, który mi groził, długo nie pożył.

Podniósł głowę.

- Masz na myśli Keitha?

Nie odpowiedziała, tylko patrzyła na niego ze spokojem, który ją samą zadziwiał.

Cofnął się. Klnąc pod nosem, zakręcił się na pięcie i rzucił do auta. Odjechał tak szybko, że w powietrzu unióś się swąd palonej gumy. W ciągu paru sekund zniknęły światła samochodu i ucichł dźwięk motoru.

Cammie odechnęła całkiem nieświadoma, że tak długo wstrzymywała oddech. Odwróciła się niezdarnie i zaczęła szukać klucza. Dopiero teraz sobie uprzytomniała, jak bardzo jest zdenerwowana: długo nie mogła znaleźć klucza od tylnych drzwi.

Niedaleko schodów pojawił się jakiś cień. Zatrzymała się, dławiąc w sobie krzyk.

- To tylko ja - wyszeptał Reid.

W jego głosie wyczuła zmęczenie, którego nigdy przedtem nie zauważała. W pełnej napięcia twarzy nie było uśmiechu. Pierś mu falowała jak po biegu. Tak niedawno się z nim rozstała. Musiał wyjść z domu i biec przez las, kiedy tylko zniknęły mu z oczu światła jej wozu.

- Robiąc codzienny rutynowy obchód, zobaczyłem samochód i usłyszałem jakąś rozmowę. Pomyślałem, że potrzebujesz pomocy, lecz okazało się to niepotrzebne.

Jego rutynowy obchód! Oczywiście, że wiedziała o nim, chociaż nie chciała się do tego przyznać. Ale kiedy zdała sobie sprawę, że Reid wszystko słyszał, zupełnie zapomniała o jego zwyczaju.

Słowa wypowiedziane do Gordona mogły zabrzmieć jak groźba, chociaż miało to być tylko ostrzeżenie. Mógł więc sobie pomyśleć, że ona zabiła Keitha...

- Mylisz się - powiedziała. - Naprawdę ciebie potrzebuję.



- Ale po co? - zapytał, przechylając głowę. - Czy chcesz, żebym go zabił na twoją prośbę, czy też żebym był stale w pobliżu?

Nie była to ani propozycja, ani żart. Naprawdę chciał wiedzieć, czy ma ją wyręczyć w zabiciu Gordona. Już wcześniej, chcąc ją wyprowadzić z równowagi, sugerował coś podobnego. Była w tym przekora i potrzeba odwetu za to, że zmusiła go do przyznania się, iż mógłby to zrobić. Tym razem był śmiertelnie poważny; naprawdę myślał, że ona pragnie śmierci Gordona.

Cammie spojrzała na niego z bolesnym niedowierzaniem. Biegając przez ganek do drzwi, potknęła się na schodach. Dopiero za trzecim razem udało jej się włożyć klucz do zamka. Wbiegła do środka, zatraskując za sobą ciężkie drzwi.

Nie musiała się tak spieszyć. Kiedy spojrzała przez okno, na dworze nikogo nie zobaczyła. Reid odszedł.

Bardzo długo nie mogła zasnąć. Przed oczami jak w kalejdoskopie przesuwały się różne obrazy: Keith i Reid nad jeziorem w ciemnościach; Reid z małą dziewczynką na rodzinnym spotkaniu; cień mężczyzny obserwującego Evergreen, który nie był cieniem Reida; Wen w łodzi na jeziorze; wielebny Taggart prawiący jej kazania o małżeństwie; Reid z Charles'em przed komputerem; Gordon i jego matka na pogrzebie Keitha; Bud oskarżający ją o głupotę; ciotka Beck opowiadająca o starych i nowych skandalach; Gordon ciężko gramolący się z auta. Wyglądało na to, że w tych wszystkich obrazach kryją się wyjaśnienia, których tak bardzo potrzebowała. Ale nie mogła ich sformułować.

Kiedy sobie przypominała, co mówił Reid, zastanowiła się, czy jej niezachwiana wiara w niewinność tego człowieka ma taką samą moc jak jego słowa wypowiedziane do niej. Była to szalona myśl i prawdziwa tylko wówczas, gdyby on rzeczywiście był niewinny. Jeżeli

Reid uważa, że ona może być winna, to znaczy, że sam musi być niewinny. Nie może przecież podejrzewać jej o zbrodnię, którą popełnił. To jest oczywiste. Gdyby tylko była pewna, że może mu wierzyć!

„Czy mam ułatwić ci zadanie i zabić go?” - jak echo wróciły do niej jego słowa.

Była przekonana, że to właśnie miał na myśli, kiedy patrzyła na niego ze szczytu schodów. W nocy wątpliwości powróciły. Być może źle go zrozumiała; może była to tylko propozycja przysługi. Czyż nie przyjął takiej postawy od samego początku: bezlitosny, ofiarny, a zarazem usłużny?

Kiedy wstała następnego dnia rano, miała podkrążone oczy i silny ból głowy, najprawdopodobniej spowodowany napięciem, w jakim ostatnio żyła. Perspektywa pozostania w domu i natrętne myślenie o tym, że mogą ją napaść jacyś ludzie, były nie do zniesienia.

Zdecydowała, że najwyższy czas, aby na nowo ustalić przybliżony rozkład zajęć. Ostatnio zaniedbywała antykwariat. To nie w porządku zwalić wszystko na głowę Wen na tak długi czas. Wyciągnęła więc z szafy spódnicę w kolorze trawiastym i pasujący do niej bawełniany sweter i włożyła je na siebie.

Ranek spędziła w sklepie, gdzie pomagała w rozpakowywaniu najnowszych nabytków z wyprzedaży domów. Wiele było tam rupieci: zmatowiałe srebro stołowe, sklepowe meble, obrazy w pozłacanych ramach, pudełka ze starymi książkami, z których przy najlżejszym dotknięciu wyskakiwały srebrne rybki, zbiór solniczek i pieprzniczek w kształcie domowych zwierząt. Ale były także wartościowe okazy, takie jak: majoliki, kilka sztuk cieniutkich fajansowych naczyń z Rockingham i porcelanowy serwis do kawy z Limogec oraz salonik z drzewa różanego pochodzący z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, jeszcze z oryginalnym obiciem z jedwabnego brokatu.

Ta brudząca praca i towarzysząca jej zmiana zainteresowań, nie wspominając już o zjadliwych i lekceważących uwagach Wen na temat tego, co ludzie zbierają i jakie straszliwe rupiecie uważają za warte przechowywania, dodały ducha Cammie. Kiedy zbliżało się południe, czuła, że staje się prawie normalnym człowiekiem.

Wen wyszła do znajdującej się na zapleczu kuchenki podgrzać jarzynową zupę, którą miały zjeść na obiad. Cammie była zajęta klientem. Właśnie pakowała lichtarz zrobiony ze szlachetnego stopu, kiedy zadzwieczał dzwonek u drzwi.

Do sklepu weszła wymizerowana kobieta o wspaniałych blond włosach. Cammie od razu ją rozpoznała. Była to Evie Prentice, przyjaciółka Keitha. Rzuciła krótkie, pełne lęku spojrzenie, ale nie podeszła do lady, tylko skierowała się do kąta, gdzie leżały stare pluszowe misie. Wzięła do rąk jednego i przytuliła do wydatnego brzucha, ukrytego pod dużą koszulą. Kiedy z powrotem odłożyła misia, miała łzy w oczach.

Cammie skończyła pakowanie i sporządziła rachunek. Kiedy klient wyszedł i ucichł dzwonek przy drzwiach, podeszła do Evie. Patrząc na podkrążone oczy dziewczyny, spokojnie zapytała:

- Jak się czujesz, Evie?

- Świetnie, naprawdę świetnie. - Uśmiech Evie był przesadnie promienny.

- Rozglądałam się za tobą na pogrzebie, ale ciebie nie było.

Uśmiech dziewczyny zgasł.

- Takie uroczystości są tylko dla rodziny. Ale znam Eda z domu przedpogrzebowego i on mnie wpuścił, kiedy wszyscy już wyszli. Musiałam się z nim pożegnać, to było najważniejsze.

- A co z dzieckiem? Dobrze się czujesz?

- Tak! Zobaczyłam twój samochód przed sklepem, a ponieważ przedtem byłeś dla mnie taka miła, pomyślałam...

Cammie dotknęła ręki dziewczyny.

- A więc coś złego się dzieje; tak sądziłam. Chodź, usiądź tutaj i opowiedz mi wszystko.

W rogu sklepu, wokół okrągłego pieca bogato zdobionego chromem, stały stare krzesła w różnych stylach. Mimo że nie napalono w piecu, kąć był przytulny i nie rzucał się w oczy. Gammie gestem zaprosiła Evie do zajęcia miejsca w bujanym fotelu, sama zaś usiadła na krześle, którego poręcze przypominały łabędzią szyję.

- Chyba wszystko źle się układa - powiedziała Evie, siadając w fotelu. Spojrzała na Cammie, lecz zaraz uciekła wzrokiem, a rumieniec lekko zabarwił jej blade policzki.

- Nie chcę powiedzieć złego słowa o Keicie, naprawdę nie. Kochałam go i wiem, że byłabym dla niego dobrą żoną. Ale on zostawił mnie w bardzo kłopotliwym położeniu.

- Jak to? - spytała Cammie, zachęcając ją do dalszych zwierzeń.

- Keith płacił rachunek za przyczepę, opłacał także inne świadczenia i kupował żywność. Chciał zmusić mnie do porzucenia pracy, dążył do tego, by wszystkie pieniądze, jakie miałam, pochodziły od niego. To mi się nie podobało, więc pracowałam dalej, chciałam być niezależna. Kręcili się wokół mnie mężczyźni, ale nie było ich wielu, jeden, najwyżej dwóch. Keith mnie utrzymywał, przynajmniej tak było jeszcze do niedawna. Niestety zalegał z płaceniem rachunków za przyczepę i zawsze musiałam mu przypominać, że w domu nie ma nic do jedzenia. Miałam trochę swoich oszczędności, ale to nie wystarczyło na długo. Wraz z odejściem Keitha zostałam kompletnie pozbawiona środków do życia. Nikt w tym mieście nie przyjmie mnie do pracy w tak zaawansowanej ciąży.

- Mogę to sobie wyobrazić - wtrąciła Cammie. - Gorzkie słowa, jakie przed chwilą usłyszała, pobudziły jej wyobraźnię. Dziewczyna rzeczywiście musiała przeżyć koszmar, szukając pracy w tym mieście.

- Nie chciałam skorzystać z zasiłku, chociaż mam do tego prawo jak każda kobieta znajdująca się w podobnej sytuacji. Jeżeli idzie o poród, to się dowiedziałam, że mogę rodzić za darmo w szpitalu w Shreveport. Tę sprawę mam więc załatwioną. Ale wiesz, Cammie, tak naprawdę, chciałam uciec od tego wszystkiego, co się tutaj wydarzyło, i wyjechać z Greenley. Obecnie jednak nie mam na to widoków.

W pewnej chwili za ich plecami uchyliły się drzwi od kuchenki i wyjrzała Wen. Widząc, z kim Cammie rozmawia, lekko się zmieszała. Cammie potrząsnęła głową, Wen zaś wzniosła oczy do nieba i szybko się wycofała, zostawiając uchylone drzwi.

Evie Prentice, nieświadoma wymiany gestów za jej plecami, popatrzyła na swoje ręce oparte na wydętym brzuchu.

- Nie chciałam ci przeszkadzać po raz drugi, ale zupełnie nie wiem, do kogo się zwrócić - odezwała się Evie. - Moją ostatnią nadzieją był wielebny Taggart. Myślałam, że może istnieje jakiś fundusz kościelny... - Zamikła, jakby chciała odzyskać panowanie nad sobą, po czym powoli, z przerwami mówiła dalej: - Ludzie myślą, że ksiądz wszystko wie o wybaczeniu za grzechy, wie, czym jest chrześcijańskie miłosierdzie, tak by się zdawało, prawda? Ale on miał dla mnie tylko kazania. Powiedział mi, że jak sobie posłałam, tak się wyśpię. Dodał jeszcze, że mogłam chodzić do łóżka z każdym mężczyzną, który mi zapłacił! Nienawidzę hipokryzji bardziej od dobroczynności.

W głosie dziewczyny słychać było rozpacz i ból. Chcąc jej pomóc w odzyskaniu spokoju i oszczędzić dalszego proszenia, Cammie po prostu zapytała:

- Możesz mi powiedzieć, ile ci trzeba pieniędzy?

Evie spojrzała na nią, a w jej zażawionych oczach zabłyśła nadzieja.

- Nie mogłabym wziąć od ciebie pieniędzy. Naprawdę, nie mogłabym. Keith powiedział, a nawet obiecał, że zaopiekuje się mną i dzieckiem bez względu na to, co się stanie. Wiem, że głupio pytać o to ciebie, ale może na przykład Keith założył dla nas jakieś konto w banku?

Niczego takiego, niestety, nie było i Cammie o tym doskonale wiedziała. Konto obciążone debetem to było wszystko, co Keith zostawił.

- Nie mam pojęcia, co on mógł zrobić - powiedziała - ale mogę sprawdzić w banku.

- Zrobiłabyś to? Naprawdę? - Z oczu Evie popłynęły łzy, zostawiając mokre ślady na twarzy. - Byłam bardzo zażenowana i wstydziłam się opowiadać ci o moich kłopotach, zwłaszcza jak się układało między mną i Keithem. Ja tylko...

- Nic nie szkodzi - uspokajała Cammie. - Zbadam jego sytuację finansową i zadzwonię do ciebie za dzień lub dwa. Dobrze?

- Nie wiem wprost, jak ci dziękować. Ja, ja kochałam Keitha i byłam wściekła, kiedy mi powiedział, że wraca do ciebie. Ale nigdy go za to nie obwinałam. Teraz rozumiem, dlaczego chciał do ciebie wrócić.

- Nie sądzę, byś to rozumiała - rzekła Cammie. - Jego nagła zmiana uczuć wiązała się z pieniędzmi, jeżeli to może być dla ciebie jakaś pociecha.

Evie Prentice spojrzała na Cammie badawczym wzrokiem.

- Nie... - odparła z wahaniem. - Nie uważam tego za pocieszenie. Naprawdę tak myślę.

Cammie odprowadziła dziewczynę do drzwi. Kiedy Evie odjechała, Wen wyszła z kuchenki.

- A więc masz zamiar skombinować pieniądze na pomoc dla puszczalskiej Keitha? - zapytała zgryźliwie.

- Ona jest kimś więcej niż tylko tym - rzekła Cammie, myślami błędząc gdzie indziej.

- Ona była tą drugą kobietą, z którą Keith mieszkał i którą się posługiwał, żeby ciebie wystawić na pośmiewisko.

- Może masz rację.

- A więc dlaczego to robisz? Czy dlatego, że ci jej żal, czy dlatego, że chcesz się jej pozbyć?

- Może jestem jej wdzięczna, że mnie uwolniła od Keitha.

- O tak! Na pewno!

- To jest bardzo prawdopodobne - zaprotestowała Cammie.

- Po prostu masz niezwykle miękkie serce.

- Chcesz powiedzieć, że jestem idiotką?

- To także - mrużąc, dopowiedziała Wen. - Droga Cammie, nie naprawisz świata.

- A właśnie że naprawię! - odparowała, wysuwając podbródek. - Przynajmniej moją część na tym świecie.

skany- *pona*

„Potrzebuję ciebie”.

Słowa te doprowadzały Reida do szału.

Odpowiedź, jakiej udzielił, była równie denerwująca.

Te dwa słowa prześladowały go przez całą noc i pół ranka. Dręczyła również pamięć konfrontacji, której był mimowolnym świadkiem, między Cammie a Gordonem Huttonem. Nie mógł spać; na myśl o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Dawno temu nauczył się, że jeżeli chce się przeżyć, trzeba jeść i spać, i pod żadnym pozorem nie wolno tej zasady lekceważyć. Jak do tej pory nic, nawet wybuch na wzgórzach Golan, nie zdołało jej zakłócić. Aż do tej chwili.

Zaczynał tracić tak pieczołowicie wyrabianą w sobie odporność. Działo się to powoli, krok po kroku, osłabiając nerwy i uczucia; wyłaziło jak robactwo spod grubej mierzwy. Chociaż starał się ze wszystkich sił, nie potrafił powrócić do poprzedniego stanu. Nie było ucieczki przed bólem palącym jak otwarta rana.

Bliski związek z Cammie uczynił z niego człowieka nadmiernie wrażliwego.

Fort wydawał mu się więzieniem, a wodzące za nim oczy Lizbeth mówiły tak wiele. Rozumiała go lepiej niż większość ludzi. Odkąd pamięta, Lizbeth zawsze była w tym domu, mimo że miała męża, własną rodzinę i farmę w północnej części miasta.

Przypomniawszy sobie pewien letni gorący dzień; miał wtedy cztery, może pięć lat. Stał obok niej w kuchni,



tej samej, w której teraz siedzieli, a Lizbeth piła wodę ze szklanki. Zauważył, że wewnątrz jej ust jest tak samo różowe jak jego. Od tamtej pory uważał, że Lizbeth pod tą miękką brązową skórą jest taka sama jak on.

Obrzuciła Reida ostrożnym spojrzeniem znad zielonej cebuli, jaką właśnie kroił, żeby przyrządzić potrawkę.

- Co panu jest? Czy opadła pana chandra? - zapytała niespodziewanie.

- Można tak powiedzieć - rzekł. Położył łokieć na stole i podpierał nim głowę. Wpatrując się w filiżankę kawy i obracając na krześle, spytał: Jak sądzisz, Lizbeth, co trzeba zrobić, by sprawić przyjemność kobiecie?

Pochyliła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pan tak samo dobrze wie jak i ja.

- Pytam poważnie - sprostował - i nie mam na myśli ani seksu, ani pieniędzy, ani siły, ani tym podobnych rzeczy.

- Czy my przypadkiem mówimy o pewnej kobiecie z miasta, czy o kobietach w ogóle?

Podniósł na nią wzrok, ale się nie odezwał.

- Niewiele może pan zrobić, prócz kochania jej; albo dojdziecie do porozumienia, albo nie.

- Miałem przeczucie, że to właśnie powiesz.

- Więc po co pan mnie pyta? Wygląda na to, że powinien pan oderwać się od tych myśli i zająć czymś innym. Może poszedłby pan na ryby?

- Mam się wynieść i nie płatać ci się pod nogami?

Potrząsnęła głową i raptownie odwróciła się od niego.

- Pan wie lepiej, o co chodzi.

- Być może - odparł ponuro. Przez chwilę milczał, rozważając propozycję, po czym zwrócił się do niej: - Czy Ty wciąż przebywa w domu na urlopie?

- Pozostał mu jeszcze tydzień do wyjazdu, później musi się zgłosić w swojej jednostce - wyjaśniła, zgarniając zieloną cebulę do rondła, w którym już skwierczało

masło. A spojrzawszy przez ramię, spytała: - Czy mam mu coś przekazać?

- Powiedz mu, żeby się ze mną spotkał nad jeziorem. - I przesłał jej uśmiech wdzięczności za wyrozumiałość.

Reida i Ty'ego wiele łączyło. Obaj byli w tym samym wieku i odkąd Lizbeth zabierała go czasem ze sobą do pracy, bawili się wspólnie. Razem włóczyli się po terenach łowieckich, udając doświadczonych myśliwych, speleologów albo żołnierzy. Gdy powstały pierwsze szkoły integracyjne, poszli do tej samej klasy i obaj próbowali się w nowo powstałych i połączonych drużynach futbolowych. Ty grał w obronie i miał za zadanie chronić Reida, który był napastnikiem. Reid bardzo sobie cenił jego obronę i we wszystkich ważnych rozgrywkach miał do niego całkowite zaufanie.

Po zakończeniu nauki w szkole Ty wstąpił do lotnictwa i został pilotem helikopterów. Wciąż awansował i dosłużył się już rangi pułkownika. Przez te wszystkie lata Reid i Ty spotykali się od czasu do czasu w różnych punktach świata, wypijali drinka i wymieniali wiadomości z domu. Ostatni raz widzieli się w Kalifornii jakieś dwa lata temu. Teraz, kiedy Ty był na urlopie, Reid miał zamiar spotykać się z nim częściej, jednak jego plany się pokrzyżowały - inne sprawy pochłonęły go bez reszty.

Dzień był idealny do łowienia ryb. Pogoda była wspaniała z temperaturą wahającą się w pobliżu trzydziestu stopni; wiał łagodny wietrzyk, a po niebie przesuwały się postrzępione chmurki, przez które przeświecało słońce. Reid z Tym spuścili na wodę plastikową łódź i popłynęli w dół kanału jeziora. Po kilku minutach zatrzymali się w rozwidleniu jeziora, z dala od wszelkiego ruchu. Bez zbędnego pośpiechu zarzucili przynętę, z wielką wprawą posługując się kołowrotkiem. Tak naprawdę żadnemu z nich nie zależało na łapaniu ryb. Przyjemność sprawiało im

leniwe płynięcie z prądem po błękitnej wodzie, w której odbijało się niebo. Od czasu do czasu włączali silnik, by dopłynąć tam, dokąd nie sięgała linka i wędka.

Złapali okonie, ogromne ryby, ważące od dwóch do czterech kilogramów. Uznali, że to wystarczy, i troskliwie położyli je na lodzie. Jeszcze trochę wędkowali, ale bez zapału, bo złowione później ryby chcieli wpuścić z powrotem do wody, kiedy znajdą się na pełnym jeziorze.

Stopniowo malało napięcie Reida. Tak długo był zestresowany, że zmiana nastroju wywołała u niego lekkie dreszcze.

W miarę jak wzrastała temperatura, Reid i Ty wypili po kilka piw. Rozmawiali bez emocji i nawet trochę chaotycznie, przeklinając politykę i polityków. Omawiali wyniki rozgrywek The Saints i Cowboys z minionych sezonów i najnowsze kłótnie w Pentagonie. To była typowa rozmowa mężczyzn, którzy spotkali się po długim czasie i prowadzili dyskurs, nie poruszając spraw osobistych. Kiedy nie mieli nic do powiedzenia, milczeli.

Płynęli prosto pod słońce i obserwowali błękitne i zielone ważki, siadające na końcu wędki. W pewnej chwili Reid zapytał:

- Ty, czy myślałeś kiedyś o tym, żeby się ożenić?

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął i przechylił ciemną głowę.

- Zdarzało mi się. Kiedy czas był sprzyjający, to nie spotkałem odpowiedniej kobiety, a kiedy się taka znalazła, ja nie miałem czasu. A ty? Znowu o tym myślisz?

- Czasami przychodzi mi to do głowy - przyznał.

- Doszły mnie słuchy, że często widujesz się z Cammie Greenley. - Powiedział to w formie stwierdzenia, można było nie odpowiadać.

- Hutton - poprawił Reid obojętnie. - Cammie Hutton.

- Masz rację. Zawsze się o nią troszczyłeś. Czy nie tak? Pamiętam dzień, kiedy po skończonym meczu piłki nożnej grupa chłopaków zaczęła dowcipkować i pytać, kto ostatnio umawiał się z nią na randkę i ile razy ją zaliczył. Zwłaszcza jeden z nich, kompletny wariat, zadawał tak bezczelne, dociekliwe pytania, że go pobiłeś.

Reid, nie patrząc na Ty'ego, wzruszył ramionami.

- Tylko to można było zrobić w takiej sytuacji.

- No tak. Pamiętam również, że tak często chodziliśmy przez rezerwat wokół Greenley, aż wydeptaliśmy szlak podobny do szosy.

Reid rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Za dużo pamiętasz.

- A pamiętasz dzień, kiedy w domu znalazła się polna mysz i wszystkie dziewczęta z piskiem i krzykiem skakały po stołach? Wówczas ty, prawdziwy macho, gołymi rękami złapałeś mysz, a ona cię ugryzła. Ale gdy podeszła Cammie Greenley i poprosiła, żebyś zwierzątko nie zabijał, wyniosłeś je i wypuściłeś na boisko baseballowe. Potem przez kilka dni chodziłeś z najgłupszą miną na świecie tylko dlatego, że ona powiedziała, iż jesteś dobrym człowiekiem. Tak, stary, to też pamiętam!

Ty stroił sobie z niego żarty, ale Reida to nie obchodziło. Na nowo odżyły dawne wspomnienia, drażące mózg. Nagle w okolicy serca poczuł zimny dreszcz.

Cammie żadną miarą nie mogłaby zabić kogokolwiek. Mimo swej odwagi i łatwości, z jaką podejmowała ryzyko, w głębi duszy była czuła i miękka. Nie potrafiłaby dokonać takiego czynu.

Także groźby, jakimi straszyla ubiegłej nocy Gordona, były tylko czczymi pogroźkami, bo trudno je inaczej nazwać. To właśnie on, najbardziej ze wszystkich ludzi, powinien wiedzieć, że Cammie umie ostrymi jak brzytwa ripostami odsuwać od siebie tych, którzy mogliby ją skrzywdzić.

Jedynie w stanie najwyższego zagrożenia, kiedy nie miałaby już innego wyjścia, byłaby zdolna do zabicia człowieka.

Tę prawdę znał od dawna. Jak mógł o niej zapomnieć?

Odpowiedź jest prosta. Wcale o niej nie zapomniał, tylko ją zlekceważył.

Zlekceważył, ponieważ był bezdennie i bezgranicznie głupi. Na własne uszy słyszał przecież, jak rozprawiła się z Gordonem Huttonem. Bardzo go to zdenerwowało, bo zobaczył, że ona sama dobrze daje sobie radę i wcale nie potrzebuje jego obrony. Pragnął, żeby nie mogła się bez niego obejść, gdyż jedynie to trzymało ją przy nim. Za wszelką cenę chciał, żeby tak właśnie było.

„Potrzebuję ciebie”.

Te słowa wypowiedziane przez nią utkwily w nim głęboko. Chciał wierzyć, że przyjdzie dzień, w którym Cammie zatęskni za czymś więcej niż tylko za silnym męskim ramieniem i ciepłym ciałem. W tych rozważaniach prawie pominął swoje pragnienia.

Prawie o nich zapomniał.

A co będzie, jeżeli się myli? A może ona niczego takiego nie powiedziała, tylko on tak odczytywał jej słowa, bo kryła się w nich nadzieja?

Kochał ją; kochał już od lat. Wydawało mu się, że nie było nawet krótkiego okresu, kiedy jej nie kochał.

Ale też nigdy nie było odpowiedniego momentu, żeby jej to powiedzieć.

Może teraz nadeszła właściwa pora?

Kiedyś próbował, ale mu się nie powiodło. Porażka sprawiła, że nie widział jej przez wiele lat.

A co będzie, jeżeli z jego winy zostanie przerwany kontakt fizyczny między nimi? Dotyk jej skóry, wyraz twarzy w chwili osiągania orgazmu sprawiły mu najwyższą przyjemność. Znaleźć się głęboko w jej ciele - to oszałamiające uczucie. Czy mógłby znieść życie,

gdyby go tego pozbawiono? Co się stanie, gdy swoim postępowaniem sprawi, że już nigdy więcej nie będzie mógł jej zobaczyć?

Musi jednak podjąć ryzykowną decyzję. W życiu wiele razy ryzykował i wygrywał.

A także przegrywał. Przegrał miłość, chociaż miała inny, subtelniejszy charakter, i to był właśnie jeden z tych pechowych przypadków. I nie on za to zapłacił. Czy jeszcze raz ma podjąć ryzyko? Czy w razie niepowodzenia zniosłby taki ból i potrafiłby żyć dalej?

Co jeszcze mogłoby się zdarzyć po tych wszystkich latach?

Dopiero późnym popołudniem obaj mężczyźni się rozstali. Reid oczyścił swoją porcję ryb, umył się, uporządkował ubranie i zebrał rzeczy, które mu będą potrzebne. Miał nadzieję, że Lizbeth nie zezłości się, iż nabałaganił w kuchni, zostawiając tam swoje rzeczy. Wyjechał do Evergreen.

Nie zastał Gammie w domu, lecz nie stanowiło to dla niego przeszkody. Za pomocą podręcznego wytrycha wszedł do domu i skierował się do kuchni.

„Ciekawe, jaką będzie miała minę, kiedy mnie tu zastanie” - pomyślał, stawiając na szafce głęboki rondel do smażenia. Włączył przewód do gniazdka, następnie wlał do naczynia olej arachidowy. Nie mógł się doczekać chwili, w której ona wejdzie do kuchni. Zawsze istniała możliwość, że rzuci w niego złym słowem. Nie miało to większego znaczenia. Zdecydowany był przyjąć wszystko, co od niej pochodzi.

Tak kiedyś przecież nie było. Wówczas jednak nie znał jej tak dobrze jak teraz; nie znał również samego siebie.

Ach, cóż to byłaby za ulga nareszcie wyjść z ukrycia... Jakiego określenia używają amatorzy szpiegowskich powieści? „Chodź i wyjdź z tego zimna”? Co prawda nigdy jeszcze nie słyszał, aby ktoś tak powiedział. Nie

słyszał przez te wszystkie lata, kiedy pracował w Towarzystwie. Niemniej było to określenie bardzo obrazowe. Borykać się samotnie z własnymi myślami to rzeczywiście było „zimne” i nieprzyjemne.

Na myśl o Cammie robiło mu się ciepło nawet wówczas, kiedy była żoną innego; musiał to przyznać.

Trzymanie Cammie w ramionach, uspokojonej po miłosnym akcie, lub obejmowanie tylko po to, by czuć przy sobie jej ciało - wystarczyło, by ogrzać jego wnętrze zlodowaciałe od tyłu już lat. Lubił też spokojnie poleżeć przy jej boku, czytając książkę lub oglądając telewizję.

Uwielbiał się przyglądać, jak cieszyła się różnymi rzeczami, na przykład kiedy byli w Nowym Jorku. Być może podróżowaliby razem po świecie. Wyobrażał sobie długi zimowy wieczór spędzony na planowaniu podróży, pełen niegroźnych sprzeczek wokół głupstw, takich jak kolejność oglądania krajobrazów i miejsc, sporów wszczynanych dla samej przyjemności pogodzenia się. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie musiałyby go długo przekonywać, by wyraził zgodę na wyjazd, dokądkolwiek by tylko zechciała. Przecież pojechałby z nią na koniec świata, albo jeszcze dalej!

Olej arachidowy osiągnął już właściwą temperaturę. Rozpakował filety z okonia, umył je pod bieżącą wodą i ułożył na papierowym ręczniku, by obeschły. Do miski wsypał kilka miarek białej kukurydzianej mąki, po czym zaczął szukać na półkach pojemników z solą i pieprzem. Pocięszął się myślą, że przyprawione przez niego ryby będą smakowały Cammie, ponieważ był to jedyny znany mu sposób przygotowania tej potrawy.

Zorientował się, że Persephone była w domu w ciągu dnia, zostawiła bowiem kolację dla Cammie. Składała się z kotleta wieprzowego, sałatki przyprawionej tak, że nadawała się do podania na gorąco do ryby, i świeżej musztardy. Na deser Persephone przygotowała ciasto z orzechami kokosowymi. Ona i Lizbeth stanowczo

należały do wymierającego gatunku dobrych gospodyń. Wkrótce obie przejdą na emeryturę i z pewnością nie znajdzie się nikt, kto mógłby je zastąpić.

A kiedy nadejdzie już ten czas - rozmarzył się Reid - mógłby wraz z Cammie zająć się prowadzeniem domu. Nie wzbraniał się przed sprzątaniami, a gotowanie sprawiało mu wielką przyjemność. Prawdę mówiąc, umiał i lubił gotować tylko niektóre potrawy. Nie znał się specjalnie na kuchni, chociaż lubił dobrze jeść.

Zastanawiał się, gdzie oboje zamieszkają. Było mu obojętne, w którym domu. Gdyby miasto zechciało przyjąć taki podarunek, to w jednym z tych domów można by urządzić duże muzeum, albo też zachować go dla ich dzieci.

Uśmiechnął się. Z pewnością zbyt daleko wybiega w przyszłość, ale sprawiało mu to wielką przyjemność.

Olej już się podgrzał. Reid wrzucił filety do rondła i wtedy rozpętało się istne piekło: oliwa skwierczała i pryskała jak ogień zaporowy artylerii. Widocznie zostało jeszcze zbyt dużo wody pod warstwą mąki.

Zastanawiał się przez chwilę, co dalej robić. Obrąć ziemniaki? Persephone była doświadczoną kucharką. Doskonałe wiedziała, że ostry nóż jest znacznie bezpieczniejszy niż tępym. Nie zawracała sobie głowy ładnymi nożykami do obierania, nie używała też noży marnej jakości.

Czy przypadkiem nie za wiele spodziewał się po Cammie, przychodząc do jej domu w taki nieformalny sposób? To niesprawiedliwe, aby szczęście jednego człowieka tak bardzo spoczywało w rękach drugiego. Oczywiście Cammie mogła nie zdawać sobie sprawy, ile dla niego znaczyła, i nie mieć pojęcia, jaką miała nad nim przewagę.

Być może zrozumie, kiedy wyzna jej swoje uczucia. Do diabła, Cammie nie powinna mieć przecież żadnych wątpliwości w tym względzie!



A czy zniesie sytuację, w której, przyjmując do wiadomości jego wyznanie, obróci je przeciwko niemu? Zupełnie sobie nie wyobrażał, że Cammie, wysłuchawszy go, da mu to, na co liczy, ale tylko pod wpływem współczucia. A tego by już nie zniósł, mimo że liczył się z tym, iż może się tak zdarzyć.

Nie słyszał otwierania drzwi.

Pierwszą rzeczą, jaką poczuł, był zimny podmuch powietrza w kark, a potem lekkie muśnięcie pleców. Tylko tyle, a jednak wystarczyło, by natychmiast obudził się w nim uśpiony instynkt. Po latach koncentracji na zlecanych zadaniach i planach zareagował z prędkością jednego uderzenia serca. Cała jego istota nastawiona była na jeden, dobrze wyszkolony cel.

Wraz z błyskawicznym obrotem ciała odwrócił trzymany w ręku nóż. Ostre ostrze, wzniesione do góry i precyzyjnie wycelowane, z całej siły wbiło się w miękkie ciało kogoś, kto stwarzał zagrożenie. Cios był doskonale wymierzony, szybki jak błyskawica, i nie dawał przeciwnikowi żadnych szans.

Delikatna woń gardenii, zmieszana z zapachem ryb i gorącego oleju, ogarnęła go, zanim jeszcze wyczuł znajomą, nie dającą się z niczym porównać obecność.

Ostrzeżenie, jak rozgrzana do czerwoności smuga bólu, rozwalało mu czaszkę. Umysł i instynkt zderzyły się w potwornym konflikcie. Mięśnie Reida zdrętwiały, a ścięgna zatrzęszczały. Kości się wygięły pod stawiającym opór naciskiem. Krzyk, jaki wydarł mu się z gardła, łączył się z delikatnym kobiecym jękiem przerażenia i żalu.

Za późno. Skurczony ze strachu, przejęty potwornością tego, co się stało, pamiętał moment, w którym ostry nóż przeciął materiał i zatopił się w miękkim, poddającym się ciele.

Cammie.

Odwróciła się od niego i zatoczyła pod wpływem zadanego ciosu. Oczy miała szeroko otwarte i pociemniałe z bólu. Na miękkim, puszystym swetrze rozszerzała się czerwona plama krwi.

Podbiegł jednym skokiem i chwycił ją, nim upadła. Wziął ją w ramiona, jednocześnie ciskając nóż z siłą tak wielką, że zadźwięczał na podłodze. Słychać było chropowaty, bełkoczący głos. „To musi być mój głos” - pomyślał, chociaż zupełnie nie rozumiał słów.

- Nie twoja wina - wyszeptała z trudem w jego pierś. Czuł przez koszulę jej gorący oddech i wstrząsnął nim dreszcz. Drżące powieki Gammie opadły. Z Reida jakby uszło życie.

Umysłem nie był w stanie ogarnąć tego, co nastąpiło potem. Działał jak bezbłędnie zaprogramowany automat nastawiony na wykonywanie określonych czynności. Ostrożnie położył Cammie na siedzeniu dżipa i włączył silnik...

W izbie przyjęć nawymyślał pielęgniarki, że się guzdrze i niezdarnie ją rozbiera, sprawiając Cammie dodatkowy ból; że nie od razu wezwała lekarza, tylko czekała, aż rana będzie całkowicie odsłonięta. Nie zgodził się na opuszczenie Cammie, kiedy lekarz oglądał ranę, a następnie sprawnie zeszył otwarte cięcie. Nie docierały do niego słowa pociechy, że żaden z istotnych organów nie został uszkodzony, a rana jest czysta. Zrozumiał jedynie, że ostrze noża tylko o milimetry minęło główną arterię. Wiedział, że nie mogło być inaczej. Wierzył, że pomógł mu Bóg.

Kiedy Cammie się przebudziła i próbowała go przeprosić, tłumaczył jej, jak to się stało. Wzbraniała się przed zażyciem środka przeciwbólowego, a w końcu stanowczo odmówiła. Wówczas złapał od pielęgniarki strzykawkę i sam, cały drżący, wbił igłę w jej delikatne ciało.

Zawiózł ją do domu. Po drodze nic nie mówił, nawet nie wspomniał o tym, co tak bardzo chciał jej powiedzieć. Uważnie obserwował Cammie, jakby chciał utrwalić w pamięci jej twarz białą jak chusta i przebaczące mu spojrzenie. W zakamarkach jego umysłu i seca utkwiał widok, którego czas nigdy nie wymaże.

Cammie nie chciała, by ktoś z nią został. Powiedziała, że Reid wystarczy jej za wszelką pomoc. Ale on wezwał ciotkę Sarę.

Rozgniewała się na niego, nazywając tyranem i tchórzem. Nic nie odpowiedział. Niestety była to prawda.

Środek uspokajający wreszcie zadziałał i Cammie zasnęła. Kiedy próbowała się poruszyć we śnie, twarz wykrzywił skurcz bólu. Ośmielił się podejść bliżej, klęknął przy łóżku i trzymał rękę ukochanej przy swoich wargach, patrząc, jak oddycha jej zabandażowana pierś. Liczył tętno wyczuwalne pod palcami. Dotykał miękkich, złotobrazowych, jedwabistych włosów i gładził ze wzruszeniem policzki. Ze smutkiem obserwował cienie rzucane przez rzęsy, zlewające się z ciemnymi smugami widocznymi pod oczami.

Trwał w takiej pozie, dopóki nie przyszła ciotka Cammie. Tej rozgadanej, przestraszonej i robiącej wielki zamęt staruszce pozwolił się wypchnąć z pokoju. Był jej nawet wdzięczny, bo uniemożliwiła mu w ten sposób popełnienie jakiegoś głupstwa, na przykład pocałowanie Cammie.

Zupełnie zapomniał, że zostawił dżipa na podjeździe. Wyszedł przez tylne drzwi i odruchowo skręcił w stronę lasu.

Z ulgą powitał ciemność, jaka się wokół niego zamknęła. Nie zatrzymując się, kluczył między drzewami, przekraczał zatoczki, straszył jelenie, które ułożyły się do snu w zaroślach, i szedł coraz głębiej w zimny, wszystko przykrywający mrok.

W końcu zmęczenie go dopadło. Oddychał ciężko i chrapliwie jak śmiertelnie utrudzony człowiek. Słyszał własny oddech, serce łomotało mu w piersiach, a pot obficie spływał. Stawiał nierówne kroki, jakby miał sztywne kolana.

Potknął się. Chcąc złapać równowagę, chwycił kłującą winorośl i poczuł w ręce ostry ból, który niemal wwiercał się do mózgu.

Usiadł. Pójście dalej nie miało sensu; nie uda mu się pokonać tego koszmaru, tak jak nie udało mu się to uczynić poprzednio.

Piersi go bolały, jakby serce rozpuszczało się w żrącej substancji złożonej z niewylanych łez. Nie pozwoli sobie na łzy. Już za późno. Zatrzaśnie, zamknie wszystko tak, jak musi to zrobić ze swoimi planami, z każdym najdroższym mu marzeniem.

Aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że popełnił niewybaczalny błąd.

Nigdy nie może dopuścić do tak wielkiego zbliżenia. Nie powinien sięgać po więcej, niż mu ofiarowano.

Zabijanie, okaleczanie, walka - to dobrze znał. Być może tylko do tego się nadawał.

Ze wszystkich rzeczy na świecie najbardziej pragnął kochać Cammie i opiekować się nią. Wyglądało na to, że najlepszym sposobem osiągnięcia tego celu jest trzymanie się od niej z daleka. Z bardzo daleka.

Ale gdyby tak zrobił, mogłoby go to zabić.

A tak się przecież może zdarzyć.

Kiedy Cammie otworzyła oczy, w sypialni panował półmrok. Leżała dłużej, próbując się pozbierać. Przez jakiś czas miała wrażenie, że się unosi. Przypomniała sobie, że się budziła, popijała jakieś lekarstwa wodą, po czym znowu zasypiała. Przy łóżku siedziała ciotka Sara. Bardzo to było dziwne.

Nagle z ogromną jasnością wróciła pamięć. Odwróciła głowę, spodziewając się zobaczyć w pobliżu Reida. Ale w pokoju go nie było. Miała pewność, że był tutaj. Jeszcze czuła dotyk jego ręki.

To niemożliwe! Przecież spała całą noc i większość następnego dnia. Kiedy ostatni raz widziała Reida, było zupełnie ciemno.

Powoli umiosła rękę i położyła ją na bandażach, którymi była owinięta. Chociaż czuła ostry ból pod opatrunkiem, starała się tym nie przejmować. Również plecy ją bolały od długiego przebywania w łóżku.

Przekreśliła się na bok i usiadła. Zakuło ją w miejscu, gdzie miała szwy, ale nic złego się nie stało. Wstała i ostrożnie podeszła do okna. Niezbyt pewnie trzymała się na nogach, ale mógł to być rezultat działania środków przeciwbólowych. Do tej pory nie zażywała leków prócz aspiryny.

Za oknami powietrze było parne i nieruchome. Na niebie, tuż nad drzewami, rozciągała się szarobłękitna łąka chmur. Blednące światło miało zielonkawy odcień, jakby cała wiosenna zieleń traw i liści załamywała się

niczym w soczewce w ciężkim, wilgotnym powietrzu. „Będzie padać - pomyślała - a sądząc z chmur zbierających się na północy, może nawet przyjść burza”.

Poczuła niepokój, patrząc na las w rezerwacie. Gdzie może być Reid? Dlaczego dzisiaj go nie widziała? Był taki zmartwiony w typowy dla siebie sposób: cichy, bezradny i zamknięty w sobie. To ona ponosi winę za ten wypadek. Mówił jej przecież, jak należy z nim postępować, ale ona o wskazówkach zapomniała. Kiedy go zobaczyła w kuchni, była zaskoczona i zauroczona tym, co robił. Ponadto wzięła za dobrą monetę jego niesłychaną umiejętność reagowania na najłżejszy dźwięk. Zgubiła ją własna zarozumiałość i przekonanie, że Reid zawsze wyczuwa, kiedy ona jest w pobliżu. Jaka była głupia!

Próbowała mu o tym powiedzieć, a może to jej się tylko śniło. Nie wiedziała; umysł miała zmacony, jakby stłumiony pikowaną kołdrą i wciśnięty w najgłębszy kąt szafy.

- Na Boga, Cammie! Co ty wyprawiasz?

Cammie odwróciła się w chwili, kiedy ciotka wtargnęła do pokoju, a wraz z nią zapach cebuli i piezzonego kurczęcia.

- Nic mi nie jest. Mam dosyć leżenia w łóżku - odparła z wymuszonym uśmiechem.

- Zaszkodzisz sobie. Miałaś dużą ranę.

- Myślę, że nie było tak źle - zauważyła chłodno Cammie.

- To wszystko przez Reida Sayersa! - odparowała ciotka z oburzeniem. - Kiedy pomyślę o tym, że cię zaatakował, czuję, jak mnie boli serce. Twój wuj próbował cię przed nim przestrzec. Mam nadzieję, że teraz posłuchasz jego rad.

- To był wypadek, nic więcej.

- Mógł cię przecież z łatwością zabić! Skąd możesz wiedzieć, że nie miał takiego zamiaru, zwłaszcza teraz, kiedy Keith został zastrzelony z zimną krwią?

- Reid za nic w świecie by mnie nie skrzywdził! - zaprotestowała Gammie, usiłując nadać swojemu głosowi stanowcze brzmienie.

- Zupełnie nie rozumiem, jak możesz go bronić. Jeszcze nigdy nie byłam taka zadowolona jak ubiegłej nocy, kiedy sobie poszedł. Skóra mi cierpła na myśl, że przebywa w tym samym pokoju.

- Nie bądź śmieszna! - rzekła ostro.

- Zobaczysz, jakie to będzie śmieszne, kiedy znowu przyjdzie do ciebie. Takie rzeczy się zdarzają. Telewizja i gazety pełne są takich opowieści. Są na tym świecie ludzie, którzy potrafią zabić w mgnieniu oka.

- Reid na pewno do nich nie należy.

Podeszła do szafy i chwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła w ręce; były to dżinsy.

Ciotka poszła za nią.

- Co ty wyprawiasz? Wracaj w tej chwili do łóżka!

Cammie zdjęła z wieszaka płócienną koszulę i odwróciła się do ciotki.

- Jesteś siostrą mojej matki i jedyną prawdziwą krewną - odezwała się stanowczo, choć i ze smutkiem w głosie. - Kocham cię, ciociu Saro. Ale wyrosłam już z lat, kiedy musiałam słuchać, co mam robić, nawet jeżeli to było dla mojego dobra. Nic mi nie będzie. Dlaczego nie wrócisz do domu?

Twarz ciotki wyrażała rozpacz. Cofnęła się, po czym opadła na łóżko. Siedziała, wpatrując się w swoje ręce.

Cammie zamknęła oczy, po chwili znów je otworzyła. Rzuciła ubranie na łóżko i usiadła obok ciotki, obejmując ją ramionami.

- Nie chciałam sprawić ci przykrości. Oczywiście możesz zostać, jeżeli tylko chcesz.

Sara Taggart się wyprostowała, podniosła głowę i usiłowała się uśmiechnąć, chociaż oczy miała zaczerwienione.

- To nie o to chodzi... To jest... ach, nic ważnego! Jestem głupia.

Gammie się zawahała, zastanawiając się, co ciotka chciała powiedzieć. Nigdy nie była wścibska i nie czuła się na siłach do podjęcia próby rozwiązania jeszcze jednego, choćby małego ważnego problemu.

- Zachowuję się jak wiedźma, a ty mi okazujesz tyle serca. Gzy ten cudowny zapach dochodzący z kuchni to twój niepowtarzalny kurczak z sosem? Wiesz, umieram z głodu.

Powiedziała to, aby zmienić temat. Jednak kiedy ubrana w dzinsy i luźną koszulę, założoną na bandażę, zeszła na dół - poczuła głód. Tam czekała na nią wielka uczta. Pieczony kurczak z sosem, krewetki, szparagi i sałatka z kapusty - wszystko to pachniało wspaniale. Wzięła widelec i zabrała się do jedzenia.

W pewnej chwili spojrzała na wsunięte za szafkę przybory kuchenne. Obok leżały papierowe torby i kartony. Spoglądała na nie przez kilka sekund, zanim zdała sobie sprawę, na co patrzy.

Rondel do smażenia.

W jej pamięci odżył zapach rozgrzanego oleju, smażonych ryb i świeżo obranych ziemniaków i od razu straciła apetyt.

Ścisnęło ją w żołądku i zapiekły świeże szwy.

Rozmowa z ciotką, do tej pory bardzo skąpa - teraz zupełnie zamarła. Zjadły niewiele w kompletnej ciszy. Po kolacji Gammie się uparła, by pomóc ciotce posprzątać i załadować zmywarę. A kiedy Sara zasugerowała, że może wróci do swojego domu, Gammie słabo zaprotestowała. Ciotka Sara widocznie to wyczuła, bo zaczęła się pakować.

Kiedy wyszły na ganek z tyłu domu, wiatr zburzył włosy Gammie i podniósł kołnierz koszuli. Targane silnym wiatrem gałęzie drzew poruszały się bezustannie. Ławica chmur, którą widziała wcześniej, znalazła się nad ich głowami. Zbierało się na burzę i było coraz ciemniej. Na końcu podjazdu zapaliło się ostrzegawcze światło.



Właśnie to światło, odbite w wypolerowanej karoserii dżipa, zwróciło jej uwagę. Auto stało na podjeździe przed mocno zdezelowanym oldsmobilem ciotki.

Cammie spojrzała pytająco na ciotkę.

- Zdawało mi się, że powiedziałaś, iż Reid wyjechał?

- Poszedł pieszo. - Zaciśnięte usta ciotki nieco złagodniały. - Jeszcze czegoś takiego nie widziałam; po prostu zniknął w lesie jak ranne zwierzę. Powiedziałam Lizbeth, kiedy dzwoniła, żeby się dowiedzieć, jak się czujesz, że samochód stoi na podjeździe. Ale nikt się po niego nie zgłosił.

- To Lizbeth dzwoniła?

- Cztery razy. W każdym razie ona rozmawiała. Słyszałam w tle głos Reida, który podpowiadał jej, co ma mówić. Przerobiła polgara68

Strach paraliżujący wnętrzości Cammie nieznacznie zelżał.

- W takim razie Reid wrócił do domu.

- Na to wygląda. Kluczyki są w dżipie. Sprawdziłam. Zapytam Jacka, czy nie odwiózłby go do domu Reida, żeby usunąć ci z drogi.

Cammie potrząsnęła głową i jej piękne włosy, opadając na plecy, zawirowały między łopatkami.

- Nie przejmuj się. Kiedy będzie mu potrzebny, sam po niego przyjdzie.

W spojrzeniu, jakie rzuciła jej ciotka Sara, widać było, że zrozumiała, co Cammie miała na myśli. Jednak powstrzymała się od uwag. Po wymianie serdecznego uścisku i przypomnieniu siostrzenicy, czego nie powinna robić, ciotka odjechała.

Cammie wróciła do domu. Poszła do kuchni i długo przyglądała się rondlowi. Podniosła pokrywę. Na powierzchni wystygłej oliwy pływały drobiny mąki, przypominające wyglądem szumowiny, a na dnie leżały kawałki rozmoczonej, na wpół usmażonej ryby.

W jednej z papierowych toreb znalazła prawie obrane ziemniaki oraz kapustę i marchewkę. Była także marynowana cebula i plastikowa miska, w której znajdowało się coś, co przypominało pokarm dla szczeniaka. Były to składniki potrzebne do przygotowania uczyty w południowo wiejskim stylu.

Reid zadał sobie tyle trudu i wszystko poszło na marne. Aż zaboląo ją serce, gdy na to patrzyła.

O czym myślał, kiedy smażył, kroił i mieszał potrawy, przygotowując je na wspólną kolację? Bardzo chciałyby się tego dowiedzieć.

Keith nigdy w życiu nie zrobił niczego takiego. Nigdy nie rezygnował z własnych przyjemności i wygody, żeby jej sprawić radość. Zawsze od niej tego oczekiwał.

Jednak Keith popełnił poważny błąd: niechcący pokazał, że ona potrafi żyć sama, obywać się bez mężczyzny - zwłaszcza bez niego - i nie mieć specjalnych kłopotów. Kiedy przebrnęła przez ten etap, wszystko inne było już proste. A gdy chciał do niej wrócić i zacząć wspólne życie od nowa, zrozumiała, że nie ma do niego zaufania i że nie wierzyłyby w żadne jego słowo. Ponadto uświadomiła sobie jasno, że go nie kocha i nigdy nie kochała.

To, co zaistniało między nią a Reidem, było znacznie bardziej skomplikowane. Każde z nich wniosło w ich układ ogromny bagaż problemów: zadawnione konflikty rodzinne, przelotny młodzieńczy romans, trudności z jej rozwodem. Do tego dochodziła przeszłość Reida, postępowanie dotyczące wyjaśnienia praw własności fabryki, decyzja o jej sprzedaży i na koniec - jakby tego nie było dosyć - śmierć Keitha. Ciężar tych spraw mógł spowodować katastrofę. Według Cammie to prawdziwy cud, że z tej gmatwaniny udało im się wydobyć kilka jasnych chwil.

Czy naprawdę to było tak bardzo zagmatwane? Czy nie mogła rozwikłać wszystkich problemów, stosując prostą metodę?

Wystarczy odpowiedzieć na trzy pytania, spełnić trzy warunki, by osiągnąć szczęście. Muszą one wyjaśnić wzajemne stosunki między nią i Reidem. Przede wszystkim musi zadać sobie pytanie, co czuje, a nie czego nie czuje. A potem: Czy wierzy Reidowi? Czy go kocha? I czy mogłaby żyć bez niego?

Teraz musi poznać odpowiedzi na te pytania.

Miotła się do domu, wpadając co chwilę w krańcowe nastroje. Niespokojne myśli i uczucia podobne były do burzliwej pogody; krążyły wokół Keitha i Reida oraz różnic, jakie ich dzieliły. Przeszła na tył domu i wyjrzała przez okno. Popatrzyła na las i pomyślała o Reidzie siedzącym w Forcie po drugiej stronie rezerwatu. Zastanawiała się, co teraz robi i czy myśli o niej.

Wyciągnęła się na kanapie, przycisnęła ręce do szwów i nagle oczyma wyobraźni zobaczyła wyraz twarzy Reida klęczącego obok łóżka. Zdawała sobie sprawę, że znowu sprawiała mu cierpienie, które nie słabło od tamtych, dawnych czasów. Nienawidziła się za to i obsesyjnie żałowała tego, co się stało.

Wstała i przeszła do słonecznego pokoju. Zatrzymała się na dłużej przed swoim portretem, z którego patrzyły na nią oczy dzikie z tęsknoty. Nie pasował do nich sztuczny, ugrzeczniony uśmiech. Wspięła się na schody i weszła do gościnnego pokoju, w którym po raz pierwszy kochała się z Reidem. Sama była zaskoczona, gdy w ciemności dotknęła łóżka i jak żywe stanęły w jej pamięci sceny pełne zmysłowości.

Na koniec wyszła przed dom w mrok smagany wiatrem i otworzyła drzwiczki dżipa. Kiedy wsiadła do samochodu, natychmiast owiały ją zapachy oleju i skóry, a przede wszystkim Reida. Zatrzasnęła drzwi i usadowiła się na jego miejscu. Ręce zacisnęła na kierownicy, którą on trzymał. Przypomniała sobie sytuację, kiedy przytulała się do niego, a on ją obejmował. Patrzyła przez szybę donikąd.

Po chwili nieświadoma tego, co robi, włączyła kluczyk w stacyjce i maszyna ożyła. Skierowała dżipa do Fortu.

Błyskawica przecięła niebo nad jej głową; za reflektorami ciągnęło się przyćmione światło. Pojazd podskakiwał i bujał się wraz z podmuchami wiatru. Za każdym podskokiem czuła w szwach szarpiący ból, lecz był on niczym w porównaniu z cierpieniem serca.

Znała odpowiedzi na wszystkie pytania. Teraz musi namówić Reida, aby jej wysłuchał.

Tylko jedno światło paliło się w starym domu zbudowanym z bali. Padało z wąskich okien gabinetu Reida. Dla Cammie był to znak, że prawdopodobnie sam jest w domu.

Kiedy otworzyła drzwiczki dżipa, wiatr o mało ich nie wyrwał. Wichura unosiła w powietrzu zielone liście wraz z suchymi gałązkami i kawałkami kory. Błyskawice z hukiem przelatywały nad jej głową. Schyliła się i podbiegła do drzwi.

Gdy nacisnęła przycisk, usłyszała dźwięk dzwonka w głębi domu. Miała wrażenie, że zanim jej otwarto, minęły wieki.

W drzwiach stał Reid; padające z tyłu światło tworzyło wokół głowy rodzaj aureoli ze złotych włosów. Twarz kryła się w cieniu. Ale kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał gniew.

- Do diabła, co tutaj robisz? Powinnaś leżeć w łóżku!

- Muszę z tobą porozmawiać! Naprawdę, to bardzo ważne!

Przez dłuższą chwilę patrzył na twarz, po czym przeniósł wzrok na długie pasma włosów wijące się wokół głowy, a następnie na jej ręce przyciśnięte do bandaży. Zesztywniał. Głosem przypominającym zgrzyt stali o stal nakazał:

- Wracaj do domu, Cammie! Zapomnij. Zapomnij o wszystkim!

Zamierzał zamknąć drzwi. Widząc to, wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.

- Jak mogę zapomnieć? - pytała rozpaczliwie. - Powiedz mi, jak mam to zrobić, to sobie pójdę.

Westchnął głęboko; Cammie nie wiedziała, czy chciał jej odpowiedzieć, czy jej się pozbyć. W tym momencie dom pogrążył się w mroku.

Zgasło światło. Zdarzało się to bardzo często podczas złej pogody. Wystarczyło, żeby padające drzewo uderzyło w przewody. Prądu mogło nie być dwie minuty albo dwa dni, w zależności od stopnia uszkodzeń linii elektrycznych. Cammie była zadowolona z ciemności, bo czuła się mniej skrępowana tym, co zamierzała mu powiedzieć.

Rękę, którą podtrzymywała drzwi, przesunęła na ciepłą i mocną pierś Reida i poczuła, jak drgnął pod dotknięciem.

- Proszę cię, jest tyle spraw, o których muszę ci powiedzieć. Może to nie jest najlepsze miejsce i najodpowiedniejsza pora, ale jeżeli tego teraz nie zrobię, mogę się już nigdy na to nie zdobyć.

- Przestań! - Ostry rozkaz jak nożem przeciął jej słowa. Złapał ją za nadgarstki i odsunął od siebie.

Pochyliła się, tracąc równowagę na skutek szarpnięcia. Właśnie wtedy w świetle błyskawicy spostrzegła walizkę i torby podróżne ustawione przy drzwiach.

- Och Reid, nie możesz! - krzyknęła. - Nie możesz znowu odejść. Nie mam zamiaru zmuszać cię do niczego, nie powiem nawet tego, czego nie zechcesz słyszeć. Ale twojego wyjazdu nie zniosę! - Wolną ręką chwyciła go za koszulę. - To, co się zdarzyło ubiegłej nocy, to był wypadek, nic innego. Nie pozwolę ci...!

Padł strzał. Nad głową Cammie z gwizdem przeleciała kula i roztrzaskała futrynę w ostre drzazgi.

Jakś ogromna siła pociągnęła ją w przód. Poczuła brutalne objęcie. Zaraz potem była wolna. Potknęła się o podróżną torbę i tak silnie uderzyła w boczną ścianę, że

z bólu zabrakło jej tchu i siły do wypowiedzenia skargi. W tej samej chwili usłyszała zatrzaśnięcie drzwi Fortu.

- Na dół! - warknął Reid.

Głuchemu odgłosowi sztaby zasuwanej na drzwiach towarzyszył huk następujących jeden po drugim strzałów. Kule waliły w ciężkie, solidne drzwi. Reid zrobił szybki unik; w pokoju zamigotał jego ruchomy cień.

Cammie z ulgą obsunęła się na podłogę, pragnąc uspokoić trzęsące się kolana.

- Dlaczego? Na litość boską, dlaczego? - zapytała pełnym napięcia szeptem.

- Chce nas zabić.

- Ale z jakiego powodu? I kto to może być?

Reid zdenerwowany biegał po pokojach i zatrzaśniał wewnętrzne okiennice.

- Od tej chwili jest tylko snajperem, który popełnił poważny błąd - skonstatował.

W miarę jak Reid zbliżał się i oddalał w ciemnościach, jego głos to zanikał, to się przybliżał. W domu panowała śmiertelna cisza, aż dreszcze przebiegały po krzyżu. Zwilżyła wargi.

- Co ty mówisz? - spytała.

- On jest na moim terenie i wreszcie zdradził swoje zamiary. Do tego jeszcze źle wybrał pierwszy cel: ciebie zamiast mnie.

- Mnie?

- Gdybyś się ruszyła, z pewnością by cię trafił. - Głos Reida się urwał, jakby mu nagle zabrakło powietrza. Ponownie usłyszała go tuż obok siebie.

- To się już nie powtórzy, nigdy! - zapewnił stanowczo. - Ktokolwiek tam jest, jeszcze nie wie, że jest mój.

Reid się odwrócił i wybiegł z pokoju. Gammie obserwowała jego szybkie, niemal bezszelestne ruchy. Jeżeli teraz przy zaryglowanych oknach Reid uważa, iż może się bezpiecznie poruszać, to również ona może. Cammie się podniosła i podążyła za jego cieniem, posuwając się wzdłuż holu.

- Musimy zadzwonić do Buda. W ciągu dziesięciu minut może nam przysłać wóz patrolowy - powiedziała przyciszonym głosem.

- Nie sędzę.

Obawiała się, że taka właśnie będzie jego odpowiedź.

- Kimkolwiek jest ten szaleniec, nie możesz z nim walczyć w pojedynkę.

Reid zatrzymał się na progu gabinetu. Upłynęła dłuższa chwila, zanim dotarł do niej jego głos.

- Ktokolwiek tam jest, zabił już jedną osobę, a być może więcej. Teraz czyha na ciebie, a ja jestem jego kolejną ofiarą. Jeżeli złapie go policja, będzie odpowiadał tylko za usiłowanie popełnienia morderstwa albo wykręci się chwilową niepoczytalnością. Skażą go na siedem lat więzienia, a wyjdzie po czterech lub wcześniej. Wcale nie mam ochoty po tak krótkim czasie oglądać się za siebie, czy przypadkiem na mnie nie poluje.

- Policja nie lubi, kiedy ktoś wymierza sprawiedliwość na własną rękę. W rezultacie sam możesz wylądować za kratkami.

- Być może.

Reid raz jeszcze się oddalił i wszedł do gabinetu. W smudze światła jakby od ręcznej latarki zobaczyła go pochylonego nad biurkiem, na którym znajdował się zestaw sprzętu elektronicznego.

Gammie podeszła do niego, mocno zaciskając dłonie.

- To jeszcze nie wszystko. Chcesz się pozbyć tego napastnika, ponieważ tylko w ten sposób możesz usprawiedliwić swoje wyjście z domu. Myślisz, że nie wiem, czemu mi się tak przyglądasz? Nie jestem ślepa.

- Zwłaszcza teraz, kiedy ów osobnik dał wyraźnie do zrozumienia, o co mu właściwie chodzi. - W słowach Reida zabrzmiała gorycz.

- Wiedziałam o tym już wtedy, kiedy zająłeś się Keithem w domku kempingowym - sprostowała Cammie. - Odgadłam to nawet jeszcze wcześniej, gdy spotkałam cię w lesie za domem. Niezupełnie jednak rozumiem, dlaczego to robisz.

Z zapartym tchem czekała na odpowiedź. Niestety bezskutecznie. Reid był całkowicie pochłonięty zbieraniem ekwipunku. Wyciągnął go z ciężkiej, zapinanej na suwak torby.

- Zdecydowałeś teraz - powiedziała pełnym napięcia głosem - że nie chcesz być moim ochroniarzem. Uważasz, że tylko trwałe rozwiązanie problemu przyniesie ci spokój. Popełniasz jednak błąd. Nie mogę ci pozwolić na podjęcie takiego ryzyka!

Reid przerwał wybieranie sprzętu i skierował na nią strumień światła latarki. Przez chwilę trzymał ją w oślepiającym blasku, po czym odwrócił rękę i rzekł twardo:

- Jeżeli ktoś mógłby mnie powstrzymać, to tylko ty, Cammie. Ponieważ jednak robię wszystko, co jest w mojej mocy, aby utrzymać cię przy życiu, muszę kierować się własnym rozumem.

Dziewczyna zacisnęła zęby w rozpacz. Już bez słowa cofnęła się i skierowała do głównego holu. Poszła



w stronę wewnętrznych schodów. Tam pod stopniami znajdowała się kabina telefoniczna dawnego typu. Takie kabiny budowano w starych domach w czasach, kiedy jeden aparat zaspokajał potrzeby całej rodziny. Cammie wiedziała oczywiście, że w domu są jeszcze inne aparaty, ale ten jest w najbezpieczniejszym miejscu.

Zaskoczyło ją, że Reid nie podąży za nią. Rozumie przyczynę jego zachowania z chwilą podniesienia ciężkiej słuchawki staroświeckiego aparatu.

Linia jest głucha. Telefon wyłączono podobnie jak elektryczność; być może zostały przecięte oba kable.

Cammie odkłada słuchawkę. Stojąc przy aparacie, chwytając uchem dochodzący z góry odgłos cichego dudnienia. Zaczyna padać, krople deszczu, wspomagane porywami wiatru, ciężko i nieprzerwanie uderzają w budynek.

Gdzieś na zewnątrz czai się snajper. Może właśnie w tej chwili dotarł do garażu i zajmuje się unieruchomieniem dżipa i lincolna, aby uniemożliwić im ucieczkę. Albo krąży wokół domu, szukając wejścia. A może zastawia pułapkę przed drzwiami, którymi mogliby wymknąć się z Fortu.

Jedno jest pewne: nie chowa się w jakimś bezpiecznym i suchym miejscu. Myśli, że dobrze wybrał porę napadu i urządził wszystko tak, aby pozbawić ich szans ucieczki. Musi ich dopaść szybko, w ciągu kilku najbliższych godzin. Burza się skończy, nadejdzie dzień i zacznie się normalne życie. Fort leży wprawdzie na uboczu, ale od rana, kiedy ludzie mieszkający w głębi rezerwatu wyruszają do pracy, na drodze zapanuje duży ruch. Napastnik nie mógłby wówczas wykonać swego zadania bez zwracania uwagi.

Co chce zrobić Reid? Na pewno nie zamierza zostać w Forcie. Prawdopodobnie postanowił wyślizgnąć się z domu i zapolować na snajpera. To oznacza, że założył wszystkie zabezpieczenia, a także zaryglował drzwi

i okna wyłącznie z myślą o jej bezpieczeństwie. A zatem ma zamiar zostawić ją zamkniętą w środku.

Nagle Cammie olśniewa nowa myśl. Wie już, co robi Reid w swoim gabinecie. Torba, w której grzebie, zawiera między innymi telefon komórkowy. A na jego biurku stoi komputer. Na pewno jest zaopatrzony w baterie, które ułatwiają pracę w czasie częstych wyłączeń prądu. Za pomocą odpowiedniego modułu telefon może zostać podłączony do komputera Charles'a Meyera w Nowym Jorku i przesłać mu sygnał alarmowy, opisany z takim humorem przez Michelle Meyer.

Tak więc przed pozostawieniem jej samej Reid montuje ostateczne zabezpieczenie. Kiedy skończy tę robotę, zniknie w ciemnościach nocy. To dlatego pozwolił jej na chwilę oddalić się od siebie. Wiedział, że nie będzie mogła użyć telefonu, a nie chciał, żeby zobaczyła, co robi.

Dziewczyna wykonuje gwałtowny zwrot i biegnie z powrotem do gabinetu. Już w drzwiach słyszy szum komputera i dostrzega neonowy poblask wyświetlanej na ekranie wiadomości, podczas gdy iluminowany wskaźnik na telefonie komórkowym wyraźnie dowodzi, iż wiadomość jest nagrywana. Reid stoi w głębi pokoju przed szafką z bronią i metodycznie wprowadza kule do potężnej strzelby.

- Dlaczego to robisz? - pyta bez tchu. - Jaka jest różnica między nadaniem twojego sygnału a moim telefonem do Buda?

- Chodzi o dwie różne sprawy - odpowiada szorstko Reid. - Po pierwsze, jeżeli Charles wezwie pomoc, uzyskam dodatkowe dziesięć minut na rozprawienie się ze snajperem. Po drugie, Charles może zapewnić skuteczniejszą opiekę policyjną na wszelki wypadek.

- Na wypadek, gdyby ci się nie udało? Czy też gdyby to właśnie Bud był na zewnątrz?

Twarz Reida była ponura, kiedy spoglądał na nią w nikłej poświacie komputera.

- Powiedziałem: na wszelki wypadek. Kropka. Wolę zabezpieczyć się na wszystkich frontach.

Kończył ładowanie strzelby. Zaciągnął zamek ciemnej dopasowanej kurtki i zaczął upychać po kieszeniach zapasowe naboje. Przygotowania są prawie zakończone.

Było w nim jakieś nieokreślone poczucie dystansu. Tak jakby nie szykował się do jej opuszczenia, ale jakby się w przedziwny sposób od niej oddalił.

Obserwując go, Cammie spostrzegła, że Reid sięga w głąb szafki i zdejmuje z górnej półki niewielki pistolet, a potem podchodzi do biurka i kładzie broń na błyszczącym blacie.

- To dla ciebie - mówi na pozór obojętnym głosem. - Nie jest duży i trzeba odciągnąć kurek, żeby z niego wystrzelić, ale jest naładowany ostrymi nabojami, które gwarantują powstrzymanie każdego napastnika. Jeżeli zdecydujesz się użyć broni, nie popełnij błędu, strzelając w górę albo w ziemię. Celuj prosto w ciało przeciwnika i strzelaj, aby zabić.

- Chyba nie sądzisz...

- Nic nie wiem - przerywał ostro. - Nie zadawaj żadnych pytań, tylko słuchaj mnie uważnie. Ten pokój można uznać za bezpieczny: jest tu wewnętrzna zasuwa, solidne ściany, jedno wyjście, żadnych okien, przez które można by było wdrzeć się do środka, i wreszcie telefon z wezwaniem o pomoc. Życzę sobie, abyś pozostała tu aż do mojego powrotu.

Reid robi teraz na Cammie wrażenie obcego człowieka. Zachowuje się jak dowódca wydający rozkazy i oczekujący posłuszeństwa. Postępuje w taki sposób, jakby pozbył się wszelkich uczuć i zamienił w bezduszną maszynę, która działa bezbłędnie na dźwięk pierwszej salwy. Nie ma już w nim ani śladu mężczyzny, z którym się kiedyś śmiała i bawiła, którego tak mocno pokochała. Wygląda na to, że Reid z całym spokojem umyślnie go w sobie zniweczył.

Cammie czuje się opuszczona i bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Mimo to nie chce się poddać jego woli. Jeżeli Reid znajduje się w środku walki, to ona tak samo.

- Robisz to dlatego, że mnie zraniłeś, prawda? - mówi z namysłem. - Dlatego zachowujesz się w ten sposób. Zdarzyło się to pomimo wszystkich twoich wysiłków, aby temu zapobiec, i nie możesz tego znieść. Gdzieś w zakamarkach pamięci utożsamiasz mnie z małą dziewczynką, która zginęła w Izraelu. Musisz uratować mnie, ponieważ nie byłeś w stanie jej uratować. Wiem, a przynajmniej sądzę, że wiem, jak bardzo zabolęła cię jej śmierć. Ale przecież nie chciałeś patrzeć, jak umiera, podobnie jak nie chciałeś zranić mnie. Te wypadki wydarzyły się na skutek działań innych ludzi i w odmiennych okolicznościach. Nie możesz się o to obwiniać.

Reid drobnym gestem chce protestować, ale Cammie nie przestaje mówić.

- Chodzi o coś więcej, Reid. Ja nie jestem dzieckiem, nie jestem niczyją ofiarą i nie jestem martwa. Nie zabiłeś mnie dlatego, że po prostu nie byłeś w stanie tego zrobić. Wycofałeś się świadomie, czułam to dobrze. Uratowałeś mnie nie tylko przed Keithem i tym prześladowcą, który znajduje się gdzieś tam na zewnątrz, lecz także przed samym sobą. Nie jesteś i nigdy nie byłeś zwierzęciem, które zabija bezpardonowo.

Lecz oto Reid już znika, cofając się przed potokiem słów jak przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. Przez chwilę jeszcze we framudze drzwi dostrzega jego twarz pobladłą i napiętą oraz oczy pełne bólu. W następnym momencie ma już przed sobą wyłącznie pustą przestrzeń i ciszę.

Cammie przygryza dolną wargę i przymyka oczy. Nie udało się. Nie osiągnęła niczego.

A jeśli dopięła czegokolwiek, to raczej czegoś niewłaściwego. Jeżeli Reid ma instynkt zabójcy, to

obudził się właśnie teraz. Jeżeli go nie ma albo jeśli go rozbroiła swoimi słowami, łatwo może zginąć w ciemnościach.

Pistolet jest rzeczywiście bardzo mały. Kiedy powoli bierze go do ręki, z łatwością chowa się w jej dłoni razem z lufą nieco krótszą od środkowego palca.

Cammie stoi nieruchomo z palcami zaciśniętymi wokół miniaturowej broni, nasłuchując trwożliwie, podczas gdy nieopanowany strach przeszywa jej piersi. Najbardziej niebezpieczna dla Reida jest chwila wyjścia na zewnątrz; morderca może czekać na ten właśnie moment.

Mijają minuty. Cisza. Słysząc tylko monotony szum deszczu i rzadkie pomruki piorunów. Z pewnością Reid jest już na dworze.

Cammie wsuwa pistolecik do górnej kieszonki dzinsów raczej dlatego, że Reid zostawił go dla niej, niż dlatego, że chce mieć go przy sobie. Powoli zbliża się do drzwi i kładzie rękę na zasuwie.

Reid polecił jej zamknąć drzwi.

Pragnienie podążenia w jego ślady jest jednak tak silne, że ledwie może je opanować. Nie chce być zamknięta w pokoju, w którym niczego nie zobaczy ani nie usłyszy. Każdy nerw jej ciała buntuje się przeciwko takiej perspektywie. Przecież może mu pomóc.

Z drugiej strony mogłaby również stać się zawadą, zwłaszcza gdyby nie wiedział, że znajduje się w pobliżu. A gdyby nawet zdawał sobie z tego sprawę, to jednoczesne czuwanie nad jej bezpieczeństwem mogłoby mu przeszkodzić w działaniu. Jeżeli ktokolwiek miałby sobie poradzić samotnie w podobnej sytuacji, to tylko Reid.

„Zostanę tutaj - pomyślała Cammie - z tych samych względów, które zawsze powstrzymywały kobiety od brania udziału w walce. Tylko że tak trudno to znieść”.

Zamknęła zasuwę i wróciła do pokoju. Jej wzrok padł na telefon komórkowy i komputer. Słowa wy-

światłone na ekranie poinformowały ją, że wiadomość została już przekazana. Telefon był wolny.

Reid jej zaufał, uwierzył, że nie będzie z niego korzystała. Wprawdzie nie powiedział jej tego wprost, ale wyraźnie dał do zrozumienia. Mimo to Cammie podeszła do biurka i położyła dłoń na aparacie.

Po chwili jednak cofnęła rękę. Nie może postępować wbrew Reidowi. Jeżeli on ma rację, a coś by się złego stało na skutek jej działań, nigdy by sobie tego nie darowała.

Na biurku obok komputera leży teczka z aktami. Trochę dłuższa od używanych obecnie, pożółkła ze starości, cała w ciemnożłotym kolorze przechodzącym w brąz. Brzegi papierów pozaginane i wyraźnie zużyte, a same dokumenty wydają lekki zapach stęchlizny i dymu z cygar.

W czasie swoich kontaktów z antykami Cammie dostatecznie dużo widziała tego rodzaju teczek pochodzących z przełomu stulecia, że natychmiast rozpoznała jedną z nich. Z czystej ciekawości uniosła kartę tytułową.

W środku znajdował się tylko jeden ręcznie spisany dokument. Pismo było eleganckie i pełne ozdobnych zawijasów, a ten, kto pisał, posługiwał się dobrze zaostrzonym piórem i czarnym atramentem. Język dokumentu brzmiał urzędowo i obfitował w prawnicze frazesy, lecz intencja piszącego była całkowicie wyraźna. Przedmiotem aktu jest przekazanie tytułu własności. Chodzi przy tym nie o jeden kawałek ziemi, lecz o dwa, które są szczegółowo opisane. Podpisy stron zostały potwierdzone przez świadków i notariusza. Nazwiska wpisane na dole dokumentu są wyraźne i czytelne.

Lavinia A. Wiley Greenley.

Justin M. Sayers.

Cammie zamknęła teczkę. Od jak dawna Reid ją ma? Gdzie ją znalazł? Dlaczego jej, na litość boską, nie pokazał, a przynajmniej nie wspomniał o niej?

Jakie to teraz ma znaczenie? Gammie zacisnęła dłonie i odeszła od biurka.

Pokój jest zbyt mały i za bardzo zagracony, aby się po nim przechadzać. Odniosła wrażenie, iż ściany zaczynają ją przygniatać. Co się stanie, jeżeli snajper podpali dom? Przecież niczego nie będzie widać. Jeżeli spróbuje uciekać, zabicie jej nie nastęrczy napastnikowi żadnych trudności.

Czy Charles Meyer telefonuje już, wzywając dla nich pomocy, czy też badana wiadomość błyska bezskutecznie w pustym nowojorskim pokoju? Jeżeli zakodowane przesłanie dotarło do Charles'a, to z kim się skontaktuje, jeśli nie z Budem? Czy policja stanowa użyje wozów z wyjącymi syrenami, czy też wyląduje helikopterem na frontowym trawniku? Kto wie, może przyjaciele Charles'a i Reida z CIA albo regionalni pracownicy FBI przybędą motorową kawalkadą, poprzedzoną rykiem klaksonów. Jak szybko nadejdzie jakokolwiek pomoc? Ile czasu zostało Reidowi do końca narzuconej samemu sobie misji?

Gdzie jest teraz Reid? Widzi go oczyma wyobraźni, jak skrada się w tę ciemną, mokrą noc, chroniąc pod gałęziami drzew i nasłuchując odgłosu stóp przeciwnika. Czy Reid ma jakiś logiczny, oparty na dawnych doświadczeniach plan zaskoczenia mężczyzny z karabinem? Czy zaatakuje snajpera twarzą w twarz, czy raczej spróbuje go okrążyć i zejść od tyłu? Zasypie intruza gradem kul o bliskim zasięgu czy zdecyduje się na jeden precyzyjny strzał?

Niespodziewane pukanie sprawia, że Cammie odwraca się w stronę drzwi. Szybko się jednak orientuje, że dźwięk dochodzi z większej odległości. Sprawia wrażenie, że ktoś dobija się do frontowego wejścia.

Nie reagować czy raczej sprawdzić? Zostać tu, gdzie jest, czy też opuścić bezpieczne pomieszczenie, aby zobaczyć, co się dzieje?

Kto wie, może to Reid próbuje dostać się do środka. Wymykając się z domu, na pewno zaryglował drogę wyjścia, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. A jeśli jest ranny i nie może powrócić w taki sam sposób, w jaki wyszedł?

Cammie odciąga zasuwę i lekko uchyla drzwi.

Stukanie dochodzi wyraźnie od frontowego wejścia. Z drżeniem serca dziewczyna podąża w tę stronę, mijając hol i salon. Teraz słyszy już znajomy głos, w którym brzmi niepokój.

- Czy to ty, Camillo? Nic ci nie jest? Zdawało mi się, że słyszałem strzały.

- Wujek Jack? - pyta Cammie, przysuwając głowę do drzwi. - To ty, wuju?

- Ktoś mi powiedział, że widział, jak jechałaś w tym kierunku dżipem Sayersa. Było już tak późno, że postanowiłem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Wpuść mnie, Camillo.

Są takie chwile w życiu, kiedy nawet wścibski intrygant może się przydać. Był przecież w Wietnamie, musi się znać na snajperach. Poza tym nie powinna zostawiać go na zewnątrz, gdzie może być postrzelony przez pomyłkę. Cammie podnosi metalową sztabę i przekręca klucz w zamku.

„Był przecież w Wietnamie, musi się znać na snajperach...”

W nagłym olśnieniu Cammie uświadamia sobie straszliwą prawdę. To właśnie jej wuj jest tym snajperem, który czyha na jej życie. W odruchu rozpaczony rzuca się na drzwi, usiłując ponownie przekręcić zamek.

Niestety. Ciężkie odrzwia wałą się na nią z całym impetem. Dziewczyna zatacza się, uderza o ścianę i odbija od niej. Ostry ból przeszywa jej ciało. Tłumiąc mimowolny okrzyk, próbuje odzyskać równowagę, lecz nogi uginają się pod nią i pada bezwładnie na podłogę.



Jak przez mgłę dostrzega ciężką postać wuja nacierającego na nią. Przy zamkniętych oknach wewnątrz domu jest tak ciemne, że widzi jedynie sylwetkę Jacka na tle szarego mroku na zewnątrz. W jednej ręce trzyma karabin.

Kierując się odgłosem, jaki spowodował jej upadek, wuj rzuca się w jej stronę. Cammie turla się po podłodze z desperacką szybkością. Umyka przed kopniakiem, lecz odczuwa silny ból w kości biodrowej, w którą wpił się pistolecik przygnieciony jej własnym ciałem. Natychmiast odrzuca połę koszuli i sięga po broń, zaciskając palec na kurku i czołgając się po śliskiej podłodze.

Przez głowę przebiega jej myśl, że drzwi salonu znajdują się tuż za nią. Czuje dobiegający stamtąd powiew otwartej przestrzeni. Prześlizguje się na rękach i kolanach, kryjąc się przez moment za ścianą, zanim udaje jej się stanąć na nogi. Przesuwając się ostrożnie przez salon, usiłuje przypomnieć sobie rozkład domu. Tę drogę w ciemnościach przemierzyła już dwukrotnie w ciągu tego wieczoru, podczas gdy wuj nie ma pojęcia, jaki jest rozkład pomieszczeń.

Cammie obchodzi kanapę i mija fotel na biegunach. Jest prawie pewna, że drzwi do jadalni znajdują się na wprost niej.

- Wracaj tutaj! - wrzeszczy z wściekłością Jack Taggart.

Rozlega się strzał i kula trafia w ścianę, pod którą kilka sekund wcześniej skryła się Cammie. Napastnik strzela na oślep, mierząc w cienie i dźwięki, bo nie może jej dostrzec.

Cammie wyciąga swój pistolecik z kieszonki. Ale i ona także nie widzi celu, a jeżeli da ognia, to wuj będzie wiedział, że jest uzbrojona. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko zdoła dotrzeć do bezpiecznego pokoju, zanim wuj ją dosięgnie. Musi szybko przedostać się przez jadalnię z powrotem do holu, minąć dwie pary drzwi i schronić się w gabinecie.

Stała na chwilę, by opanować przyśpieszony oddech. Poczowała, że coś mokrego lepi się do koszuli i spływa w dół, ku paskowi dzinsów. Musiały popękać świeże szwy.

Nie ma teraz czasu, żeby o tym myśleć. Powinna sobie dokładnie przypomnieć rozmieszczenie stołu i krzeseł w jadalni. Zaczyna się poruszać bardzo ostrożnie. Podnosi jedną stopę, stawia pierwszy krok, potem następny i jeszcze kolejny...

Była już prawie przy drzwiach prowadzących do holu, kiedy nagle potrafiła szafkę z porcelaną. Rozległ się głuchy odgłos spiętrzonych talerzy i krystaliczny brzęk uderzających o siebie szklanek. W tym samym momencie pomarańczowy ogień wystrzału przeciął pokój.

Jednym skokiem Gammie oderwała się od szafki z rozbitą porcelaną i rzuciła w stronę drzwi. Minęła je biegiem i popędziła wzdłuż holu. Czuła na twarzy powiew wiatru, do jej uszu dobiegał szum padającego deszczu. Niespodziewanie dostrzegła jakieś poruszenie. Ogarnął ją paraliżujący strach.

Dotychczas uciekała w głąb domu, chciała znaleźć się jak najdalej od otwartego frontowego wejścia. Jeżeli poczuła powiew świeżego powietrza, to znaczy, że ktoś wszedł od tyłu. Na wprost siebie, w szarym prostokącie otwartych drzwi, dostrzegła sylwetkę człowieka z bronią w ręku.

Mężczyzna podniósł karabin do ramienia. Jego głos zabrzmiał spokojnie, lecz stanowczo:

- Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś!

Z nieuniknionym poślizgiem Cammie znieruchomiała. Tuż za sobą usłyszała ciężkie stąpnięcia wuja - jedno, drugie, trzecie... Potem zapanowała straszliwa cisza, zakłócona jedynie przekleństwami, dziwnie szokującymi w ustach, które tak często wypowiadały słowa modlitwy.

Mężczyznę z karabinem przy ramieniu był Reid, a jego rozkaz nie dotyczył jej, lecz wuja.

- Mam na muszce Camillę - odezwał się warkliwie Taggart. - Jeżeli wystrzelisz, ona zginie wraz ze mną.

Zapadła chwila elektryzującej ciszy. Przez otwarte drzwi widać było, jak błyskawica poprzedzająca uderzenie piorunu oświetliła słabym blaskiem trzy nieruchome postacie. Cammie dostrzegła obu mężczyzn stojących naprzeciw siebie i gotowych do strzału. Reid przybliżył się do niej i znalazł na wprost otwartych drzwi gabinetu. W promieniu światła padającego z komputerowego ekranu spostrzegła zaciętą i nieustępliwą twarz Reida. Karabin wuja wymierzony był prosto w nią. Cammie czuła w dłoni ciężar swojego małego pistoletu.

- No, dalej - burknął wielebny Taggart głosem, z którego aż biło samozadowolenie. - Odłóż broń, Sayers, albo ją zabiję!

Jedyną oznaką, że słowa te dotarły do Reida, było lekkie napięcie skóry wokół oczu. Powiedział na pozór spokojnie:

- Zabijesz ją, cokolwiek zrobię. Nie możesz pozwolić jej żyć, bo stoi ci na drodze.

- Tak samo jak ty - przyznał otwarcie wuj Cammie - ale sądziłem, że jako dżentelmen zechcesz odejść pierwszy.

Znowu zapadła przedłużająca się cisza. Reid nie patrzył wprost na Cammie, lecz ona była pewna, że nic w jej wyglądzie, od czerwonych plam krwi w pasie do palców zaciśniętych wokół pistoletu ukrytego w opuszczonej wzdłuż ciała ręce, nie uszło jego uwagi. Reid wykonał minimalny ruch, tak jakby zamierzał opuścić strzelbę.

- Nie! - krzyczy Cammie.

Reid odwrócił wzrok w jej stronę.

- Nic innego nie mogę zrobić - powiedział zmęczonym głosem.

Cammie wie, iż poddanie się nie leży w charakterze Reida. W lot się zorientowała, co zamierza uczynić.

Reid nie poddaje się, lecz uczyni dla niej ofiarę.

- Nie! - woła raz jeszcze, ale jest już za późno. Reid opuścił broń w dół.

- Połóż ją na podłodze - rozkazuje Taggart, stojący z karabinem wciąż wymierzonym prosto w Cammie.

Reid pozwolił upaść strzelbie na ziemię. W tym samym momencie wuj Cammie odwrócił karabin w jego stronę.

- Stop! - krzyknęła Cammie, podnosząc pistolet.

Głęboko osadzone oczy wuja rozszerzyły się, a usta mocno zacisnęły. Przez chwilę stał nieruchomo, tylko sardoniczny uśmiech wykrzywił jego twarz.

- Nie strzelisz do mnie. Jesteś na to zbyt miękka!

Czy on ma rację? Cammie sama tego nie wie. Gdyby miała pistolet w dłoni wówczas, gdy rzucił się na nią w ciemnościach, mogłaby odruchowo wystrzelić. Teraz musi to zrobić z rozmysłem.

W niedalekiej przeszłości skierowała broń w Keitha i pociągnęła za spust. Jedyna różnica polega na tym, że strzelała do świateł jego wozu, w ziemię przed jego stopami i wszędzie dokoła, tylko nie bezpośrednio w niego. Drobne skaleczenia, jakie odniósł, były czystym przypadkiem.

Teraz wypełnia ją śmiertelna troska o życie Reida, a także nagląca potrzeba zwolnienia tempa wydarzeń, aby mogła podjąć decyzję co do następnego posunięcia.

- Dlaczego? - pyta, podnosząc drugą rękę w celu zahamowania drżenia tej, która trzyma pistolet. ~  
Dlaczego usiłujesz mnie zabić?

- Nie udawaj głupiej!

- To proste - odpowiedział Reid zamiast Taggarta. - Jego żona jest twoją najbliższą krewną. Zgodnie z obowiązującym w tym stanie prawem dziedziczenia jest również twoją legalną spadkobierczynią, ponieważ skreśliłaś swoje rozporządzenia we wspólnym testamencie, jaki posiadaliście razem z Keithem. Nie ma

znaczenia, czy zachowałeś tytuł własności do ziemi, na której stoi fabryka, oraz części zysków z produkcji, czy też przypada ci udział Keitha w przedsiębiorstwie Sayers-Hutton. W każdej sytuacji Taggart odnosi ogromną korzyść, gdyż jego żona jest mu całkowicie uległa. Chociaż wcale bym się nie zdziwił, gdyby ciocię Sarę spotkał jakiś tragiczny wypadek, kiedy już ty zostaniesz usunięta z drogi.

- Lecz co z tobą? Dlaczego wuj próbuje zabić mnie w twojej obecności, podczas gdy mógłby wykonać swój plan znacznie łatwiej gdzie indziej?

- Mam jej to wyjaśnić? - spytał Reid Taggarta wyzywającym tonem.

- Czemu nie? Jak dotąd idzie ci całkiem dobrze.

Reid pochylił głowę.

- Myślę - powiedział ponuro, nie spuszczać wzroku z przeciwnika - że zostałem wybrany na kozła ofiarnego. Wyobrażam sobie, że nasze ciała mają być odnalezione w pozycji klasycznego aktu samobójczego. Każdy przecież wie, że zabiłem Keitha i uwikłałem się w beznadziejną aferę miłosną z tobą. W dodatku wyeliminowanie mojej osoby znacznie ułatwi sprzedaż.

- Ty zabiłeś? - zapytała Cammie i szybko zaprzeczyła: - Nie! Nie mogłeś tego zrobić.

- Masz rację - zgodził się Reid, wyraźnie zadowolony z jej konkluzji. - Przypuszczam, że Keith popełnił błąd, usiłując pożyczyć pieniądze od twojego wuja i zaciągnąć dług w formie kontrolowanej przez bandę złodziei. Tym się właśnie naraził, a poza tym niepotrzebnie wtykał nos w miłosne igraszki naszego wielebnego z dziewczyną z chóru.

Cammie pojmuje teraz, o co chodzi Reidowi. Chce zyskać na czasie, przedłużając tę dziwną rozmowę. Tylko w jakim celu? Żeby uspokoić jej nerwy? A może dlatego, że szykuje się do jakiegoś nowego posunięcia?

Albo też pragnie doczekać się nadejścia pomocy w odpowiedzi na wezwanie? Tak czy inaczej musi mu w tym dopomóc.

- Co to za dziewczyna z chóru? - zapytała niewinnie.

- Evie, jakbyś sama nie wiedziała - wtrącił wuj jadowitym głosem. - Mój Boże, plotki dotarły nawet do Sayersa. Nie zapominaj, że sam widziałem ją w twoim domu. Szczebiotałyście na mój temat główka przy główce. I dlaczego uwierzyłaś tej małej wywłoce, zamiast usłuchać własnego wuja...

- To ty - szepcze Cammie. - To ty byłeś tym mężczyzną, który ją prześladował, kiedy go rzuciła. To ty próbowałeś ją odzyskać!

- Ona była jedynym podniecającym wydarzeniem w moim życiu. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, aby ją zatrzymać przy sobie. Przecież nakłoniłem nawet ciebie, żebyś dała jeszcze jedną szansę Keithowi, bo miałem nadzieję, że wówczas ją porzuci, a ja zajmę jego miejsce. Ale ten *twój* sprytny mężulek domyślił się wszystkiego i wyznaczył mi spotkanie w leśnym rezerwacie. Zażądał pożyczki, a jako gwarancję obiecał zerwać z Evie. Przeklęty sukinsyn. Jednak tak naprawdę wykończył się w moich oczach przechwałkami na temat waszych testamentów. Wszystko stało się jasne, gdy tak siedział, kpiąc sobie ze mnie w żywe oczy.

- Pieniądze i wściekła zazdrość - powiedział cicho Reid - rzeczywiście śmiertelna kombinacja.

- To było takie proste! Zabić Keitha, a kiedy jego nie będzie, spadek przejdzie na Cammie. Zabić Cammie, wtedy pieniądze dostanie Sara.

- Zabić ciocię Sarę - Cammie podchwyciła ten przerażająco logiczny wątek - a ty, wuju, odziedziczysz wszystko. Tymczasem Evie jest osamotniona i załamana, i kiedy sprawy się ułożą...

- Ja będę pod ręką, aby ją pocieszyć i zabezpieczyć jej przyszłość. Evie zwabia pieniądze ze sprzedaży fabryki.

- Skąd masz pewność, że wróci do ciebie, skoro teraz nie chcesz ruszyć nawet jednym palcem, żeby jej pomóc?

- Jeszcze jest na to za wcześnie - rzucił z gniewem wielebny. - Nie mogę pozwolić, aby te stare kocice ponownie wyrzaskiwały na mnie oszczerstwa, jak to robiły w ubiegłym roku. Skieruję ich zainteresowanie na ciebie i Sayersa, a także na bzdury o Justinie i Lavinii; karmiłem je nimi od dawna. Te stare wiedźmy uwielbiają skandale seksualne. Im bardziej pikantne, tym lepiej...

- Poczekaj! - przerwała Cammie, ściągając brwi. - A więc to ty skradałeś się wokół domu tamtej nocy! Wiem to na pewno, bo cię widziałam. A to było jeszcze przedtem, zanim zginął Keith.

- Snuliśmy się tam obaj, ja i Sayers. Śmiałem się do rozpuku, obserwując, jak się rozgląda dookoła. Wydawało mu się, że tylko on opanował sztukę badania terenu. Nie miał pojęcia, że robiłem wypadki na nieprzyjacielskie ziemie już wtedy, kiedy on jeszcze nosił pieluchy. Tamtej nocy nawet mnie nie zauważył.

- Mylisz się - rzekł sucho Reid. - Moim błędem było tylko to, że uważałem cię za nieszkodliwego sprośnego staruszka. A kiedy doszedłem do wniosku, że należy ci się nauczka, ty nagle przyhamowałeś.

Stary człowiek rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Musiałem się najpierw przekonać, czy jej mężulek trochę zmadrzał i czy się pogodzili. A potem przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby poobserwować dziewczynę, kiedy idzie do łóżka. I z kim to robi.

- I wówczas wybrałeś mnie na ofiarę - podpowiedział cicho Reid.

- Sam się o to prosiłeś. To z twojej winy zniknęła dziewczyna o nazwisku Baylor. Przyszła do mnie jak do swojego pastora i poprosiła o radę. Kazałem jej siedzieć cicho, a ty pomogłeś jej uciec i wystąpić przeciwko

mnie, na skutek czego suma pieniędzy, którą mogła otrzymać w spadku Camilla, znacznie się zmniejszyła. Podobnie jak Keith czy Gordon Hutton wcale nie chciałeś, żeby moja siostrzenica odziedziczyła wszystko. Jesteś tak samo nikczemny jak my.

- To prawda - oświadczył spokojnie Reid.

Cammie marzyła o tym, żeby się odwrócić i spojrzeć Reidowi w oczy, by właściwie ocenić znaczenie jego słów. Nie mogła jednak tego uczynić, bo musiała pilnować wuja. Zdrętwiało jej ramię, a umysł zaczął odmawiać posłuszeństwa. Całym ciałem wstrząsnęły dreszcze. Napięcie było zbyt wielkie. Musi coś zrobić. I to szybko.

Wuj się śmieje, patrząc na Reida.

- Wobec tego jestem pewien, że Bóg mi wybaczy zgładzenie takiego grzesznika. Masz czarną duszę i czeka cię piekło, a ja jestem tylko instrumentem w ręku Boga. Jeżeli nasz Pan chce cię uratować, może tego dokonać. Czy chcesz pomodlić się o cud, zanim odejdziesz?

- Nie waż się! - ostrzegła zdławionym głosem Cammie.

- Camillo, kochanie - powiedział wuj i uśmiechnął się do niej. — Przecież to ja trzymałem cię tak często na kolanach i karmiłem orzechowym ciastkiem z własnego talerza. To ja chowałem cię za siebie, kiedy mama chciała ci dać klapsa. A kiedy zmarli twoi rodzice, pozwoliłem ci się wypłakać na swoim ramieniu. Dobrze wiesz, że do mnie nie strzelisz.

- Zrobię to - oznajmiła Cammie, pokazując pistolet.

- Bądź grzeczną dziewczynką i odłóż tę zabawkę.

- Życie Reida albo twoje. Moje życie albo twoje. Nie mam wielkiego wyboru - odpowiedziała Cammie, a słowa te nawet w jej własnych uszach brzmiały jak usprawiedliwienie.

- Cammie - zwrócił się do niej Reid ledwie dosłyszalnym szeptem. - Jeżeli cofniesz się powoli, wezmę od ciebie broń.



Czy Reid pragnie w ten sposób przyspieszyć ostateczne rozwiązanie? Czy też próbuje uwolnić ją od napięcia i przejąć całą odpowiedzialność? W ułamkach sekundy mnóstwo pytań i możliwości przebiegło przez jej umysł. Mogłaby pójść za sugestią Reida, ale jeśli on zastrzeli wuja, kto uwierzy, że nie można było tego uniknąć? W jej przypadku sprawa wygląda inaczej. Jeżeli sama zabije wuja, Bud będzie przekonany, że nie miała wyboru. Czy podobna była kiedyś sytuacja Lavinii i Justina?

- Nie próbowałbym tego - odezwał się wielbny Taggart, a w jego głosie zabrzmiało coś bezwzględne. Podniósł karabin nieco wyżej i wycelował prosto w pierś Reida. Mięśnie jego twarzy się napięły, a usta zacisnęły. Był gotowy do strzału.

To już ostatnie ostrzeżenie. Nie ma więcej czasu ani na rozważania, ani na podejmowanie decyzji.

Cammie ogarnia niezwykły spokój. Ucisza jej strach, łagodzi gniew, rozwiewa wątpliwości. Starannie mierzy w ciało wuja i dokładnie naciska cyngiel. Oczy ma szeroko otwarte.

Rozlega się huk. Pistolet cofa się w jej dłoni i zadaje ostry ból, a jednocześnie podrywa w górę całe ramię. Wuj wali się na podłogę i nieruchomieje w bezładnym skręcie.

Jednak przewracając się, oddaje jeszcze ogłuszający strzał. Ognisty płomyk mknie w stronę Reida. Odrzuca go do tyłu, a w blasku kolejnej błyskawicy miga tylko jego pobladła twarz z rozszerzonymi w szoku oczami, jakby wyrażającymi zgodę na to, co nieuniknione. Reid pada jak długi i zastyga w bezruchu.

Z oddali przez nieustający szum deszczu dobiega równomierny warkot śmigieł nadlatującego helikoptera.

## XXII -

- Nie, proszę, nie...

Słowa Cammie są ledwie niewyraźnym szeptem. Dziewczyna wypuszcza z dłoni pistolet, czując, jak ściska jej serce paralizujący strach. Potykając się, biegnie do Reida i klęka przy nim. Drżącymi rękami obmacuje jego pierś i brzuch, szukając rany. Nie znajduje śladu krwi, chociaż kurtka Reida jest poszarpana i nadpalona.

Pochyliła się jeszcze niżej, ujmuje głowę mężczyzny i trzęsącymi się, pieszczotliwymi palcami bada każdy rys jego twarzy. Delikatnie odwraca go w stronę światła padającego z komputera. Reid jest blady, rysy ma rozluźnione, ale nie widać nigdzie żadnego skaleczenia.

Jego pierś unosi nagle chrapliwy, z trudem wciągnięty oddech. Kiedy próbował zaczerpnąć więcej powietrza, twarz mu się wykrzywiła, a usta szeroko rozwarły. Oczy Reida otworzyły się jak za naciśnięciem sprężyny i przez długie sekundy wpatrywały w załzawioną i przerażoną dziewczynę.

Gwałtownym ruchem Reid poderwał się i usiadł. Opierając się plecami o ścianę, powiedział przerywanym głosem:

- Nie lituj się nade mną... Strzał... mnie tylko... ogłuszył. Ta kurtka...

- Jest kuloodporna - domyśliła się z ulgą Cammie, gdy Reid przerwał z braku tchu. Badając jego ciało, stwierdziła niezwykłą sztywność i masywny krój okrycia.

Reid przytaknął skinieniem głowy.

- Na szczęście... odwróciłem się... kiedy mnie trafił. Może nie przetrzymałbym... bezpośredniego strzału.

Cammie wie, że wcale nie chodzi o szczęśliwy przypadek. Dostrzegła ten moment, kiedy Reid się uchylił, próbując odgadnąć tor pocisku, lecz wyraz jego twarzy utwierdził ją w przekonaniu, że był to tylko instynktowny odruch; Reid nie potrafiłby się zdobyć na żaden wysiłek w obronie swego życia, ponieważ w tej samej chwili jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Świadomość ta dodała jej sił. Modliła się w duchu, aby się nie myliła.

Nie ma czasu na dalszą rozmowę. Ryk syren nadjeżdżających wozów policyjnych niemal zanikł w ogłuszającym łoskocie zbliżającego się śmigłowca. Pisk opon zamarł na dziedzińcu i natychmiast do ich uszu dobiegły gardłowe okrzyki. Przez otwarte drzwi Cammie zobaczyła zmierzających w stronę domu mężczyzn w mundurach i nieprzemakalnych płaszczach. Przebiegli pod srebrzystymi strugami deszczu, wpadając w krąg światła lądującego helikoptera.

Dziewczyna podniosła się i odrzuciła do tyłu potargane włosy. Mocne światła pojazdów rozjaśniły cały hol. W ich blasku Cammie dostrzegła bezwładne ciało wuja z rozszerzającą się na piersi plamą krwi i pustym wyrazem otwartych oczu. Wciąż oszołomiona zdała sobie sprawę, że powinna podejść do niego i przekonać się, czy naprawdę nie żyje. Nie potrafiła jednak tego zrobić jakby w obawie, że wuj nagle ożyje i znów im zagrozi.

Reid, śledząc jej spojrzenie, powoli wstał, podszedł do leżącego mężczyzny i pochylił się nad nim. Długimi palcami dotknął jego szyi w miejscu, w którym wyczuwa się tętno, a potem spojrzał na Cammie i potrząsnął przecząco głową. Następnie podniósł strzelbę, która znalazła się na gardle wielbnego Jacka Taggarta.

- Zatrzymać się w miejscu! Ani jednego ruchu!

Okrzyk dobiegł z otwartych drzwi. W chwilę później hol zapełnił się uzbrojonymi mężczyznami. Oświetlony potężną latarką Reid znalazł się w kręgu co najmniej pół tuzina prosto w niego wymierzonych karabinów.

Nawet nie mrugnawszy okiem, pochylony nadal nad ciałem zabitego, Reid zastygł w bezruchu.

- Rzuć strzelbę!

- Nie! - woła Cammie, ruszając w stronę mężczyzn otaczających Reida.

- Wszystko w porządku, madame. Proszę pozostać z tyłu. - Oficer w mundurze policji stanowej prawie na nią nie spojrział.

- Nie przejmuj się, Cammie - odezwał się Reid. - Dam sobie radę.

Najwyraźniej ma zamiar wziąć na siebie odpowiedzialność za jej czyn i chronić ją przed konsekwencjami zabójstwa. A ponieważ sam wezwał władze na pomoc, istnieje możliwość, że wyjdzie z opresji cało i pozostanie mu tylko wspomnienie jeszcze jednej przygody w burzliwym życiu.

Ale to nie jest uczciwe.

Przez mężczyzn zgromadzonych w holu przepchnęła się krzepka postać. Cammie natychmiast rozpoznała przybyłego, podbiegła do niego i chwyciła za ramię.

- Bud - mówi spokojnym i wyraźnym głosem. - Powstrzymaj ich. To ja strzelałam. Sama zabiłam wuja.

Bud obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Następnie odwrócił wzrok, przyjrzał się leżącemu na podłodze mężczyźnie i pochylonemu nad nim Reidowi. Uwolnił się z rąk Cammie i ruszył w tamtą stronę. Odebrał Reidowi strzelbę, chwycił ją przez chustkę wyjętą z kieszeni i powiedział z pewnością siebie:

- Odprężcie się, chłopcy! Ta sprawa kryje w sobie znacznie więcej, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka. Znajdźmy jakieś światło i wtedy ci dwoje opowiedzą nam, co się tutaj naprawdę wydarzyło.

Zeznania zajmują sporo czasu. Jest tak wiele do powiedzenia, tak dużo rzeczy do wyjaśnienia.

Kilka spraw zostaje pominiętych. Niektóre przez Cammie, inne przez Reida, a jeszcze inne przez nich oboje, za wzajemną, milczącą zgodą. Jeżeli nie uchodzą one uwagi Buda, co jest bardzo prawdopodobne, to szeryf celowo ich nie porusza. Zadaje im docieklive i trafne pytania, które dowodzą, że dobrze się orientuje w sytuacji. Może nawet dodać kilka drobnych szczegółów dzięki swoim oficjalnym i na pół oficjalnym dochodzeniom.

Wszystko zaczęło się od zapowiedzianej sprzedaży papierni. Ojciec Reida przeglądał księgi, aby sprawdzić, czy są w porządku. Wtedy właśnie wykrył nieprawidłowości w dziale Keitha. Stres wywołany tym odkryciem przyspieszył atak serca, który go zabił. Przed śmiercią zdążył zatelefonować do syna, dzięki czemu Reid wrócił do domu. Ale ojciec zmarł, nim udało mu się wyjaśnić problemy związane z fabryką.

Natomiast Keith, który albo spotkał się z zarzutem kradzieży ze strony ojca Reida, albo sam się zorientował, że przegląd ksiąg, wymagany w umowie o sprzedaży, ujawni jego nadużycia, zaczął pożyczać pieniądze na prawo i lewo, aby wyrównać ubytki. Nie potrafił jednak zdobyć dostatecznej sumy. Wówczas z typowym zadufaniem hazardzisty spróbował pomnożyć potrzebną gotówkę przy stołach gry i w rezultacie wpadł w jeszcze większe tarapaty i w jeszcze większą pułapkę.

Wyniki poszukiwań dotyczących tytułu własności, dzięki którym Cammie miała się stać bogatą kobietą, zachęciły Keitha do powrotu do żony. Był pewien, że zdoła ją ułagodzić i wyciągnąć pieniądze na pozbycie się długów.

Lecz Cammie przysporzyła Keithowi znacznie więcej kłopotów, niż się tego spodziewał. Tymczasem Gordon, fałszywie interpretując motywy postępowania brata,

zachęcał go do użycia twardych metod, żeby tylko zapobiec rozwodowi. Mąż Cammie gotów był z nich skorzystać; dopiero interwencja Reida skłoniła go do szukania innej drogi.

Popełnił jednak ogromny błąd, zwracając się o pożyczkę do wielebnego Jacka Taggarta.

W tym punkcie przesłuchania zapadła krótka przerwa. Szeryf Bud Deerfield zmarszczył brwi i zwrócił się z pytaniem do Reida:

- A sprawa panny Baylor - ty ją namówiłeś do opuszczenia miasta, prawda?

- Tak. To była jedna z moich nieudanych akcji - przyznał z zakłopotaniem Reid, krzywiąc usta. - Zapomniałem, że w małych miasteczkach wścibskie oczy i uszy są wszędzie. Wydawało mi się, iż zbyt wiele osób może być niebezpiecznie zainteresowanych tym, co odkryła Janet. Umówiłem się z nią w Monroe i przewiozłem przez granicę stanu do Little Rock. Tam wręczyłem jej bilet na samolot i pouczyłem, ile razy ma się przesiadać, żeby zaginał po niej wszelki ślad. Od tej chwili aż do dzisiaj cieszy się dobrym zdrowiem na Florydzie w ośrodku plażowym prowadzonym przez jednego z moich wojskowych kolegów.

- Mogłeś mi o tym powiedzieć - mruknął Bud - i tym samym zaoszczędzić wielu kłopotów.

- Miałem zamiar tak postąpić, ale zmieniłem zdanie, kiedy zginął Keith - odpowiedział Reid i spojrzał szeryfowi prosto w oczy. - Jego śmierć od jednego strzału, jaki padł ze skradzionej broni, wskazywała na zawodowca. Widziałem tylko trzy możliwości: zorganizowany gang przestępczy, wojsko albo...

- Albo policja, tak? Domyślam się, do czego zmierzasz - przerwał Bud. - Ale jaki miałbym powód, by to zrobić?

- Keith rozpuszczał paskudne plotki o twojej rodzinie, co mogłoby ci zaszkodzić w przyszłych

wyborach. Poza tym prześladował Cammie i ostrzegany, żeby tego nie robił, mógłby spowodować, że sprawy niechcący wymknęłyby się z rąk. Jeżeli dodamy, że nie byłby to pierwszy raz, kiedy człowiek zamieszany w gry hazardowe i nadużycia ma jakiegoś „haka” na policję...

- „Haka”, któremu należałoby ukręcić łeb? To rzeczywiście ma jakiś sens, choć dosyć niejasny. Tylko że nic takiego nie istnieje. Weź to pod uwagę.

Reid powoli skłonił głowę na znak zgody. Wydaje się, że obaj mężczyźni rozumieją się doskonale.

- W porządku - oświadczył Bud, zbierając papiery rozłożone na kuchennym stole. - Jestem przekonany, że to klasyczny przypadek usprawiedliwionego zabójstwa i mam nadzieję, iż ocena prokuratora okręgowego będzie taka sama. Sądzę, że chłopcy kończą już swoją robotę w holu. Najwyższy czas, żebyśmy się stąd wynieśli i pozwolili wam samym załatwić własne sprawy.

Nie było to zbyt zręczne sformułowanie w tym momencie i Bud szybko się zreflektował. Pochylił głowę, robiąc przeproszającą minę, i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy nagle z gabinetu dobiegł przenikliwy sygnał telefonu komórkowego.

- To na pewno Charles - powiedział Reid. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym go zawiadomić, że odsiecz przybyła na czas.

Szeryf podniósł rękę w przyzwalającym geście. Reid wyszedł z kuchni. Po chwili zaczęły stamtąd dochodzić przyciszone odgłosy rozmowy prowadzonej przez telefon.

- No cóż, Cammie - rzekł Bud, wtykając notes pod ramię. - Mogę ci powiedzieć jedynie to, że jest mi ogromnie przykro z powodu tej całej afery.

Dziewczyna próbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo jej to wychodziło.

- Nic nie mogłeś na to poradzić. Ani ty, ani nikt inny.

- Chyba muszę teraz zawiadomić o wszystkim twoją ciotkę. Zapewniam cię, że nie mam na to najmniejszej ochoty.

- Ciocia Sara jest silniejsza, niż sądzisz - zapewniła Cammie. - Ale na wszelki wypadek pójdę z tobą, bo może będzie chciała, aby ktoś przy niej został.

Bud zacisnął usta i spojrzął spod oka.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Zastanów się. Biorąc pod uwagę okoliczności...

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Cammie zatroskana o ciotkę zdała sobie sprawę, co Bud ma na myśli. Pomimo wielkiego przywiązania do siostrzenicy jest wątpliwe, aby ciocia Sara chciała być pocieszana przez osobę, która zabiła jej męża.

- Ach, tak! Chyba masz rację.

Szeryf wziął Cammie za rękę.

- Jesteś pewna, że nie trzeba wezwać lekarza, aby dał ci coś na uspokojenie?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nic mi nie będzie.

- Mogę sprowadzić Wen. Na pewno chętnie zabierze cię do domu i zostanie z tobą. — Bud uśmiechnął się i dodał: - Będzie zachwycona, kiedy usłyszy tę historię z pierwszych ust.

- Zatrudnij ją lepiej przy cioci Sarze. Może jej potrzebować bardziej niż ja.

Bud uściśnął serdecznie rękę Cammie.

- Jak sobie życzysz. Nie zrób tylko czegoś szalonego, a przede wszystkim nie wracaj samotnie do tego wielkiego domu. Jesteś bardzo dzielną dziewczyną i w pełni to doceniam, ale wszystko ma swoje granice.

- Nie martw się o Cammie - powiedział Reid, który właśnie ukazał się w drzwiach. - Ja się nią zajmę.

Szeryf przyjrzał mu się uważnie i pokiwał głową ze zrozumieniem.



- A więc wszystko w porządku. Jeżeli któreś z was przypomni sobie coś ważnego, dajcie mi znać.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim karetka zabrała ciało i wszystko zostało przywrócone do jakiegoś takiego ładu. Wreszcie helikopter wzbijał się w górę i oddalił ponad drzewami. Tylne światła wozów policyjnych zniknęły z podjazdu. Reid zamknął frontowe drzwi i zaciągnął zasuwę.

Odwrócił się twarzą do Cammie stojącej w holu, w którym przed chwilą żegnała się z odjeżdżającymi oficerami. Reid minął ją, wszedł do kuchni, wyjął z szafki butelkę brandy i nalał sporo do filiżanek. Następnie dolał nieco kawy z dzbanka.

Cammie przyglądała się, jak Reid stawia napełnione filiżanki na kuchennym stole. Robił na niej wrażenie, jakby się wewnętrznie zbroidł przeciw czekającym go ciosom. Nie napawało jej to wielką otuchą.

Nie była też przygotowana na twarde spojrzenie, którym ją nagle obrzucił.

- W porządku - zagaił. - Widzę, że leży ci na sercu coś, czego nie wyznałaś Budowi.

- Nawet kilka spraw - przyznała ostrożnie Cammie.

- A więc wyrzuć to z siebie wreszcie. - Reid podał jej krzesło, wskazując jednocześnie filiżankę z trunkiem.

- Nie jestem pewna, czy to właściwa pora - rzekła cicho Cammie.

- Teraz albo nigdy. Wylej na mnie wszystkie swoje żale i miejmy to już za sobą.

Pod pozorną szorstkością w głosie Reida przebijała nuta bólu. Cammie odwróciła się od niego, przeszła przez hol do gabinetu i sięgnęła po starą poźółkłą teczkę z aktami. Wróciła do kuchni, usiadła na krześle i położyła dokumenty na stole.

Reid jęknął.

- Mogłem się tego domyślić!

- Tego, że ją znajdę, czy tego, że w końcu poznam prawdę?

- Jednego i drugiego. I to w najbardziej niedogodnym czasie - powiedział Reid zmęczonym, zrezygnowanym głosem.

- A kiedy byłby na to właściwy czas? - zapytała z wyszukaną grzecznością.

- Kiedy znalazłbym się na drugim końcu świata.

Mimo że spodziewała się takiej odpowiedzi, słowa te zatrzymały jej oddech.

- Gdzie znalazłeś teczkę? - spytała zdławionym głosem. - A może miałeś ją przez cały czas?

- Przeglądałem księgi rachunkowe w fabryce. Sejf, w którym je trzymano, to prawdziwy zabytek pochodzący jeszcze z okresu budowy dawnego budynku. Skrytka jest ogromna i w jej tylnej części odkryłem mnóstwo starych rejestrów Justina. Przypuszczam, że przechowano je albo ze względu na wartość historyczną, albo z czysto sentymentalnych powodów. Mogło się też zdarzyć, że zepchnięte do tyłu zostały zapomniane. W każdym razie natknąłem się na teczkę.

Przez długą chwilę Cammie patrzyła Reidowi prosto w oczy. Nie miała żadnego powodu, aby wątpić w prawdziwość jego słów.

- Rozumiem, co tu jest napisane - dotknęła papierów wydzielających woń stęchlizny. - Moja prababka zgodziła się sprzedać Justinowi M. Sayersowi trzysta akrów ziemi za sumę jednego dolara oraz za otrzymane dobra, a mianowicie trzy tysiące akrów ziemi; a także w zamian za oddane usługi, o czym nie należy zapominać. Chciałabym wiedzieć, co to wszystko znaczy.

Reid przeciągnął ręką po włosach i zacisnął dłoń na karku. Ze wzrokiem utkwionym w stół wyjaśnił:

- Taki dokument znany jest jako „Umowa wymienia”. Oznacza ugodę między dwoma stronami w sprawie

przekazania aktu własności. Luizjana jest jednym z niewielu stanów, w których tego rodzaju transakcja jest legalna. Na mocy tego dokumentu Lavinia przekazała Justinowi trzysta akrów ziemi w zamian za trzy tysiące akrów, które on posiadał w innym miejscu. Suma jednego dolara jest czystą formalnością. Nie pytaj mnie, co oznaczają „oddane usługi”, bo nic o tym nie wiem.

Zgodnie z opisem wymienione trzysta akrów ziemi stanowiły część posiadłości matki Lavinii. Była to frontowa parcela znajdująca się na wprost jedynej drogi prowadzącej w owym czasie do Greenley. Po śmierci matki Lavinia odziedziczyła tę działkę i nie ma wątpliwości, że mogła nią rozporządzać według własnej woli.

Ziemia, którą otrzymała w zamian, to dziewiczy teren leśny, ale z materiałem zdatnym na budulec, graniczący z rzeką i jej kilkoma odnogami - zakończył Reid. - W sumie uważam, iż to całkiem niezła transakcja.

Gammie rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Nawet nader korzystna z punktu widzenia biznesmena. Zdajesz sobie sprawę, że trzy tysiące akrów zostały później zamienione w rezerwat zwierzyny łownej? Masz pojęcie, ile mogą być warte dzisiaj?

- Owszem, przyszło mi to na myśl - potwierdził sucho Reid.

- Tak więc moja prababka i twój pradziadek, którzy byli kiedyś kochankami, mieszkali po dwóch przeciwnych stronach rezerwatu i dzielili ich tylko leśna gęstwina.

Reid położył łokieć na stole i oparł brodę na podniesionej dłoni.

- Oraz dobrze wydeptana ścieżka, którą nieraz przemierzałem, kiedy byłem chłopcem.

- Żartujesz - rzekła Gammie.

- Jak Boga kocham! - zaklinał się Reid.

Gammie wytrzymała jego wzrok przez dłuższą chwilę, po czym spuściła oczy na stojącą przed nią

filizankę. Pociągnęła spory łyk, czując, jak wzmacniające ciepło rozchodzi się po całym ciele, i ponownie dotknęła zmurszałego dokumentu.

- Nie ma tu nic, czego nie moglibyśmy się domyślić, gdybyśmy tylko spróbowali... Dlaczego więc nie pokażalesz mi tych papierów?

Reid wzruszył ramionami, nie patrząc na nią.

- Byłaś taka przekonana o słuszności swoich zamiarów co do papierni. Może chciałem ci umożliwić urzeczywistnienie planów?

- A twoja troska o ludzi większa niż o dziecioty?

- Nie jestem człowiekiem o mocnych zasadach. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Uważam, że jesteś człowiekiem z zasadami i że ma to duże znaczenie - zauważyła rzeczowo Cammie. - Sądzę, że doszedłeś do przekonania, iż Lavinia wbrew pozorom poniosła straty wskutek zawartej transakcji, i postanowiłeś wynagrodzić je obecnemu pokoleniu, czyli mnie. Nieważne, że to twój pradziadek, a potem jego syn, a jeszcze później jego wnuk budowali zakład i ciężko pracowali, by przyniósł zyski. Nieważne, że dostałeś go w dziedzictwie.

- Mylisz się! - zaprotestował Reid.

- Doprawdy? No to powiedz, że nie zamierzałeś wyjechać i porzucić tego wszystkiego? Powiedz, że nie zdecydowałeś się ofiarować mi swojej spuścizny w imię dawnej miłości i „oddanych usług”. I wytłumacz mi, dlaczego sądziłeś, że przyjmę dar, wiedząc, że mi się prawnie nie należy.

- Ależ, Cammie! - zachnął się Reid, podnosząc głowę z niepokojem.

Lecz ona nie dała mu dojść do słowa.

- Nie jestem taka jak Lavinia, Reid. Nie zadowolę się twoją wspaniałomyślnością i wspomnieniami. Nie zamierzam uciekać przed kłopotami i plotkami ani poświęcać życia akcjom charytatywnym i dobrym

uczynkom. Nie wstydę się niczego, co zaszło między nami, i nie zgodzę się na nic innego poza miłością.

Reid wpatrywał się w nią rozszerzonymi oczami. Raptem zerwał się na nogi, odwrócił plecami i oparł ręce o kredens.

- Ty mnie naprawdę nie znasz, Cammie! - krzyknął zdesperowany.

- A co tu jest do poznania? Zostałeś nauczony wykonywania pewnych zadań i wypełniałeś rozkazy najlepiej, jak potrafiłeś. Inni mężczyźni przed tobą robili to samo i nikt im nie nadał miana zabójców czy zezwierzęconych potworów.

- Dobroć - rzekł w zamyśleniu Reid, jakby do samego siebie. - Czy wiesz, że to pierwsza cecha, którą w tobie zauważyłem? Miałaś wtedy pięć czy sześć lat i chodziliśmy w czasie wakacji do tej samej szkółki kościelnej. Pewnego dnia jakiś malec przewrócił się i skaleczył kolano, a ty startaś brud i krew brzegiem własnej sukienki i osuszyłaś jego łzy. Potem wzięłaś go na ręce, chociaż był prawie tak duży jak ty, i zaniosaś matce. Pamiętam...

Głos Reida przycichł, ale po chwili rozbrzmiał na nowo znacznie cieplejszą nutą.

- Przyglądałem się, jak obchodzisz dziko rosnące kwiaty zamiast je deptać, jak chwytasz pająki i wyrzucasz przez okno, zamiast je zabić. Obserwowałem cię całymi latami, ponieważ sprawiało mi to przyjemność i dawało poczucie wewnętrznego zadowolenia. Udawałem przed samym sobą, że jesteś moją siostrą i pokazuję ci swoje ulubione kryjówki. Czasami, kiedy łowiłem ryby albo przebywałem na kempingu, wyobrażałem sobie, że opowiadam ci przeróżne historie. A ponieważ przyglądałem ci się bardzo uważnie, wiedziałem, że znasz się na ludziach, dostrzegasz ich zalety i wady, a nawet te cechy, których w sobie najbardziej nie lubią. Widziałem, jak trzymasz innych na dystans i nie

pozwalasz im wdzierać się w głębię własnego ja. Używałeś wtedy słów, które obracały ich słabostki przeciwko nim samym.

- To nie było takie miłe - zauważyła Cammie.

- Ale konieczne do samoobrony. Gdybyś nie potrafiła bronić się słowami i gniewem, wykorzystaliby cię do końca. Nie sądziłem tylko, że postąpisz w taki sam sposób wobec mnie.

- Ale zrobiłam to.

Reid pochylił głowę.

- Z arogancją typową dla nastolatka doszedłem do wniosku, że nie chcę już dłużej mieć w tobie siostry i że potrzebuję od ciebie czegoś dla mnie o wiele ważniejszego. Więc osaczyłem cię w miejscu, z którego niełatwo było ci się wyrwać, i próbowałem cię przekonać. Lecz ty zagarnęłaś moje uczucie i użyłaś do tego, by trzymać mnie z dala od siebie. A ja nie miałem przeciwko tobie żadnej broni, bo nigdy nie potrzebowałem. I zostałem wewnętrznie rozdarty.

- Nie! - zaprotestowała Cammie - tak być nie mogło.

Z piersi Reida wyrwał się ni to śmiech, ni to jęk.

- No cóż, w każdym razie tak mi się wówczas wydawało, choć pewnie sam sobie byłem winien. Tak czy inaczej wyjechałem stąd, zaciągnąłem się do wojska i postanowiłem nie obdarzać cieplejszym uczuciem nikogo, nawet tej kobiety, która miała nieszczęście znaleźć się obok mnie właśnie wtedy, kiedy stwierdziłem, że mógłbym się ożenić, skoro ty wyszłaś za męża. Taka postawa zdawała egzamin przez długi czas.

Zatopiony we wspomnieniach, które jej nie dotyczyły, Reid zamilkł na długo, tak że Cammie zaczęła się obawiać, iż nie będzie już czuł potrzeby albo po prostu nie zechce ciągnąć swoich zwierzeń. Przez zaciśnięte gardło odpowiedziała:

- Aż do wydarzeń w Izraelu...

- Tak - westchnął Reid - aż do wydarzeń w Izraelu. Mam ci o nich opowiedzieć? Naprawdę chcesz to usłyszeć?

- Proszę - odpowiedziała Cammie ledwie słyszalnym szeptem.

Reid odrzucił głowę do tyłu.

- A więc była to mała dziewczynka. Nazywaliśmy ją inicjałami AJ., ponieważ brzmiały trochę podobnie do jej prawdziwego imienia, którego nie potrafiliśmy zapamiętać. Miała pięć czy sześć lat i włosy jasnobrązowe, w słońcu mieniające się kolorem rudozłotym. Od czasu do czasu, kiedy jej mały braciszek się przewracał, podnosiła go, ocierała łzy i czyściła zadrapania skrajem spódniczki. Potem odnosiła go do matki, chociaż był prawie tak duży jak ona. Miała uśmiech podobny do wschodu słońca i bardzo lubiła się śmiać. Była taka łagodna i pod tyłu względami przypominała mi ciebie. No i miała do mnie zaufanie.

- Reid... - szepnęła błagalnie Cammie.

- Nie, zaczekaj! - Głos miał urywany, a ramionami wstrząsnęły dreszcze. - Tamtego dnia się zorientowałem, że całe ciało dziecka zostało oplecione kablem z przymocowanymi do niego ładunkami materiału wybuchowego. Było tego zbyt wiele, aby z niej zedrzeć, a kabel zaciśnięto tak mocno, że nie dało się go przeciąć. Zobaczyłem przerażenie w jej oczach. Wiedziała, co wuj jej zrobił, Cammie. Wiedzieliśmy oboje, ona i ja, bo właśnie poprzedniego wieczoru przeczytałem raport o jego wyczynach. Było za późno, aby zapobiec jej przyjściu. Za późno, by wyrzec się radości, jaką mi zawsze przynosiła. Musiałem wybierać. Musiałem...

- Dokonałeś właściwego wyboru - wtrąciła Cammie rozpaczliwie, próbując złagodzić ból brzmiały w każdym jego słowie. - Nie mogłeś zrobić niczego innego!

- Nie mogłem, Cammie? Czy naprawdę nie mogłem? Dotykałem ładunków na jej ciałku, widziałem zapalnik i zdawałem sobie sprawę, że pozostały tylko sekundy do wybuchu. Ale sekundy mogą czasem wydawać się wiecznością, Cammie. Boże, pamiętasz, jak chwyciłem cię w Evergreen, jak łatwo mogłem ci wówczas skrócić szyję? - Reid przerwał, a kiedy znów zaczął mówić, głos miał cichy, drżący. - Szyjkę miała drobniejszą, bardziej kruchą. Nie żyła już, kiedy nastąpił wybuch. Zabiłem ją, Cammie, trzymając ją w objęciach.

Jedyną reakcją ze strony Cammie było głębokie zaczerpnięcie oddechu, lecz Reid nie czekał na to, co powie.

- Kto wie, być może istniała minimalna szansa na uratowanie jej życia, gdyby udało mi się w ciągu kilku sekund zerwać z niej ładunki wybuchowe. Ale musiałem dokonać wyboru i wybrałem życie dla siebie i moich ludzi, a śmierć dla niej. Zabiłem ją. Nikt inny tego nie zrobił, tylko ja. I teraz nie wiem i nigdy nie będę wiedział, czy postąpiłem słusznie.

Gammie zerwała się i podbiegła do Reida. Chwyciła za łokieć i odwróciła w swoją stronę. Spojrzała w niebieskie oczy błyszczące od łez, otoczyła go ramionami i przycisnęła mocno do siebie, wtulając głowę w ciepłą szyję. Gwałtowny oddech Reida uświadomił jej, że musiał odczuć ból w piersi drażnionej przez kulę Jacka Taggarta, chociaż wcześniej się nie przyznał, że odniósł jakąkolwiek ranę. Cammie natychmiast zwolniła uścisk, ale nie wypuściła go z objęć.

- Wysłuchaj mnie! - prosiła, czując, że zaraz wybuchnie szlochem. - Jesteś tylko człowiekiem, a nie Bogiem sprawującym władzę nad życiem i śmiercią. Jedni ludzie zadają drugim straszne męki z powodów pozbawionych sensu, lecz ty nie jesteś za to odpowiedzialny. Zrobiłeś to, czego cię nauczono i do czego popchnęła cię litość. Uchroniłeś dziecko przed cier-



pieniem, ale nie ty je spowodowałeś. Możesz opłakiwać śmierć niewinnej ludzkiej istoty, lecz nie wolno ci przez to niszczyć samego siebie. Nie pozwolę ci na to!

Cammie odsunęła się od Reida i spojrzała na niego oczyma pełnymi głębokiego oddania. Chwyliła skraj koszuli i wytarła łzy spływające mu po policzkach. Powiedziała tonem ciepłym i przekonującym:

- Kocham cię, Reid, za to wszystko, co się w tobie kryje: za twoją wrażliwość i czułość serca, lecz również za siłę, która pozwala ci zabić lub stawić czoło śmierci dla jakiejś niemądrej przyczyny, nie mającej nic wspólnego z odwagą. Miłość może zaleczyć rany, przyrzekam ci to, jeśli się tylko na to zgodzisz.

- Cammie... - szepnął Reid.

- Nie, teraz moja kolej na wyznania. Wówczas, przed laty, wiedziałam, że mnie obserwujesz, i sama tego pragnęłam. Ale byłam zbyt przestraszona i zaszokowana uczuciami, jakie we mnie budziłeś, by ci pozwolić na zbliżenie się. Wysłałam za męża za Keitha, ponieważ wyjechałeś, a ja myślałam, że już nigdy nie wrócisz. Lecz jeśli jeszcze raz to uczynisz, pójdę z tobą wszędzie, jęcząc i płacząc. Będę szła krok w krok, mila za milą, przez lądy i morza. Nie zniszczysz samego siebie w jakimś sadystycznym porywie pokuty za sprawę, która była z góry przegrana, i nie będziesz szukał pewnej śmierci. Nigdy do tego nie dopuszczę, raczej sama się zabiję. Uczyniłabym to z miłością, bo uważam to za najlepsze, jeśli nie jedyne wyjście z sytuacji.

W ciszy, jaka zapadła po namiętnych słowach Cammie, dało się słyszeć skrzypienie starego domu. Z zewnątrz dochodził szum wiatru i plusk padającego deszczu.

- Przypuszczam, że naprawdę mogłabyś to zrobić - zauważył Reid lekko rozbawiony słowami dziewczyny. Dotknął jej włosów i gładząc, obserwował rudozłote

błyski na brązowych lokach. Za moment, marszcząc czoło, rzekł poważnie: - Boże, jak ja się bałem, że nie będziesz w stanie pociągnąć za cyngiel, tam w holu. Pomyślałem, że tylko dwie przyczyny mogłyby cię do tego skłonić: samoobrona albo...

- Albo co? - Cammie nie mogła się powstrzymać od przynglenia Reida.

- Lęk o kogoś, kogo kochasz...

Cammie mocniej go objęła.

- Miałeś rację.

- A czy ty znasz moje uczucia? Czy potrafisz sobie wyobrazić, co oznaczało dla mnie twoje przyjście tej pierwszej nocy w Evergreen? Jesteś moim nagim aniołem, który przepędza wszelkie koszmary. Jesteś żywym wcieleniem wszystkiego, co było w moim życiu dobre, promienne i wspaniałe. Ale nie mogę na to pozwolić, byś spędziła jedyne życie, jakie masz, walcząc z moimi demonami, i aby mieszkańcy Greenley zamienili naszą piękną miłość w coś wstrętnego.

Cammie lekko zeszywniała.

- Moje życie należy do mnie i mogę je spędzić tak, jak zechcę. Jeżeli chodzi o tutejszych ludzi, bardzo mi przykro, że nie mają innych zainteresowań, ale oni nie mogą ustalać zasad mojego postępowania. Ani oni, ani ty.

- Nawet bym nie próbował - oświadczył Reid. - Ale ja też muszę żyć w zgodzie z samym sobą.

Cammie przytuliła się do piersi Reida, starannie omijając miejsce, w którym drasnęła go kula.

- A co będzie z fabryką?

- Zatrzymaj ją, sprzedaj albo zrób to, co uznasz za najlepsze.

- Nie należy do mnie - upierała się Cammie.

- Więc pozwól Gordonowi, aby ją sprzedał. Dopilnuj tylko, aby zachowano wszystkie warunki,

- Dobrze, a zatem sprawa załatwiona!

- Jak to, więc nie będziesz bronić ani drzew, ani ptaków? - spytał Reid.

- Ach tak, myślisz o dzieciątach. Wciąż mi na nich zależy. Chciałabym uratować każde drzewko, każdego ptaka, królika, wiewiórkę, szopa czy pancernika. Ale jak mi kiedyś powiedział pewien mądry mężczyzna, ludzie są ważniejsi.

- Sprzedaż przyniesie sporą sumę pieniędzy. Mogłabyś nabyć za to mnóstwo leśnych terenów i rzucić wyzwanie każdemu, kto spróbuje wyciąć choćby jedno drzewo albo skrzywdzić jakieś stworzenie.

- Mogłabym, ale mnie tu nie będzie.

Reid spojrział na Cammie i jego niebieskie oczy pociemniały.

- Nie? - Zastanowił się chwilę, a potem przechylił głowę i z domyślnym uśmiezkiem dopowiedział: - Będziesz mnie ścigała, czy tak? Szła za mną krok w krok? Jęcząc i płacząc?

- Raczej wrzeszcząc!

- Jesteś tego pewna?

Najwyraźniej on nie jest pewien, co daje się wyczuć w jego głosie.

- Kiedy wyruszamy? - spytała Cammie stanowczym tonem.

Reid długo się jej przyglądał z dziwnym wyrazem twarzy, na której odbijały się mieszane uczucia: uznanie i szacunek, lęk i tęsknota. Wreszcie gwałtownie wciągnął oddech.

- Kilka godzin temu zostawiłem cię na krótko samą i omal nie straciłaś życia. Przypuśćmy, że zmieniłem zdanie, kiedy zobaczyłem, jak wuj trzyma strzelbę wycelowaną prosto w twoje serce. Przypuśćmy, że w ciągu tej jednej małej chwili doszedłem do przekonania, iż potrzebujesz kogoś do ochrony już na zawsze. Czy potrafisz zrozumieć moją obawę, że mogłoby ci się wydarzyć coś złego, jeżeli nie będę w pobliżu, bo to

byłaby także moja wina? Czy pojmujesz, że jeśli podejmę się czuwania nad twoim bezpieczeństwem, mogę to zrobić równie dobrze tutaj?

Oblicze Cammie rozjaśnił uśmiech, chociaż jej wzrok wciąż był utkwiony w pierś Reida.

- To, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie - powiedziała ochryplym głosem.

Mocno przycisnął ją do siebie i z twarzą wtuloną w pachnące włosy szeptał słowa miłości.

- Ależ, Reid, uważaj na siebie! - zaprotestowała Cammie. - Mogę ci sprawić ból.

- Niemożliwe! - roześmiał się Reid, lecz już w następnej chwili odsunął ją od siebie na długość ramienia. - Ale ja... zapomniałem o twoich szwach! Czy cię nie uraziłem?

Cammie podniosła głowę i spojrzała na niego rozkochanymi oczyma.

- Nic podobnego! Nigdy nie potrafimy wyrządzić sobie krzywdy.

Reid spoważniał i głęboko się zamyślił.

- Może się to wydarzyć, ale krzywda nie będzie ani zamierzona, ani długotrwała.

Wszystko zostało już wyjaśnione.

- Czy mam cię zabrać ze sobą do domu? - spytała spokojnie Cammie.

- Raczej ja cię zawiozę, ponieważ przyjechałaś tutaj moim dżipem.

- Tak to prawda. - A po chwili ciszy powiedziała: - Wiesz co, chyba będziemy się musieli pobrać. Ludzie w Greenley będą tego oczekiwali, a ja nie potrafię ich lekceważyć, zwłaszcza że założymy dynastię Greenley-Sayers.

- Albo Sayers-Greenley. Tak czy inaczej brzmi to dobrze i bardzo mi się podoba. Kiedy weźmiemy ślub? Jutro?

- Może wystarczy w przyszłym tygodniu? Albo w przyszłym miesiącu? - zaśmiała się Cammie.

- W następnym tygodniu. Nie mogę się już doczekać, kiedy podejmę swoje obowiązki jako twój ochroniarz.

Cammi rzuciła mu spod rzęs filuterne spojrzenie.

- Trudno uwierzyć, że tak długo mi kazałeś błagać, byś ze mną pozostał, i wprost mnie zmusiłeś, żeby ci się oświadczyła jak najbardziej bezwstydną kobietą.

- Takie kobiety uwielbiam!

- Powinnam zrobić ci coś złego, żeby się zemścić...

- Doprawdy? - spytał Reid niezbyt pewnym głosem. - Może więc ja będę potrzebował ochrony?

- Kto wie - przekomarzała się Cammie, przesyłając mu obiecujące spojrzenie.

Reid spotkał jej wzrok i uśmiechnął się radośnie.

- Teraz już naprawdę nie mogę dłużej czekać - oznajmił stanowczo. - Wracajmy do domu!